„CAŁY ŚWIAT CZYTAŁ STIEGA LARSSONA, POTEM JO NESBØ, A TERAZ NADSZEDŁ CZAS NA REMIGIUSZA MROZA".
TESS GERRITSEN
NIEODNALEZIONA
REMIGIUSZ
MRÓZ
FILIA

REMIGIUSZ

MRÓZ

NIEODNALEZIONA

FILIA

Dla tych, którzy wiedzą, że milczenie to najgłośniejszy krzyk

Na świecie są dwa rodzaje mężczyzn –
ci, którzy stają w obronie praw kobiet, i tchórze.
Wybór należy do ciebie.

Abaida Mahmood

ROZDZIAŁ 1

1

Gdybym oświadczył jej się chwilę wcześniej, nigdy by do tego nie doszło. Nie napadnięto by nas, ja nie trafiłbym do szpitala, a ona nie znikłaby na zawsze z mojego życia.

Wystarczyłoby trzydzieści sekund, może nawet mniej. Czasem jednak tylko tyle trzeba, by jeden moment zniszczył całe życie. I by to, co z niego pozostało, stało się wyłącznie próbą zapomnienia.

Mnie się ta próba nie udała. Bez końca obracałem tamto zdarzenie w głowie i rozważałem, co by było, gdybyśmy wypili o jedno piwo mniej, wyszli z pubu wcześniej lub chwilę krócej palili nad rzeką.

Psychologowie nazywają to myśleniem kontrfaktycznym, polegającym na tworzeniu alternatywnych scenariuszy zdarzeń, które już miały miejsce. Nie jest to ani zjawisko rzadkie, ani całkowicie negatywne – pozwala przecież w przyszłości uniknąć tych samych błędów, nieraz podnosi na duchu i daje poczucie kontroli nad własnym losem.

W moim wypadku efekty były jednak dokładnie odwrotne. Popadłem przez to w jeszcze bardziej depresyjny stan, zwiększyło się moje poczucie winy i braku jakiegokolwiek wpływu na otaczający mnie świat.

Wciąż powtarzałem sobie, że wystarczyło, żebym wyciągnął ten pierścionek choćby kilka sekund wcześniej.

Ale nie zrobiłem tego. Każdy, nawet najmniejszy krok tamtego pechowego dnia, każda, nawet najbardziej błaha decyzja

doprowadziły do tego, co się wydarzyło.

Sobotni wieczór przed dziesięciu laty zaczął się zwyczajnie. Wybraliśmy się z Ewą do Highlandera, naszego ulubionego pubu na opolskim Starym Mieście. Znajdował się w niewielkiej uliczce, tuż przy rzece.

Byliśmy jego stałymi bywalcami na długo, zanim mogliśmy legalnie pić alkohol. Równie często przesiadywaliśmy wtedy na Loży Szyderców – miejscu na brzegu Młynówki, do którego schodziło się wąskimi schodkami za pubem. Nie wiem, kto wpadł na tę nazwę. Wysprejowano ją na niewielkim murku dobrą dekadę wcześniej i szybko się przyjęła.

Kiedy zeszliśmy na dół, Ewa już coś przeczuwała. Nie miało to jednak nic wspólnego z grupą mężczyzn, którzy właśnie dopijali piwo w Highlanderze. Znała mnie doskonale i od początku wieczoru musiała widzieć moje zdenerwowanie.

Byliśmy ze sobą, właściwie od kiedy pamiętaliśmy. Okoliczności zeswatały nas już w latach osiemdziesiątych, kiedy oboje biegaliśmy po osiedlowych podwórkach przy Spychalskiego na Zaodrzu, beztroscy i nieświadomi tego, co przyniesie życie.

Szybko staliśmy się nierozłączni. Chodziliśmy do tej samej klasy w podstawówce, pierwszy raz pocałowaliśmy się w wieku dziesięciu lat na schodach prowadzących do szatni. Na początku liceum, na wycieczce szkolnej, po raz pierwszy się ze sobą przespaliśmy. Przed studiami wszyscy wieszczyli nam szybki koniec – Ewa poszła na polibudę, ja na uniwerek. Według znajomych mieliśmy paść ofiarami naszej dotychczasowej nierozłączności, ale stało się zupełnie inaczej.

Wynajęliśmy mieszkanie, zaczęliśmy planować wspólną przyszłość. Naturalne wydawało mi się, że niebawem się oświadczę. I może akurat tamtego dnia Ewa wiedziała, że to zrobię.

Wybrałem Lożę Szyderców, bo było to chyba jedyne miejsce w Opolu, gdzie spędziliśmy tak dużo czasu. Wypaliliśmy tam kilotony nikotyny, wypiliśmy hektolitry tanich winiaków i po raz pierwszy paliliśmy skręty.

Kiedyś w tym miejscu nie było nic romantycznego. Stanowiło zaśmiecony kawałek brzegu, chowający się pod rachityczną koroną osamotnionego starego drzewa. Kiedy się oświadczałem, było już jednak inaczej – miejsce stało się częścią opolskiej Wenecji, na nowo zagospodarowanego nabrzeża, z którego najbardziej wyróżniał się ciąg kolorowo oświetlonych budynków, niemal dotykających wody.

Loża Szyderców była odpowiednia. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Przyklęknąłem na jedno kolano i zapewne poczułbym się jak ostatni imbecyl, gdyby nie to, że wypiłem odpowiednio dużo. Ewa teatralnie uniosła dłoń do ust, uświadamiając mi tym gestem, że doskonale wiedziała, co się szykuje.

Wsunąłem pierścionek na jej palec, pocałowaliśmy się, mocno przytuliliśmy, a potem przez moment trwaliśmy w milczeniu. Byliśmy ze sobą na tyle blisko, że cisza była jak spoiwo związku, a nie budulec dzielącej ludzi przepaści.

Oboje byliśmy upojeni szczęściem, czuliśmy się błogo i beztrosko. Objąłem Ewę, a potem ruszyliśmy schodkami w kierunku pubu i niewielkiego parkingu. Moment przed tym, jak minęliśmy drzwi Highlandera, z knajpy wyszło pięciu gości. Mocno wstawionych, głośnych i popychających się nawzajem.

Nie wzbudzili naszego niepokoju, bo właściwie wpisywali się w nocny krajobraz opolskiej sobotniej nocy na rynku. Po chwili jednak to się zmieniło.

Jeden z nich wbił wzrok w Ewę i ucichł zupełnie. Sprawiał wrażenie, jakby nagle znalazł się w oku cyklonu. Kumple

szturchali go, krzyczeli coś do niego, ale on trwał w bezruchu, patrząc na moją narzeczoną.

– O kurwa… – powiedział.

Wciąż wracam myślami do tamtej chwili, do tamtego wzroku i głosu tego człowieka. Są dla mnie tak samo mętne jak wtedy, kiedy mocniej objąłem Ewę i nieco przyspieszyłem.

Ten, który się odezwał, zastąpił nam drogę. Kumple popatrzyli na niego niepewnie, a potem ustawili się obok.

– Coś nie tak? – rzuciła Ewa.

Teraz wiem, że to ja powinienem wtedy coś powiedzieć. Skierować ich uwagę na siebie, może dzięki temu wydarzenia potoczyłyby się inaczej.

A może nie.

– No – odparł tylko jeden z nich.

Pozostali ucichli i spoważnieli, wszyscy nagle skupili wzrok na Ewie, a ja rozejrzałem się nerwowo. W okolicy nikogo nie było. Kawałek dalej, na rynku, moglibyśmy liczyć na przechodniów. Przy rzece jednak było pusto.

Ewa mruknęła „sorry” i próbowała przejść, ale żaden z mężczyzn nawet nie drgnął. Zatrzymaliśmy się bliżej nich, a ja miałem wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi.

– O co chodzi? – zapytałem.

– O to, że zostawiliście coś na dole – odparł najbardziej postawny z nich, wskazując na schody.

Pozostali nie byli umięśnieni, ale nie miało to żadnego znaczenia. Ich było pięciu, ja byłem jeden. Nawet gdybym na co dzień walczył w MMA, nie dałbym im rady.

Uświadomił mi to już pierwszy cios, który niemal rzucił mnie na ziemię. Był niechlujny, typowo uliczny, ale na tyle niespodziewany, że prawie nokautujący.

Wyprowadził go ten przypakowany. Słyszałem, że Ewa coś krzyknęła, ale tak głośno zahuczało mi w głowie, że nie potrafiłem rozpoznać słów. Złapali nas za fraki i popchnęli ku Loży Szyderców.

Zanim się zorientowałem, byliśmy już z powrotem nad rzeką. Starałem się wyrwać, ale jeden z nich mnie przytrzymał, a drugi po raz kolejny mi przywalił. Poprawił jeszcze trzy lub cztery razy. Upadłem na ziemię obok drzewa, pod którym kiedyś wypaliliśmy pierwszego jointa.

Nie czułem metalicznego posmaku w ustach, choć krew wylewała się z nich niemal strumieniem. Obraz przed oczami miałem zamglony, mimo to wyraźnie widziałem, jak rzucają Ewę na ziemię kawałek dalej.

Mówili coś, śmiali się, Ewa krzyczała. Do dziś nie potrafię wyłowić z pamięci jej słów.

Próbowałem wstać, ale szybko sprowadzili mnie z powrotem na ziemię. Wystarczyło jedno dobrze wymierzone uderzenie. Kiedy upadłem, natychmiast zacząłem czołgać się w kierunku narzeczonej.

Już się nią zajmowali. Jeden z nich zerwał z niej bluzkę, drugi zaczął mocno ściskać piersi. Krzyczałem bezgłośnie, a przynajmniej tak mi się wydawało, kiedy nadaremnie starałem się do niej zbliżyć.

W pewnym momencie dostrzegli moje żałosne próby. Oberwałem kopniakiem w głowę, na moment zrobiło mi się ciemno przed oczami. Kiedy na powrót mogłem cokolwiek zobaczyć, jeden z nich ściągał Ewie spodnie.

Świat stał się nierealny. Zduszony czymś ciężkim, tak jak krzyk mojej narzeczonej, kiedy jeden z napastników zasłonił jej usta. Odgrażałem się, klątem, a potem błagałem ich, żeby przestali.

Kiedy nie pozostało mi nic innego, zacząłem prosić Boga, żeby zainterweniował. Obiecywałem mu wszystko, byleby ocalił Ewę.

Potem zobaczyłem jej czerwoną koronkową bieliznę, którą kupiła jakiś czas temu. Mówiła, że na specjalną okazję.

Rycząc ze śmiechu, agresorzy zerwali z niej majtki. Pierwszy z nich zrzucił spodnie i położył się na Ewie. Inny stał za mną, unosząc mi głowę, bym musiał oglądać, co się dzieje.

Przy każdej próbie wyrwania się obrywałem w tył głowy. Krzyczałem, wciąż rozpaczliwie starając się dostać do narzeczonej. Ryłem dłońmi w ziemi, ale zanim gwałciciel skończył, nie zbliżyłem się nawet o pół metra.

Potem położył się na niej kolejny. Napierał mocno, jakby chciał ją zmiażdżyć. Słyszałem jej pisk i płacz, widziałem, jak stara się odepchnąć napastników. Nie miała żadnych szans.

Udało mi się trochę zbliżyć, zanim pozostali znów zwrócili na mnie uwagę. Jeden z nich podszedł do mnie, powiedział coś, a potem uniósł nogę. Zanim opuścił na mnie ciężki but, spojrzałem jeszcze na Ewę. Wyraz cierpienia, bólu i upokorzenia na jej twarzy wryły mi się w pamięć, bo był to ostatni raz, kiedy ją widziałem.

Przynajmniej do czasu, aż dziesięć lat później trafiłem na jej zdjęcie na Facebooku.

2

Nigdy nie ustalono, kim byli napastnicy. Nie odnaleziono ani ich, ani mojej narzeczonej. Ślad po niej zaginął, podobnie jak po życiu, które planowałem mieć.

Nie chodziło tylko o to, że wiodłem je bez Ewy. Zmieniło się ono także w każdej innej kwestii.

Po maturze mogłem z powodzeniem aplikować na ekonomię do Wrocławia, Poznania lub Krakowa, właściwie na każdej uczelni przyjęliby mnie z otwartymi rękoma. Wybrałem opolski uniwerek i tutejsze zarządzanie tylko dlatego, by zostać na miejscu z Ewą. Upierała się, że nie chce opuścić miasta.

Nie musiała długo mnie przekonywać. Liczyła się tylko ona, a dobre wyniki w nauce i tak miały sprawić, że będę mógł spodziewać się w Opolu dobrze płatnej pracy. Może nie porywającej, ale pozwalającej na godne życie. Więcej nie było mi trzeba.

Studiów jednak nie skończyłem. Po tamtej pechowej nocy nigdy nie wróciłem do siebie.

Przez pierwsze miesiące chodziłem na wysokich obrotach, gorączkowo starając się odnaleźć jakikolwiek ślad po narzeczonej. Wykorzystałem wszystkie możliwości, sprawdziłem każdy trop, zaangażowałem wszystkie służby, organizacje i stowarzyszenia, które mogły w jakikolwiek sposób pomóc.

I nic.

Zupełnie jakby Ewa wpadła w czarną dziurę. Ci, którzy nas zaatakowali, najwyraźniej byli w Opolu tylko przejazdem. Początkowo byłem przekonany, że pochodzili z którejś z podmiejskich wsi, ale po kilku miesiącach także i to musiałem wykluczyć. Przez ten czas ktoś z pewnością by ich rozpoznał.

Tymczasem pozostawali anonimowi. A ich twarze, niewyraźne i niepokojące, zdawały się istnieć tylko w mojej pamięci.

Po tych kilku intensywnych miesiącach zupełnie opadłem z sił.

Zrezygnowałem z nauki, na jakiś czas zaszyłem się w naszym mieszkaniu i większość czasu spędzałem na coraz głębszym zanurzaniu się w letargicznym bagnie. Piłem coraz więcej i coraz mniej interesowałem się światem zewnętrznym.

Po pewnym czasie liczyło się tylko to, żeby otworzyć piwo i w jakiś sposób zabić czas. Najczęściej robiłem to za pomocą gier. *Dead Space*, *Left 4 Dead*, *GTA IV* i *Fallout 3* zastępowały mi rzeczywistość.

I może dzięki nim jakoś przetrwałem. Przy czym „jakoś" to słowo klucz.

Zanim się zorientowałem, było już za późno, żeby wrócić do planów, które kiedyś miałem. Na uczelni musiałbym powtarzać zbyt wiele, w CV musiałbym nakłamać, a dodatkowo byłbym zmuszony zrezygnować ze wszystkiego, co trzymało mnie przy życiu przez tyle miesięcy.

Mniej więcej rok po tym, co stało się na Loży Szyderców, wróciłem w to miejsce. Zatrudniłem się w Highlanderze jako barman, przepracowałem tam sporo czasu. Na tyle dużo, by poznać każdą rysę na ladzie i wszystkich klientów.

Oprawcy Ewy nigdy nie wrócili. A ja nie wiedziałem nawet, czy kiedykolwiek naprawdę na to liczyłem.

Przenosiłem się z knajpy do knajpy, nigdzie nie zagrzewając miejsca, nie nawiązując z nikim bliższych relacji. W mieście, w którym mieszka sto dwadzieścia tysięcy ludzi, każdy przynajmniej mnie kojarzył. Nikogo nie zaskoczyło, że stałem się dziwakiem.

I mimo że minęło niemal dziesięć lat, nadal nim byłem, kiedy dostałem pracę w nowo otwartej restauracji na rynku, niedaleko pomnika, który nazywaliśmy Babą na Byku. SpiceX serwowała dania kuchni indyjskiej, a ja zatrudniłem się tam jako kelner. Była to jedyna knajpa tego typu w Opolu, w dodatku dobrze zlokalizowana, więc pensja i napiwki wystarczały mi na opłacenie mieszkania, alkohol i szerokopasmowy internet. Na nic więcej w zasadzie nie wydawałem.

W trakcie chudszych lat pomagał mi Adam Blicki, którego od podstawówki nazywaliśmy Blitz – i którego jako jedynego mogłem określić mianem przyjaciela. Przynajmniej w pewnym sensie. Nie wychodziliśmy nigdzie razem, ja nie bywałem u niego, on też nigdy mnie nie odwiedzał. Spasował po kilkunastu próbach, podczas których udawałem, że nie ma mnie w domu.

Przychodził za to regularnie do wszystkich lokali, w których pracowałem, jakby były jego ulubionymi. Trwało to już niemal dziesięć lat i chyba odpowiadało nam obydwu.

Zazwyczaj zjawiał się z dobrymi wieściami, jakby za punkt honoru postawił sobie ustawiczne próby podniesienia mnie na duchu. Tego dnia było jednak inaczej. Wszedł do SpiceX
z laptopem pod pachą, rozejrzał się, a potem przywołał mnie nerwowym ruchem.

– Werner! – krzyknął, siadając przy stoliku obok okna.

Podszedłem niespiesznie, bo najczęściej ekscytował się rzeczami, obok których ja przechodziłem obojętnie. Stanąłem przy stoliku i otworzyłem usta, ale nie dał mi się odezwać.

– Musisz to zobaczyć – rzucił, otwierając laptopa. – Siadaj.

Był wczesny ranek, w restauracji znajdował się tylko jeden klient, któremu chwilę wcześniej podałem mango lassi. Nie musiałem się przejmować, że za pogawędki ze znajomym dostanie mi się potem od szefa. Usiadłem obok Blitza i wbiłem wzrok w monitor.

– Nie powiesz mi, że to nie ona – wypalił Adam.

– O czym ty mówisz?

– Spójrz – polecił, mierząc prosto w laptopa.

System wybudził się z uśpienia, a na ekranie pokazał się post z Facebooka. Zdjęcie było lekko poruszone, ale nie na tyle, bym miał trudności z rozpoznaniem, kto na nim jest.

Miałem wrażenie, jakby powietrze wokół mnie się naelektryzowało, zapowiadając burzę. Ale nie grzmiało gdzieś w oddali – gromy pojawiły się tuż nade mną.

Ewa.

Zmieniła się tak, jak ludzie zmieniają się przez dziesięć lat. Zmarszczki mimiczne jej się uwydatniły, nieznacznie przytyła, przefarbowała trochę włosy, być może zrobiła korektę nosa, ale nie miałem wątpliwości, że patrzę na jej zdjęcie.

– Jak… – urwałem, nie mogąc wydusić nic więcej.

Blitz, którego nazywaliśmy także Blitzer lub Blitzkrieg, zazwyczaj reagował na wszystko błyskawicznie, jakby przezwisko go do tego obligowało. Tym razem jednak popadł w zupełny marazm, nie potrafiąc mi odpowiedzieć.

Ja zaś miałem wrażenie, jakby świat stawał się coraz bardziej nierealny. Zupełnie jak dziesięć lat wcześniej na brzegu Młynówki. Próbowałem przełknąć ślinę, ale wydawało mi się, że w gardle mam jedynie suchą watę.

– Jak to możliwe? – wydusiłem w końcu.

– Nie wiem.

– Co to za fanpage?

Pytanie było chyba symptomatyczne dla naszych czasów. Kiedyś zacząłbym od wypytywania Blitzera, jak trafił na zdjęcie, gdzie zostało zrobione i tak dalej. Teraz nie musiałem tego robić, bo odpowiedź przyjaciela właściwie mogła powiedzieć mi wszystko.

– Spotted: Wrocław.

Potrząsnąłem głową i dopiero teraz dotarło do mnie, że to się dzieje naprawdę. Złapałem się za kark i rozejrzałem nerwowo. Czułem się jak zwierzyna w ciemnej, nieprzeniknionej głuszy, ku której nadciąga cały zastęp myśliwych.

– To naprawdę ona, Werner.

Zmusiłem się do zdawkowego skinienia głową.

– I była niecałe sto kilometrów stąd.

Znów pochyliłem się nad laptopem, biorąc się w garść. Po latach poszukiwań w końcu miałem jakiś trop. Pojawił się cień nadziei na to, że wreszcie uzyskam odpowiedzi na wszystkie pytania, które kołatały mi się w głowie od dekady.

Co spotkało ją po gwałcie? Dlaczego znikła bez śladu? Co się z nią działo przez ten cały czas? Znała napastników?

Wszystkie dylematy, niewiadome i nierozstrzygnięte kwestie wróciły jak echo salwy artyleryjskiej, która zrównała z ziemią cały mój świat.

Spojrzałem na zdjęcie. Przedstawiało Ewę podczas jakiegoś koncertu na świeżym powietrzu. Był późny wieczór, ale scena mieniła się feerią szalonych, w pewien sposób paranoidalnych barw.

Nie patrzyła w obiektyw, być może nie wiedziała nawet, że ktoś uwiecznił ją na zdjęciu. Była roześmiana, unosiła jedną rękę w kierunku sceny. Obok niej stał mężczyzna w bluzie, trzymał ją za ramię, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę lub przyciągnąć ją do siebie. Nie widać było jego twarzy, stał tyłem. Na szarej bluzie z kapturem znajdowało się logo Foo Fighters, bomba ze skrzydłami i napis „There is nothing left to lose".

Foo Fighters. Ulubiona kapela Blitza, której słuchał od dziewięćdziesiątego piątego, kiedy inni chcieli zaimponować rówieśnikom znajomością *Scyzoryka* Liroya, a skrycie zasłuchiwali się w soundtracku do *Toy Story*.

– To… – zacząłem niepewnie, wskazując na bluzę. – To ich koncert? Byłeś tam?

– Byłem.

– Do kurwy nędzy, Blitz! Widziałeś ją?

Miałem ochotę złapać go za ramiona i potrząsnąć, ale w porę się powstrzymałem. Serce waliło mi jak młotem, a fala gorąca

rozpływała się po moim ciele. Umysł na przemian zdawał się rozumieć, co się dzieje, i tracić kontakt z rzeczywistością.

– Nie – odparł Blitzer. – Zobaczyłem ją dopiero na tym zdjęciu, pół godziny temu, kiedy…

– Jak na nie trafiłeś? I kto je zrobił? – wpadłem mu w słowo, uświadamiając sobie, że jeśli nie powściągnę emocji, wystrzelę z siebie całą kanonadę kolejnych pytań. Zamknąłem oczy, wyprostowałem się i przez moment trwałem w bezruchu.

– Jak dasz mi dojść do słowa, wszystko ci powiem.

– Mów – rzuciłem.

– Ten koncert był wczoraj, Foo Fighters grali na Stadionie Miejskim.

– Wczoraj?!

– Spokojnie…

Nabrałem powietrza i przytrzymałem je w płucach.

– Nie mówiłeś mi, że się wybierasz.

– Bo nie gadamy o takich rzeczach – odparł i wzruszył ramionami. – Ty masz to w dupie, a ja nie czuję potrzeby, żeby się tym dzielić. Podobnie jak tym, kiedy spotkam dobrą kunę.

Tylko Blitzer mógł określać kobietę w ten sposób. Normalnie jakoś bym to skwitował, ale teraz nawet nie przeszło mi to przez myśl.

– A tak było i tym razem – dodał, nie odrywając wzroku od zdjęcia. – Niestety spłoszyłem dziewczę, znikło mi gdzieś w tłumie, więc z samego rana zacząłem jej szukać. I tak trafiłem na to spotted… i na to zdjęcie.

Teraz obaj wpatrywaliśmy się w nie jak w ołtarz. W przeciwieństwie do mężczyzny w bluzie Ewa miała na sobie T-shirt innego zespołu. Widać było tylko kawałek nazwy, Gutierrez Y Angelo. Nazwa albumu lub singla brzmiała *Better days*. Nic mi to nie mówiło.

Milczenie się przeciągało, a ja nie zauważyłem, że jedyny klient w lokalu wypił już mango lassi i rozglądał się zniecierpliwiony.

– Może… – zacząłem niepewnie. – Może za szybko uznałem, że to ona.

– Co?

– To przecież niemożliwe. Po dziesięciu latach miałaby się pojawić tak nagle?

– A jak inaczej?

Pytanie było dobre jak każde inne. Może dałem się ponieść nadziei i pochopnie przyjąłem, że to Ewa. A może nie. Może to naprawdę była ona.

– Chryste… – jęknąłem, a potem potrząsnąłem głową. – Wygląda na szczęśliwą – dodałem.

– Jest na koncercie Foo Fighters.

– Ale…

– Zakładałeś, że przez dziesięć lat ktoś trzyma ją zamkniętą w piwnicy?

– Nie wiem, co zakładałem.

Bardziej prawdziwej rzeczy nie mógłbym powiedzieć. Teorii było zbyt wiele – część ułożyłem sam, część przejąłem od dziennikarzy i anonimowych internautów komentujących wpisy pod corocznymi przypomnieniami na lokalnych portalach, że Ewa wciąż się nie odnalazła.

Artykuły pojawiały się zawsze, pokazywano przy nich zdjęcie i zaznaczano, że najbardziej prawdopodobny scenariusz sprowadza się do tego, że dziewczyna wpadła do rzeki. Ciała jednak nigdy nie znaleziono, podkreślali autorzy publikacji.

Kilka razy zdarzało się, że ktoś chciał wywołać sensację. Raz przeczytałem nawet nagłówek: „NOWE FAKTY W SPRAWIE. DAMIAN WERNER PRZESŁUCHANY”.

Rzeczywiście, mniej więcej w połowie biegu przedawnienia zostałem przesłuchany, ale jako świadek. Jeden z dochodzeniowców chciał się upewnić, czy sprawę słusznie umorzono ze względu na brak dowodów.

Tym był ten „nowy fakt" z nagłówka. Zwykłą kaczką dziennikarską – w przeciwieństwie do tego, co miałem przed sobą teraz.

– Ktoś jej szuka? – zapytałem.

– Facet, który wrzucił zdjęcie. Phil Braddy.

Spojrzałem na miniaturkę zdjęcia i treść posta.

– Amerykanin?

– Brytyjczyk – odparł Blitzer. – Najwyraźniej pofatygował się na koncert z Londynu. I spodobała mu się przypadkowo spotkana dziewczyna. Pisze, że zamienili kilka zdań, pośmiali się, a on potem odszedł na moment do znajomych. Kiedy wrócił, już jej nie było. Teraz stara się ją znaleźć.

Od razu pomyślałem, że muszę do niego napisać. Dowiedzieć się, co powiedziała Ewa, zupełnie jakby miało to jakiekolwiek znaczenie.

– Wysłałem mu wiadomość przed wyjściem z domu – dodał Blitz.

Skinąłem głową z wdzięcznością. Klient siedzący kawałek dalej chrząknął znacząco, ale go zignorowałem.

– Ktoś odpisał? – spytałem.

– Kilkanaście osób. Co jak co, ale to zdjęcie się wyróżnia.

Blitzkrieg miał rację. Lekko rozmyte stroboskopy w tle, duża impreza i ostrość ustawiona na roześmianą, ładną dziewczynę. Fotografia musiała przyciągać wzrok wszystkich przeglądających profil.

– Ktoś napisał coś konkretnego? – odezwałem się niepewnie.

– Nie. Same bzdurne komentarze, których nie chcesz czytać.

Nie chciałem, ale z pewnością przeczytam, kiedy tylko wrócę do domu. Wcześniej jednak musiałem odwiedzić inne miejsce. Naoglądałem się zbyt wielu filmów i seriali, by nie wiedzieć, że podstawowym błędem w takiej sytuacji jest zwlekanie z poinformowaniem organów ścigania.

Podziękowałem Blitzowi, a potem poszedłem na zaplecze, zadzwoniłem do szefa i oznajmiłem, że coś mnie bierze. Praca w gastronomii miała tę niewątpliwą zaletę, że właściciele knajp traktowali takie doniesienia poważnie. Szczególnie ci, którym zależało, by klienci jeszcze kiedyś do nich wrócili.

Zmienniczka pojawiła się dość szybko, ale zdążyłem jeszcze podać mężczyźnie w lokalu papadam, cienki placek z mąki z ciecierzycy, i przyjrzeć się zdjęciu Ewy na tyle dokładnie, by poznać każdy szczegół.

Kiedy zjawiłem się w komendzie miejskiej przy Powolnego, na dobrą sprawę mogłem już opisać przyjmującemu mnie funkcjonariuszowi całą fotografię z pamięci. Ale nie musiałem. Weszliśmy na odpowiedni profil, a potem pokazałem mu zdjęcie. Przyglądał mu się długo, marszcząc czoło.

Podkomisarz Prokocki prowadził tę sprawę dziesięć lat temu. Spodziewałem się, że zobaczę w jego oczach błysk, który sprawi, że w końcu sam uwierzę w to, co widzę.

Policjant jednak sprawiał wrażenie, jakbym pokazał mu wizerunek anonimowej osoby.

– To normalne – odezwał się w końcu.

– Co?

– Że szuka pan w innych kobietach zaginionej narzeczonej.

Otworzyłem usta, ale nie zdołałem niczego z siebie wydusić. Kategoryczność w jego głosie zupełnie zbiła mnie z tropu. Prokocki oderwał wzrok od monitora, nabrał głęboko tchu i popatrzył na mnie ze współczuciem.

– Od tamtej pory nie związał się z pan z nikim, prawda? – zapytał.

– Nie, nie związałem. Ale co to ma do rzeczy?

– Wciąż jej panu brakuje, więc to naturalne, że…

– Chyba pan żartuje.

– Takie rzeczy się zdarzają.

Wymierzyłem palcem w monitor, jakbym miał kogoś oskarżać.

– Widzi pan to samo co ja?

– Widzę dziewczynę podobną do Ewy, panie Werner. To wszystko.

Przestąpiłem z nogi na nogę i rozejrzałem się bezradnie, jakby nagle mógł zjawić się tutaj ktoś, kto mi pomoże.

– Przecież to ona, do cholery – rzuciłem. – Nie widzi pan?

Znów zrobił wdech.

– Niestety nie mogę się z panem zgodzić – powiedział urzędowym tonem. – Owszem, jest pewne podobieństwo, ale…

– Wiem, jak wygląda moja narzeczona.

Podniósł się powoli, jakby bał się, że inaczej mnie urazi. Położył mi rękę na ramieniu, a potem zaczął powoli tłumaczyć, że wiedziałem, jak wyglądała dziesięć lat temu, i umysł płata mi teraz figle. Ciągnął przez kilka minut, a ja z każdym kolejnym zdaniem słuchałem go z coraz mniejszą uwagą.

Jego daleko idąca pewność, zdecydowanie w głosie i brak jakiejkolwiek gotowości do przyznania, że to choćby może być ona, podziałały na mnie niepokojąco.

– Oczywiście to sprawdzimy – zapewnił, prowadząc mnie do wyjścia. – Proszę nie mieć co do tego żadnych wątpliwości.

Owszem, wątpliwości nie miałem. Ale co do tego, że coś jest tutaj bardzo nie w porządku.

3

Byłem pewien, że powrót do domu przyniesie mi chociaż częściowe ukojenie. Działo się tak codziennie, kiedy zamykałem za sobą drzwi, a potem przekręcałem trzy porządne zamki.

Jeśli nie musiałem już nigdzie wychodzić, towarzyszyło mi wtedy niemalże poczucie upojenia. Jeśli jednak z jakiegoś powodu czekało mnie później wyjście, czułem niepokój i podenerwowanie.

Tego dnia moje cztery kąty miały podziałać na mnie uspokajająco. Stało się jednak inaczej – poczułem się jak obcy we własnym mieszkaniu. Wypełniłem je dźwiękami Rainbow, bo w przeciwieństwie do Blitza lubiłem raczej te kapele, których już od dawna nie było słychać.

Ręce mi się trzęsły, czułem się, jakbym miał gorączkę. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem spocony. Chłodny T-shirt przylgnął mi do pleców, a po gorącej fali oblewającej ciało nie było śladu. Stając przed lustrem, niemal nie rozpoznałem swojego odbicia. Byłem trupio blady, a cienie pod oczami stały się jeszcze bardziej wydatne. Fryzura, którą i tak zazwyczaj miałem w nieładzie, przywodziła na myśl plątaninę kabli.

Opłukałem twarz zimną wodą, a potem otworzyłem piwo i usiadłem przed pecetem, którego własnoręcznie złożyłem, zaoszczędzając dzięki temu kilka stów. Odpaliłem najnowszą odsłonę *Elder Scrolls*, po czym sięgnąłem po telefon – tylko po to, żeby go wyłączyć.

Musiałem zniknąć ze świata. Teraz, póki jeszcze kompletnie nie zwariowałem. Nie było sensu katować się, odświeżając ten sam post na Facebooku lub czekając, aż Phil Braddy odpisze.

Czekałem dziesięć lat. Mogłem poczekać jeszcze trochę, ale musiałem się uspokoić.

Blitzer jednak nie dał mi okazji. Ledwo podniosłem smartfon, roześmiana twarz mojego przyjaciela pojawiła się na wyświetlaczu, a z głośnika popłynęły dźwięki standardowego dzwonka. Zdjęcie Blitz zrobił sobie sam, lata temu, kiedy jeszcze pracowałem w Highlanderze.

Tak, byłem jedną z tych osób, które przy zmianie telefonu przenoszą wszystkie zdjęcia na nowy. Teraz nie wiązało się to z większymi trudnościami, ale kiedyś przejście z pierwszego sony ericssona z aparatem na nową nokię było dość problematyczne.

Zatrzymałem *Elder Scrolls* i przesunąłem palcem po ekranie.

– Nie dzwonisz w dobrym momencie – powitałem go.

– Widziałeś? – rzucił nerwowo i odkaszlnął. – Nie, nie widziałeś, inaczej nie zacząłbyś rozmowy w ten sposób.

– Czy co widziałem?

– Nowy post na spotted.

Szybko wyłączyłem grę, jakby od prędkości, z jaką to zrobię, zależało moje życie. Włączyłem przeglądarkę i szybko odświeżyłem stronę. Rzeczywiście, pojawił się nowy wpis od Phila Braddy'ego.

„Może dzięki temu zdjęciu ktoś ją pozna" – napisał po angielsku i dołączył link do poprzedniego posta.

Patrzyłem na fotografię, ale zdawało mi się, jakbym spozierał wprost w portal prowadzący do alternatywnej rzeczywistości. Znałem to zdjęcie doskonale. Było dla mnie wyjątkowe.

– Jesteś tam? – spytał Blitzer.

Próbowałem coś z siebie wydusić, ale nie potrafiłem.

– Werner!

– Je… jestem.

– To na tysiąc procent ona – ocenił. – Zresztą stoi chyba gdzieś na Krakowskiej, niedaleko Baby na Byku. I jest o dobre kilka lat młodsza.

– O dziesięć… – jęknąłem.

– Co?

– Sam zrobiłem to zdjęcie.

– Jak to? Kiedy? Gdzie?

– Na kilka dni przed tym, jak zaginęła, ale… Blitzkrieg…

– No?

– Nigdy nikomu go nie pokazywałem. Nigdy go nie wrzucałem do sieci, nigdy nawet nikomu nie mówiłem, że je mam…

– Co? Dlaczego?

– Nie wiem – odparłem, gorączkowo pocierając głowę. – Chyba chciałem mieć coś tylko dla siebie, coś wyłącznie mojego, bo…

– Mniejsza z tym – uciął. – Skąd Brytol ma to zdjęcie?

– Nie mam pojęcia.

Nie potrafiłem wyobrazić sobie scenariusza, dzięki któremu Phil Braddy miałby zdobyć zdjęcie. To zdjęcie. Moje zdjęcie.

Wszystkie możliwe wyjaśnienia były na wskroś absurdalne. Nawet jeśli rozmawiał z Ewą dłużej, niż wynikało to z pierwszego posta, ona sama nie miała tej fotografii. Nie zdążyłem jej nawet pokazać tego ujęcia, a sam przypomniałem sobie o nim, dopiero kiedy zaginęła.

Sięgnąłem po piwo i opróżniłem je jednym haustem. Od gazu zakotłowało mi się w brzuchu.

Zrozumiałem, że tego dnia dostałem o wiele więcej niż tylko mętny trop. Fakt, że Braddy miał tę fotografię, dowodził, że musi być jakoś zamieszany w sprawę.

– Odpisał ci? – zapytałem.

– Tak.

Przeszły mnie ciarki.

– Zaraz po tym, jak wrzucił fotkę.

– I?

– Utrzymuje, że naprawdę jej nie zna, nigdy wcześniej ani później jej nie widział i po prostu chciałby nawiązać z nią kontakt. Dopytywał, czy ja ją znam.

– Napisz mu, że…

Urwałem, dochodząc do wniosku, że nie powinienem dłużej polegać wyłącznie na Blitzu. Wyświetliłem profil Phila Braddy'ego i zerknąłem na twarz, którą już doskonale znałem od patrzenia na nią przez długie godziny. Potem wysłałem mu wiadomość.

„Znam dziewczynę, której szukasz. Skąd masz to drugie zdjęcie?"

Blitzkrieg mówił coś do słuchawki, ale jego głos zdawał się niknąć gdzieś na linii. Wpatrywałem się w ekran komputera, czując, jak robi mi się coraz bardziej gorąco. W końcu zaświeciła się niebieska ikonka po prawej stronie wysłanej przeze mnie wiadomości. Braddy ją przeczytał. Nie pokazała się jednak informacja, by pisał odpowiedź.

Odsunąłem nieco krzesło, pochyliłem się i zacząłem uderzać dłońmi o uda. Wpatrując się w monitor, miałem wrażenie, jakbym rzucał wyzwanie.

Wyzwanie, na które nie doczekałem się odpowiedzi.

– Nie odpisuje – powiedziałem.

– Hę? – mruknął Blitzer. – Napisałeś do niego?

– Tak, ale…

– Miałeś mi to zostawić.

Nie pamiętałem, żebyśmy kiedykolwiek się tak umawiali, ale może Blitzer przyjął, że skoro to od niego wszystko się zaczęło, spoczywa na nim jakaś dziejowa odpowiedzialność za doprowadzenie sprawy do końca.

– Nadal nie odpisuje – powiedziałem. – Chociaż przeczytał wiadomość.

– Poczekaj chwilę.

– Niczego innego nie robię, Blitz – odbąknąłem. – Na dobrą sprawę od dziesięciu lat.

Każda sekunda zdawała się biec coraz wolniej, a ja traciłem cierpliwość. Czułem, że mam odpowiedzi na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło tylko przycisnąć tego człowieka.

– Cała ta akcja z poszukiwaniem dziewczyny z koncertu to bzdura – zauważyłem. – Tu chodzi o coś innego.

– O co?

– Nie wiem. Ale zamierzam się dowiedzieć.

– Sam?

– Z twoją pomocą – odparłem, szybko dochodząc do wniosku, że to bodaj najmilsza rzecz, jaką kiedykolwiek mu powiedziałem. Właściwie po raz pierwszy potraktowałem go tak, jak powinienem. Jak przyjaciela, na którym mogę polegać.

– Wiadomo, że z moją. Ale to może nie wystarczyć.

– Z samego rana pójdę na komendę.

– Jeszcze nie byłeś?

– Byłem, ale odesłali mnie z kwitkiem.

Kiedy streściłem mu rozmowę z podkomisarzem Prokockim, długo milczał. Ja wciąż wlepiałem wzrok w monitor, jakbym dzięki temu mógł zmusić Phila Braddy'ego do zdradzenia czegokolwiek.

Skrzynka odbiorcza była jednak pusta. Stało się jasne, że nie zamierza mi odpisywać. Milczał też w konwersacji z Blitzem. Poszedłem po kolejne piwo, wiedząc już, że dzisiaj podejmę kilka złych decyzji, po których jutro rano obudzę się z mocnym bólem głowy.

– W ogóle nie zainteresował się sprawą? – odezwał się w końcu Blitzer.

– Nie tylko nie zainteresował, ale próbował ją zbyć.

– Dziwne.

– Na początku też tak pomyślałem.

– A później zmieniłeś zdanie?

– Mhm – potwierdziłem. – Każdego dnia w Polsce ginie bez śladu jakieś pięćdziesiąt osób. Prokocki pewnie codziennie dostaje donosy o cudownym pojawieniu się którejś z nich.

– Ale widział zdjęcie. Musiał ją poznać, przecież szukał jej przez długie miesiące.

– Może rozpoznał – przyznałem. – I po prostu nie chciał robić mi nadziei.

Było to najwygodniejsze tłumaczenie, które usprawiedliwiało bagatelizowanie nowego dowodu. Inne wersje, które rozważałem, sprowadzały się do wyjątkowo chmurnych scenariuszy.

Wszystko to nie miało już jednak znaczenia. Teraz, kiedy w internecie pojawiło się to samo zdjęcie, które miałem w pamięci telefonu, mogłem posłużyć się niezaprzeczalnym dowodem.

Prokocki skorzysta z okazji, póki pora. Póki nie doszło jeszcze do przedawnienia. Będzie chciał zamknąć sprawę, która z pewnością figuruje w jego aktach jako niedokończone dochodzenie.

I może nie tylko w aktach. Może mimo tego, że sprawiał wrażenie, jakby bagatelizował doniesienie, w rzeczywistości od razu rzucił się w wir pracy. Mogłem to sobie wyobrazić, choć wymagało to otwarcia jeszcze dwóch zielonych puszek z płynną postacią optymizmu.

Zgodnie z moimi przypuszczeniami obudziłem się skacowany. Zasnąłem na kanapie, laptop stał otwarty na stoliku obok. Odpowiedzi od Braddy'ego nadal nie było. Ignorował też Blitzera.

Wziąłem szybki prysznic, właściwie tylko po to, by na komendzie nie sprawiać wrażenia, jakbym pomylił ją z izbą wytrzeźwień.

Na spotkanie z Prokockim musiałem trochę poczekać, ale nie spodziewałem się, że przyjmie mnie od razu. Zapewne przypuszczał, że przyszedłem go bezpodstawnie nękać.

Kiedy w końcu zaprosił mnie do gabinetu, pokazałem mu kolejne zdjęcie, a potem post na Facebooku. Użytkownicy powoli zaczynali okazywać solidarność z Brytyjczykiem poszukującym Polki – zidentyfikowali miejsce w Opolu, poinformowali go, że to niedaleko Wrocławia i że najprawdopodobniej właśnie tam powinien jej szukać. Nikt jednak Ewy nie rozpoznał.

Prokocki również nie.

– To ona? – spytał z rezerwą.

Potrzebowałem kilku chwil, żeby przejść do porządku nad tym, że naprawdę zadał mi to pytanie. Potrząsnąłem głową, a potem zacząłem mu znów tłumaczyć, że sam zrobiłem tę fotografię. W końcu pokazałem mu ją w telefonie.

Długo się jej przypatrywał, a potem spojrzał na mnie, jakbym był kryminalistą, a nie osobą szukającą zaginionej narzeczonej.

– Pił pan coś rano?

Pytanie było retoryczne. Miałem przyspieszony oddech, gabinet podkomisarza z pewnością wypełnił się gorzelniczym zapachem już moment po tym, jak zająłem miejsce przy biurku.

– A jakie to ma znaczenie? – rzuciłem.

– Żadne. To pańskie życie.

– Raczej jego namiastka – odparłem pod nosem, a potem wskazałem na wyświetlacz telefonu. – Bo tylko tyle z niego zostało po jej zniknięciu. Rozumie pan?

– Oczywiście, że…

– I widzi pan chyba, że to identyczna fotografia?

– To nie ulega wątpliwości.

– Więc skąd ta rezerwa?

Westchnął głęboko.

– To tylko zawodowa powściągliwość. Proszę zrozumieć, że trochę podobnych spraw już rozpracowywałem.

Milczałem, obawiając się, że w przeciwnym wypadku powiem coś, czego będę później żałować.

– Może pan polegać na moim doświadczeniu.

– Polegam – zadeklarowałem, chociaż na tym etapie nie miałem do niego już żadnego zaufania.

– W takim razie proszę zostawić to nam. Obiecuję panu, że zrobimy, co w naszej mocy, żeby wyjaśnić wszystkie okoliczności.

– Nie wątpię w to.

Czekałem na coś więcej. Deklarację, że zaraz skontaktują się z Brytyjczykami, postarają się o namierzenie Phila Braddy'ego, cokolwiek. Tymczasem Prokocki podniósł się zza biurka i wyciągnął do mnie rękę.

Pomyślałem, że w ten sposób chce mnie pożegnać, ale było tak tylko połowicznie.

– Obawiam się, że będzie musiał pan zostawić u nas telefon.

– Słucham?

– Może się okazać ważnym materiałem dowodowym.

– Ale…

– Panie Werner, proszę mi zaufać, naprawdę. Zrobimy wszystko, żeby odnaleźć pana narzeczoną.

Spojrzałem na komórkę i odniosłem wrażenie, jakbym miał pożegnać się z czymś znacznie mi bliższym niż tylko telefon. Wprawdzie nie korzystałem z niego zbyt często, nie miałem ku temu powodu, ale było na nim jej zdjęcie. Moja jedyna kopia.

– Wolałbym…

– Chce pan ją odnaleźć? – przerwał mi podkomisarz.

Skinąłem głową.

– W takim razie proszę się zdać na nas. Wiemy, co robimy.

Trwał z wyciągniętą ręką, dopóki nie oddałem mu komórki. Być może zastanowiłbym się dwa razy, gdybym nie był tak mocno

skacowany. I gdyby wszystko, co się działo, nie wpędzało mnie w poczucie kompletnej dezorientacji.

– Więc wznowicie postępowanie? – zapytałem, kiedy poprowadził mnie w kierunku drzwi.

– Jeśli tylko nowy materiał na to pozwoli, oczywiście.

– Jeśli?

– Będziemy w kontakcie – zapewnił mnie Prokocki.

Nie pomyślałem o tym, że będzie to dość trudne, jako że właśnie zabrał mi telefon.

Ale nie była to jedyna rzecz, jaką tego dnia straciłem.

Wróciłem do domu z myślą, żeby jak najszybciej ściągnąć zdjęcie z Facebooka. Musiałem je mieć, w pewien sposób było dla mnie ważniejsze niż wspomnienia związane z Ewą.

Fotografia jednak znikła. Podobnie jak poprzedni post.

I konto Phila Braddy'ego.

4

Przed południem w Opolu niełatwo było znaleźć otwartą knajpę, w której można dobrze zjeść. SpiceX należała jednak do wyjątków. Szef otwierał rankiem, działaliśmy do dwunastej, potem na chwilę zamykał i popołudniem znów ruszaliśmy na pełnych obrotach.

W krajach śródziemnomorskich czy w samych Indiach być może taki model się sprawdzał. U nas musiał prędzej czy później doprowadzić od bankructwa, ale nie zamierzałem dzielić się tym przemyśleniem z właścicielem.

Blitzer zjawił się przed jedenastą, znów niosąc laptopa. Wyglądał niewiele lepiej ode mnie, najwyraźniej też mało spał. Musiał przysnąć dopiero rankiem, bo kiedy rozmawiałem z nim przez Skype'a po wizycie na komendzie, odniosłem wrażenie,

jakbym go obudził. Streściłem mu wtedy wszystko, co powinien wiedzieć.

Czułem się dziwnie, dzieląc się z kimś tym, co działo się w moim życiu. I przez to uświadomiłem sobie, że przez dekadę było ono zamknięte dla świata zewnętrznego. Nawet kiedy odwiedzałem rodziców w ich niewielkim mieszkaniu przy Grottgera, rozmawialiśmy właściwie o wszystkim innym, tylko nie o tym, co się u mnie działo.

Blitz usiadł przy tym samym stoliku co ostatnio, a potem przywołał mnie ruchem ręki.

– To mi się nadal w głowie nie mieści – powiedział. – Posty po prostu przepadły.

– Pisałeś do admina?

– Zaraz po naszej rozmowie.

Tym razem musiałem się zdać na niego. Najchętniej wziąłbym urlop na żądanie, nie tylko dlatego, że potwornie mnie suszyło, ale wiedziałem, że będę mieć potem problemy u szefa. A nie mogłem sobie pozwolić, by teraz znikło moje jedyne źródło utrzymania. Przypuszczałem, że będę potrzebował pieniędzy.

– Odpowiedzieli, że żadnych wpisów nie usuwali – dodał Blitzkrieg. – I niby w internecie nic nie ginie, ale nie znalazłem po nich żadnego śladu.

– Tak jak po Braddym.

– No – potwierdził zamyślony Blitz, obracając kartę dań na stole.

Po chwili zamarł, a potem powoli przeniósł na mnie wzrok. Nie musiał nic mówić, żebyśmy obaj doszli do wniosku, jak mętna może okazać się cała sprawa.

Co jakiś czas w mediach pojawiały się doniesienia o policjantach, których grzechy wychodziły na jaw dopiero po latach. Niedawno kilku zostało oskarżonych za uchybienia

w sprawie zabójstwa młodej dziewczyny sprzed kilkunastu lat. Postawiono im zarzuty niedopełnienia i przekroczenia uprawnień, a w dodatku utrudniania śledztwa.

Przez lata celowo mylili tropy i ukrywali prawdę. Brali udział w kilkuosobowej konspiracji, wzajemnie kryjąc siebie i sprawców. Czy tak było także w przypadku Ewy? Czy może zaczynałem tworzyć teorie spiskowe?

Ale nawet jeśli założyłbym, że policja maczała w tym palce, to w jaki sposób usunięto z Facebooka wszystkie ślady? I to tak szybko?

I skąd Braddy miał moje zdjęcie?

Pytania się mnożyły, ale byłem przekonany, że odnajdę odpowiedzi. Musiałem tylko trafić na coś konkretnego. Coś, dzięki czemu wejdę na dobry tor.

– Mówiłem ci, że moja pomoc nie wystarczy – odezwał się Blitzer.

– Mówiłeś. I widzisz, do czego to doprowadziło.

– Nie miałem wtedy na myśli policji.

– A co?

– Biuro detektywistyczne.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem. Takie firmy kojarzyły mi się albo z tanimi teatrzykami medialnymi, albo ze szpiegowaniem współmałżonków.

– Takie z prawdziwego zdarzenia – dodał Blitz, obracając ku mnie laptopa.

Rozejrzałem się, niepewny, czy nie zjawił się jakiś klient, a potem pochyliłem się nad stołem. Trochę wbrew sobie zacząłem czytać opis firmy, która przedstawiała się jako Reimann Investigations.

– Właściciel był oficerem operacyjnym służb – odezwał się Blitzer. – Agencja ma ministerialną licencję na działalność

detektywistyczną, jest w państwowym wykazie. Wszystko sprawdziłem.

Przebiegłem wzrokiem ogólne informacje zgromadzone na stronie.

– Należą też do WAPI.

– Do czego?

– Do Światowego Stowarzyszenia Profesjonalnych Detektywów – wyjaśnił. – Oprócz tego są członkiem WAD, które zrzesza agencje z całego świata od tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku. To nie byle jakie certyfikaty.

Pochyliłem się jeszcze bardziej i wyświetliłem cennik, głównie po to, by zorientować się, czym konkretnie się zajmują.

Stawka godzinowa wynosiła sto złotych, a za cały ośmiogodzinny dzień pracy proponowali tysiąc sto. Przeprowadzenie wywiadu gospodarczego było nieco droższe, ustalanie miejsca pobytu świadków – tańsze. Reimann Investigations świadczyli też usługi dla kancelarii prawnych, prowadzili śledztwa gospodarcze, ustalali lokalizację mienia i oczywiście zajmowali się poszukiwaniem osób zaginionych.

Ta ostatnia pozycja w cenniku miała najwyższą stawkę. Ceny zaczynały się od czterech tysięcy siedmiuset złotych.

– Zobacz zespół – poradził Blitz.

Otworzyłem kolejną podstronę, na której znajdowały się informacje o siedzibie firmy i pracujących w niej ludziach.

– Rewal? – zapytałem. – To nad morzem, jakieś sześćset kilometrów stąd, Blitzkrieg.

– Nieistotne.

– Może dla kogoś, kto ma kasę. Mnie nie stać na opłacanie dojazdów.

– Oni pracują głównie zdalnie.

Przysunąłem sobie krzesło i usiadłem przed laptopem.

– To już nie te czasy, że detektyw musi biegać za kimś z obiektywem teleskopowym i nie spuszczać z niego oka – ciągnął Blitzer. – Wystarczy, że wie, jak robić to samo w internecie. A ci ludzie najwyraźniej wiedzą.

Przejrzałem listę zatrudnionych osób. Nie było ich wiele, wszystkie z oczywistych przyczyn miały zasłonięte twarze. Właścicielem był Robert Reimann, były oficer Służby Celnej. Dostał szereg wyróżnień, wygrał kilka plebiscytów na Człowieka Roku całego województwa. Głównym dochodzeniowcem była jego żona, Kasandra Reimann, co w pewien sposób dodawało firmie wiarygodności. Jeśli ktoś robiłby przekręty, pewnie nie angażowałby do tego rodziny. A może było to jedynie złudzenie.

Zespół składał się jeszcze z kilku osób. Jedna z nich to absolwent AGH, druga – Politechniki Łódzkiej, trzecia skończyła Technische Universität Kaiserslautern. Wszyscy mogli pochwalić się doświadczeniem w branży IT, ale szczegółów nie podano.

– Wygląda nieźle – powiedziałem. – Ale…

– Potrzebujesz takich ludzi, Werner.

– Może – przyznałem. – Ale potrzebuję też pieniędzy, żeby ich zatrudnić.

– Pożyczę ci trochę.

– A ja oddam ci z czego?

– Jakoś się dogadamy – rzucił i machnął ręką. – Teraz istotne jest to, żeby szybko dojść prawdy, zanim zatrą ślady.

Uniosłem brwi z niedowierzaniem i popatrzyłem na niego.

– Kto konkretnie?

– Nie wiem – odparł. – I to jest w tym wszystkim chyba najgorsze.

W pierwszej chwili byłem gotów się z nim zgodzić, ale zaraz potem pomyślałem, że najgorsze jest co innego. Sam fakt, że ktoś rzeczywiście zataił przede mną prawdę.

Nie, nie ktoś. Ona to zrobiła.

A teraz albo Ewa, albo ludzie, którzy ją skrzywdzili, robili wszystko, żebym nie odkrył, co się naprawdę wydarzyło po tamtej feralnej nocy.

– W porządku – powiedziałem.

Blitz zmarszczył czoło, przyglądając mi się.

– Jeśli ręczysz za Reimannów, biorę ich.

– Wyglądają na dwójkę konkretnych zawodników – odparł bez wahania Blitzkrieg. – Zrobiłem mały *research* środowiskowy.

– To znaczy?

– Wyguglałem ich.

– To nie *research*, tylko wirtualny odpowiednik rozejrzenia się.

– Nie bagatelizuj mocy tego narzędzia. Niektórzy dzięki niemu żyją.

– Nie bagatelizuję – odparłem.

– Choćby informatycy. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach ich przewaga nad zwykłymi śmiertelnikami sprowadza się do tego, że potrafią szybko przeglądać wyniki w Google'u.

Blitz jeszcze przez moment rozwodził się nad historyczną doniosłością spółki stworzonej przez dwóch doktorantów Stanforda. Wyłączyłem się mniej więcej wtedy, kiedy twierdził, że niedziałająca wyszukiwarka jest jedynym, uniwersalnym i niezaprzeczalnym dowodem, że internet w naszym komputerze nie działa. I że dotarliśmy do takiego momentu w historii, kiedy trudno nam uwierzyć, że Page i Brin stworzyli Google… nie korzystając z jego pomocy.

Podczas gdy Blitzer nadawał jak najęty, być może w ten sposób radząc sobie z emocjami, ja przeglądałem kolejne certyfikaty i dowody na to, że w Reimann Investigations rzeczywiście znają się na swojej robocie.

Na powrót zacząłem słuchać przyjaciela, dopiero kiedy doszedł do konkretów.

– Zresztą przejrzyj wyniki sam – mruknął, widząc mój brak zainteresowania. – Na Pomorzu to nie są anonimowi ludzie. Dają sporo na działalność charytatywną, wspierają lokalne biznesy i utrzymują dwa schroniska dla zwierząt.

– Brzmi podejrzanie.

Blitz wywrócił oczami.

– Jeśli podejrzani są dla ciebie ci, którzy pomagają, to nie chcę wiedzieć, jak wygląda świat z twojej perspektywy.

– Jak miejsce, które kilku skurwieli chce za wszelką cenę zniszczyć.

– To właściwie nie tak źle.

– Nie – przyznałem, wzruszając ramionami. – Tyle że wszyscy inni przyglądają im się z ciekawością i czekają na rozwój wypadków, zamiast ich powstrzymać.

– To już bardziej do ciebie pasuje.

– Mhm – mruknąłem, nie mając zamiaru zagłębiać się jeszcze bardziej w opadający mnie pesymizm. – Czegoś jeszcze dowiedziałeś się na temat Reimannów?

– Tylko tego, że anonimowo wspierają jakieś pozarządowe organizacje.

– Tak anonimowo, że mi o tym mówisz.

Blitzer westchnął, jakby uwierała go myśl, że traktuję go jak adwokata diabła.

– Dotarli do tego jacyś lokalni dziennikarze, to niepotwierdzone informacje.

– Tak czy inaczej, brzmi podejrzanie – powtórzyłem i podniosłem rękę, powstrzymując go przed zaoponowaniem. – Mam na myśli to, że najwyraźniej dorobili się małej fortuny, a…

– Ano, dorobili się – potwierdził.

– Na działalności detektywistycznej?

– Nie, Robert Reimann odszedł ze służby, bo odziedziczył lokalny konglomerat, na który składa się kilka przystani, lokali gastronomicznych i gospodarstw agroturystycznych. Jego żona też miała firmę, dynamicznie rozwijającą się na rynku deweloperskim.

Blitzkrieg rzeczywiście dobrze się przygotował. Dawał mi potencjalne rozwiązanie mojego problemu na tacy. W dodatku proponował, że sam za nie zapłaci.

Uznałem, że nie powinienem dłużej się wahać.

– Okej – powiedziałem. – Jeśli jesteś gotów mi pożyczyć, spróbujmy.

– Świetnie. Tym bardziej że już ustaliłem z nimi ryczałt.

– Co takiego?

– Obgadałem już sprawę kosztów z Kasandrą. Wyjątkowo miła kuna.

– Nie wątpię.

Wyobraziłem sobie typową bizneswoman, wyniosłą żonę bogatego lokalnego potentata. Mimo że według Blitza cenili sobie prywatność i rzadko pokazywali się publicznie, przypuszczałem, że wyglądają jak hollywoodzka para.

– Płatność będzie z góry, bo potrafią mniej więcej oszacować, ile wysiłku będzie kosztowało przeprowadzenie tego śledztwa.

– I? Ile sobie życzą?

Blitzer zbył temat machnięciem ręki, ale przypuszczałem, że cena jest znacznie wyższa niż ta, która figurowała na stronie.

– Musisz wiedzieć, że oni nie biorą wszystkich spraw jak leci.

– Tylko te medialne?

– Nie. Nie robią show, mówiłem ci.

Czy rzeczywiście działali w cieniu? Właściwie z PR-owego punktu widzenia była to odpowiednia strategia dla firmy, która

powinna cechować się pewną enigmatycznością. Może rzeczywiście stanowili antytezę wszystkich tych detektywów, których na co dzień widywałem w telewizji.

Tych, do których zwracali się głównie desperaci. Westchnąłem i uświadomiłem sobie, że jestem jednym z nich. Dowodziło to, w jak opłakanej sytuacji się znalazłem. Ale jeśli policja nie chciała mi pomóc, a dowody znikały szybciej, niż się pojawiały, co mi pozostało?

– Mam jeden warunek – zastrzegł Blitz.

– Jaki?

– Wpadasz dziś wieczorem.

– Co? Gdzie?

– Kurwa, Werner… Tak się mówi, jak się kogoś zaprasza do siebie – jęknął. – Naprawdę niespecjalnie dobrze radzisz sobie w kontaktach towarzyskich, co?

Nie musiałem odpowiadać na to pytanie. Jeszcze dziesięć lat temu nie różniłem się niczym od przeciętnego absolwenta jakiejkolwiek uczelni – pięć lat studiów upłynęło mi w dużej mierze na imprezowaniu i nie miałem żadnych zaległości, jeśli chodziło o relacje międzyludzkie.

Teraz jednak dotarłem już do takiego punktu, w którym odrzucałem nawet wirtualne rozgrywki w multiplayerze. Sięgałem wyłącznie po gry z trybem jednoosobowym.

– Wpadniesz, napijemy się piwa, wszystko obgadamy.

– Dzisiaj? W sumie planowałem…

– Co? – przerwał mi. – Samemu zalać się w trupa?

Mimo że kac wciąż mi doskwierał, rzeczywiście taki pomysł pojawił się w mojej głowie.

Ostatecznie nie miałem innego wyjścia, jak przystać na propozycję Blitzera. Uznałem zresztą, że może dobrze mi to zrobi. I że może wspólnymi siłami ułożymy wszystko w spójną całość.

Zalaliśmy się w sztok.

Przez pierwszą godzinę lub dwie rzeczywiście piliśmy piwo, ale było to tylko niewinne preludium do sięgnięcia po mocniejsze alkohole, które Blitz miał w lodówce. Największą trucizną okazał się gin z tonikiem, ale przypuszczam, że przy takiej miksturze, jaką uwarzyliśmy w naszych żołądkach, moglibyśmy dobić się nawet piwem bezalkoholowym.

Obudziłem się, czując się całkiem nieźle, więc wniosek nasuwał się sam – byłem jeszcze pijany, najgorsze miało dopiero nadejść.

Zwlokłem się z łóżka w pokoju gościnnym i wszedłem do salonu. W pokoju panował obraz jak po apokalipsie. Powiodłem wzrokiem po pustych butelkach, puszkach, otwartych paczkach chipsów i przepełnionych popielniczkach. Zrobiło mi się słabo.

Jak przez mgłę przypomniałem sobie, że po pierwszym czy drugim piwie skontaktowaliśmy się z Reimann Investigations. Niepokoiły mnie trochę ich metody, bo zakładały pełną konspirację. By porozmawiać z osobą zajmującą się naszą sprawą, musieliśmy otrzymać esemesem jednorazowy kod dostępu, a potem wprowadzić go razem z loginem i hasłem na dedykowanej witrynie. Nie miała domeny, jedynie adres IP, w dodatku zapewniono nas, że nie jest indeksowana w żadnej wyszukiwarce.

Odniosłem wrażenie, że to wszystko marketingowe zabiegi, mające sprawić, że klient dyletant poczuje się, jakby miał do czynienia z prawdziwymi specjalistami w dziedzinie IT. Być może nawet z grupą hakerów, którzy nie mogą się ujawnić.

Przekazaliśmy RI najważniejsze informacje, a potem ustaliliśmy porę rozmowy następnego dnia i zajęliśmy się na dobre degustowaniem każdego trunku, który Blitz miał w mieszkaniu.

Może nawet w pewnym momencie wyszliśmy do monopolowego po więcej, nie byłem pewien. Teraz, kiedy oceniałem rozmiar

panującego w salonie chaosu, wydawało mi się, że musieliśmy zrobić hurtowe zakupy w Makro.

Zabrałem swoje rzeczy, a potem zatoczyłem się w kierunku wyjścia. Nie miałem zamiaru budzić Blitzera – za całe jego zaangażowanie w sprawę należało mu się chociaż tyle, żeby mógł się wyspać.

Kiedy dotarłem do drzwi prowadzących na klatkę schodową, zobaczyłem, że są uchylone.

Poczułem niepokój, ale otumaniony umysł natychmiast podsunął mi myśl, że po powrocie ze sklepu w nocy najwyraźniej byliśmy zbyt pijani, by je zamknąć.

Przełknąłem smakującą jak alkohol, gęstą ślinę i się odwróciłem. Po chwilowym zawahaniu ruszyłem w stronę sypialni Blitzera. Lekko kręciło mi się w głowie, kiedy otwierałem drzwi.

Było to jednak niczym z porównaniu z uczuciem, które uderzyło mnie, gdy tylko zobaczyłem Blizta.

Leżał na łóżku na wznak, jedna ręka opadała na podłogę. Pościel była we krwi, a Blitzer patrzył pustymi, otwartymi oczami na sufit. Usta miał otwarte nienaturalnie szeroko, jakby zastygł na nich makabryczny krzyk.

Nie wiem, jak długo trwałem w bezruchu.

W końcu się otrząsnąłem i potykając się, dopadłem do łóżka. Natychmiast przyłożyłem palce do tętnicy szyjnej, ale był to jedynie odruch. Wiedziałem, że nie ma sensu sprawdzać, czy przyjaciel żyje.

5

Długo zastanawiałam się nad tym, komu przydzielić sprawę dziewczyny z Opola. W grę wchodziły właściwie dwie osoby, reszta

była zajęta innymi projektami. Z Robertem nie zamierzałam tego konsultować – traktował Reimann Investigations jako działalność poboczną. Początkowo było to dla niego hobby, teraz stało się jednym z wielu dawnych zainteresowań, o których zdawał się nawet nie pamiętać.

Ostatecznie postawiłam na Jolę Klizę, absolwentkę uniwersytetu w Kaiserslautern, którą przyjęliśmy do pracy właściwie tylko dlatego, że mogła pochwalić się tym konkretnym wpisem w CV.

Była chudą, wyraźnie zakompleksioną dziewczyną, ale nie zahukaną – sprawiała wrażenie raczej obcesowej. Wiedziałam jednak, że wynika to z braku komfortu, a nie wstrętnej natury. Kiedy ją przyjmowaliśmy, Robert nie zawiesił na niej wzroku nawet na moment, a należał do mężczyzn, którzy potrafią docenić kobiecą urodę.

Spotkałyśmy się w jednym z należących do Roberta lokali przy Grunwaldzkiej w Pobierowie. W szczycie sezonu Baltic Pipe przeżywała systematyczne oblężenie, ale o tej porze roku często korzystałam z niewielkiej kawiarni, by załatwiać sprawy związane z agencją.

Wbrew temu, co sądzili klienci, nie mieliśmy siedziby. W Krajowym Rejestrze Sądowym znalazł się wprawdzie adres naszego domu na nabrzeżu, ale wynikało to tylko z urzędowej konieczności.

Wydawało mi się to rozsądne, skoro działaliśmy w dużej mierze w internecie. Nasz zespół składał się z osób takich jak Kliza, poruszających się po nim jak najlepsi windsurferzy po obu stronach rewalskiego cypla.

Przekazałam jej wszystkie niezbędne informacje, a Jola jeszcze tego samego wieczoru nawiązała kontakt z klientem. Był nim

formalnie Adam Blicki, ale uzgadniając warunki, podkreślił, że jako mocodawcę mamy traktować Damiana Wernera.

Kliza po raz pierwszy spóźniła się na spotkanie. Przypuszczałam, że spędziła całą noc na zbieraniu informacji. Kiedy przyjmowaliśmy ją do pracy, spodziewaliśmy się wzbogacić o kompetentną researcherkę, tymczasem w pakiecie dostaliśmy oddaną pracoholiczkę. Z naszego punktu widzenia lepiej być nie mogło.

– Kasandra, strasznie cię przepraszam – powiedziała cicho Jola, siadając przy stoliku.

Nalegałam, żeby nasi pracownicy mówili mi po imieniu. Robert też na to przystał, choć wiedziałam, że zrobił to niechętnie. Wyszłam jednak z założenia, że skoro i tak większość naszych rozmów odbywa się przez komunikatory internetowe, panowanie i paniowanie sobie nie ma sensu.

– Nie przejmuj się – odparłam, podając jej menu.

Potrząsnęła przecząco głową, a potem poprawiła nierozczesane włosy.

– Chyba nie chcesz, żebym piła sama? – spytałam, wskazując na kieliszek prosecco.

– Jest dopiero po dwunastej.

– Tym bardziej powinnaś mi towarzyszyć.

Powiodłam wzrokiem po sali utrzymanej w industrialnym klimacie, skinęłam na kelnera, a potem wskazałam kieliszek. Tyle informacji w zupełności mu wystarczało.

Nie piłam dużo, przynajmniej nie naraz. Popijałam jednak prosecco małymi łyczkami przez cały dzień od dobrych siedmiu lat. Zaczęło się zaraz po ciąży, kiedy urodziłam Wojtka i musiałam odbić sobie długi okres abstynencji.

Nie zastanawiałam się nad tym, czy jestem uzależniona. Tak samo jak nie robili tego starożytni Grecy czy Rzymianie, dla

których zainaugurowanie dnia lampką wina było tak powszechne jak dla nas robienie tego za pomocą filiżanki kawy. Kultywowałam antyczne zwyczaje.

– Dzięki, ale mam trochę roboty – odparła Jola, sięgając po tablet.

Położyła go na stole i włączyła. Płaciliśmy jej wystarczająco, by kupiła sobie najnowszy model iPada, ale twierdziła, że woli sprzęt, który może szybko zrootować i dopasować do swoich potrzeb.

– Dałaś mi ciekawą sprawę – dodała Kliza.

– Najwyraźniej – odparłam z lekkim uśmiechem.

Podniosła wzrok i ściągnęła brwi. Opuchnięte powieki jeszcze bardziej się uwydatniły.

– Ewidentnie dzisiaj nie pospałaś – zauważyłam.

– Nie każdy może wyglądać tak jak ty.

– Dzięki Bogu – odparłam, podnosząc kieliszek. – Inaczej mielibyśmy tu zatrzęsienie snobistycznych, nowobogackich damulek, które lansują się na arystokratki.

Jola otworzyła usta, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, kelner postawił przede mną wino musujące.

– Nie to miałam na myśli – zastrzegła.

– W porządku, mam do siebie duży dystans. Wszystko to zasługa prosecco.

– Ale chyba… chyba tak siebie nie postrzegasz?

Wzruszyłam ramionami, a Kliza się rozejrzała.

– Dla wielu jesteś… bo ja wiem, prawie ikoną. A już na pewno wzorem do naśladowania.

– W kwestii polowania na bogatych mężów?

– Raczej w kwestii stylu, elegancji i klasy.

Uśmiechnęłam się, bo jej nieporadność towarzyska uniemożliwiała wyłapywanie nawet tych najbardziej oczywistych żartów.

– Na podwyżkę nie licz – powiedziałam. – Chyba że usłyszę jeszcze kilka takich komplementów.

– Postaram się o coś lepszego – odparła, wskazując na tablet.

Obie spoważniałyśmy, uznając, że czas najwyższy przejść do rzeczy.

– Staraj się, staraj, bo sprawa może być głośna.

– Myślałam, że nie zależy nam na rozgłosie.

– Nie w sensie samej działalności. Ale jej rezultaty to już zupełnie inna sprawa.

Odsunęłam kieliszek i skrzyżowałam dłonie na stole. Siedziałam prosto jak struna. Drogi żakiet i jasnoniebieska koszula niemal w stu procentach z bawełny i tak układałyby się dobrze, ale po latach ćwiczeń przyjmowałam taką pozycję bezwiednie.

– Co ustaliłaś? – zapytałam.

– Że początkowo podejrzewano chłopaka.

– Damiana Wernera?

Skinęła głową.

– I że wstępne ustalenia mówiły o zabójstwie.

– Ale zwłok nie odnaleziono?

– Nie, chociaż śledczy przypuszczali, że chłopak wrzucił je do rzeki. Przeszukano koryto, ale zrobiono to wiele dni po tym, jak Werner zgłosił zaginięcie. Do tego czasu ciało mogło znaleźć się już w zupełnie innym miejscu.

– Dlaczego go podejrzewali?

Wydawało mi się, że to zasadne pytanie, mimo że służby zazwyczaj w pierwszej kolejności interesowały się bliskimi. To oni w osiemdziesięciu procentach przypadków okazywali się sprawcami. Popełniali niezaplanowane, powodowane emocjami zbrodnie, a statystyki policyjne dowodziły, że prawda najczęściej wychodziła na jaw już po czterdziestu ośmiu godzinach.

Oczywiście byli i tacy, którzy przez dwadzieścia lat chowali ciało małżonka w piwnicy, a wszystkim wokół wmawiali, że dana osoba zaginęła lub wyjechała.

– Nikt nie widział tej rzekomej sprzeczki przed pubem – odezwała się Kliza.

– A więc obrażenia Werner miałby zadać sobie sam?

– Przyjęli, że narzeczona mogła próbować się bronić.

– To dość pokrętna wersja – oceniłam. – Naprawdę przyjmowali ją jako realną ewentualność?

– Tak.

– Chłopak się oświadcza, potem gwałci narzeczoną, zabija ją i wrzuca do rzeki? Mają wyobraźnię.

– Albo doświadczenie.

Celna uwaga, skwitowałam w duchu. Z pewnością z nie takimi rzeczami spotkali się śledczy.

– Więc nie było żadnych świadków? – zapytałam.

– Żadnych. Klienci wspominali jedynie o grupie mężczyzn, którzy wyszli z pubu mniej więcej o tej porze, którą wskazał Werner. Ale wszystko inne opierało się na jego zeznaniach, więc… – urwała i wzruszyła ramionami.

– A materiał DNA?

– Pobrano ze stolika, przy którym siedzieli mężczyźni. Sprawdzono, ale nie było żadnych trafień w systemie.

– A ten z miejsca zdarzenia? Z tego… Zgromadzenia Kpiarzy?

– Z Loży Szyderców – sprostowała, a ja skinęłam głową. – Tam mieli prawdziwą zupę mitochondrialną. Tyle materiału, że obsłużyliby wszystkie laboratoria w Polsce.

– Ślady spermy?

– Nie znaleziono.

– Pot? Inne wydzieliny?

– Wszystkiego pod dostatkiem – odparła Jola, wciąż nie odrywając wzroku od tabletu. – Ale to rzekomo dość uczęszczane miejsce w Opolu, przynajmniej wtedy. Teraz jest tam ogródek pobliskiego pubu, większość przestrzeni zrewitalizowano.

Nabrałam głęboko tchu, a potem opróżniłam kieliszek i zamówiłam Joli bezalkoholowego drinka. Kelner był na każde skinienie, przysłuchiwał się rozmowie i nie odrywał od nas wzroku.

– Zapisy z monitoringu? – rzuciłam.

– Nie było tam wtedy żadnego. Najbliższy znajdował się kilkaset metrów dalej, ale nie zarejestrował w tamtym czasie żadnej grupy mężczyzn. Ci, którzy się przewinęli, zostali zidentyfikowani i przesłuchani. Nie byli tamtej nocy w okolicach Młynówki.

– Czego?

– To stare koryto Odry – wyjaśniła Kliza i machnęła ręką. – Zresztą nieważne.

– Nie ma tam jakichś śluz?

– Są. Po obu stronach.

– Więc…

– Jeśli chłopak wrzucił ciało do wody, z pewnością zatrzymało się na którejś, ale do czasu rozpoczęcia poszukiwań kilkakrotnie je otwierano. Musisz pamiętać, że najpierw traktowali to jako zaginięcie, dopiero potem uznali, że trzeba szukać zwłok.

– Ale ostatecznie wyeliminowali naszego klienta jako podejrzanego?

– Formalnie tak.

– A nieformalnie?

– Wygląda na to, że funkcjonariusz prowadzący, Tomasz Prokocki, obecnie w stopniu podkomisarza, do końca nie był pewien, czy to dobra decyzja.

– Bo?

– Werner wydawał mu się podejrzany. Więcej szczegółów na pewno jest w raporcie, ale nie mam do niego dostępu.

– Jeszcze nie.

Kliza zrozumiała niezbyt zawoalowaną aluzję i skinęła głową. Wiedziałam, że jest w stanie dotrzeć do każdej informacji, o ile da się jej wystarczająco dużo czasu. I o ile nie musi wchodzić przy tym w interakcje z innymi ludźmi.

Mnóstwo czasu zajęło mi sprawienie, że czuła się w moim towarzystwie na tyle komfortowo, by mogła mówić pełnymi zdaniami. Nie potrafiłam wyobrazić sobie, jak pokonywała podobne trudności w Kaiserslautern. A może nie pokonywała. Może zamykała się w pokoju, zatracała w nauce i stąd później tak imponujące wyniki akademickie.

Słuchałam jej relacji jeszcze przez dobre pół godziny.

Żaden z dowodów nie wskazywał na Damiana Wernera, więc w końcu uznano, że narzeczony nie miał z tym nic wspólnego. Wydawało się, że dotarcie do tej konkluzji zajęło policji więcej czasu, niżby to wynikało z czystej logiki.

Podzieliłam się tą myślą z Jolą, a ona w odpowiedzi wydęła usta.

– Chyba po prostu byli skrupulatni, przynajmniej jeśli chodziło o niego – zauważyła. – Mnie w każdym razie podejrzane wydaje się coś innego.

– Co?

– Ściągnęli ślady biologiczne z jego ciała i ubrań. Na twarzy miał zresztą też ślady traseologiczne, co pokazuje, jak potraktowali go napastnicy.

Uniosłam brwi.

– Mam na myśli odciski butów.

– Tak, wiem, czym zajmuje się traseologia – odparłam z lekkim uśmiechem i sięgnęłam po prosecco. – Co w tym podejrzanego?

– To, że śledczy nie dopasowali odcisków do śladów z pubu. Mogli stworzyć spójny profil, przy odrobinie szczęścia łącznie ze śladami cheiloskopijnymi i odciskami palców z kufli.

Tym razem nie zająknęła się o tym, że te pierwsze dotyczą czerwieni wargowej.

– Mogli mieć znacznie więcej. Z jakiegoś powodu jednak się nie pofatygowali.

– Ktoś w policji chciał coś ukryć?

– Może.

Przez moment obydwie milczałyśmy. Kelner wciąż przypatrywał się nam, jakby nie był pracownikiem Baltic Pipe, ale służącym w arystokratycznym dworku. Widziałam, że przez to Jola czuje się niekomfortowo, ale nie mogłam nic poradzić. Robert wydawał personelowi polecenia, których nawet ja nie mogłam uchylić.

– Więc dziewczyna znika dziesięć lat temu, a potem nagle pojawia się na koncercie, gdzie przypadkiem jest znajomy Wernera – podsumowałam.

– Nie tyle znajomy, ile najlepszy przyjaciel. Jedyny, z tego co udało mi się ustalić.

– W dodatku w sieci pojawia się zdjęcie, które Werner miał tylko na telefonie.

– Mhm – potwierdziła Kliza.

– I ostatecznie, jak tylko zaczynają grzebać w sprawie, wszystko przepada jak kamień w wodę, razem z kontem tego, który zamieścił fotografie.

Jola skrzywiła się, jakby ta ostatnia uwaga wiązała się dla niej z czymś nieprzyjemnym.

– Gorzej niż kamień – powiedziała. – Bo kamień pod wodą bym namierzyła. A tego Braddy'ego nie jestem w stanie znaleźć.

Był to bodaj pierwszy raz, kiedy usłyszałam z jej ust taką deklarację. Zawsze twierdziła, że jeśli nic w przyrodzie nie ginie,

to w internecie tym bardziej. Ślad zostawia każdy, nawet największy wirtuoz w zacieraniu wirtualnych tropów.

Milczałam, czekając, aż rozwinie. Kliza jednak najwyraźniej nie miała takiego zamiaru.

– Mówiłaś, że łatwiej się ukryć na pustyni niż w internecie – odezwałam się. – Musiałaś trafić na jakiś ślad.

– Trafiłam – odparła i westchnęła ciężko. – Google zarchiwizował te wpisy, ale dostałam tylko… powidok obecności Phila Braddy'ego na Facebooku. Sprawdzić mogłam jedynie IP, a to pozwoliło mi ustalić tylko tyle, że używał TOR-a.

The Onion Router. Wielowarstwowa sieć pozwalająca szyfrować ruch w internecie. Dzięki niej przed organami ścigania skutecznie ukrywało się więcej osób niż dżihadystów w afgańskich jaskiniach w okresie prosperity Al-Kaidy.

– Routerów było niepoważnie dużo – ciągnęła Jola. – Większość znajdowała się w Wielkiej Brytanii. I możliwe, że jeden z nich także na komputerze Braddy'ego. Nie ustalę tego teraz.

– Więc przed wrzuceniem zdjęcia zadał sobie trochę trudu – skwitowałam.

– Z pewnością więcej niż przeciętny spotter.

Widziałam błysk w jej oczach i nie dziwiłam się, że sprawa nie pozwoliła jej zasnąć. Na jej miejscu zapewne też całą noc spędziłabym na próbach odkrycia choćby rąbka tajemnicy.

– Okej – rzuciłam, dając do zrozumienia, że wiem wszystko, co mnie interesuje. – Co teraz zamierzasz?

– Pójdę tropem drugiego zdjęcia. Skoro było tylko na smartfonie Wernera, muszę sprawdzić, czy ktoś miał do niego dostęp.

– Może ten przyjaciel?

– Wygląda teraz na głównego podejrzanego – przyznała. – Tym bardziej że przecież był we Wrocławiu. I trafił na zdjęcie na profilu spotted.

– A jednak to on opłacił nasz rachunek.

– Mógł to zrobić tylko po to, żeby podtrzymać pozory.

Zawiesiłam wzrok za oknem i przez moment milczałam. Puste ulice, które za kilka miesięcy wypełnią się nieskończonym strumieniem turystów, działały na mnie kojąco.

– Podstawowe pytanie brzmi: czy to naprawdę może być ona? – mruknęłam.

– Wszystko na to wskazuje.

– Nie miała żadnej zaginionej siostry bliźniaczki? Sobowtóra?

– Ani tego, ani klona czy swojej innej wersji z alternatywnej rzeczywistości.

– W takim razie co się z nią działo przez te wszystkie lata? I dlaczego znikła? – zapytałam, kręcąc głową. – Ktoś przetrzymywał ją wbrew woli?

Jola spojrzała na mnie niepewnie, jakby zastanawiała się, czy te pytania zadaję sobie, czy jej.

– Na zdjęciu z koncertu nie wygląda, jakby ktoś ją do czegokolwiek zmuszał.

– Może to tylko pozory.

– Może – przyznała Kliza. – Ten mężczyzna stojący tyłem z pewnością przyjaźnie nie wygląda.

Możliwości było wiele. Poleciłam Joli jak najszybciej zawęzić ich krąg, po czym wstałam od stolika. Zauważyłam, że Robert podjechał pod Baltic Pipe swoim srebrnym bmw serii 4. Gran coupé wyróżniało się na drodze i trudno było go nie dostrzec – choć i z zamkniętymi oczami wiedziałabym, że to mąż podjechał. Wybiła umówiona pora, a on nigdy się nie spóźniał.

Pożegnałam Klizę, rzucając jeszcze na odchodnym, by zdecydowała się na prosecco na koszt firmy. Potem wsiadłam do samochodu. Pachniało w nim nowością, mimo że auto miało już ponad rok.

Popatrzyłam na Roberta, kiedy ten posłał długie spojrzenie stojącemu przy szybie kelnerowi. Pracownik skinął mu głową, po czym się oddalił.

Mąż odchrząknął.

– Posłuchaj, Kas…

– Nie ma o czym mówić – zapewniłam go. – Co było wczoraj, minęło.

– Jesteś pewna?

Byłam pewna, ale czegoś zupełnie innego. To, co zrobił Robert, będzie miało przemożne konsekwencje. Zniszczy jego życie, a moje zupełnie zmieni, choć jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy.

Uznawszy, że cisza z mojej strony jest wystarczającą odpowiedzią, zawrócił i ruszył w stronę naszej willi na nabrzeżu.

– Jak spotkanie? – zapytał.

– Kliza jest właściwą osobą.

Pokiwał głową w milczeniu, wpatrując się w drogę przed nami. Potem zerknął na mnie w sposób, który znałam aż za dobrze.

– Na Boga, Robert… – jęknęłam. – Nic jej nie powiedziałam. O co mnie podejrzewasz?

Nie odezwał się.

6

Do mieszkania rodziców przy Grottgera wpadłem spocony, zmachany i kompletnie zdezorientowany. Na dobrą sprawę nie wiedziałem nawet, co robię – być może zadziałał jakiś biologiczny mechanizm, który w kryzysowej sytuacji kazał szukać pomocy u rodziców.

Nie miałem wątpliwości, że zastanę ich w mieszkaniu. Był wprawdzie środek tygodnia, ale od kilku lat oboje byli na

emeryturze. Większość czasu spędzali na ponownym czytaniu tych wszystkich książek, które już dobrze znali. Rzadko udawało mi się namówić ich na coś nowego.

Drzwi otworzyła matka, ale nie zdążyła nawet się odezwać, bo od razu minąłem ją w progu i wpadłem do środka. Nie umknął mi wyraz przerażenia, który przebiegł przez jej twarz.

– Damian? – zapytała trzęsącym się głosem. – Co się stało?

Ciężko oddychając, zatrzasnąłem za sobą drzwi i oparłem się o nie plecami. Odgiąłem głowę i zamknąłem oczy.

Dobre pytanie, pomyślałem.

Co się stało?

Zanim uciekłem z mieszkania Blitza, zauważyłem w sypialni zakrwawiony nóż. Ranę na ciele dostrzegłem tylko jedną, tuż pod żebrami. Krew, która pokrywała niemal całe łóżko, sugerowała, że Blitzer dogorywał jakiś czas, być może szukając ratunku. Lub szarpiąc się z napastnikiem i walcząc o swoje życie.

Wzdrygnąłem się.

To nie mógł być przypadek. Co do tego nie miałem żadnych wątpliwości.

Wyglądało na to, że z mieszkania nic cennego nie znikło, w dodatku Blitz nie miał żadnych wrogów. Był powszechnie lubiany, nikomu nigdy nie podpadł, a kobiety, z którymi sypiał i które szybko porzucał, nie wiedziały nawet, gdzie mieszka.

Zamordował go ten, kto stał za zaginięciem Ewy.

– Co się stało? – powtórzyła matka.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na nią w momencie, w którym ojciec wyszedł z pokoju, marszcząc czoło.

– Synu? – odezwał się swoim tubalnym, niskim głosem.

Zawsze zwracał się do mnie w ten sposób, chyba nigdy nie użył mojego imienia. Początkowo był to jego osobisty protest przeciwko

temu, że matka wybrała imię Damian, które bynajmniej mu nie odpowiadało. Potem weszło mu to w nawyk.

Oboje byli dobrotliwymi, porządnymi ludźmi – i mówiłbym tak o nich, nawet gdyby mnie nie wychowali. Czasem zdawało mi się, że pojęcie czystego zła, tak dobrze rozumiane przez wielu, jest dla nich zupełną abstrakcją.

Tym trudniej było mi opisać, co się wydarzyło.

Potrzebowałem dobrej godziny, by to z siebie wydusić. Siedzieliśmy w niewielkim, wypełnionym gratami salonie – i teoretycznie rzecz biorąc, piliśmy herbatę. W praktyce kubki stały na stole, a napoje zdążyły zupełnie ostygnąć, zanim zrobiliśmy pierwszy łyk.

Na początku rodzice nie dowierzali, potem weszli w fazę zaprzeczenia. Ostatecznie jednak przyjęli to, co się stało, szybciej, niż na ich miejscu zrobiłoby to wiele innych osób. Wiedziałem, z czego to wynika. Byliśmy oswojeni i obyci z tragedią. Po zaginięciu Ewy staliśmy się gotowi na wszystko.

Była dla nich jak córka, a szczególnie zbliżyli się po tym, jak jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym niecały rok przed atakiem nad Młynówką. Wcześniej w ich relacjach wyczuwało się dystans, może dlatego, że matka i ojciec niespecjalnie dogadywali się z moimi niedoszłymi teściami. Pochodzili z różnych światów – moi rodzice wychowali się w prostych, robotniczych rodzinach, nigdy nie cieszyli się wielkim dostatkiem. Tamtym zaś właściwie się przelewało.

Los wydarł matce i ojcu Ewę akurat wtedy, kiedy stała się im najbliższa. Byłem przekonany, że przez to zdarzenie wszyscy staliśmy się zahartowani, ale ledwo skończyłem wszystko relacjonować, przekonałem się, że w przypadku jednego z nas wcale tak nie jest. Zebrało mi się na wymioty.

– Jesteś cały blady – odezwała się matka.

Czy mogłem spodziewać się innego komentarza? Patrzyła na mnie z głębokim niepokojem, podczas gdy ojciec wbijał puste spojrzenie w ścianę. Przez kilka chwil trwaliśmy w milczeniu.

– Jezus Maria… – jęknęła, potrząsnęła głową, a potem gwałtownie się podniosła. – Poczekaj, zrobię ci coś do jedzenia. Przecież… nic nie jadłeś, prawda?

– Tak, ale…

Poszła do kuchni, a ja wymieniłem się z ojcem krótkim, ale znaczącym spojrzeniem. Obaj powoli zdawaliśmy sobie sprawę z tego, w jak opłakanej sytuacji się znalazłem.

– Zawiadomiłeś policję? – spytał.

Pokręciłem głową.

– Może powinieneś. Lepiej, żeby dowiedzieli się tego od ciebie.

– Co to da?

– Zrobi lepsze wrażenie.

– Wrażenie jest jednoznaczne – odparowałem. – Wszędzie tam są moje odciski palców.

– Właśnie o tym mówię, synu. Musisz jak najszybciej udowodnić, że nie miałeś z tym nic wspólnego.

Dzięki traumie, która od lat była dla nas wyłącznie ciężarem, teraz rozumowaliśmy na chłodno. Mimo to nie potrafiłem ułożyć scenariusza, który mógłby okazać się dla mnie korzystny.

– Cudów nie zdziałam – odparłem, osuwając się na fotelu. – Poza tym ktoś na pewno zaalarmował służby. Może nawet pobierają już odciski palców. Jeszcze dzisiaj sprawdzą je w bazie, a potem po mnie przyjdą.

– Nie wiesz tego.

– Nie?

Prychnąłem, chyba z bezsilności. Zamknąłem oczy i odgiąłem głowę do tyłu, przez moment mając wrażenie, że to wszystko jest tylko jakąś poalkoholową iluzją.

– Widziałeś tam nóż, prawda?

– Tak, chyba tak.

Pamiętałem wszystko jak przez mgłę, ale nie łudziłem się, że długo tak pozostanie. Stanie się dokładnie tak jak w przypadku wspomnień znad Młynówki. Początkowo będą mętne, częściowo nieosiągalne, jakby przysłonięte kurtyną bezpieczeństwa. Potem, poprzez koszmary i powracające z odmętów pamięci obrazy, się wyostrzą. I w końcu staną się wyraźne jak teraźniejszość.

– Nie ma na nim twoich odcisków palców – dodał ojciec. – To wystarczy.

– Powiedzą, że mogłem założyć rękawiczki.

– A były tam gdzieś?

– Tato…

– To wszystko zasadne pytania.

Pokręciłem bezradnie głową.

– Dla ciebie, ale nie dla policji – odparłem stanowczo. – Oni przyjmą, że rękawiczki zabrałem za sobą, a potem po prostu się ich pozbyłem.

Ledwo to powiedziałem, uświadomiłem sobie, że opuszczenie mieszkania było najgorszym, co mogłem zrobić. Powinienem zostać na miejscu i natychmiast poinformować organy ścigania. A potem czekać, niczego nie ruszając.

Z kuchni doszły nas zapachy smażonych jajek. Matka robiła najlepszą jajecznicę na świecie, ale w tej chwili na samą myśl o jedzeniu robiło mi się słabo.

Pochyliłem się i schowałem twarz w dłoniach.

Co tu się działo, do cholery? Kto i dlaczego miałby zabić Blitzera? I to w taki sposób, by wszystko wskazywało…

Urwałem tok myśli, nagle czując falę gorąca. Dłonie natychmiast stały się wilgotne, a nudności jeszcze większe. Powoli opuściłem ręce, patrząc na ojca pustym wzrokiem.

– Co się stało? – spytał.

– Ten nóż…

Ojciec uniósł brwi, a podłużne zmarszczki na jego czole zdawały się zbliżyć do linii przerzedzonych siwych włosów.

– O kurwa… – jęknąłem.

– Co się dzieje, synu?

– Używałem tego noża wieczorem – odparłem, pocierając nerwowo kark. – Otwierałem nim jakieś wino, rozcinałem tę folię na gwincie…

– Jesteś pewien, że to ten sam nóż?

Skinąłem głową. Nie byłem pewien na sto procent, ale wydawało się to logiczne. Zabójca wszedł do mieszkania, zobaczył nóż leżący na blacie w kuchni i postanowił go użyć. Blitz nie mógł stawiać dużego oporu, był tak samo wstawiony jak ja. Może nawet bardziej.

Mimowolnie wyobraziłem sobie, jak wybudza się z pijackiego snu tylko po to, by za moment umrzeć. Wzdrygnąłem się.

Nie odzywaliśmy się z ojcem przez jakiś czas. Udało nam się wyrwać z marazmu, dopiero kiedy do pokoju weszła matka z jajecznicą. Podała nam talerze, ale musiała wiedzieć, że śniadanie podzieli los nadal nieupitej herbaty. Potrzebowała jednak świadomości, że coś zrobiła, w jakiś sposób starała się o nas zadbać.

Usiadła na kanapie obok ojca i popatrzyła na mnie z głęboką troską.

– Co zrobimy? – zapytała.

– Na razie nic – odparłem.

Obawiałem się, że ojciec zacznie przekonywać mnie, bym jednak skontaktował się z policją, ale się nie odezwał. Dopiero po chwili zrozumiałem, że swoje obiekcje postanowił przekazać mi w inny sposób.

Świdrował mnie wzrokiem, który dobrze znałem.

– To nie ma sensu – burknąłem.

– Nic nie mówię, synu.

– Nie musisz. Widzę, że nadal upierasz się przy policji.

– Nie upieram się.

– To dobrze – odparłem nieco zbyt ostro, ale emocje zaczynały brać górę. – Bo widzisz chyba, że jestem wrabiany. I że ktokolwiek za tym wszystkim stoi, w jakiś sposób wpływa na mundurowych.

Westchnął, a matka uciekła wzrokiem. Była to dla nich stara śpiewka, którą powtarzałem przez jakiś czas po zaginięciu Ewy. Przeszedłem wtedy przez wszystkie stadia depresji, obwiniając każdego, o kim mogłem pomyśleć.

Przez jakiś czas forsowałem wersję, że to śledczy tuszują dowody i są zamieszani w to, co się stało. W pewnym momencie wpadłem nawet na pomysł, że napastnicy byli funkcjonariuszami po służbie, którzy postanowili się zabawić.

Ostatecznie odrzuciłem teorie spiskowe i wszelkie inne absurdalne scenariusze, ale teraz musiałem znów wziąć je pod uwagę. Na tym etapie wszystko było możliwe.

– To już nie są czasy Polski Ludowej – odezwał się ojciec. – Teraz mają sprzęt, mają technologię… ustalą, co tam się naprawdę stało.

Stało się to, że ja żyłem, a Blitz nie.

Powód mógł być tylko jeden. Zabójcy chodziło nie tylko o usunięcie mojego przyjaciela, nie tylko o wysłanie sygnału, ale też o obarczenie mnie odpowiedzialnością. Ale dlaczego? Nie łatwiej byłoby zabić również mnie?

Zrobiło mi się jeszcze bardziej gorąco, gdy pomyślałem o tym, jak blisko śmierci byłem. Wystarczyła chwila. Decyzja jednego człowieka.

– Zobaczą tylko dowody, które wskazują na mnie – odparłem pod nosem. – Ktokolwiek to zrobił, zadbał o to.

Zanim którekolwiek zdążyło odpowiedzieć, rozległ się dźwięk, który sprawił, że wszyscy się wzdrygnęliśmy. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to komórka Blitza. Musiałem w popłochu, bezwiednie zabrać ją z mieszkania, by mieć jakiś kontakt ze światem. Wyjąłem smartfon z kieszeni i zobaczyłem jedną nieprzeczytaną wiadomość.

Automat ze strony Reimann Investigations wysłał kod dostępu. Machinalnie odłożyłem telefon na oparcie fotela, ale zaraz potem zmarszczyłem czoło i wbiłem wzrok w gasnący wyświetlacz.

Podniosłem się i ruszyłem do swojego dawnego pokoju, który służył teraz ojcu za gabinet. Jakiś czas temu oddałem rodzicom mój stary komputer, bo upierali się, że chcą iść z duchem czasu i korzystać ze wszystkich dobrodziejstw, jakie oferuje internet. Nieco leciwy pecet nie najlepiej się do tego nadawał, ale rodzice nie dali się nakłonić do kupna nowego komputera.

W jednej z szafek był też stary asus, mój pierwszy laptop, który właściwie równie dobrze mógłby stanąć w muzeum. Z dwojga złego lepiej było skorzystać z peceta.

Włączyłem sprzęt, zalogowałem się na stronie i wprowadziłem kod.

Pojawiło się niewielkie okienko i lista, na której znajdowało się jedynie dwóch użytkowników. Identyfikowały nas wyłącznie ciągi przypadkowych cyfr i znaków. Skrypt, który działał na stronie, miał być obwarowany porządnymi zabezpieczeniami, ale nie wiedziałem, na ile to prawda, a na ile zwykłe marketingowe zachęty, które pracownicy RI serwowali Blitzerowi, by ten zdecydował się na skorzystanie z ich usług.

Zapewniali, że wszystkie informacje są automatycznie szyfrowane wojskowym protokołem AES-256 CTR. I że dzieje się

to jeszcze przed wysłaniem danych z komputera nadawcy, a więc na serwer trafia już wersja zakodowana – niemożliwa do odczytania bez kodu, który miałem wcześniej dostawać esemesem.

Dodatkowym zabezpieczeniem miało być to, że wiadomości były przechowywane na dyskach Reimann Investigations tylko przez dziesięć sekund.

Spojrzałem na czarny ekran i czekałem. W końcu pojawiło się pytanie:

[xc97it] Wszystko w porządku?

Nie musiałem długo zastanawiać się nad odpowiedzią.

[w0p6z1] Nie. Nic nie jest w porządku.
[xc97it] Rozmawiam z Wernerem, prawda?
[w0p6z1] Tak. Kim jesteś?
[xc97it] Jola.

Obserwowałem, jak linijki tekstu pojawiają się, a zaraz potem znikają. Imię nic mi nie mówiło. Na dobrą sprawę nie wiedziałem nawet, czy po drugiej stronie rzeczywiście znajduje się jakaś dziewczyna.

[xc97it] Rozmawialiśmy wczoraj.
[w0p6z1] Niewiele pamiętam.

Nastąpiła długa pauza, przynajmniej z mojego punktu widzenia. Miałem wrażenie, że minęło nie kilkanaście sekund, ale minut, zanim pojawiła się kolejna wiadomość.

[xc97it] Co tam się stało?

Teraz przypomniałem sobie, że osoba, z którą wczoraj się kontaktowaliśmy, przedstawiła się jako Jola Kliza. To ona miała zajmować się sprawą Ewy, a Blitz twierdził, że lepiej nie mogliśmy trafić – głównie dlatego, że wyobrażał sobie Klizę jako długonogą blondynkę o ciele przypominającym klepsydrę.

Powiodłem wzrokiem po pokoju, dostrzegając, że rodzice zostawili tu sporo rzeczy z mojego dzieciństwa. Kilka upominków od Ewy, które dostałem chyba jeszcze w podstawówce. Między innymi figurki Spider-Mana, na punkcie którego swego czasu miałem hopla. Do tego stopnia, że Ewa mówiła do mnie tak jak Mary Jane do Petera Parkera. Tygrysie. Normalnie byłoby to nieco obciachowe, ale przy całym moim uwielbieniu dla Spider-Mana wyłącznie mnie cieszyło.

Była tu też tabliczka, którą w liceum razem z Blitzerem ściągnęliśmy z jakiegoś znaku drogowego.

Dopiero teraz poczułem ciężar tego, co się stało. Wiedziałem jednak, że na żałobę będzie jeszcze czas. Teraz musiałem postarać się, by w jednej chwili wszystko się nie zawaliło.

Może byłem paranoikiem, ale wydawało mi się, że mogę dopowiedzieć sobie, co stanie się w przeciwnym wypadku. Policja szybko mnie ujmie, prokuratura postawi zarzuty. Trafię do aresztu śledczego, gdzie będę czekać aż do procesu. Potem wyślą mnie prosto do zakładu karnego.

Nie będzie mowy o odkryciu jakiegokolwiek tropu Ewy. Nigdy jej nie odnajdę. Po raz kolejny przepadnie na zawsze.

Patrzyłem pustym wzrokiem na monitor, odpływając myślami coraz dalej. Ocknąłem się, dopiero kiedy ponownie pojawiło się to samo pytanie.

[xc97it] Co tam się stało?

Uznając, że w tej chwili Jola to jedyna osoba, która może mi pomóc, opisałem jej to, co pamiętałem. Nie zagłębiałem się w szczegóły, stwierdziłem, że nie są teraz najważniejsze. Po chwili tekst znikł, a ja znów wpatrywałem się w puste, czarne okienko. Biały kursor zdawał się migać na nim niepokojąco.

[xc97it] Masz coś do pisania?

Sięgnąłem do jednej z szuflad po bloczek żółtych kartek samoprzylepnych. Po chwili zapisałem na nich numer, który pojawił się na ekranie.

[xc97it] Kup pre-paid i jakiś używany telefon w komisie. Potem wyślij pod numer, który Ci podałam, esemesa o treści „b4lt1cp1p1".

Wszystko zanotowałem.

[w0p6z1] Co potem?
[xc97it] Poprowadzę cię dalej, ale na razie musisz pozbyć się telefonu.
[w0p6z1] Chcesz, żebym uciekał?

Kursor znów mrugał jak złe ślepie zwierzęcia w ciemności. Przełknąłem ślinę.
W końcu pojawiła się odpowiedź.

[xc97it] Tak.

Potem nagle zostałem wylogowany, a okienko się zamknęło. Siedziałem w osłupieniu przez chwilę, zanim zrozumiałem, że Kliza mogła dotrzeć do informacji, których ja nie miałem.
Może wiedziała więcej niż ja.

Miałem kilka wyjść, ale wszystkie były mniej więcej tak samo beznadziejne. W końcu wybrałem to, które spośród nich wydawało się najlepsze. Uznałem, że skoro Blitz z jakiegoś powodu zaufał tej dziewczynie, być może ja też powinienem.

Nie pomyślałem, że to przez nią mógł zginąć.

7

W domu czekały na mnie bukiety białych irysów. Po jednym w każdym pokoju, co w sumie dawało całkiem pokaźną liczbę. Robert doskonale wiedział, że to moje ulubione kwiaty, kupował mi je przy każdej okazji. Cieszyło mnie to, choć dostrzegałam w tym pewien absurd, w końcu biel oznaczała niewinność.

A nią mój mąż nie mógł się pochwalić.

Po drodze jeszcze kilkakrotnie upewniał się, że nie mam do niego żalu, a ja powtarzałam jak katarynka, że nie. Kiedy weszliśmy do przestronnego holu, bacznie obserwował moją reakcję. Zrobiłam więc wszystko, żeby utwierdzić go w przekonaniu, że przeprosiny nie są potrzebne.

Objęliśmy się, pocałowaliśmy, a potem zaprowadził mnie za rękę do jadalni. Znajdowała się na parterze, od północnej strony. Od południa mieliśmy las, ale z okien salonu rozciągał się widok na bezkres Bałtyku. Willa umiejscowiona była na niewielkiej skarpie, dzięki czemu bez trudu można było spoglądać na odległy horyzont. Przy dobrej pogodzie widać było zarysy gigantycznych statków na otwartym morzu, które z tej perspektywy wydawały się jedynie małymi punkcikami na tle nieba.

Jedzenie było już gotowe. Korzystaliśmy z aplikacji Amica IN, która pozwalała zdalnie sterować większością sprzętu AGD.

Robert wstawił jedzenie do piekarnika przed wyjazdem, a po drodze do domu włączył podgrzewanie.

Podał mi kaczkę po wietnamsku. Wiedziałam, że brakuje mu gotowania – była to jedna z jego pasji, na której rozwijanie nie miał już czasu.

Pikantny smak i wyraźne nuty anyżu mnie nie zaskoczyły, Robert zawsze przyrządzał to danie podobnie. Właściwie nie dziwiło mnie nic, co robił. Wszystko stanowiło stały element znanego nam obojgu schematu.

– O czym rozmawiałaś z Jolą? – spytał, nalewając nam nowozelandzkiego pinot noir. Twierdził, że żadne inne wino nie współgra tak dobrze z kaczką.

– Tylko o sprawie.

– Nie wspominałaś o…

– Już ci mówiłam, że nie.

Napełnił mi kieliszek do jednej trzeciej, a potem usiadł naprzeciwko mnie.

– Jednej rzeczy nie powiedziałem – odezwał się.

– Jakiej?

– Przepraszam.

Spojrzałam na niego i westchnęłam. Rzeczywiście, do tej pory upewniał się tylko, czy nie mam mu niczego za złe, na przeprosiny się nie zdecydował. Prędzej czy później je sformułuje, jak zawsze. Najpierw jednak musiał przygotować sobie grunt.

Był to taniec, który oboje decydowaliśmy się wykonywać, by nasza miłość przetrwała. Białe irysy, gotowanie specjalnie dla mnie, usługiwanie mi, jakbym była królową, a on sługą. Wszystko to było piękną złudą.

I działo się tylko za dnia.

– Nie ma za co – powiedziałam.

Spuścił wzrok, sprawiając wrażenie głęboko zażenowanego. Czy naprawdę tak było? Nie wiem. Mimo że poznaliśmy się na studiach, niemal od razu się w sobie zakochując, wydawało mi się, że do końca nigdy nie poznałam swojego męża.

– Spróbuj wina – powiedział.

– Piłam przed chwilą prosecco, nie chcę mieszać.

Nie nalegał, a ja nie musiałam dodawać więcej. Zdawał sobie sprawę, że gdybym teraz się wstawiła, później miałabym do siebie pretensje – do zmierzchu było jeszcze sporo czasu, a ja miałam jeszcze sporo białego musującego wina do wypicia.

Każdy HFA, *high-functioning alcoholic*, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że aby móc pić, musi zachowywać pewną miarę. Klucz tkwił w tym, żeby pod żadnym pozorem jej nie przekraczać.

Robert zjadł kawałek kaczki, a potem powoli złożył sztućce. Wciąż nie podnosił wzroku.

– To się nigdy więcej nie powtórzy – powiedział.

– Wiem, że nie.

– Za dużo wypiłem, Kas. Kompletnie mi odwaliło.

– Mówiłam ci już, że…

– Że nie ma się czym przejmować, tak – uciął, kręcąc głową. – Ale to nieprawda.

Podniósł się i podszedłszy do mnie, przykucnął przy krześle. Wziął moją dłoń i długo patrzył mi w oczy. Widziałam w nich żal, wstyd i głęboki smutek. Nie były to udawane uczucia, rzeczywiście nim targały.

Był człowiekiem pełnym sprzeczności, może tak samo jak ja.

– Nie możemy tak po prostu przejść nad tym do porządku – powiedział.

– Daj spokój.

– Uderzyłem cię, Kas.

Nie pierwszy i nie ostatni raz, pomyślałam.

W dodatku każdy kolejny przypadek zdawał się coraz gorszy. Nie, nie zdawał się. Był coraz gorszy. Zaczęło się niewinnie, o ile jakakolwiek przemoc może tak się zacząć.

Którejś nocy Robert obrzucił mnie stekiem wyzwisk za to, że nie dopilnowałam błahej sprawy związanej z jednym z plażowych lokali. Była to bzdura, nawet nie pamiętam, czego dotyczyła.

Początkowo ranił tylko słowami, ale pewnego razu posunął się dalej. Spoliczkował mnie, a potem popchnął. Szybko się ocknął, jakby wyrywając z letargu – przepraszał, wręcz błagał o wybaczenie i zapewniał, że to się nigdy nie powtórzy.

Wtedy mu wierzyłam, bo chciałam wierzyć. Czułam się upokorzona, słaba i zagrożona, ale wciąż był jedynym człowiekiem, na którym mogłam polegać. Nie zrozumie tego nikt, kto nie doświadczył przemocy ze strony ukochanej osoby. To coś wymykającego się racjonalizmowi i logice.

Nie minęło wiele czasu, a uderzył pięścią. Zdarzało mu się krzyczeć, a ja modliłam się tylko o dwie rzeczy: by nie posunął się jeszcze dalej i by Wojtek niczego nie słyszał. W pierwszej kwestii moje prośby pozostały bez odpowiedzi, w drugiej udało mi się chyba wybłagać kogoś na górze, by pomógł.

Wczorajszej nocy Robert przeholował. Szarpał mnie za włosy, krzyczał prosto w twarz, a potem kilka razy uderzył mnie w podbrzusze. Postanowiłam wtedy, że nie będę dłużej tego znosić. Dziś miał być ten dzień, który będę wspominać jako pierwszy krok ku nowemu życiu.

Dlatego Robert dopytywał, co robiłam i z kim rozmawiałam. I dlatego polecił jednemu z pracowników, by miał na mnie oko. Zdawał sobie sprawę, że przekroczył kolejną granicę, a ja nie pozwolę, by jeszcze raz kiedykolwiek się do niej choćby zbliżył.

Spojrzałam na bukiety białych irysów. Oszukiwałam się, że nadal uwielbiam te kwiaty. Tak naprawdę od jakiegoś czasu ich

nienawidziłam. Stanowiły namacalny dowód tego, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazłam.

– Nie zostawiajmy tak tego – powiedział cicho.

– Co masz na myśli?

– Zrób obdukcję…

– Co takiego?

– Zawiozę cię do Kamienia Pomorskiego, pójdziemy do szpitala i…

– Zwariowałeś?

– Będziesz miała dowód.

Odsunęłam krzesło i obróciłam się do niego. Pochylił się i położył głowę na moich udach. Trwał tak przez jakiś czas w milczeniu, a ja delikatnie gładziłam go po włosach.

Chciał mieć nad sobą wiszący miecz Damoklesa? Dowód na to, co mi zrobił?

Nie mogło chodzić o nic innego. Przypuszczałam nawet, że jego motywacje są szczere. Widziałam, że próbował się zmienić, kilkakrotnie nawet udało mu się powściągnąć, zanim doszło do rękoczynów.

Były to jednak tylko wyjątki potwierdzające regułę.

– Myślisz, że to coś zmieni? – zapytałam.

– Będę wiedział, że w każdej chwili możesz…

– Co? Pójść na policję?

Podniósł głowę. Miał szkliste oczy i w najmniejszym stopniu nie przypominał osoby, która wczoraj wydzierała się na mnie, szarpała mną i biła bez pamięci.

– Miałabym pozwolić, żeby wpakowali cię do więzienia? – dodałam. – Żeby Wojtek został bez ojca? I żebyśmy musieli radzić sobie bez ciebie?

– Nie mów tak.

– Ale to prawda, Robert. Jak ty sobie to wyobrażasz?

Od kiedy pamiętam, byliśmy wobec siebie bezpośredni. Wydawało mi się, że w każdym innym związku sytuacja wyglądałaby diametralnie inaczej. Kobieta albo by odeszła, albo przemoc stałaby się tematem tabu.

U nas takie nie istniały. Rozmawialiśmy o wszystkim, nie mydliliśmy sobie nigdy oczu. Właściwie nigdy się nie okłamywaliśmy… jeśli nie liczyć tego, że przemilczał fakt posiadania drugiej, brutalnej natury.

Przysunął się bliżej, a potem objął mnie w pasie.

– Jak możesz być z takim skurwielem? – spytał.

– Nie wiem – odparłam i zmusiłam się do uśmiechu.

– Na twoim miejscu porysowałbym mu chociaż to jebane megalomańskie coupé.

– Mam zamiar potraktować je w nocy sprejem.

– Dobry wybór.

Kiedy znów na mnie spojrzał, pocałowałam go, przyciskając mocno dłonie do jego policzków. Znów naszła mnie refleksja, że różnimy się od innych par, które w takiej sytuacji zapewne udałyby się prosto do sypialni.

My jednak rzadko ze sobą sypialiśmy. Od kiedy zaczęła się przemoc, coraz rzadziej. Miałam nawet wrażenie, że Robert zaspokaja się seksualnie, kiedy mnie okłada.

Zawsze robił to kierowany dzikimi, nieokiełznanymi emocjami. Zwierzęcym zewem, którego nie potrafił powstrzymać. Ale jednocześnie bił tak, by nie zostawiać śladów. To niepokoiło mnie najbardziej, bo kazało mi sądzić, że gdzieś w tym wszystkim kryje się chłodne rozumowanie.

Zamknęłam oczy i skupiłam się na dotyku jego ust. Na Boga, czy naprawdę tyle wystarczyło, bym straciła rezon? Jeszcze kilka godzin temu byłam pewna, że nie dam za wygraną. Że nie pozwolę dłużej sobą pomiatać.

Przecież z takim przekonaniem wsiadałam do bmw, kiedy po mnie przyjechał.

Jak niewiele było trzeba, bym zmieniła zdanie? I czy rzeczywiście je zmieniłam? Nie potrafiłam odpowiedzieć sobie na te pytania. Wiedziałam jedynie, że miłość to najniebezpieczniejsza toksyna, jaką stworzyła natura.

Robert wrócił na swoje miejsce i pociągnął duży łyk wina. Spojrzał niepewnie na kaczkę.

– Albo mi nie wyszła, albo czuję do siebie takie obrzydzenie, że przekłada się na smak.

– Albo jedno i drugie.

– Możesz mieć rację – odparł, odsuwając talerz.

Był blady niemal jak Jola Kliza, która na świeżym powietrzu bywała chyba tylko po to, by przemieścić się z jednego budynku do drugiego. Cerę miała niemal trupią, a czarne, długie do lędźwi włosy tylko to uwydatniały. Zawsze zdawała się mieć lekko pochyloną głowę, przez co opadały jej na policzki.

Zastanawiałam się, czy poczyniła jakiekolwiek postępy w sprawie Ewy. Był to dobry tok myśli, by oderwać się nieco od tego, co działo się w nocy. Postanowiłam podzielić się tym z Robertem.

– Mówiłam ci o tej zaginionej dziewczynie, prawda?

Odstawił kieliszek i przez moment przypatrywał mi się uważnie, jakby zastanawiał się, czy zmiana tematu to dobry pomysł.

– Tylko tyle, że została zgwałcona nad rzeką, a potem ślad po niej się urwał. I po napastnikach też.

– Aż do czasu pojawienia się zdjęć.

– No tak. To było w Opolu?

Potwierdziłam ruchem głowy.

– Chyba coś o tym słyszałem. Dawno do tego doszło?

– Dziesięć lat temu.

– I naprawdę sądzicie, że po takim czasie się znalazła?

– Na to wygląda. Ale jednocześnie ktoś dba o to, żeby trop znów się urwał.

– Może ona sama? – spytał Robert, a ja zabrałam się do kaczki. – Może nie chce zostać odnaleziona?

– Trudno powiedzieć – odparłam, przeżuwając niewielki kawałek. Danie było zbyt ostre jak na moje kubki smakowe, ale nie zamierzałam o tym wspominać. W końcu zrobił je w ramach przeprosin, a przyrządzenie pochłonęło sporo czasu, którego Robertowi nieustannie brakowało.

– Może po gwałcie postanowiła zacząć wszystko od nowa – zauważył.

– I tak po prostu zostawiłaby narzeczonego? Wątpię.

– Rozmawialiście z rodziną? Znajomymi? Może ktoś coś wie, może ktoś utrzymywał z nią kontakt?

– Rodziny nie ma – powiedziałam, uznając, że jednak napiję się wina. – Rodzice zginęli w wypadku samochodowym niecały rok przed tym, jak doszło do gwałtu.

– Pechowa passa.

– Życie – odparłam i wzruszyłam ramionami.

Nie ciągnęliśmy tematu, bo widziałam, że Robert nie jest nim przesadnie zainteresowany. Kiedy zakładaliśmy Reimann Investigations, był pochłonięty tym, co możemy osiągnąć. Zachowywał się jak mały chłopiec, który wreszcie dostał upragnioną zabawkę. Z czasem jednak jego entuzjazm zmalał.

Mój zresztą też. Zgłaszali się do nas głównie ludzie zamierzający szpiegować współmałżonków albo odnaleźć dłużników, którzy nagle zniknęli z pieniędzmi. Czekaliśmy na takie sprawy jak ta związana z zaginięciem Ewy. Wydawało mi się, że w Robercie odżyje wtedy wcześniejsza werwa, ale najwyraźniej się pomyliłam.

Zjedliśmy, nie poruszając żadnej kwestii, która miałaby dla nas istotne znaczenie. Kiedy wstawałam od stołu, lekko zakręciło mi się w głowie. Prosecco i czerwone wino nie stanowiły dobrego połączenia, szczególnie jeśli od tego pierwszego zaczynało się dzień.

I jeśli zamierzało się także na nim skończyć.

Bywały dni, kiedy łudziłam się, że tak się nie stanie. Ale ten z pewnością do nich nie należał. Zrozumiałam to dobitnie, kiedy przyszedł esemes od Joli.

Robert zbierał się już do wyjścia, miał odebrać Wojtka ze szkoły. Nie podobało mi się, że podjeżdża pod podstawówkę swoim bmw, tworzyło to przepaść między naszym synem a innymi uczniami. I znając zdolność dzieci do przytyków, przypuszczałam, że folgują sobie nie tylko na przerwach.

Opróżniona do połowy butelka wina też budziła mój sprzeciw, ale jedynie wewnętrzny. Wiedziałam, że nie ma sensu protestować, Robert i tak wsiądzie za kierownicę – a jedynym, do czego mogły doprowadzić moje obiekcje, była kolejna kłótnia.

Policji nie musiał się obawiać. Nawet gdyby zatrzymali go stróże prawa, prędzej wystawiliby mandat sobie niż jemu. Formalnie gmina Rewal miała wójta, a każda z miejscowości wchodzących w jej skład – sołtysa, ale realnie rządzili tutaj ludzie tacy jak Robert. Lokalni potentaci w branży turystyczno-gastronomicznej, którzy utrzymywali niejedną rodzinę.

– Coś nie tak? – zapytał Robert, wstając od stołu.

Podniosłam wzrok znad komórki.

– Dostałam esemesa od Klizy.

– Co pisze? Jakieś postępy?

– Raczej problemy – odparłam ciężko. – Twierdzi, że musi ze mną jak najszybciej porozmawiać, bo sytuacja się skomplikowała.

– Podrzucić cię do Baltic Pipe?

– Nie, załatwię to przez telefon.

Pozbierał naczynia, a potem opłukał je z grubsza i włożył do zmywarki. Tłumaczyłam mu jak chłop krowie na miedzy, żeby tego nie robił, bo detergent nie ma wtedy w co wnikać i krąży po zmywarce bez celu, ale zbywał to milczeniem.

Pocałował mnie na pożegnanie, mimo że miał wrócić za niewiele ponad kwadrans. Potem usłyszałam cichy pomruk silnika bmw.

Nabrałam głęboko tchu i wybrałam numer Joli. Odebrała od razu, jakby tylko czekała na telefon.

– Blicki nie żyje – wypaliła.

Z pewnością nie należała do osób owijających w bawełnę. Zbiła mnie z tropu i przez moment nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nic nie wydawało się właściwe.

– Został znaleziony martwy w swoim mieszkaniu – dodała pozbawionym emocji tonem prezenterki telewizyjnej.

Podniosłam się i podeszłam do lodówki. Wyglądało na to, że dziś wypadał dzień, w którym miałam uchybić świętym zasadom HFA.

– Wiadomo coś więcej? – zapytałam.

– Oficjalnie policja nie podaje żadnych szczegółów. Zasłaniają się tym, co zawsze, czyli dobrem postępowania.

– A nieoficjalnie?

– Wygląda na to, że nocował u niego Werner.

Zamarłam z kieliszkiem w ręku.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że…

– Nie – wpadła mi w słowo. – Po co miałby targnąć się na jego życie?

Pociągnęłam łyk i poczułam się nieco lepiej.

– To bez sensu – kontynuowała Kliza. – Blicki nie tylko był jego jedynym przyjacielem, ale też jedyną osobą, która gotowa była mu pomóc. Poza tym Werner jest na tyle rozgarnięty, by zaplanować coś bardziej wymyślnego.

– Więc ktoś próbuje go wrobić?

– W najgorszym wypadku tak. W najlepszym to tylko zbieg okoliczności.

Nie wierzyłam w przypadki. Uznawałam to za puste określenie, którego używamy, kiedy nie znamy przyczyny danego zdarzenia.

– Tak czy inaczej, na miejscu jest z pewnością wystarczająco dużo jego śladów biologicznych, żeby postawili mu zarzuty.

– Jesteś pewna? – spytałam.

– Na sto procent nie, wszystkie informacje mam z drugiej ręki. Ale pewne jest, że potraktują go jako głównego podejrzanego.

– W takim razie trzeba go…

– Ukryć, wiem – ucięła. – Już się tym zajęłam.

Zmarszczyłam brwi. W takim razie po co do mnie dzwoniła? Owszem, wielokrotnie mówiłam jej, że chcę być na bieżąco z prowadzonymi sprawami, ale tylko, jeśli były jakieś istotne kwestie do rozstrzygnięcia. W tym przypadku sama podjęła decyzję.

Odstawiłam kieliszek na kuchenny blat i przysiadłam na skraju, wyglądając przez duże, przeszklone okna na wybrzeże.

– Upewnij się, że tego nie zrobił – poleciłam. – Nie chcę później czarnego PR-u.

– Tak zrobię – zapewniła Jola. – Ale najpierw muszę dopilnować, żeby go nie przymknęli, bo stracimy bezpowrotnie kontakt.

– Mhm – mruknęłam. – To oczywiste, ale przecież nie po to do mnie dzwonisz.

– Nie, nie po to.

– Więc o co chodzi?

– Przejrzałam jeszcze raz wszystkie materiały.

W jej głosie była wyraźna, niemal dziecięca ekscytacja. A także jakaś niewypowiedziana obietnica.

– Ta dziewczyna próbowała przekazać wiadomość – dodała.

– Co takiego? – wypaliłam. – Jaką wiadomość? Komu?

Pytania zabrzmiały w mojej głowie jak salwy armatnie.

– Tego jeszcze nie wiem – odparła Kliza. – Ale mam zamiar się dowiedzieć.

8

Komórkę kupiłem w pierwszym napotkanym komisie, a kartę SIM kawałek dalej, w przydrożnym kiosku. Nie miałem zamiaru tracić czasu, od razu wysłałem wiadomość pod numer wskazany przez dziewczynę z Reimann Investigations.

Oddzwoniła niemal natychmiast.

– W porządku – rzuciła. – Teraz możemy spokojnie rozmawiać.

– Do spokoju mi trochę brakuje.

– Nic dziwnego.

Potarłem nerwowo włosy, rozglądając się. Miałem wrażenie, że każdy z przechodniów oblepia mnie wzrokiem. Wszyscy zdawali się wiedzieć, że znalazłem się na celowniku policji.

– Jak to się stało? – wybełkotałem. – Jak do tego doszło?

– Wszystko z czasem ustalimy, ale teraz…

– Nie – przerwałem jej. – Muszę wiedzieć, co się dzieje. Kto to zrobił? Dlaczego?

Przechodzący obok mężczyzna spojrzał na mnie podejrzliwie, oskarżycielsko. Minąwszy go, obejrzałem się przez ramię, ale zobaczyłem tylko jego oddalające się plecy. Popadałem w paranoję, ale na dobrą sprawę powinienem się tego spodziewać.

– Dlaczego ktoś miałby go zabić? – nie dawałem za wygraną.

– Wszystkiego się dowiemy.

– Kto przeciwko mnie działa? Policja?

– Werner, posłuchaj mnie przez chwilę…

– Czego oni chcą?

– Werner!

Potrząsnąłem głową i się ocknąłem. W gruncie rzeczy obcy mi głos Joli Klizy sprowadził mnie na ziemię, pewnie dlatego, że zabrzmiał, jakby należał do kogoś, kto mnie zna. Uświadomiło mi to, w jak nieciekawym położeniu się znalazłem. Jedyna osoba, której mogłem zaufać, była kompletną nieznajomą.

– Musisz się ogarnąć – dodała. – Ustalimy, co się stało, ale na razie najważniejsze jest, żebyś został na wolności.

Pokiwałem głową jak w transie.

– Jesteś tam?

– Jestem.

– W tej chwili nikt formalnie cię nie ściga, więc musisz zrobić z tego użytek.

– Formalnie…

– Mam na myśli, że nie złamiesz prawa, nawet jeśli dasz nogę za granicę – powiedziała stanowczo, ale jednocześnie z pewną nieśmiałością w głosie. – Nie wszczęto przeciwko tobie żadnego postępowania, nie ma żadnego nakazu. Cieszysz się taką samą wolnością jak każdy inny obywatel. I trzeba to wykorzystać.

– Chcesz, żebym wyjechał z kraju?

– Nie. Ale znacznie więcej zrobię dla ciebie, jeśli będziesz na Pomorzu.

Zatrzymałem się na moście Piastowskim i powiodłem wzrokiem po stalowych łukach. Chodzono po nich tak często, że władze miasta zmuszone były zamontować komiczne ostrzeżenie, że przejście górą jest wzbronione.

Stanąłem po prawej stronie i oparłem się o barierki. Popatrzyłem w kierunku dwóch hoteli na Pasiece – niewielkiej

wysepce, którą otaczały wody Odry i Młynówki. Loża Szyderców znajdowała się po drugiej stronie.

– Nigdzie się nie wybieram – powiedziałem.

– To niezbyt mądre, biorąc pod uwagę…

– Nie mam zamiaru robić mądrych rzeczy – odparłem pod nosem. – Gdyby było inaczej, dawno zgłosiłbym się na policję.

– Nie brzmi to jak rozsądne rozwiązanie, Wern.

– Wern?

– Pasuje – bąknęła.

– Albo Damian, albo Werner. Nie rób ze mnie Werna.

Zawiesiłem wzrok na bulwarach ciągnących się od amfiteatru. Zazdrościłem wszystkim tym ludziom, którzy beztrosko się nimi przechadzali. Nie czuli ciężaru przeszłości, który ja nosiłem na barkach. Nie znajdowali się w tak beznadziejnej teraźniejszości. I nie mieli przed sobą tak mętnej, niepokojącej przyszłości.

Zastanawiałem się, czy jeszcze cokolwiek ode mnie zależy. Bez względu na to, kto stał za tym, co się działo, zdawał się gotów na wszystko. Jeśli potrzebowałem potwierdzenia, wystarczyło, że zamknąłem powieki. Przed oczami nadal miałem obraz zakrwawionego ciała Blitza.

– Może jednak powinienem to zrobić… – mruknąłem.

– Co?

– Zgłosić się na policję.

– W żadnym wypadku. To nigdy nie jest dobry pomysł, a w tej sytuacji szczególnie.

– Właściwie dlaczego nie? – spytałem, odwracając się. Oparłem się plecami o barierkę. – Może popadamy w paranoję? Może służby nie mają z tym nic wspólnego?

– Chcesz to sprawdzić na własnej skórze?

– Dlaczego nie? – odparłem z rosnącą pewnością w głosie. Tylko w głosie. – Może na posterunku będę bezpieczny, w końcu jest

tam monitoring, są ludzie i…

– I już nie w takich sytuacjach dochodziło do tragedii, Wern.

– Werner.

– Mówię tylko, że powinieneś zachować ostrożność. A póki nikt cię formalnie nie ściga, masz prawo swobodnego przemieszczania się.

– Prawo tylko teoretyczne – odpowiedziałem, opuszczając głowę. – Uciekłem z miejsca przestępstwa. Pierwsze, co powinienem zrobić, to stawić się na komendzie.

– Byłeś w szoku.

– Który w końcu minął – odparowałem przez niemal zaciśnięte usta. – Jeśli ta sprawa trafi do sądu, mój wyjazd z miasta będzie co najmniej podejrzany.

– Nie szkodzi.

Prychnąłem, bo pewność siebie tej dziewczyny zdawała się przeczyć wszelkiej logice. Ale może nie powinienem się dziwić – agencje detektywistyczne rzadko żyły w komitywie z policją.

– A skoro mowa o szoku – podjęła Kliza. – Pozbyłeś się telefonu?

– Nie.

– Po co w ogóle zabierałeś go z mieszkania Blickiego?

– Nie wiem.

Przez moment milczała, ale doskonale wiedziałem, co chce mi przekazać. Musiałem wyrzucić jedyną rzecz, która została mi po przyjacielu. Prędzej czy później komórka Blitza stanie się dla mnie obciążeniem.

Nabrałem głęboko tchu, a potem obróciłem się i uważając, by nikt tego nie zauważył, wrzuciłem telefon do Odry. Natychmiast znikł w mętnej wodzie.

– Wiem, że nie chcesz tego słyszeć, ale musisz…

– Załatwione – przerwałem Joli.

– To dobrze.

Kliza znów przez moment się nie odzywała. Przypuszczałem, że niełatwo jej milczeć w sytuacji, kiedy cisza była najbardziej wymownym potwierdzeniem ogromu moich problemów. Zapewne gorączkowo zastanawiała się nad tym, jak ją przełamać. W końcu wybrała najgorzej, jak mogła.

– Nikomu w tej chwili nie możesz ufać.

– Dzięki – odparłem. – Właśnie coś takiego potrzebowałem usłyszeć.

Westchnęła, a ja ruszyłem przed siebie.

– Jeśli nie zamierzasz tu przyjeżdżać, przynajmniej zostań poza radarem.

– Jak?

– We wszystkim ci pomożemy – zapewniła. – Wynajmę ci zaraz pokój w jakimś motelu na przedmieściach. Macie tam coś takiego?

Uniosłem błagalnie wzrok.

– Nie mam z czego opłacić nawet najtańszego zajazdu.

– Tym się na razie nie przejmuj.

– A kto za to zapłaci? Wy? Nagle przekształciliście się w firmę pożyczkową?

Wiedziałem, że w końcu muszę spuścić z tonu i dać spokój tej podejrzliwości. Może i miałem powody, by w pełni nie wierzyć nikomu, ale ludziom, na których polegał Blitzer, powinienem okazać choć namiastkę ufności.

– Zainteresowałam twoją sprawą samą Kasandrę – odezwała się Jola, jakby to miało mi cokolwiek tłumaczyć.

– Kogo?

– Szefową RI.

– Myślałem, że to Robert Reimann jest właścicielem.

– Tak, ale dawno przestał się interesować agencją. Wszystko zależy teraz od jego żony, a ja się postaram, że będzie żyła tą sprawą nie mniej niż ty. Zresztą już jest zaangażowana,

a w miarę jak dochodzenie będzie postępowało, wsiąknie jeszcze bardziej.

– Chyba nie na tyle, żeby opłacać moje noclegi.

– Spokojnie. Ci ludzie nie muszą liczyć każdego grosza.

Albo sugerowała, że ma zamiar ich delikatnie naciąć, albo to ja z zasady spodziewałem się po innych takich rzeczy.

Idąc w kierunku starówki, znów minąłem przechodniów, którzy zdawali się skupiać wyłącznie na mnie. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że to nie żadna złuda. Ale też nic podejrzanego – sam bowiem ściągałem ich uwagę, rozglądając się, jakbym się zgubił.

Zrobiłem głęboki wdech, starając się uspokoić.

– Dlaczego mi pomagasz? – zapytałem.

– Bo wynajął mnie do tego twój kumpel, który nie żyje.

Nie odpowiadałem.

– To niewystarczająco dobry powód? – zapytała. – Czy może uraziła cię bezpośredniość?

Sam nie wiedziałem, na które z tych pytań mógłbym udzielić pozytywnej odpowiedzi.

– Po prostu wydaje mi się to dziwne.

– Chcę się dowiedzieć, dlaczego zginął – odparła. – I chcę pomóc ci znaleźć narzeczoną.

– Złoty człowiek z ciebie.

– To moja robota. A rachunek został już opłacony.

Nie miałem zamiaru dłużej tego ciągnąć. Z Jolą Klizą najwyraźniej coś było nie w porządku. W najlepszym wypadku miała osobliwe zainteresowania, w najgorszym – tkwiło w jej umyśle coś psychopatycznego.

– Jak tylko ustalimy, co stało się z Ewą, dowiemy się wszystkiego innego – dodała.

W tamtej chwili nie byłem tego taki pewien.

– Zacznijmy od zdjęcia, które miałeś na telefonie – ciągnęła. – Możesz opisać mi każdy szczegół?

– Oczywiście, że mogę. Znam każdy piksel.

Krążąc bez celu po śródmieściu, opisywałem jej wszystkie szczegóły, a ona raz po raz mruczała coś pod nosem. Nie miałem pojęcia, do czego potrzebne jej te informacje. Jeśli chciała odnaleźć zdjęcie, należało raczej ugryźć to od strony technologicznej i uzyskać zdalny dostęp do mojej komórki, zamkniętej w jakimś sejfie na komendzie.

– Dobra, przejdźmy do drugiej fotki. Tej z Wrocławia.

Ją pamiętałem nieco gorzej, ale wpatrywałem się w nią odpowiednio długo, by najważniejsze rzeczy natychmiast przywołać z pamięci.

– Facet stojący tyłem miał bluzę Foo Fighters z napisem „There is nothing left to lose". Była na niej też bomba ze skrzydłami, chyba ich logo albo okładka płyty, nie jestem pewien.

– A Ewa? Była podobnie ubrana?

– Niezupełnie. Miała T-shirt z innym napisem.

– Jakim?

– Coś z dobrymi dniami.

– Konkretnie, Wern. Potrzebuję konkretów.

Przez chwilę się zastanawiałem.

– „The better days" – powiedziałem.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Nie brzmisz, jakbyś był.

Miała rację, nie byłem. Nazwę zespołu widziałem wtedy po raz pierwszy, skojarzyła mi się z jakąś indierockową, undergroundową kapelą.

Zatrzymałem się na tyłach niewysokiego bloku i oparłem plecami o ścianę. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że krążyłem

po mieście jak we śnie. Nie wiedziałem nawet, gdzie dokładnie się znajduję. Prawdopodobnie gdzieś w okolicy Andersa i Waryńskiego.

– Może bez „the” – powiedziałem. – Samo „Better days”.

Słyszałem, jak Jola stuka palcami w klawiaturę.

– Z wykrzyknikiem czy bez?

– Bez.

– Więc to nie album *The Bruisers*. Szkoda, grają niezły punk.

Oparłem głowę o ścianę i poczułem, że ćmi mnie w skroniach. Adrenalina powoli opadała, choć być może nie powinna. Sprawiło to, że kac zaczynał akcentować swoją obecność.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytałem.

– Może żadne, a może jakieś – odparła dyplomatycznie Kliza. – Pamiętasz nazwę zespołu?

– Nie.

– Ale to nie byli Foo Fighters?

– Nie, na pewno nie. To była jakaś hiszpańska kapela.

– Jaka?

– Przecież mówię ci, że…

– Skup się, to naprawdę może być ważne.

– Bo?

– Bo zazwyczaj na koncert przychodzisz w ciuchach zespołu, który jest na scenie, prawda?

Miała rację, ale nie przykładałem do tego wielkiej wagi. Ewa nigdy nie przepadała za Foo Fighters, twierdziła, że grają dla niej zbyt chaotycznie. Pamiętałem o tym doskonale, bo Blitzer nieraz starał się nas przekonać, że powinniśmy zainteresować się ich nowym albumem.

Sięgnąłem do pamięci, starając się wyłowić wzór na koszulce. Sprawiał wrażenie raczej amatorskiego bohomazu niż

profesjonalnie wykonanej okładki jakiegoś albumu. Może dlatego od razu pomyślałem o indierockowych zespołach.

– Więc? – ponagliła mnie Jola. – Jak ten zespół się nazywał?

Potarłem skronie, starając się skojarzyć jakiś element z innym, naprowadzić się na właściwy trop lub znaleźć choćby jeden szczegół, który sprawi, że kliknie mi jakaś zapadka w umyśle. W końcu coś mi zaświtało.

– Czekaj… – mruknąłem. – To kojarzyło mi się z tym piłkarzem, który zakładał maskę Spider-Mana.

– Co proszę?

– Był taki argentyński zawodnik, który po strzeleniu gola zakładał tę maskę i udawał, że strzela pajęczyną z nadgarstków.

Kliza milczała.

– Swojego czasu miałem hopla na punkcie Spider-Mana.

– Aha.

– Ewa dzielnie to znosiła, mimo że sama w dzieciństwie chyba nie była na niczym tak zafiksowana. Może z wyjątkiem archeologii. Szczególnie interesowały ją początki osadnictwa na ziemiach polskich.

Jola chrząknęła cicho.

– Każdy ma jakieś zboczenie – dodałem.

Nadal nie odpowiadała, a mi przeszło przez myśl, że może nie przez przypadek na koszulce pojawiła się kapela, której nazwa kojarzyła mi się z ulubioną postacią komiksową.

Nie, to musiał być przypadek. Doszukiwałem się ukrytego znaczenia tam, gdzie go nie było.

A może nie?

– Sprawdź to w…

– Właśnie wyguglałam – ucięła Jola. – Ten piłkarz to Jonás Gutiérrez.

Pstryknąłem palcami.

– Gutiérrez – powiedziałem. – Taki napis był na koszulce.

Moja rozmówczyni znów zamilkła, a ja miałem tego serdecznie dosyć. O ile wcześniej mogłem potraktować to jako komentarz do fascynacji Człowiekiem Pająkiem, o tyle teraz wydawało mi się to niepokojące.

– Jesteś tam? – zapytałem.

– T-tak…

Głos miała słaby, jakby nagle opuściły ją wszystkie siły. Mogłem wyobrazić sobie, jak pobladła.

– Coś nie w porządku?

– Ta nazwa… – jęknęła. – To była Natalia Gutierrez Y Angelo?

– Możliwe.

– Boże…

– O co chodzi?

Nie odpowiadała.

– Halo! – krzyknąłem, poirytowany. – Co się dzieje?

– Więcej, niż mógłbyś przypuszczać.

9

Nie przemyślałam tego.

Kiedy Kliza zapytała, czy może przyjechać do willi, zamiast przekazywać mi wszystko przez telefon, od razu się zgodziłam. Nie wzięłam pod uwagę, że tym samym zdenerwuję Roberta. Nie lubił, kiedy podejmowałam takie decyzje bez konsultacji z nim.

Dla innych par byłaby to prozaiczna kwestia. Znajomi mogli przecież wpaść nawet bez zapowiedzi. U nas było jednak inaczej. Jeśli kogoś podejmowaliśmy, wszystko musiało być ustalone kilka dni wcześniej. Robert musiał się przygotować – i dać mi czas, bym przygotowała dom.

Przyjechali z Wojtkiem jeszcze przed Klizą, więc miałam okazję zachować przynajmniej minimum pozorów, że mąż ma cokolwiek do powiedzenia.

Wojtek rzucił plecak na podłogę w przedpokoju, a potem od razu ruszył w kierunku swojego pokoju.

– A ty dokąd? – spytałam, stając w progu salonu.

Zatrzymał się i zmierzył mnie wzrokiem.

– Cześć, mamo.

– Cześć, szkodniku.

Podszedł i mnie uściskał. Był jeszcze w takim wieku, kiedy robił to bez zażenowania, ale doskonale zdawałam sobie sprawę, że to kwestia jeszcze trzech, może czterech lat. Wystarczy, że kiedyś dam mu buziaka pod szkołą, jego koledzy to zobaczą, a potem skwitują drwinami. Tego dnia wróci do domu ze zwieszoną głową i skończą się wszelkie czułości.

Zmierzwiłam mu włosy i chciałam powiedzieć, żeby zabrał plecak, ale Robert już go podnosił. Był świetnym ojcem, właściwie najlepszym, jakiego mogłabym sobie wymarzyć dla Wojtka. Może brakowało mu trochę perspektywicznego myślenia, kiedy podjeżdżał pod podstawówkę bmw, ale w każdym innym względzie był niemal idealny.

To, czego brakowało mu jako mężowi, nadrabiał jako ojciec. I może dlatego początkowo godziłam się na to, co mi robił. Potem stało się to powszedniością. Przeżywaniu tych trudnych chwil nie towarzyszyła żadna refleksja.

A nawet jeśli, to znikała tak szybko jak mój upór po ostatniej aferze.

– Co w szkole? – spytałam.

Młody zerknął w kierunku pokoju. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że marzy już tylko o tym, by siąść przy laptopie. Mimo że

w szkole na pewno cały czas miał dostęp do sieci dzięki smartfonowi, a w samochodzie od razu włączył tablet.

– Nic ciekawego – odparł.

Z nim też miałam codzienny taniec do wykonania. Zaczynało się od „nic ciekawego", ale stopniowo wyciągałam z niego szczegóły. Tego dnia jednak nie mogłam sobie na to pozwolić. Przepuściłam go do pokoju, a potem posłałam zdawkowy uśmiech Robertowi, kiedy stawiał plecak za progiem.

Nadal patrzył na mnie z pewną obawą, zupełnie jakby spodziewał się, że jego wczorajsze przekroczenie kolejnej granicy sprowadzi na niego ogień piekielny. I że to ja wywołam płomienie.

Zbliżyłam się i wzięłam go za rękę.

– Kliza trafiła na coś istotnego – powiedziałam cicho. – Najwyraźniej ta dziewczyna wysłała jakąś wiadomość.

– Wiadomość?

– Jola nie chciała przez telefon podać szczegółów. Chce pogadać twarzą w twarz.

– To może jednak podrzucę cię do Baltic Pipe.

– Powiedziałam, że może przyjechać tutaj – odparłam szybko. – To nie zajmie dużo czasu, usiądziemy w moim gabinecie na piętrze.

Właściwie nie było to pełnoprawne piętro, ale jedynie poddasze użytkowe. Pokój był jednak dość przestronny, a ja uwielbiałam skosy. Było to moje sanktuarium, w którym czułam się najlepiej.

Początkowo nie wiedziałam, dlaczego tak jest, ale potem zrozumiałam, że było to jedno z niewielu pomieszczeń w willi, gdzie Robert prawie nigdy nie wchodził. I jedno z tych, w których nigdy mnie nie uderzył.

Jeszcze.

Odsunęłam tę myśl, choć widząc jego spojrzenie, przyszło mi to z trudem.

– Tutaj? – spytał, a potem zacisnął usta.

Pokręcił głową, odwrócił się i wszedł do kuchni. Milczał, nerwowo pociągając za drzwiczki lodówki. Znów pokręcił głową. Niemal fizycznie odczuwałam, jak narasta w nim złość.

Widziałam też, ile sił kosztuje go, by ją powstrzymać.

Wyciągnął wino i nalał sobie do kieliszka. Opróżnił go dwoma szybkimi łykami.

– Ile razy będziemy to przerabiać? – odezwał się.

– Zapytała, a ja po prostu…

– Przecież wiesz, że nie lubię niespodziewanych gości.

– Wiem, ale to tylko służbowa sprawa. Załatwimy to szybko u mnie w gabinecie.

– Nie mogłyście spotkać się w Balticu?

W końcu się odwrócił. Widziałam, jak pretensje jedna po drugiej rozpalają się w jego oczach.

– Co ci tam nie odpowiada?

– Nic, ale nie chciałam cię fatygować.

– To żadna fatyga. Z pewnością mniejsza niż znoszenie tutaj obcej osoby.

– To twoja pracownica, Robert.

Zrobił krok w moim kierunku tak zdecydowanie, że mimo woli się cofnęłam. Zazwyczaj była to zapowiedź tego, że zaraz zacznie się rozróba. Tym razem jednak w porę się powstrzymał.

– Nie będzie tutaj nawet wchodzić – powiedziałam, rozglądając się po połączonym z kuchnią salonie. – Od razu pójdziemy na górę.

Nie odzywał się. Wbijał we mnie wzrok jeszcze przez chwilę, a ja obawiałam się, że za moment straci kontrolę. Uderzy mnie, a potem nie będzie już odwrotu. Ostatecznie nie martwiło mnie to, że dojdzie do rękoczynów, ale to, że będę zmuszona odwołać spotkanie. Może sam to zrobi, wykręcając numer Klizy

i informując ją, że źle się poczułam. Przerabialiśmy podobne scenariusze już nieraz.

Zanim jednak zrobił kolejny krok w moim kierunku, rozległo się buczenie informujące, że ktoś stanął przy bramie. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Mogę ją odprawić – powiedziałam niepewnie.

– Teraz? – prychnął. – I co jej powiesz?

– Nie muszę się przecież przed nią tłumaczyć.

– Nie – odparł chłodno. – Niech wejdzie.

Sam otworzył bramkę, a potem zajął miejsce na końcu kanapy, tak by nie było go widać z korytarza. Siedział w milczeniu, kiedy wraz z Jolą szłyśmy na piętro.

Przypuszczałam, że Kliza zachowa się dokładnie tak jak każdy inny gość, który odwiedza nas po raz pierwszy. Rozglądaniu się nie było końca. Podobnie jak komplementom i wyrazom zachwytu. Jednych urzekał widok z salonu, gdzie niemal cała ściana była przeszklona. Dla innych imponujące okazywały się regały z książkami, którymi zastawiliśmy całą klatkę schodową.

Jola przeszła jednak do mojego gabinetu, jakby niczego nie dostrzegała. Odezwała się dopiero w środku, siadając przy niewielkim stoliku pod dużymi oknami dachowymi. Oprócz niego stały tu moje biurko, kilka krzeseł i niewielkie witryny z książkami.

Oparła łokcie na blacie i potarła nerwowo twarz, zostawiając na policzkach czerwone ślady. Potem popatrzyła na mnie w sposób, który sprawił, że przez moment przypominała mi widmo.

– To jest jakieś nieprawdopodobieństwo – oznajmiła. – Kompletnie popieprzona sprawa.

Usiadłam obok niej.

– Co odkryłaś?

– Właściwie nie ja, tylko sam Wern.

Uniosłam brwi.

– To znaczy Werner – dodała pod nosem, a potem machnęła ręką. – Na dobrą sprawę dotarliśmy do tego wspólnymi siłami. Ale to Ewa wszystko zainicjowała.

– Co konkretnie?

Jola poprawiła się na krześle i odchrząknęła.

– Na tym zdjęciu, które niestety ktoś zaiwanił z profilu spotted, Ewa była w koszulce, która niewiele miała wspólnego z Foo Fighters.

– Hm? – mruknęłam.

– To był ich koncert. A ona miała T-shirt z inną kapelą.

– I co z tego?

– Tylko tyle, że przykuło to moją uwagę. Wern pogrzebał w pamięci, ja trochę mu pomogłam i ustaliliśmy, że na koszulce byli Natalia Gutierrez Y Angelo.

– Nie kojarzę.

– *Better days*? – podsunęła.

– Wciąż nic mi to nie mówi.

– A powinno, bo to była głośna sprawa.

Spojrzałam na nią lekko poirytowana, bo obawiałam się, że zanim przejdzie do rzeczy, Robert zapuka do drzwi, przeprosi Jolę i oznajmi, że z jakiegoś powodu musimy wyjść. Na chwilę okiełznał emocje, ale znałam swojego męża wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że to nie potrwa długo.

– Słyszałaś na pewno o FARC – podjęła Kliza.

– Słyszałam. Jakiś czas temu zawarli kontrowersyjny pokój z rządem w Kolumbii.

Kojarzyłam tę rewolucyjną partyzantkę tylko dlatego, że swojego czasu w mediach wyjątkowo głośno było o pokoju ustanowionym w dwa tysiące szesnastym roku po pięciu dekadach krwawej wojny domowej. Straciło w niej życie ponad dwieście

tysięcy ludzi, a pięć milionów było zmuszonych do przesiedleń. Główny budowniczy porozumienia, Santos, dostał Pokojową Nagrodę Nobla, ale nie dlatego sprawa zapadła mi w pamięć.

Kolumbijczycy mieli bowiem w referendum zatwierdzić pokój, ale odrzucili go niewielką większością głosów. Nie godzili się na to, że niektóre zbrodnie w ramach układu miały pozostać bez kary.

Ich podejście było nieracjonalne, ale z jakiegoś powodu mi się podobało.

– Świetnie – rzuciła Jola. – W takim razie wystarczy, że powiem ci o najważniejszych rzeczach.

Ponagliłam ją ruchem ręki, wciąż niepewnie patrząc w stronę drzwi.

– W dwa tysiące dziesiątym kolumbijskie siły specjalne urządzały serię nalotów na obozy FARC – powiedziała Kliza, prostując się. – W jednym z nich zamierzano odbić zakładników, którzy byli tam przetrzymywani przez niemal dziesięć lat. Wcześniej konieczne było jednak przekazanie im wiadomości.

– Dlaczego?

– Bo FARC miał prostą politykę zniechęcania rządu do odbijania zakładników. Strzelali do nich, jak tylko zachodziło podejrzenie, że mogą zostać odbici.

– Rozumiem.

– Dowodzący akcją pułkownik Espejo miał więc problem: jak przekazać tym ludziom, że nadciąga pomoc i że mają przygotować się do ucieczki? Od dziesięciu lat nie było z nimi kontaktu, a każda publicznie nadana, nawet zaszyfrowana informacja szybko zostałaby rozpoznana przez partyzantów.

Pokiwałam głową, licząc na to, że Kliza przyspieszy.

– Wojskowy postanowił zatrudnić Juana Carlosa Ortiza, specjalistę od marketingu, który miał opracować innowacyjną

metodę pozwalającą na przemycenie wiadomości.

– I na co wpadł?

– Na kod Morse'a.

– To niezbyt innowacyjne.

– Partyzanci go za dobrze nie znali – ciągnęła niezrażona Kliza. – Przetrzymywani wojskowi za to jak najbardziej. Ortiz wyszedł z założenia, że rozpoznają go natychmiast.

– To wciąż…

– Nie mogli oczywiście nadać go bezpośrednio. Bojówkarze z FARC nie musieli umieć go rozszyfrować, by wiedzieć, że ktoś nadaje wiadomość i coś się szykuje. Zresztą problemem było też to, jak sprawić, by taki sygnał w ogóle dotarł do zakładników. Byli przetrzymywani w dżungli, z dala od cywilizacji. Ortiz wymyślił więc, żeby zakodować go w piosence, którą potem będą puszczać w kółko w największych rozgłośniach radiowych.

Zmarszczyłam czoło.

– Wynajęli więc dwójkę artystów i cały zespół kompozytorów, by stworzyć odpowiednią melodię. Okazało się to dość proste, a w refrenie zakodowano składający się z dwudziestu słów przekaz. Całość brzmiała jak typowy popowy hit, z elektronicznymi wstawkami, które w istocie były kodem Morse'a.

– Nieźle.

– Nadawano piosenkę przede wszystkim w okolicach dżungli, szacowało się, że usłyszało ją około trzech milionów odbiorców. Ale tylko ci, którzy powinni, rozpoznali zakodowaną wiadomość. Odbicie zakładników się powiodło.

– Ale jaki to ma związek z Ewą?

– Taki, że tych dwoje nieznanych artystów, którzy dotychczas pracowali jedynie przy dżinglach radiowych, nazywało się Natalia

Gutierrez Y Angelo. A piosenka, w której był zakodowany przekaz, miała tytuł…

– *Better days*.

Jola zaczesała włosy do tyłu, wyraz satysfakcji pojawił się na jej twarzy. Bodaj po raz pierwszy widziałam ją tak zadowoloną.

– Nie było żadnych dodatkowych nagrań, żadnych komercyjnych wydań, a tym bardziej żadnych T-shirtów – dodała. – Fakt, że Ewa miała taką koszulkę na koncercie, to wiadomość.

– Jaka?

– Że jest wciąż przetrzymywana wbrew swojej woli.

Wstałam od biurka i przeszłam po gabinecie. Na moment zatrzymałam się przed dużymi oknami dachowymi i spoglądałam na chmury wolno sunące po niebie. Potem odwróciłam się do Klizy.

– To by znaczyło, że ci ludzie po gwałcie nad rzeką ją porwali – zauważyłam.

Jola kiwnęła głową.

– I że przez dziesięć lat ta dziewczyna przechodziła niebywały horror.

– Niestety – przyznała Kliza. – Ale nie mam wątpliwości, że koszulka to wołanie o pomoc. Nieprzypadkowo Ewa pojawiła się akurat na tym koncercie. Miała pewność, że będzie tam Blitzer.

– Tak sądzisz?

– Wiedziała, że ma niemal obsesję na punkcie Foo Fighters. Nie przegapiłby takiego wydarzenia, szczególnie że odbywało się niedaleko Opola.

Przysiadłam na komodzie i potarłam w zamyśleniu szyję.

– Ale na zdjęciu miała się podobno dobrze bawić – zauważyłam.

– Według Werna tak wyglądała.

– To nie pasuje do wersji z przetrzymywaniem siłą.

– Może kazali jej udawać.

– Może – przyznałam. – Ale dlaczego w ogóle mieliby puszczać ją na ten koncert? To bez sensu.

– Wręcz przeciwnie.

Spojrzałam na Klizę pytająco.

– W wielu przypadkach porwań dziewczyny są od czasu do czasu wypuszczane, choć dobrze pilnowane. Kidnaperom chodzi o to, żeby zakładnik po latach odosobnienia poczuł się przytłoczony zewnętrznym światem. By zobaczył, jak obcy mu się stał. I by chętnie wrócił do miejsca przetrzymywania.

– I twoim zdaniem ich przechytrzyła.

Jola znów poprawiła włosy. Tym razem ruchy były już znajome, nerwowe, niemal neurotyczne.

– Musiała przygotowywać się do tego od dawna – powiedziała. – Samo zamówienie koszulki nie mogło być łatwe. Ale widocznie gdziekolwiek ją trzymają, ma trochę swobody. Na tyle, by przekazać wołanie o pomoc.

Patrzyłyśmy na siebie, jakbyśmy chciały zrozumieć wszystkie implikacje i jednocześnie się przed nimi wzbraniały.

– Dziesięć lat… – jęknęłam.

– Wiem, okropne.

– Co musiało się z nią dziać przez ten czas?

Kliza wzruszyła ramionami, ale nie było w tym geście ani trochę obojętności.

– Po gwałcie zostawili Werna na brzegu, a ją musieli władować do samochodu i gdzieś wywieźć. Prawdopodobnie znęcali się nad nią, pewnie długo robili z nią to, co nad Młynówką. Dopóki jej nie złamali. Dopóki nie zagwarantowali sobie jej uległości.

Zamilkłyśmy na moment. Był stanowczo zbyt długi. Nawet kilka sekund wystarczyłoby, byśmy obie pogrążyły się w przybijającej świadomości tego, co to wszystko oznaczało.

Chciałam się odezwać i zapytać, czy Klizie udało się ustalić, jak brzmi wiadomość od Ewy – i czy w ogóle coś więcej możemy ustalić – ale rozległo się pukanie do drzwi. Nie czekając na odpowiedź, Robert wszedł do środka. Uśmiechnął się dobrotliwie i przepraszająco.

Wiedziałam, co zaraz powie. A jakby na potwierdzenie tego spojrzał wymownie na zegarek.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale będziemy zbierać się do wyjścia – oznajmił. – Mamy spotkanie, na które nie możemy się spóźnić.

Kliza podniosła się, jakby krzesło zaczęło ją palić.

– Oczywiście, to ja przepraszam, panie Reimann.

– Nie ma problemu.

– Posłuchaj, Robert… – zaczęłam.

– Naprawdę zaraz się spóźnimy – odparł i przyjął wyraz twarzy, który świadczył o tym, z jak ciężkim sercem jest zmuszony wyprosić Jolę.

Był świetnym aktorem. A ja wiedziałam, że tej nocy nie zaliczę do spokojnych.

10

Starałem się wyciągnąć z pamięci każdy najmniejszy szczegół tej przeklętej koszulki. Każdy detal ujęcia, ułożenie ciała Ewy, jej wyraz twarzy, cokolwiek, co mogłoby okazać się pomocne.

Coś z pewnością było. Po tym, co powiedziała mi Kliza, nie miałem wątpliwości, że to nie tylko wołanie o pomoc, ale także coś więcej. Zakodowana wiadomość, a może nawet wskazówka, gdzie szukać Ewy.

Pamięć jednak mnie zawodziła. Z pewnością nie pomagał ból głowy, zmęczenie i wciąż powracające obrazy zakrwawionej pościeli w mieszkaniu Blitza. W dodatku nadal ciążyła mi świadomość tego, że jestem poszukiwany. Jeśli jeszcze nie formalnie, to faktycznie już na pewno. Pierwszy lepszy policjant, który by mnie rozpoznał, już nie spuściłby mnie z oczu.

Wiedziałem, że muszę odpocząć, choć trochę odświeżyć umysł i pozwolić mu działać.

Kliza zadzwoniła pod godzinie, może półtorej po naszej ostatniej rozmowie.

– Gdzie jesteś? – zapytała.

– Z powrotem na Zaodrzu.

– Powinieneś opuścić miasto. Jak najszybciej.

– Taki mam zamiar, ale…

– Wiesz, gdzie są Chrząstowice?

– Mhm – potwierdziłem.

– Jest tam jakiś hotel, przy drodze na Częstochowę.

– Znam go.

Mało kto go nie znał. Pod Opolem były dwa duże kompleksy tenisowe, jeden w Chrząstowicach, drugi w Zawadzie. I powstały jeszcze w czasach, kiedy nikt w Polsce nie znał nazwiska Agnieszki Radwańskiej.

– Zatrzymasz się tam na jakiś czas – powiedziała Kliza. – Pokoi jest sporo, więc nikt nie powinien zwrócić na ciebie uwagi. Poza tym wygląda mi to na przydrożny motel, musi przewijać się tam sporo anonimowych ludzi.

– Niezupełnie – zaoponowałem. – To, że jest przy przelotówce, nie znaczy…

– Mniejsza z tym.

Uniosłem wzrok i opuściłem nieco telefon.

– Musisz cały czas wpadać mi w słowo? – zapytałem.

– Chcę szybko załatwić, co ważne.

– W takim razie zastanów się nad innym miejscem, bo w tym hotelu jest restauracja, do której często przyjeżdżają ludzie z miasta.

Jola mruknęła pod nosem coś niezrozumiałego. Przypuszczałem, że przekleństwo.

– Można poruszać się po hotelu bez wchodzenia do restauracji?

– Tak, ale…

– W takim razie szybko się zameldujesz i nie będziesz się tam pokazywał.

Nie miałem siły protestować. Zresztą może miała rację. Tak czy inaczej, potrzebowałem miejsca, w którym będę mógł na spokojnie zastanowić się nad tym, co jeszcze znajdowało się na zdjęciu. Klątem w duchu, myśląc, że wciąż bym je miał, gdybyśmy nie zaalarmowali porywaczy Ewy.

Jednej rzeczy jednak nie rozumiałem.

– Wern? Jesteś?

Zrezygnowałem już z prób poprawiania jej.

– Zastanawiam się nad czymś.

– Nie zastanawiaj się, tylko działaj.

– To twoje motto?

– Nie, ale może powinno się stać twoim.

Zamilkłem, wodząc wzrokiem za przejeżdżającymi samochodami. Paranoiczne poczucie chyba ustępowało, bo odniosłem wrażenie, że nikt nie zwraca na mnie uwagi.

– Kim jest Phil Braddy? – zapytałem.

Kliza nie odpowiadała.

– Po której stronie stoi? I jaki ma w tym wszystkim interes?

Kiedy cisza po drugiej stronie się przeciągała, odchrząknąłem znacząco.

– Co mam ci powiedzieć? – odburknęła Jola.

– Cokolwiek.

– Ustaliłam tylko tyle, że po usunięciu konta nie założył go na nowo. Nie ma po nim żadnego śladu.

Wzdrygnąłem się na myśl, że mógł go spotkać taki sam los jak Blitzera. Nie, to było niemożliwe. Ktokolwiek porwał Ewę, nie miał tak dużych możliwości, by dosięgnąć kogoś w Wielkiej Brytanii.

Miałem nadzieję, że się nie mylę.

– Dojedziesz do tego hotelu komunikacją miejską?

Potrząsnąłem głową, jakbym przebudził się ze złego snu.

– Autobusy zatrzymują się przy ogródkach działkowych.

– Nic mi to nie mówi.

– Stamtąd dojdę piechotą.

– Bylebyś nie rzucał się w oczy.

– Nie będę – zapewniłem ją, odnosząc wrażenie, że znalazłem się w obcym, surrealistycznym świecie. Tak naprawdę nie miałem pojęcia, jak się w nim odnajdę. Ani czy rzeczywiście uda mi się nie rzucać w oczy.

Ruszyłem w kierunku najbliższego przystanku autobusowego, myśląc o niepewnej przyszłości, która mnie czekała.

– Co dalej? – zapytałem.

– Przyjadę po ciebie.

Właściwie niczego to nie rozwiązywało, ale w jakiś sposób podniosło mnie na duchu.

– Zostaniesz przez jakiś czas u mnie, ukryjesz się.

– Jesteś pewna?

– Inaczej bym ci tego nie proponowała. Potem się zastanowimy, co robić dalej.

– Wolałbym zastanowić się teraz – odbąknąłem. – Nie mamy zdjęcia, nie mamy żadnego tropu. Tylko informację, że Ewa potrzebuje pomocy. I skoro ci ludzie usunęli wszystko

z Facebooka, najwyraźniej połapali się w sytuacji. Rozumiesz, co to może oznaczać?

Przypuszczałem, że w tym wypadku jej milczenie nie wynikało z niewiedzy.

– Przetrwała dziesięć lat, przetrwa jeszcze trochę – powiedziała po chwili Kliza. – Najwyraźniej potrafi o siebie zadbać.

Co do tego nie miałem wątpliwości. Ale nie chciałem nawet myśleć o tym, co będzie musiała zrobić, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Porywacze musieli być wściekli, kiedy dowiedzieli się, że próbowała się ze mną skontaktować.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że tak naprawdę było. Po dekadzie Ewie w końcu udało się coś mi przekazać. Żyła. Próbowała działać, walczyła o swoją wolność. To było najważniejsze.

– Potrzebuje naszej pomocy – odezwałem się, dochodząc do przystanku. – I to jak najszybciej.

– Zrobimy, co trzeba, Wern.

– Czyli?

– Przeanalizujemy wszystko na spokojnie. Odpoczniesz trochę i przypomnisz sobie szczegóły tamtego zdjęcia.

– Nawet jeśli, to nie wszystkie. Potrzebujemy czegoś więcej.

Przesunąłem palcem po rozkładzie jazdy, szukając siedemnastki. Wiedziałem, że rusza z pętli przy Dambonia i dociera do działek na Częstochowskiej. Stamtąd do hotelu będę miał jakieś pięć, może sześć kilometrów.

Ale nie byłem przekonany, czy to właściwy kierunek.

– Co sugerujesz? – zapytała Jola.

– Że wrócę do mieszkania Blitza.

– Zwariowałeś?

– Może zrobił jakiś zrzut ekranu, może gdzieś na jego laptopie jest coś, co…

– Zdecydowanie zwariowałeś – wpadła mi w słowo Kliza. – Nie dość, że policja od razu cię przydybie, to jeszcze niczego nie znajdziesz. Nie widzisz, jak skrupulatni są ci ludzie?

Nie miałem zamiaru się z nią spierać, w głębi ducha wiedząc, że ma rację. Może nawet oczekiwałem, że obali ten pomysł.

– Rób, co mówię, Wern. Wyjdziesz na tym dobrze.

– Na niczym nie wyjdę już dobrze.

Spojrzałem na zegarek. Do odjazdu autobusu został mi mniej więcej kwadrans. Usiadłem pod wiatą i zwiesiłem głowę.

– A najgorzej na bierności – dodałem. – Dlatego zamierzam działać.

– Jak?

– Wykorzystam ten profil spotted. Ale nie będę poszukiwać konkretnej osoby, tylko zdjęć z tamtego koncertu.

Jola westchnęła prosto do słuchawki.

– Przejrzałam wszystkie, jakie były w necie – powiedziała ciężko. – Na żadnym z nich nie widać Ewy. Albo zadbali o to, by je usunąć, albo uważali, żeby nikt jej nie uwiecznił. A ten jeden wypadek mógł być ich potknięciem.

– Bo zwracali uwagę głównie na obiektywy aparatów, a nie na smartfony?

– Tak przypuszczam.

– A więc może być więcej zdjęć, tyle że nikt ich nie opublikował.

Nie musiała potwierdzać, tyle było oczywiste. Takie wydarzenia ludzie dokumentowali przecież już nie w pamięci, ale w telefonach komórkowych. Nie patrzyli na główne atrakcje, ale na ekrany smartfonów, na których je rejestrowali.

– To nie jest dobry pomysł, Wern.

– Na lepszy nie wpadniemy.

– Możesz sprowadzić kłopoty nie tylko na siebie, ale i na nią. Jeśli porywacze zobaczą, że szukasz kolejnych zdjęć, pogorszysz

jej sytuację.

– Dlaczego? – odparowałem. – Założą, że po prostu desperacko poszukuję czegokolwiek, co może mi pomóc.

Chciałem tak myśleć. Chciałem wyobrażać sobie ich jako grupę kilku tępych kidnaperów, którzy z profesjonalistami nie mieli wiele wspólnego. Wiedziałem jednak, że staram się oszukać samego siebie.

– To jedyna szansa – powiedziałem.

Kiedy autobus zatrzymywał się przy przystanku, a w powietrzu rozniósł się smród spalin, miałem wrażenie, że przynajmniej częściowo przekonałem Klizę. Nie wiedziałem jednak, czy siebie także.

Ryzykowałem nieco, prosząc ojca, żeby spotkał się ze mną na jednym z przystanków, na których zatrzymywała się siedemnastka. Potrzebowałem jednak laptopa i w tej sytuacji nawet mój stary asus musiał wystarczyć.

Nie miałbym jak się skontaktować z ojcem, gdyby nie to, że ten nie zmienił numeru, od kiedy kupił pierwszy telefon – a było to jeszcze w czasach, gdy na wszelki wypadek numery się zapamiętywało. Teraz nowe wprowadzałem do pamięci telefonu i natychmiast wyrzucałem z głowy.

Niewielką torbę z laptopem ojciec przekazał mi w drzwiach, kiedy mijali nas wysiadający na przystanku pasażerowie.

– Matka dorzuciła trochę jedzenia – powiedział.

Po raz pierwszy od długiego czasu nie musiałem zmuszać się do uśmiechu. Spojrzeliśmy na siebie, nie wymieniając już ani słowa więcej. Kiedy drzwi się zamknęły, widziałem, jak ojciec odprowadza wzrokiem odjeżdżający autobus.

Miałem wrażenie, jakbym cofnął się w czasie do lat dzieciństwa, kiedy wyjeżdżałem na kolonie czy zielone szkoły. Obawiałem się jednak, że analogia jest niewłaściwa. Wtedy opuszczałem miasto

z poczuciem, że niebawem wrócę. Teraz mogłem mieć pewność, że tak się nie stanie.

Zameldowałem się w hotelu i wydawało mi się, że nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Torba z laptopem właściwie mogła okazać się pomocna także do stworzenia choćby namiastki pozorów, że jestem w podróży.

W pokoju otworzyłem wysłużony sprzęt i spojrzałem na klawisze, które były najbardziej powycierane. W, A, S, D. Oczywiście, obowiązkowy widok na komputerze każdego gracza.

Uruchomienie wi-fi zajęło mi trochę czasu, a sprzęt działał, jakby miał zaraz wyzionąć ducha. W końcu jednak udało mi się założyć nowe konto na Facebooku, wgrać pierwsze lepsze zdjęcie profilowe, a potem dodać nawet kilka przypadkowych osób jako znajomych.

Dopiero wtedy umysł wskoczył na odpowiednie tory i uświadomiłem sobie, że nie muszę korzystać z profilu spotted. Znacznie lepiej będzie zamieścić prośbę o udostępnianie zdjęć na polskim fanpage'u Foo Fighters. Jeśli porywacze byli profesjonalistami, monitorowali także to miejsce, ale uznałem, że w ten sposób będę mieć większą szansę trafienia na Ewę.

Odświeżałem stronę średnio co kilkanaście sekund, licząc na to, że zdarzy się cud i ktoś od razu zareaguje. Nie precyzowałem swojej prośby – napisałem tylko, że poszukuję zdjęć z koncertu. Przeszło mi przez głowę, że dzięki temu być może przechytrzę porywaczy. Szybko jednak odsunąłem tę myśl. Udowodnili już, że są wyjątkowo czujni.

Po godzinie pojawiły się pierwsze fotografie. Głównie z komórki, oznaczono na nich znajomych, jakby była to dobra okazja, by powspominać niedawne wrażenia.

Przeglądałem je leniwie, nie spodziewając się, że gdziekolwiek zobaczę Ewę. Od dziesięciu lat szczęście mi nie dopisywało, nie

miałem powodu sądzić, że w tej kwestii cokolwiek się zmieni.

I nie zmieniło się. Spędziłem cały wieczór na próbach wyłowienia Ewy z tłumu, ale na próżno. Przysypiałem już, kiedy nagle rozległ się głośny, ale krótki dźwięk. W pierwszej chwili byłem zdezorientowany, nie wiedziałem, skąd pochodzi. Potem uświadomiłem sobie, że to nowa komórka informuje mnie o przyjściu esemesa.

Sięgnąłem po telefon bez entuzjazmu. Kliza z pewnością by zadzwoniła, a ojcu przekazałem, by nie kontaktował się ze mną pod tym numerem w żaden sposób, bo może napytać biedy zarówno sobie, jak i mnie.

A mimo to wiadomość pochodziła właśnie od niego.

„Włącz telewizję".

Więcej nie napisał, więc nie miałem pojęcia, czego się spodziewać. Rozejrzałem się za pilotem, a potem zrobiłem to, co sugerował ojciec. Na Jedynce, Dwójce i czołowych stacjach komercyjnych nie znalazłem niczego, co mogłoby mnie zainteresować.

Dopiero po przeskoczeniu na TVN24 zrozumiałem, w czym rzecz.

„W Opolu po 10 latach odnaleziono ciało zaginionej dziewczyny" – brzmiała wiadomość na żółtym pasku informacyjnym.

11

Wiedziałam, że do zachodu słońca jestem bezpieczna. Prowadziłam właściwie dwa oddzielne życia – to pierwsze, za dnia, dzieliłam z troskliwym, opiekuńczym i romantycznym mężem. To drugie, które rozpoczynało się nocą, spędzałam z zupełnie innym człowiekiem.

Pomogłam Wojtkowi w uporaniu się z zadaniem domowym, potem udało mi się przeczytać jeszcze kilka stron ostatniej powieści Stephena Kinga. Ceniłam go, ale nie za to, że potrafił zasiać w czytelniku strach – tego w rzeczywistości miałam zbyt wiele. King przyciągał mnie do siebie tym, jak portretował i jak obnażał te najmroczniejsze, drzemiące w ludzkiej psychice demony. Czytając o nich, miałam wrażenie, jakby amerykański pisarz doskonale poznał i zrozumiał moje życie.

Tej nocy wiedziałam jednak, że nie poczytam za długo. Utwierdziłam się w tym przekonaniu, już kiedy Robert wszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Zrobił to zbyt powoli, zbyt spokojnie. Jakby chciał teatralnie okazać swoje opanowanie.

Potem odwrócił się do mnie i posłał mi długie spojrzenie.

Czy walczył ze swoimi własnymi demonami? Próbował jeszcze oszukać samego siebie, że zdoła powściągnąć emocje? Bił się z myślami? Zrobił wszystko, co mógł, żeby nie dać się temu, co znajdowało się w mrokach jego psychiki?

Nie wiedziałam. Z pewnością stwarzał takie wrażenie, ale trudno było przesądzić, czy to tylko fasada, czy może powidoki prawdziwej walki, jaką toczył.

– Naprawdę musiałaś? – zapytał.

Nie odzywałam się. Nauczyłam się już, że to najlepsze rozwiązanie. Jeśli zaczynałam przepraszać, tylko go nakręcałam. Czuł się coraz bardziej panem sytuacji. Panem mnie.

Jeżeli decydowałam się na odwrotne podejście i próbowałam stawić mu opór, początkowo był nieco zbity z tropu, ale ostatecznie bił mocniej i dłużej.

– Nie mogłaś poczekać do jutra, żeby się z nią spotkać?

Podszedł bliżej, wsuwając ręce do kieszeni jeansów. Zupełnie jakby dzięki temu pięści miały nie pójść w ruch.

– Pytam cię o coś.

– To była nagląca sprawa.

– Tak?

Stanął przy łóżku, a ja zamknęłam książkę i odłożyłam ją na stolik. Absurd tej sytuacji polegał na tym, że doskonale wiedziałam, co się zaraz stanie, a zarazem miałam nadzieję, że w ostatniej chwili coś się zmieni.

Nie powinnam się łudzić. Ale co ranek Robert kazał mi sądzić, że jeśli jeszcze kiedykolwiek dojdzie do podobnej sytuacji, powstrzyma się w porę. Sam chyba w to wierzył, przez co ja także miałam nadzieję.

– Spierdoliłaś mi cały wieczór – rzucił.

– Naprawdę musiałyśmy porozmawiać.

– Są telefony, jest internet, do kurwy nędzy, przecież jest tyle sposobów, żeby się skontaktować – syknął. – Ale nie, musiałaś tu ją wpuścić. I zjebać mi humor.

Pokręcił głową i prychnął, jakbym rzeczywiście zawiniła, a on już nie miał siły, by to znosić.

Wiedziałam doskonale, jakie uczucia nim targały, opisywał mi je dokładnie przez lata. Jeśli działo się coś, co wykraczało choćby trochę poza przyjęty przez niego plan, stawał się roztrzęsiony i obsesyjnie o tym myślał. Przez kilka godzin obracał to w głowie i nakręcał się coraz bardziej.

Tak musiało też być w tym wypadku.

Spojrzał na mnie z czystą nienawiścią w oczach i trwał przez moment w bezruchu. W końcu gwałtownie poderwał kołdrę, przeklął pod nosem i położył się obok mnie na wznak. Skrzyżował ręce pod głową.

Nie tego się spodziewałam.

Może tej nocy rzeczywiście będzie inaczej, pomyślałam.

– Wypierdolę ją na zbity pysk.

– Robert…

– Nie, to koniec. Wylatuje z RI.

– Niedawno wyrzuciłeś Glazura, nie stać nas na kolejne zwolnienia.

Wbijał wzrok w sufit, a ja byłam mu za to wdzięczna. Wiedziałam, że jeśli na mnie spojrzy, poczuję jeszcze większą niechęć niż przed momentem

Glazur musiał pożegnać się z Reimann Investigations także przeze mnie. Spotkałam się z nim o jeden raz za dużo w Baltic Pipe. Rozmowa była służbowa, podobnie jak kilka wcześniejszych, ale ta ostatnia różniła się od nich tym, że zapomniałam powiedzieć o niej Robertowi.

Tyle wystarczyło, by następnego dnia Robert go wyrzucił. Dlatego musiałam potraktować słowa męża poważnie. Był zdolny do tego, żeby z samego rana zadzwonić do działu kadr i polecić im rozwiązanie umowy z Jolą Klizą.

– Mam to w dupie – wymamrotał. – I tak jest nieprzydatna.

– Prowadzi ważną sprawę…

– Chuj tam ważną – uciął.

Przez moment leżał w bezruchu. Potem znowu prychnął cicho, jakby chciał zasugerować, że nie ma o czym ze mną rozmawiać. Złapał za kołdrę, pociągnął ją i obrócił się na bok, tyłem do mnie.

Odetchnęłam.

– Wyłącz światło.

Bez słowa to zrobiłam, a potem ostrożnie ułożyłam się na plecach. Miałam wrażenie, że stąpam po wyjątkowo cienkim lodzie. Słyszałam, jak pęka gdzieś w oddali, ale najważniejsze było to, że się nie załamał.

Leżałam przez kwadrans, słuchając jego niespokojnego oddechu. Wiedziałam, że nie zasnął, emocje nadal w nim buzowały.

Miałam jednak nadzieję, że je opanuje.

Złudną nadzieję.

W pewnym momencie zerwał się z łóżka, poszedł do łazienki i trzasnął drzwiami. Po chwili usłyszałam, że odkręcił kran. Wyobrażałam sobie, że patrzy na siebie w lustrze, raz po raz ochlapując twarz zimną wodą. I że walczy ze swoimi demonami.

Kiedy wyszedł, od razu zrozumiałam, że nawet jeśli tak było, przegrał tę walkę.

– Nie dość, że nie mogę się, kurwa, na niczym skupić przez cały wieczór, to jeszcze przez ciebie nie zasnę pół nocy – powiedział, podchodząc do mnie. – Dlaczego musisz taka być, co?

– Robert…

Uniósł rękę, a potem uderzył mnie otwartą dłonią w twarz. Zamrugałam i odwróciłam głowę. Była to jedyna reakcja, na jaką sobie pozwoliłam.

Złapał mnie za górę od piżamy i wyciągnął z łóżka. Cisnął mną na podłogę i zanim zdążyłam się ruszyć, już był obok.

– Robert…

– Zamknij się.

– Pamiętasz, co mi mówiłeś? – zapytałam, czym prędzej próbując się podnieść.

Być może lepiej zrobiłabym, gdybym pozostała w bezruchu, ale potrzeba ucieczki była silniejsza od racjonalności. Natychmiast mnie złapał i przygniótł do podłogi.

– Pamiętam, kurwa, pamiętam – powiedział. – A ty pamiętasz, że całymi dniami haruję jak wół? Zapierdalam, jak mogę, żebyście mieli wszystko, czego wam potrzeba?

Potrząsnął mną, a ja uderzyłam głową o podłogę.

– I czego wymagam w zamian, co? Tak wiele?

Otworzyłam usta, ale znów uderzył mnie otwartą dłonią.

– Pytam!

– Robert…

– Chcę tylko trochę spokoju wieczorem, kilku jebanych godzin! – krzyknął, potrząsając mną coraz mocniej.

Wiedziałam, że przekroczył już w swoim umyśle granicę. Dalej będzie tylko gorzej.

I było.

Tak jak zazwyczaj, Robert wykrzykiwał kolejne pytania, obarczał mnie winą za wszystkie, nawet najbardziej absurdalne rzeczy. Zupełnie jakby z jego punktu widzenia jeden drobny niuans okazał się zarzewiem wszystkich niepowodzeń i spraw, które nie poszły po jego myśli.

Układał całe scenariusze, przeplatając je kolejnymi, coraz mocniejszymi uderzeniami. Ciągnął mną po sypialni, uderzał pięścią w brzuch, potem rzucał na podłogę i kopał.

Mówił o tym, jak wizyta Klizy zaburzyła mu cały plan dnia. O tym, że przez to nie będzie mógł się wyspać. Że jutro będzie rozkojarzony i negocjacje biznesowe nie pójdą tak, jak powinny. Że będziemy przez to stratni, może nawet będziemy musieli ograniczyć wydatki.

Rozwijał swoje wizje bez końca, a każdy kolejny element zdawał się drewienkiem dokładanym do ogniska rozbudzonego przez te najrealniejsze upiory, o których pisywał King.

Taki ciąg trwał zazwyczaj kilka godzin. Czasem dwie, czasem nawet sześć. Ciężko to znosiłam i nie mogłam potem zmrużyć oka, mimo że cykle kończyły się zawsze tak samo – jego płaczem, skruchą, próbami zadośćuczynienia.

Najczęściej uderzał potem samego siebie, raz stłukł lustro w łazience. Kiedy emocje z niego schodziły, kiedy krzepły jako siniaki i rozcięcia na moim ciele, zmieniał się w zupełnie innego człowieka.

Tak było też w tym wypadku. Po tym, jak zostawił mnie na podłodze, splamioną i upokorzoną, znikł w łazience. Przez chwilę

w całej willi zdawała się panować wyłącznie cisza. Potem usłyszałam przekleństwa, dźwięki okładania się. W końcu płacz.

Jak zawsze, wolałam nie oceniać obrażeń. Bałam się dotykać językiem zębów, stawać przed lustrem czy choćby się poruszyć. Wydawało mi się, że jeśli drgnę, uświadomię sobie, w jak wielu miejscach mnie zranił.

I nie chodziło o fizyczne rany.

Wrócił po kilku minutach. Nie podnosił wzroku, pociągał nosem i raz po raz uderzał się otwartą dłonią w skroń. Przykląkł przy mnie, błagając o wybaczenie, a potem podniósł mnie i pomógł położyć się w łóżku. Schował twarz na moich udach, a ja poczułam łzy wsiąkające w spodnie od piżamy.

Adrenalina opadała, a jej miejsce zajmował ból.

Przeleżałam do rana w dziwnym marazmie, który jednocześnie wydawał mi się naturalny i znajomy. Odgradzałam się od wszystkich tych myśli, jakie powinny pojawić się w mojej głowie. Byłam bezrefleksyjna. I może tylko dzięki temu udało mi się przetrwać tak długo.

Rankiem mogłam odnieść wrażenie, że leżę obok zupełnie innej osoby. Robert był na poły zażenowany, na poły wściekły. Zupełnie jakby to ktoś inny wyrządził mi krzywdę, a on za wszelką cenę zamierzał go ukarać.

Przyniósł mi śniadanie, potem długo dopytywał, jak się czuję. Znów pojawiły się błagalne prośby o wybaczenie i obietnice, że następnym razem prędzej odetnie sobie rękę, niż ją na mnie podniesie.

Podda się terapii.

Będzie na noc zamykał się w innym pokoju.

Kupi mi broń.

Wersje różniły się zazwyczaj w zależności od tego, na jak wiele pozwolił sobie nocą. Tym razem był gotów obiecać mi wszystko.

I najgorsze było to, że w jego oczach widziałam głębokie przekonanie, iż nie są to propozycje bez pokrycia.

Mogłam je zrealizować.

Wiedziałam jednak, że nasza relacja jest jak ul pełen pszczół, a dobrobyt rodziny przypomina mrowisko – wystarczyło lekko włożyć w nie kij, a doszłoby do tragedii. Pewne rzeczy musiały pozostać za zamkniętymi drzwiami.

Około dziesiątej piłam prosecco w salonie, wyglądając na wybrzeże. Robert odwiózł Wojtka do szkoły, zostałam w domu sama. Oceniłam rozmiar cielesnych obrażeń, tych psychicznych wolałam nie analizować.

Nie było najgorzej, przynajmniej wizualnie. Kilka siniaków, które bez trudu zamaskuję. Miałam przecież odpowiednie doświadczenie. Martwił mnie jedynie nieustępujący ból brzucha, zupełnie jakby coś w trzewiach mi pękło.

Wino musujące pomogło, jak zawsze. Sięgnęłam po etui z tabletem, rozłożyłam je na stole jak podpórkę, a potem zaczęłam przeglądać wiadomości. Zdążyłam przeczytać kilka artykułów, nim rozległ się dzwonek telefonu.

Kliza.

– Tak? – odezwałam się.

– Widziałaś? – spytała bez zbędnych ceregieli.

– Co widziałam?

– Wejdź na jakikolwiek portal z lokalnymi newsami.

Z początku założyłam, że chodzi o Rewal, ale szybko uświadomiłam sobie, że nie. Jola żyła teraz w innym świecie. Sprawa Ewy kształtowała jej rzeczywistość. Weszłam na opolski serwis „Gazety Wyborczej” i zupełnie zdębiałam.

Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Naraz przestałam myśleć o wczorajszej nocy, bólu brzucha i tym, że powinnam coś zrobić, zanim mój mąż posunie się o krok dalej.

– To niemożliwe… – jęknęłam.

– A jednak stoi jak byk.

– Kiedy to zobaczyłaś?

– Nad ranem.

– I dopiero teraz do mnie dzwonisz?

– A co by dało, gdybym zadzwoniła wcześniej? Dziewczyna nie żyje, jest już za późno na cokolwiek. Poza tym nawarstwiło się kilka problemów.

Nie dopytywałam, o jakie kłopoty chodzi, bo mój umysł skupiał się wyłącznie na Ewie. Potrząsnęłam głową.

– Są pewni, że to jej ciało?

– Potwierdzili to badaniem DNA – odparła Jola. – Nie mają żadnych wątpliwości, że to dziewczyna, której szukaliśmy. I którą wpędziliśmy do grobu.

– Posłuchaj, to nie…

– Taka jest prawda – przerwała mi Kliza. – Gdybyśmy nie zaczęli grzebać w tej sprawie, Ewa nadal by żyła.

Opróżniłam kieliszek prosecco, dostrzegając, że trzęsie mi się ręka. Wsunęłam ją pod ramię, zupełnie jakby ktoś mógł dostrzec tę nerwową reakcję.

– To nie my zainicjowaliśmy kontakt – zauważyłam.

– Właśnie to sobie będziesz wmawiać, żeby nie czuć się winną?

– Nie mamy powodów, by tak się czuć. Werner także nie.

– To twoje zdanie.

Powiodłam wzrokiem za butelką. Nie powinnam dolewać sobie od razu kolejnej porcji, ale może w taki dzień wyjątek był dopuszczalny? Nie, powiedziałam sobie w duchu. Jeśli raz sobie na to pozwolę, z HFA stanę się zwykłą alkoholiczką. Wpadnę w wir, a ostatecznie będę musiała przestać pić.

Było to absurdalne, prawda? Potrafiłam kontrolować się tylko dzięki strachowi przed tym, że w przeciwnym wypadku będę

musiała na zawsze pożegnać się z alkoholem. Przerażenie przed wyjściem z nałogu trzymało go w ryzach.

Sprzeczność. Jedna z wielu w moim przypadku.

– Zakończyliśmy jej życie – dodała po chwili Jola.

Nie dziwiłam się, że używa eufemizmu. O ile łatwiej było sięgnąć po niego, zamiast mówić „zabiliśmy ją".

– Jakiekolwiek by to życie było – mruknęła.

– Może nie miało z prawdziwym życiem wiele wspólnego.

– Może nie – przyznała Kliza. – Ale mogliśmy ją uratować, była jakaś szansa.

– Niekoniecznie. Trop przecież się urwał.

– Oszukujesz się – odparła cicho. – Ale to twój wybór.

– Mówię tylko, jak to wygląda z mojej perspektywy.

– Z niej nie widać wielu rzeczy.

Miałam wrażenie, że to niepotrzebny przytyk wobec poziomu życia, jaki wiedliśmy z Robertem. Wiedziałam, że w oczach innych byliśmy wręcz idealną parą, mieszkającą w wymarzonej willi nad morzem, mającą kilka luksusowych samochodów w garażu i zdrowe dziecko, z którego mogliśmy być oboje dumni. Bywaliśmy na zamkniętych, ekskluzywnych imprezach, cieszyliśmy się dobrą reputacją, a przyszłość rysowała się przed nami jedynie w kolorowych barwach.

Piękna laurka. Tyle że rysowana krwią, przemocą, nienawiścią i obłudą.

Ale nie o to chodziło Klizie. Byłam przeczulona, spodziewałam się zewsząd krytyki naszego stylu życia. Tymczasem w tym wypadku mowa była o zupełnie innej perspektywie.

– Mam na myśli to, że nie wiesz wszystkiego – dodała po chwili milczenia Jola.

– To znaczy?

– Wern przed chwilą się ze mną skontaktował.

– I?

Poruszyłam się nerwowo, bo w jej głosie było coś, co kazało mi sądzić, że doszło do jakiegoś przełomu. Tylko czy miało to teraz jakiekolwiek znaczenie?

– Zdążył mi przekazać, że znalazł coś istotnego na jednym ze zdjęć. Brzmiał jak pijany, ale…

– Co konkretnie znalazł?

– Nie dowiedziałam się.

– Dlaczego nie?

Westchnęła głośno.

– Jak mówiłam, mamy tu swoje problemy… – bąknęła. – I to dość poważne.

– To znaczy? – spytałam, nieco poirytowana tym, że muszę wyciągać od niej informacje niemal siłą. Powinnam się do tego przyzwyczaić, ale z drugiej strony ona także mogłaby nieco zmienić zachowanie.

– Szef działu kadr przerwał mi rozmowę z Wernem – wyjaśniła. – I powiedział, że musi ze mną porozmawiać.

Wiedziałam, co zaraz usłyszę.

– Przekazał mi, że jestem zwolniona. Ze skutkiem natychmiastowym.

Podniosłam się z krzesła, szurając nim po bejcowanej drewnianej podłodze. Nogi zostawiły wyraźne ślady na impregnacie.

Wyciągnęłam z lodówki butelkę prosecco i postawiłam ją na blacie. Potem zaklęłam pod nosem i schowałam ją z powrotem.

Zanim pojawiła się skrucha, Robert musiał w nocy obudzić kogoś z działu kadr i polecić mu wyrzucenie Klizy. Właściwie powinnam się tego spodziewać. Na kilka chwil przerywał bicie, oddalał się, a ja byłam zbyt oszołomiona, by wiedzieć, co wtedy robił.

– W sumie nie mogę się dziwić – dodała Jola.

– Co? – wypaliłam.

– Ledwo zaczęłam szukać dziewczyny, a znaleziono jej zwłoki.

– Nie, nie w tym rzecz. Nie przejmuj się tym, wszystko odkręcę.

– Nie ma czego.

– Kliza, to zupełnie nie tak.

– Mam to gdzieś – odparła. – Dobrze się stało.

Pewność w jej głosie kazała mi sądzić, że nie ma sensu z nią polemizować. Przynajmniej nie teraz. Z jej punktu widzenia kontynuowanie pracy w Reimann Investigations było najgorszym, na co mogłaby się zdecydować.

Musiałam dać jej czas, by ochłonęła. A sobie, bym przekonała Roberta do wycofania się ze swojej decyzji.

Czy było to możliwe?

Znałam go na tyle dobrze, by mieć pewność, że nie. Mimo to łudziłam się, że ten jeden jedyny raz zmieni zdanie.

– Wysyłam ci esemesem jego numer – dodała. – A na mailu masz instrukcje logowania na poziom admina w aplikacji kontaktowej RI. Przekaż to kolejnej osobie albo sama skorzystaj, mnie to już nie obchodzi.

– Nie możesz tak po prostu…

– Co? – weszła mi w słowo. – Ewa nie żyje, została odnaleziona. Na tym moja praca by się kończyła, nawet gdybym nie pożegnała się z firmą. Nie jesteśmy od pocieszania wdowców.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, rozłączyła się. To tyle, jeśli chodziło o współpracę z najlepszą pracownicą, jaką kiedykolwiek zatrudniliśmy.

Odczekałam godzinę, a potem napełniłam kieliszek. Piłam małymi łyczkami, choć przychodziło mi to z ogromnym trudem. Usiadłszy przed komputerem w gabinecie na piętrze, zaplotłam ręce na karku i przez jakiś czas trwałam w bezruchu.

Potem uznałam, że najwyższa pora zabrać się do roboty. Sprawa nie była zakończona.

Werner dotarł do czegoś nowego. Musiałam wiedzieć, co to było.

A jednocześnie musiałam uważać, żeby nie zrobić niczego, co mogłoby zdenerwować męża. Wiedziałam doskonale, że zwolnienie Klizy było równoznaczne z tym, że Robert nie życzy sobie, by Reimann Investigations zajmowało się sprawą Ewy.

Teraz miałam przeciwko sobie także jego.

To uświadamiało mi, jaki naprawdę był mój wpływ na firmę. I przypominało, jak niewielką miałam swobodę. Wiedziałam, że Robert na bieżąco sprawdza moje bilingi, skrupulatnie analizując każde wykonane połączenie. Przypuszczałam też, że będąc w pracy, korzysta z domowego monitoringu, by wiedzieć, co robię.

Zalogowałam się na platformę, która pozwalała na kontakt z klientami, a potem wysłałam do Wernera jednorazowy kod. Właściwie dochodziło do tego tylko wówczas, kiedy to klient się logował, ale uznałam, że to dobry sposób, by ściągnąć Damiana na ten osobliwy chat.

Nie miałam zamiaru bawić się w przesadną anonimowość. Połączenia i tak były szyfrowane, a wiadomości od razu kasowane. Zmieniłam więc z konta admina kilka ustawień, między innymi wprowadzając nazwy użytkowników.

Uznałam, że dzięki temu Werner poczuje, że po drugiej stronie jest realna osoba.

Długo się nie logował, a ja czekałam w napięciu, zastanawiając się, czy dobrze robię. Miałam wrażenie, jakbym dopuszczała się zdrady wobec Roberta. Nie, może nie dopuszczała się, ale z pewnością ją rozważała.

Jakbym na wyjeździe w hotelowym barze poznała faceta, który okazał się świetnym towarzyszem. Niby nie było to nic zdrożnego, ale przecież wiadomo, do czego może prowadzić.

Kiedy Werner w końcu się zjawił, zawiesiłam ręce nad klawiaturą. Zastanawiałam się, co napisać, ale nie miałam dobrego pomysłu.

Na monitorze pojawiło się pytanie:

[Wern] Kasandra?

Nie byłam pewna, ile powinnam mu wyjaśnić.

[Wern] Właścicielka RI?
[Kasandra] Tak.
[Wern] Co z Klizą?
[Kasandra] Musiała zająć się czymś innym. Skomplikowana sprawa.

Przez chwilę nie odpisywał.

[Wern] Musi wrócić.
[Kasandra] Na razie nie ma takiej możliwości, ale zrobię, co mogę.

Wiadomości znikały jedna po drugiej, a kursor mrugał, czekając, aż któreś z nas coś napisze. Oparłam łokcie na biurku i wbiłam wzrok w monitor. Damian najwyraźniej nie był pewien, czy może mi zaufać. Z jednej strony miał do czynienia z obcą osobą, z drugiej używał jednak bezpiecznej platformy. I kontaktował się z tą samą firmą, która do tej pory jako jedyna wyciągnęła do niego pomocną dłoń.

[Kasandra] Kliza przekazała mi, że coś odkryłeś.

Wydawało mi się, że czekam na odpowiedź wyjątkowo długo.

[Wern] Odkryłem. Więcej, niż sądziłem.
[Kasandra] To znaczy?

[Wern] Ona żyje.
[Kasandra] Co takiego?
[Wern] Wiem, jak to brzmi. Ale mam dowód.

Bezwiednie sięgnęłam po kieliszek.

[Kasandra] Jesteś tego pewien?
[Wern] Tak.

Pokiwałam głową w zamyśleniu, zupełnie jakby mógł to zobaczyć. Zastanawiałam się, czy pisać, że przecież znaleziono ciało. Ale nie było sensu. Doskonale o tym wiedział.

[Wern] Wiem, co myślisz. Że narzeczony nie może pogodzić się ze stratą, szuka jakichś absurdalnych wytłumaczeń i chwyta się nawet najbardziej niepoważnej nadziei. Ale musisz mi uwierzyć.

Nabrałam głęboko tchu, nadal nie wiedząc, jak powinnam zareagować. Zaprzeczenie mogłoby go zrazić. Zbyt szybkie zawierzenie mu byłoby równie nieroztropne. Ostatecznie uznałam, że najlepiej poczekać, aż Damian napisze coś jeszcze.

Po chwili pojawiła się kolejna linijka.

[Wern] Ona żyje. I mam na to dowód.

ROZDZIAŁ 2

1

Nie łudziłem się nawet, że właścicielka Reimann Investigations uwierzy mi na słowo. Przypuszczałem jednak, że agencji zależeć będzie na wypełnieniu swoich zobowiązań – i dzięki temu Kasandra mnie nie spławi. Blitzer zapłacił przecież ryczałtem, pieniądze mieli już na koncie. Ale być może bardziej od nich zależało im na dobrym marketingu. Rozgoryczony, zawiedziony klient z pewnością stanowiłby niepotrzebne PR-owe ryzyko.

Nasza pierwsza rozmowa na RIC trwała dobre pół godziny. Nie skomentowałem tego, że Kasandra wprowadziła mi nick „Wern". Nie pytałem też o rozwinięcie skrótu, którego w pewnym momencie użyła. Przypuszczałem, że „C" w RIC to po prostu *chat*. Niezbyt wyszukane.

Trochę czasu zajęło jej przekonanie mnie, żebym nie liczył na powrót Klizy. Zapewniała, że zrobi wszystko, by Jola wróciła, ale szanse na to miały być marginalne. Brzmiało to tak, jakby Kliza sama podjęła decyzję, w co trudno było mi uwierzyć.

Ale właściwie nie znałem dziewczyny. Po informacji o odnalezieniu zwłok mogła uznać, że jej robota została zakończona, i pójść dalej.

Do tej wersji nie pasowało jednak to, że teraz kontaktowała się ze mną sama Kasandra. Wprawdzie Kliza starała się zainteresować ją moją sprawą, ale nie spodziewałem się, że będzie to miało jakiekolwiek znaczenie. Pamiętałem, co o Reimannach mówił Blitz. Byli bogaci, szczęśliwi, szanowani i z pewnością

nieustannie zajęci – albo pomnażaniem majątku, albo wydawaniem go.

Istniało jednak najwyraźniej jakieś drugie dno, skoro Kasandra osobiście miała zamiar mi pomóc. Zadeklarowała to otwarcie, mimo że prawdopodobnie nie wierzyła w moje zapewnienia, że Ewa żyje.

Tym bardziej że nie przedstawiłem żadnego dowodu. Wbrew temu, co twierdziłem, nie miałem go.

Tak naprawdę nie byłem do końca przekonany, czy w ogóle istnieje. Niczego na tym etapie nie byłem już pewien. Policyjne oświadczenie brzmiało wiarygodnie, ale wiedziałem, że nie powinienem ufać nikomu.

Prawie nikomu. Ale przypomniał mi o tym dopiero telefon ojca. Odebrałem z pewnym wahaniem, bo jeżeli zaczęto już formalnie mnie ścigać, rodzice z pewnością byli na celowniku.

Wątpiłem, by ktokolwiek podsłuchiwał rozmowy, ale za jakiś czas śledczy dotrą do bilingów, dzięki którym trafią na mój trop. Mogłem narobić problemów matce i ojcu, a Bóg wiedział, że mieli ich wystarczająco dużo.

Mimo to odebrałem. Potrzebowałem usłyszeć znajomy głos, poza tym ostatnia rozmowa i tak została już zarejestrowana. Ojciec zapytał od razu, gdzie jestem. W pierwszej chwili uznałem, że musiał zwariować, by w ogóle próbować się tego dowiedzieć.

Potem pomyślałem, że muszę skończyć z tym szaleństwem. Pogrążałem się w paranoi, sądząc, że ścigają mnie ludzie, którym zależy na tym, żeby Ewa nie została odnaleziona. A przecież jeśli tak było, to powinni dać mi spokój. Teraz, kiedy rzekomo odnaleziono ciało, nie było powodu, by wciąż mnie prześladowali.

Nie potrafiłem zebrać myśli. Nie wiedziałem, co jest prawdą, a co nie. Co jest logiczną, mającą ręce i nogi hipotezą, a co

majakami zmęczonego umysłu. Kolejna nieprzespana noc z pewnością nie pomogła.

Powiedziałem ojcu, gdzie jestem. Potrzebowałem go, potrzebowałem matki. Byli jedynymi ludźmi, na których mogłem liczyć, a wiedziałem, że nie poradzę sobie z tym wszystkim sam.

Kierowały mną też kwestie zupełnie praktyczne. Jeśli zamierzałem wreszcie odnaleźć odpowiedzi na niedające mi spokoju pytania, niezbędne były mi dwie rzeczy – samochód i pieniądze.

Rodzice zjawili się niecałą godzinę później. Spotkaliśmy się na tyłach hotelu, potem poprowadziłem ich do pokoju. Zamknąłem drzwi i oparłem się o nie plecami.

– Jadłeś coś? – zapytała matka.

Potrząsnąłem przecząco głową, a potem wyjrzałem za okno.

– Nie chcę zabrzmieć jak paranoik, ale sprawdzaliście, czy nikt za wami nie jedzie? – spytałem.

– Tak – zapewnił ojciec.

Osunąłem się na podłogę, a potem nerwowo zmierzwiłem włosy. Zanim zjawili się rodzice, poukładałem sobie wszystko w głowie. Ostatecznie uznałem, że mogę polegać tylko na jednej rzeczy – mojej własnej intuicji.

A ta podsuwała mi tylko jeden możliwy scenariusz.

– Wszystko będzie dobrze – odezwała się matka.

– Wiem.

– Teraz, kiedy ją wreszcie odnaleźli, będziemy mogli…

– To nie ona – zaoponowałem.

Spojrzeli na mnie z niepokojem. Znałem ten wzrok, pojawiał się zawsze, kiedy brała mnie grypa czy inna choroba i nadchodziły pierwsze objawy.

– Jestem pewien, że to nie ona.

– Ale, synu…

– Wiem, co podali do publicznej wiadomości – uparłem się. – Ale to wszystko tylko element gry, którą prowadzą. Dlaczego mieliby ją zabijać? Teraz, po tylu latach?

Wiedziałem, co odpowiedzą, więc ich uprzedziłem.

– Fakt, że jej szukam, niczego nie zmienia. Robię to przecież, od kiedy zaginęła.

Popatrzyli na siebie.

– Nie zbliżyłem się nawet do odnalezienia jej, nie mieli powodu, by czuć niepokój. Zresztą po wszystkim, co zrobili, nie wyglądają mi na takich, którzy by się czegokolwiek lub kogokolwiek bali.

Rodzice przysiedli na łóżku, wciąż się nie odzywając. Nie dziwiłem się, na nich miejscu też prawdopodobnie uznałbym, że najlepiej będzie milczeć. Podciągnąłem nogi i oparłem ręce na kolanach.

– Gdzie ją rzekomo znaleziono? – zapytałem.

– Nie wiesz? – odparł ojciec.

Mimo że powinienem, nie wczytywałem się w najświeższe doniesienia medialne. Może popełniałem błąd, bo roztropnie byłoby poznać każdy element ich planu i przekonać się, jak bardzo byli zdeterminowani. Ale stanowiło to w pewnym sensie formę kontestacji rzeczywistości. Buntu wobec tego, co się działo.

– Nad rzeką – powiedziała matka. – Gdzieś na Bolko.

Niewielka wyspa w środku miasta była enklawą spacerowiczów, rowerzystów, biegaczy i kajakarzy. I zapewne całej rzeszy ludzi szukających innych rozrywek, od opróżniającej puszki z piwem młodzieży aż po emerytów wylegujących się na kocach.

Niemonitorowanego terenu było odpowiednio dużo, by zostawić tam zwłoki. Lub by upozorować ich odnalezienie w miejscu, gdzie nikt nie mógł potwierdzić, czy w istocie jakiekolwiek ciało się tam znalazło.

– Po co mieliby porzucić zwłoki akurat tam? – zapytałem.

Słowo, którego użyłem, zdawało się sprawić rodzicom niemal fizyczny ból. Wzbraniałem się jednak, by używać imienia Ewy. Jeśli jakieś ciało się odnalazło, nie miało z nią nic wspólnego.

– Gdyby to była ona, ukryliby ją w miejscu, gdzie nikt nigdy by jej nie znalazł – dodałem. – To wszystko bez sensu.

– Może chcieli, by poszukiwania się zakończyły – zauważył ojciec. – Może czuli, że się do nich zbliżasz.

– W jaki sposób?

Popatrzył na mnie, jakby chciał powiedzieć: tego nie wiemy i najprawdopodobniej nigdy się nie dowiemy. Nie musiał jednak się odzywać, bym zdał sobie z tego sprawę.

– Potwierdzili jej tożsamość, synu – odezwał się po chwili.

– Mhm – mruknąłem bez przekonania. – I to dość szybko.

– Teraz badania DNA wykonują błyskawicznie. Szczególnie jeśli mają już materiał do porównania.

– Ale nie aż tak błyskawicznie.

Uciekłem wzrokiem, bo nie mogłem znieść troski, którą widziałem na twarzach rodziców. Byli przekonani nie tylko co do tego, że życie od lat daje mi w kość – ale że robię to także ja sam. Przypuszczali pewnie, że będę teraz pogrążał się w zaprzeczeniu, aż dotrę do granicy szaleństwa.

Podniosłem się i przesunąłem ręką po koszulce. Doszedłem do wniosku, że jeśli nie dla swojego, to dla ich dobra muszę przyjąć odpowiednią maskę. Usiadłem przy niewielkim stoliku pod ścianą i sięgnąłem do torby, którą przyniosła matka.

Uśmiechnąłem się blado, widząc pojemniki na jedzenie, w których niegdyś zabierałem śniadanie do szkoły.

– Jest jakaś z nutellą? – zapytałem, wyciągając kanapkę.

Matka odpowiedziała mi równie przemęczonym uśmiechem.

– Badanie materiału genetycznego trwa dłużej, nawet gdy chodzi o sprawy wagi państwowej – dodałem. – Niemożliwe, żeby

tak szybko je przeprowadzili.

– Nie podano, kiedy dokładnie znaleziono ciało – zaznaczył ojciec. – Mogło minąć już trochę czasu.

– Nie wydaje mi się.

– To normalne, że masz nadzieję – wtrąciła matka. – Ale musisz przecież wiedzieć, że takich informacji się nie upublicznia, jeśli nie ma pewności…

– Jedyna pewność, jaką mam, sprowadza się do tego, że coś w tej sprawie jest nie w porządku.

Wiedziałem, że zaczynam brzmieć jak szaleniec, ale nie miało to żadnego znaczenia. Przynajmniej dla mnie. Przypuszczałem, że niepokój rodziców rósł z każdą chwilą.

– Podali, jak miała zginąć? – spytałem z pełnymi ustami.

– Mówi się tylko o prawdopodobnej przyczynie.

– To znaczy?

– Że utonęła.

– Tak po prostu?

Pytanie było nie na miejscu, w dodatku nie istniał dobry sposób, w jaki ojciec mógłby na nie odpowiedzieć. Poruszył się nerwowo, a matka położyła mu dłoń na kolanie, jakby to miało go uspokoić.

– Mam na myśli to, że po dziesięciu latach porywacze ot tak wrzucili ją do Odry czy jakiegoś bajora na Bolko? – dodałem. – To absurdalne.

– Nikt nie twierdzi, że tak się stało. Mogli ją ogłuszyć, a potem…

– Nie – powiedziałem stanowczo i schowałem kanapkę do pojemnika.

– Skąd ta pewność, synu? Odkryłeś coś?

– Więcej, niż się spodziewałem.

Oboje unieśli brwi niemal w tym samym momencie. Zgodna reakcja występowała nie tylko przy tej okazji, często kopiowali

swoje zachowania, choć żadne z nich nie zdawało sobie z tego sprawy. Spędzili jednak tyle lat razem, że symbioza była widoczna na pierwszy rzut oka.

Pomyślałem gorzko o tym, że wraz z Ewą byliśmy na najlepszej drodze, by móc za jakiś czas powiedzieć to samo o sobie.

– Znalazł się ktoś, kto zrobił jej zdjęcie na tamtym koncercie – powiedziałem.

– Kto?

– Nie wiem, jakiś przypadkowy człowiek. Trafiłem na nie w internecie.

Nie miałem zamiaru zagłębiać się w szczegóły, a oni nie dopytywali. Mimo szumnych zapowiedzi, że będą korzystać z sieci na moim starym komputerze, doskonale wiedziałem, że ani razu nawet nie spróbowali. Internet działał na nich jak płachta na byka.

A dla mnie okazał się zbawieniem.

– Ledwo zmieściła się w kadrze – dodałem. – Twarzy nie widać, ale kawałek koszulki jak najbardziej.

– I co w związku z tym?

– Była na niej wiadomość dla mnie.

– Jaka wiadomość? – spytał ojciec z niedowierzaniem.

W jego głosie wyczułem wyraźne powątpiewanie, ale nie mogłem się dziwić. Opowiedziałem im z grubsza o tym, co przekazała mi Kliza. Oboje sprawiali wrażenie, jakby potrzebowali czasu, by się z tym oswoić.

– Ewa zadała sobie gigantyczny trud, żeby to przygotować – podkreśliłem. – I zachowała najwyższą ostrożność.

Matka odchrząknęła.

– I dlatego uważasz, że…

– Że porywacze się nie połapali – dokończyłem za nią. – I że Ewa wciąż żyje. Czeka na moją pomoc.

– Ale nie masz żadnego dowodu – zauważył ojciec.

– Nie.

Milczenie, które zaległo w hotelowym pokoju, mogło właściwie oznaczać wszystko. Uznałem, że lepiej podjąć temat, zanim w głowach rodziców wykiełkują nowe wątpliwości. Nie wiedziałem, dlaczego odczuwałem potrzebę, by ich przekonać. Może niezbędna była mi ich akceptacja, by pójść dalej tropem, który odnalazłem.

– Czekając na was, porównałem rysunek na koszulce z oryginałem, który krążył w internecie.

– A jakiś krążył? – zapytał z rezerwą ojciec. – Mówiłeś, że ten zespół był fikcyjny.

– Był. Nie mieli logo, nie istniała też okładka płyty. Ale pojawił się rysunek, pewnie na użytek któregoś z artykułów opisujących sprawę, który szybko rozszedł się po sieci. Właśnie jego użyła Ewa do zaprojektowania koszulki.

Otworzyłem laptopa, a potem wyświetliłem obrazek. Przedstawiał stary odbiornik radiowy stojący na stole w namiocie. Nad nim unosiły się czerwone i niebieskie opary. Kreska była delikatna, brakowało ostrych kątów. Oryginał pokazywał postacie stojące przed ogrodzeniem, przywodzące na myśl więźniów w obozie karnym. Nie wszystkie zmieściły się na koszulce – Ewa zapewne nie chciała alarmować porywaczy zamieszczaniem symboli, które mogłyby wydać im się znaczące.

Obróciłem komputer w stronę rodziców, a potem wskazałem na obrazek.

– Jedna rzecz odróżniała ten rysunek od projektu Ewy – podjąłem. – U niej pojawiła się dodatkowa, niewielka, ale wyraźna chmurka. Z prawej strony miała kontur i wypełnienie, z lewej słupki korektora.

Spojrzeli na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– To te kolumny, które zmieniają wysokość w rytm muzyki – odparłem dla porządku. – *Equalizer*.

– Ach…

– I tak nic wam to nie mówi.

Tym razem wiedziałem doskonale, co oznacza cisza.

– Ale dla mnie było to znaczące.

– W jaki sposób? – spytał ojciec.

– To dość znane logo. SoundClouda.

– Czego?

– Serwisu, na którym możesz za darmo udostępniać innym muzykę i inne nagrania. Ktoś oczywiście zamieścił tam kawałek *Better days*, w dodatku zamiast okładki jest rysunek, który wam pokazywałem.

Przynajmniej przy jednym z plików, dodałem w duchu. Była też kopia, pozornie ta sama wersja. Różniła się jednak jednym niewielkim szczegółem. W prawym górnym rogu miniaturki było niewielkie, niemal niedostrzegalne logo SoundClouda.

Kiedy je zobaczyłem, zrozumiałem, że mam kontakt z Ewą. Po dekadzie milczenia w końcu usłyszałem jej głos. Był niewyraźny, gubił się gdzieś w szumie wszystkich zdarzeń, ale się pojawił.

Musiałem się tylko dowiedzieć, co mówi.

Pliki w serwisie mogli zamieszczać tylko zarejestrowani użytkownicy, więc od razu wbiłem wzrok w nick uploadera. „PaulFrancis”. Nic mi to nie mówiło. Nic oprócz tego, że taką nazwę użytkownika wybrała Ewa, kiedy ładowała plik do serwisu.

Długo nie mogłem oswoić się z tą świadomością. Dotarłem do czegoś, co wykonała własnoręcznie. Oczywiście przybrało to nie fizyczną, ale jedynie wirtualną formę. Ale jakie miało to znaczenie? Nienamacalne środki na koncie bankowym były równie realne jak banknoty w portfelu.

Powiodłem wzrokiem po korektorze, który służył jako wizualizacja odtwarzacza na SoundCloudzie. Wiedziałem, że skoro Ewa wybrała *Better days*, wiadomość czekała na mnie w samej piosence.

Zrobiła dokładnie to samo co Espejo i Ortiz. Tyle że zamiast transmitować swoją wiadomość na antenach radiowych, zamieściła ją w internecie.

Kiedy nakreśliłem sytuację rodzicom, nie byłem przekonany, czy kilka typowo internetowych neologizmów nie zbiło ich z pantałyku. Najwyraźniej jednak nie, bo oboje skinęli głowami, nie dopytując o nic.

– Więc wskazała ci to konkretne nagranie… – mruknął ojciec.

– Tak.

– Przesłuchałeś je?

– Oczywiście. I pewnie nie zdziwi was, że między zwrotkami jest inny kod Morse'a.

Znów pozwoliłem sobie na uśmiech. Tym razem nie był ani trochę wymuszony.

– Jak brzmi wiadomość?

– Webster.

Nie mogli wiedzieć, do czego się odnosi. Na dobrą sprawę nikt nie mógł.

Poza mną.

2

Ten dzień był inny niż wszystkie. Po raz pierwszy od długiego czasu nie obawiałam się nadejścia wieczoru – wyczekiwałam go. Wiedziałam, że zamknę się wtedy w gabinecie na piętrze, zaloguję na RIC i dowiem, co udało się ustalić Wernerowi.

Zapewniał, że trafił na coś, co dowodziło, że Ewa żyje, ale nie przedstawił konkretów. Nie zdążył, bo musiałam szybko zakończyć rozmowę, słysząc, że Robert wrócił do domu.

Nie miał normowanych godzin pracy. To, co robił, nie wymagało od niego systematycznego pojawiania się w biurze. Głównie dlatego, że jego rzeczywista działalność nie miała wiele wspólnego z pozorami, które utrzymywał dla mieszkańców Rewala i okolic.

Nasze życie było fasadą. Zarówno pod względem osobistym, jak i zawodowym.

Wszedł do salonu z kwiatami, czego mogłam się spodziewać. Tym razem zdecydował się na niewielkiego, niezbyt okazałego irysa w doniczce. Powiedział, że sam będzie o niego dbał, że zrobi wszystko, by rozkwitał, i że będzie go pielęgnował. Nie była to zbyt adekwatna analogia do naszego związku – właściwsze byłyby rachityczne badyle.

Postanowiłam skorzystać ze skruchy, która zdawała się przytłaczać Roberta. Kiedy w końcu przestał przepraszać i obiecywać, że się zmieni, przywołałam temat zwolnienia Klizy. Wydawało mi się, że nie mogłam wybrać lepszego momentu, ale się pomyliłam.

Gdy tylko zakwestionowałam jego decyzję, twarz jakby mu zakrzepła, a wzrok stał się na wskroś chłodny.

– Nie – powiedział tylko.

Stanowczość w jego głosie i nagła zmiana zachowania kazały mi nie podejmować więcej prób, przynajmniej nie teraz. Po raz kolejny przekonałam się, że mimo iż to kobiety są postrzegane jako delikatne, nie ma nic bardziej wrażliwego od męskiego ego.

Ale nie miało to znaczenia. Kliza w tej sytuacji i tak nie byłaby gotowa wrócić. Nie uwierzyłaby, że Ewa żyje, nawet gdyby Wernerowi udało się zdobyć twardy dowód.

Popijałam prosecco, czekając na wieczór. Przeszło mi przez myśl, że lepiej byłoby, gdybym zachowała trzeźwy umysł, ale przez lata próbowałam tego kilka razy i nigdy nie kończyło się to dobrze.

Wiktor Osiatyński, prawdopodobnie najbardziej znany z imienia i nazwiska anonimowy alkoholik w Polsce, powiedział kiedyś, że kiedy trzeźwiał, przestawał poznawać człowieka, którym się stawał. Mnie towarzyszyło podobne uczucie.

Kwestionowałam nie tylko wszystkie podjęte decyzje, ale także sensowność całego mojego życia. Może nawet więcej, mojego jestestwa. Jedyną kotwicą był Wojtek, to dzięki niemu nie porwał mnie sztorm.

Najlepszym rozwiązaniem było pozostawanie na spokojnych wodach. A wino mi w tym pomagało.

Spędziliśmy z Robertem kilka godzin na kanapie w salonie, oglądając odcinek za odcinkiem serialu *Fortitude*. Była to mroczna, kryminalna opowieść z dalekiej, skutej lodem północy. Starczy powiedzieć, że nie podniosła mnie na duchu. A jednak czerpałam z niej jakąś wynaturzoną, absurdalną i autodestrukcyjną przyjemność. Lubiłam być otoczona smutkiem. Zrozumiałam to już jakiś czas temu.

Kiedy skończyliśmy, Robert usiadł przy laptopie i zaczął załatwiać sprawy, które wymagały jego bezpośredniego udziału. Było ich coraz mniej. Delegował kolejne zadania swoim podwładnym, dzięki czemu miał coraz więcej czasu dla mnie i Wojtka.

Za dnia mnie to cieszyło. Miałam wtedy przy sobie męża, który oglądał ze mną moje ulubione seriale, przyrządzał mi przysmaki rodem z najlepszych restauracji i traktował mnie, jakbym była całym jego światem.

Nocami za to wolałabym, by czasu miał jak najmniej.

Funkcjonowaliśmy w ten sposób od wielu lat. Przywykłam do określonej harmonii dnia.

Teraz jednak to się zmieniło. Nerwowo wyczekiwałam pory, kiedy będę mogła zamknąć się w gabinecie. Nie, nie zamknąć się. Robert nie lubił, kiedy to robiłam, wolał, żebym zostawiała uchylone drzwi.

Nie przeszkadzało mi to. Z Wernerem i tak miałam zamiar kontaktować się za pomocą RIC, które jawiło mi się teraz jako moje własne wirtualne sanktuarium.

Zalogowałam się i wysłałam Damianowi wiadomość z kodem aktywacyjnym. Zjawił się już po chwili, a pierwsza wiadomość wyskoczyła niemal natychmiast, jakby czekał z palcami na klawiaturze.

[Wern] W końcu.

Fakt, że nie tylko ja nerwowo wyczekiwałam rozmowy, wiązał się z przyjemnym uczuciem. Dopiero po chwili upomniałam się, że w przypadku Wernera powodem jest zupełnie co innego niż u mnie.

[Wern] Nie mogłaś zjawić się wcześniej?
[Kasandra] Nie.

Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli nie zacznę zagłębiać się w szczegóły. Damian nie miał być moim spowiednikiem, ale dystrakcją. Nie, czymś więcej. Kimś więcej. Osobą, która relacjonując mi swoje odkrycia, będzie wyrywała mnie z koszmaru codzienności, w jakim żyłam.

[Wern] Udało ci się przekonać Klizę?
[Kasandra] Niestety nie.

Czułam, że moje „niestety” odbierze jako nieszczere, więc szybko dodałam:

[Kasandra] Próbowałam różnymi sposobami, ale nic z tego. Wyjeżdża z miasta, ma zamiar zająć się czymś zupełnie innym.
[Wern] Kurwa mać.
[Kasandra] Dostaniesz ode mnie taką pomoc, jakiej potrzebujesz, Wern.

Przez moment nie odpisywał, a ja miałam wrażenie, że każda sekunda rozciąga się w nieskończoność. Zerknęłam w kierunku drzwi, nasłuchując. Ciche stukanie klawiszy z dołu dowodziło, że Robert siedzi jeszcze przed laptopem.

Nie miałam wiele czasu. Ale planowałam dobrze go wykorzystać.

Zanim zdążyłam napisać wiadomość, on wysłał swoją:

[Wern] Werner.

Uniosłam brwi.

[Wern] Nie Wern. To brzmi, jakbym odbywał niezwykłe podróże.
[Kasandra] W pewnym sensie tak jest.
[Wern] Tak bym tego nie nazwał. Wygląda mi to raczej na ciąg niekończących się tragedii.

Pokiwałam głową, bo rozumiałam to aż za dobrze.

[Kasandra] Czego potrzebujesz?
[Wern] Zdolności wysyłania esemesów wstecz w czasie. Napisałbym samemu sobie, że zasyfiony brzeg rzeki to niedobre miejsce na oświadczyny. I żebym kupił akcje Netflixa, jak tylko wejdzie na rynek.

Uśmiechnęłam się lekko, doceniając, że stara się wprowadzić jakiś pozytywny akcent do rozmowy, która z założenia nie mogła mieć z takimi rzeczami wiele wspólnego.

[Wern] I może jeszcze ewentualnie, że Brazylia przegra z Niemcami w finale mistrzostw świata w 2014 roku siedem do jednego. Zbiłbym na tym fortunę u bukmacherów.

Nie wiedziałam, co odpisać. W końcu zdecydowałam się na najgorsze wyjście z możliwych.

[Kasandra] :)

Emotikon szczęśliwie szybko znikł, choć jedynie z ekranu. Przypuszczałam, że głupi znaczek może w istocie być dla Damiana bardziej wieloznaczny od większości enigmatycznych słów.

Pocieszyłam się myślą, że starożytni Egipcjanie też posługiwali się hieroglifami, i napiłam się prosecco.

[Kasandra] Potrzebujesz czegoś poza tym?
[Wern] Na razie nie. Matka przywiozła mi kanapki.

Przez moment zastanawiałam się, czy to nie kolejna próba żartu. Pewnie tak było, więc tym razem postanowiłam nic nie odpowiadać.

[Wern] Ale niedługo mogę czegoś potrzebować.
[Kasandra] Czego?
[Wern] Dowiesz się w swoim czasie.

Nie ufał mi? Cóż, nie mogłam się dziwić. Nie dość, że z jego perspektywy wyskoczyłam jak diabeł z pudełka, to jeszcze moje

zdawkowe odpowiedzi mogły uchodzić za przejaw rezerwy, a może nawet niechęci.

[Kasandra] Wolałabym dowiedzieć się teraz.
[Wern] Too bad.

Postukałam paznokciami o kieliszek, a potem się napiłam. Mimo mojej małomówności rozmowa zdawała się w pewien sposób przyjemna dla obu stron. A może tylko chciałam, żeby tak było.

[Kasandra] Okej. W takim razie przejdźmy do tego, co udało ci się ustalić.
[Wern] Przede wszystkim to, że użytkownik, który załadował plik audio, to PaulFrancis.
[Kasandra] To jakieś nawiązanie do papieży?
[Wern] Nie. Do czegoś innego.
[Kasandra] Czego?

Przez chwilę nie odpowiadał.

[Wern] Właściwie nigdy bym o tym nie pomyślał, gdyby nie wiadomość zakodowana w melodii piosenki.

Zebrałam włosy i odgarnęłam je do tyłu. Potem przechyliłam lekko głowę, wpatrując się w monitor. Miałam wrażenie, że na twarzy pojawiły mi się wypieki. Gdyby Robert teraz wszedł do gabinetu, z pewnością nie omieszkałby sprawdzić, co wywołuje we mnie tyle emocji.

Nie miałam wątpliwości, że byłaby to ostatnia rozmowa, jaką odbyłam z Wernerem.

Musiałam być ostrożna.

[Kasandra] Jak brzmiała ta wiadomość?
[Wern] Webster.

[Kasandra] Nic mi to nie mówi. A przynajmniej nic konkretnego.

[Wern] Bo Tobie ani nikomu innemu nie ma nic mówić. Tylko mnie. W połączeniu z PaulFrancis daje jasną wskazówkę, czego mam szukać.

[Kasandra] To znaczy?

Zaczęłam nerwowo obracać kieliszek na blacie.

[Wern] Trzymam cię trochę w niepewności, co?

[Kasandra] Trochę.

[Wern] Ale ty mnie też. Co do ciebie samej.

[Kasandra] Nie rozumiem.

[Wern] Na dobrą sprawę nie wiem, czy nie drwisz sobie z tego wszystkiego razem z paczką dobrych koleżanek. Mogę sobie wyobrazić, jak zaśmiewacie się w głos.

Prychnęłam cicho, jakby mógł to usłyszeć. Ja i paczka dobrych koleżanek.

Kiedy ostatnim razem Robert pozwolił mi na spotkanie w gronie samych kobiet, żałowałam tego przez trzy kolejne noce. Wracał do tego nieustannie, roztaczając absurdalne wizje, jak rzekomo go obgadywałyśmy, jak planowałam go zostawić, jak moje znajome szukały dla mnie nowego faceta i tak dalej.

Po tym nigdy więcej nie spotkałam się z nimi sama. A jeśli cokolwiek z Robertem organizowaliśmy, zawsze były to imprezy dla par.

Położyłam dłonie na klawiaturze i przez moment się zastanawiałam. W końcu uznałam, że najlepiej będzie, jeśli zachowam pełen profesjonalizm.

[Kasandra] PaulFrancis. Webster. Co to znaczy?

[Wern] Nie interesowałaś się w młodości Spider-Manem, prawda?

[Kasandra] Nie.

[Wern] A tak się składa, że ja tak. I Ewa dobrze o tym wie.

Czas teraźniejszy. Damian naprawdę wierzył, że ona żyje.

[Kasandra] Więc o co chodzi?
[Wern] O amerykańskiego tekściarza, którzy stworzył kultową piosenkę o Pajęczaku. Gdybym ci zanucił, pewnie od razu byś skojarzyła. Choć tylko dlatego, że pojawiła się w czterech filmach. W jedynce, tej Sama Raimiego, w wersji oryginalnej. W dwójce wykonuje ją Michael Bublé, a w trójce grają ją podczas wielkiej fety na ulicach. Jest też w remake'u z Andrew Garfieldem, w którym Peter ma taki dzwonek.

Patrzyłam na ekran z niedowierzaniem.

[Kasandra] I co to oznacza?
[Wern] Że wiem, gdzie szukać kolejnych wskazówek.
[Kasandra] Nie trzymaj mnie więc w niepewności.
[Wern] Wystarczyło, że wpisałem na SoundCloundzie „Spider-Man theme", a potem znalazłem odpowiedni plik.

Otworzyłam nową zakładkę i zrobiłam to, o czym pisał. Wyświetliło się mnóstwo wyników. Była wersja oryginalna, oczywiście powielona niezliczoną ilość razy, a do tego covery, wesoła twórczość fanów Spider-Mana i wiele innych plików, mniej lub bardziej związanych z kultowym kawałkiem Webstera.

[Kasandra] Trochę tego jest.
[Wern] Ale jeśli wiesz, na co zwrócić uwagę, nie ma to znaczenia.
[Kasandra] A Ty wiedziałeś?
[Wern] Oczywiście. Inaczej Ewa nie zostawiałaby mi tej wiadomości.
[Kasandra] Więc który plik otworzyć?
[Wern] Ten, który zamieścił użytkownik o nicku Tygrys.
[Kasandra] Tygrys?
[Wern] Tak czasem do mnie mówiła.
[Kasandra] Nie brzmi to najlepiej.
[Wern] To taki… taki nasz zwyczaj. Zupełnie jak wyścigi, kto pierwszy skończy zmieniać pościel. Albo jak wygłupy w Ikei, kiedy… bawiliśmy się w dom. Lub jak budowanie fortu do oglądania filmów, z foteli i koców.

[Kasandra] Fortu?
[Wern] To było dawno. Chodziło o zabudowanie telewizora, tak żeby było jak w kinie. Zresztą nieważne.

Uśmiechnęłam się lekko i pokiwałam głową.

[Kasandra] W tym kawałku też była wiadomość nadana kodem Morse'a?
[Wern] Tak.

Mogłam wyobrazić sobie, jaką przyjemność sprawiało mu dawkowanie mi informacji. Znów popatrzyłam niepewnie w kierunku drzwi. Tym razem nie usłyszałam żadnych dźwięków z dołu i poczułam niepokój.

[Kasandra] Jaka?
[Wern] Pewien adres bit.ly.
[Kasandra] Co to jest?
[Wern] Skracacz URL.

Nie odpisywałam przez moment.

[Wern] Serwis, który przekłada długie adresy stron internetowych na krótkie, łatwe do przekazania.
[Kasandra] Dokąd prowadził?
[Wern] Do witryny, która wygląda jak kopia SoundClouda. Problem polega na tym, że jest zablokowana.
[Kasandra] Jak?
[Wern] Trzeba wprowadzić hasło.
[Kasandra] I nie znasz go?
[Wern] Jeszcze nie.

Znów skinęłam głową, jakby mógł to zobaczyć.

[Wern] I nie wiem, co tam na mnie czeka. Ale jedno jest pewne.
[Kasandra] Co?

[Wern] Że podchody się skończyły. Ewa ma dla mnie konkretną wiadomość.

3

Kasandra Reimann była właściwie taka, jak ją sobie wyobrażałem. Enigmatyczna, małomówna, chłodna. Może nawet obojętna. Ale właśnie ta obojętność sprawiała, że jej osoba wydawała się w pewien sposób przyciągająca.

I pomyśleć, że cały ten obraz potrafiłem złożyć z liter pojawiających się na ekranie. Choć czy rzeczywiście było to takie dziwne? Od kiedy zaczęto czytać pierwsze książki, ludzie tworzyli obrazy ze słów.

Blitzer nie był mistrzem złotych myśli, ale raz zdarzyło mu się powiedzieć coś mądrego. Muzyka rzeźbi rzeczywistość. Niewiele było bardziej trafnych sformułowań. A słowa podobnie rzeźbią obrazy ludzi. Język zresztą jest przecież narzędziem kontroli umysłu – trzeba tylko umieć odpowiednio go używać.

Kasandra z pewnością umiała. Była oszczędna, trzymała dystans, momentami sprawiała wrażenie, jakby niespecjalnie interesowało ją to, o czym piszemy.

A może przesadzałem? Może stworzyłem w umyśle wizję potężnej, przebiegłej i bezwzględnej kobiety, żeby mieć poczucie, że w mojej drużynie grają tylko najlepsi zawodnicy?

Nie miałem zamiaru w to wnikać. Liczył się trop, który odnalazłem.

Byłem pewien, że po wprowadzeniu hasła zobaczę wiadomość od Ewy. I że ona wciąż żyje. Będąc narzeczonym, takie rzeczy się po prostu wie. Nawet jeśli od oświadczyn minęło dziesięć lat.

Ale o jakie hasło mogło chodzić?

Musiało być to coś, co znałem tylko ja. Ewa miała pewność, że po zobaczeniu zdjęcia z koncertu Foo Fighters, po odkryciu *Better Days* i odnalezieniu odpowiedniego pliku z czołówką *Spider-Mana* tylko ja trafię na tę stronę. Teraz potrzebowała pewności, że tylko ja będę mógł otworzyć drzwi.

Podrapałem się po głowie, zastanawiając się, jak brzmi hasło. Z pewnością nie mogło przewinąć się w żadnej ze wskazówek. To wiązałoby się z ryzykiem, że wpadnie na nie ktoś jeszcze. Ewa potrzebowała innej weryfikacji. Odpowiednika jednorazowego kodu esemesowego, który mógł dotrzeć tylko do jednej osoby.

Krążyłem po pokoju, starając się wpaść na to, co mogłoby to być. Problem nie polegał na tym, że nie miałem pomysłu. Przeciwnie, stanowczo zbyt wiele pojawiło się ich w mojej głowie.

Historia naszego związku była tak bogata, że mogłem wyłowić z niej właściwie wszystko. Wygłupy w Ikei czy ściganie się, kto pierwszy założy poszewkę, były tylko kroplami w morzu.

Stanąłem przy oknie i wyjrzałem na zewnątrz. Samochód rodziców stał na strzeżonym hotelowym parkingu. Zostawili mi go, a do miasta wrócili autobusem. Stara skoda felicia wyglądała jak zabytek, ale jeździła. W dodatku na gaz, co znacznie ułatwi mi zadanie, biorąc pod uwagę ograniczone środki.

Musiałem tylko dowiedzieć się, dokąd jechać.

Oparłem się o okiennicę i głęboko zamyśliłem. Do głowy przychodziły mi przypadkowe słowa i płynęły wezbranym strumieniem. W końcu uznałem, że któreś musi być właściwe.

Może zwyczajna, prymitywna metoda prób i błędów w tym wypadku sprawdzi się najlepiej, pomyślałem.

Usiadłem przed wysłużonym asusem i wprowadziłem pierwsze słowo. AMZBGMAN.

Był to jeden z kodów do gry ze Spider-Manem. Jedynej, do której udało mi się przekonać Ewę. Grała jednak tylko pod

warunkiem, że wprowadziłem tego cheata. Sprawiał, że sterowany przez gracza bohater zmieniał się w Bag Mana – postać z workiem na głowie zamiast maski. Wydawało mi się, że to hasło dobre jak każde inne. Od czegoś przecież musiałem zacząć.

Na ekranie pojawiły się gwiazdki, a kiedy nacisnąłem enter, poczułem, że serce wali mi jak młotem.

Strona się przeładowała.

Pojawił się czarny ekran, a na nim biała trupia czaszka.

Po chwili pod nią zamrugała informacja, która sprawiła, że znieruchomiałem.

„1/3".

Nie musiałem długo się zastanawiać, by dojść do wniosku, że właśnie zmarnowałem jedną z trzech prób. Metoda, którą miałem zamiar przyjąć, dłużej nie wchodziła w grę. Zakląłem pod nosem, upominając się, że powinienem był się tego spodziewać. Cały proces Ewa przygotowała tak skrupulatnie, że musiała zadbać też o tego typu zabezpieczenie.

Nie miałem wątpliwości, że przy trzeciej nieudanej próbie strona bezpowrotnie przepadnie. Musiała mieć wbudowany *kill switch*, jakiś system autodestrukcji.

Podniosłem się z krzesła i znów podszedłem do okna. Zupełnie jakbym mógł w ten sposób uciec przed świadomością tego, co właśnie zrozumiałem.

Miałem dwie próby.

Mogłem pomylić się jeszcze tylko raz.

Obserwowałem ludzi przyjeżdżających do restauracji, na korty do tenisa i badmintona i zazdrościłem im życia, które wiedli. Największym zmartwieniem było dla nich zapewne to, że do weekendu pozostało więcej czasu, niżby chcieli.

Przeszło mi przez myśl, że w obecnej sytuacji przynajmniej tym nie muszę się martwić. Właściciel SpiceX z pewnością już mnie

przekreślił, nie mogąc się ze mną skontaktować.

Koniec z podawaniem kurczaka, który bezapelacyjnie królował w menu. Mój przełożony twierdził, że wszystkie dania z drobiu są absolutnie wyjątkowe, bo kura to jedyne zwierzę, które spożywamy zarówno przed jej narodzinami, jak i po jej śmierci.

Było w tym coś poetyckiego, ale nijak nie pomagało mi w rozwiązaniu mojego problemu. Westchnąłem, starając się sprowadzić myśli z powrotem na dobry tor.

Zacząłem krążyć po pokoju, drapiąc się po karku. Nie mogłem wpaść na nic konkretnego.

W końcu zatrzymałem się przed laptoptem i spojrzałem na monitor.

Zupełnie zdębiałem. Na ekranie nie było już czaszki, jej miejsce zajął cyfrowy zegar. Nie wiedziałem, kiedy zaczęło się odliczanie, ale w tej chwili do jego końca pozostało niecałe osiem minut.

Cezura czasowa. Ewa zadbała o to, by ograniczone były zarówno liczba prób, jak i czas, który osoba wchodząca na stronę miała na zastanowienie.

Miałem wrażenie, jakby coś odmierzało sekundy do mojego końca. Z trudem przełknąłem ślinę, nie odrywając wzroku od licznika. Usiadłem przy stole i potrząsnąłem głową. Czas wziąć się w garść.

Zamiast jednak zastanawiać się nad hasłem, zacząłem myśleć o tym, jak obejść zabezpieczenia. Zmieniając adres IP i MAC, mogłem przecież wejść na witrynę jeszcze raz. Wyzerować nie tylko licznik, ale także próby.

Nie, to nie mogło działać w ten sposób.

A jednocześnie strona nie mogła przecież w ten sposób zachowywać się przy każdym użytkowniku internetu, który przypadkowo by na nią trafił. Pierwsza lepsza zbłąkana dusza położyłaby cały plan Ewy.

Tyle że witryna z pewnością nie była indeksowana, a jej adres był tak skomplikowany, że nie dałoby się trafić na niego przypadkiem. Jedynym sposobem było odnalezienie linku zaszyfrowanego kodem Morse'a w kawałku Paula Francisa Webstera.

To wszystko było przeznaczone jedynie dla mnie.

Otarłem czoło, dopiero teraz uświadamiając sobie, że zrobiło mi się gorąco. Zegar nadal zabierał mi cenne sekundy, a ja czułem się, jakby z każdą kolejną ktoś wydzierał część mnie.

Nagle jednak sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej.

Kiedy do końca odliczania zostało niewiele ponad sześć minut, biała czaszka drgnęła. Na ekranie pojawił się długi sznur, a na nim całe mnóstwo igieł. Trupie usta się otworzyły, a rząd ostrych przedmiotów zaczął znikać gdzieś w ich czeluści.

Zegar przyspieszył. Odliczanie od pięciu w dół mogło potrwać nie dłużej niż kilka sekund.

Rzuciłem się do klawiatury, uświadamiając sobie, że lepiej wpisać cokolwiek, niż pozwolić, by mechanizm sam uznał drugą próbę za niepowodzenie.

Zawahałem się jednak. I tyle wystarczyło, by czas dobiegł końca.

„2/3" – pojawiło się na czarnym ekranie.

Czaszka znikła, a razem z nią sznur z igłami. Znów pojawił się cyfrowy zegar, tym razem odliczał od piętnastu minut w dół. Przypuszczałem, że podobnie jak poprzednio, tak i teraz na końcu przyspieszy.

Zastygłem w bezruchu, jakby najmniejsze drgnienie miało sprawić, że czas zacznie uciekać jeszcze szybciej. Nie ocierałem kropel potu, które zaczynałem czuć na karku.

To, co widziałem, nie mogło być przypadkowe. Stanowiło wskazówkę. Podpowiedź przeznaczoną tylko dla mnie.

Otrząsnąłem się.

Linka z igłami. Z czym mi się to kojarzyło?

Nie, nie sama linka. Chodziło o połykanie jej wraz z tymi ostrymi przedmiotami.

W końcu mnie olśniło. Harry Houdini. Był to jeden z jego najsłynniejszych numerów. Na długim sznurze umieszczał od pięćdziesięciu do stu igieł, a potem połykał całość i pokazywał publiczności puste usta. Potem sięgał ręką niby do gardła i wyciągał z niego to, co wcześniej w nim znikło.

Wiedziałem o tym, bo dwa ostatnie filmy, na których byliśmy z Ewą, rozbudziły w nas zainteresowanie iluzjami. W styczniu dwa tysiące siódmego oglądaliśmy *Prestiż* z Hugh Jackmanem i Christianem Bale'em. W marcu byliśmy na *Iluzjoniście* z Edwardem Nortonem.

Potem na YouTubie oglądaliśmy programy dokumentalne o iluzjach. Harry Houdini pojawiał się oczywiście najczęściej, a sztuczka z igłami była jedną z tych, która robiła największe wrażenie.

Wbrew pozorom nie należała jednak do niebezpiecznych. Houdini zazwyczaj narażał zdrowie, a nawet życie podczas wykonywania swoich numerów, ale nie w tym wypadku. Przed występem ukrywał pod wargami linkę ze stępionymi igłami, te ostre zaś wpuszczał do rękawa czy za kołnierz, nie pamiętałem dokładnie. Potem wystarczyło tylko, że przykrył kawałek stępionych, kiedy pokazywał puste usta publiczności.

Harry Houdini.

Było coś adekwatnego w tym, że to akurat jego wybrała Ewa. Wiedziała, że od razu połapię się, w czym rzecz. I jakie jest hasło.

Spojrzałem na odliczanie. Teraz nie miało już żadnego znaczenia. Doskonale wiedziałem, że nawet gdyby zegar przyspieszył, zdążyłbym wpisać odpowiednie słowo.

Wszystko zaczęło się od muzyki. Od koncertu Foo Fighters.

Wszystko związane było z muzyką.

I kończyło się na muzyce.

Uśmiechnąłem się, kręcąc głową. Doceniałem ogromny trud, jaki Ewa sobie zadała. A szczególnie to, że znalazła spoiwo, które pozwoliło wszystkim elementom połączyć się w jedną całość.

Najwyraźniej miała zadatki na kobiecą, współczesną wersję Houdiniego. Ale czy to także chciała mi przekazać, decydując się na takie odwołanie? Czy było to coś więcej, poza samymi wskazówkami? Sugestia, że to ona podjęła decyzję, by tamtego dnia nad rzeką na zawsze zniknąć?

Nie chciałem tego roztrząsać. Tym bardziej że odpowiedzi czekały na mnie na stronie.

Wróciłem myślami do Harry'ego Houdiniego. Zasłynął nie tylko jako mistrz iluzji, ale także jako osoba obalająca mity. Szczególnie czule potraktował temat wywoływania duchów. Wykorzystywał swoją wiedzę, by podczas seansów spirytystycznych ujawniać triki, których osoby podające się za medium używały do przyzywania dusz z zaświatów.

Narobił sobie przez to sporo wrogów, stracił nawet sympatię samego Arthura Conan Doyle'a. Jednocześnie sam nie był przekonany co do tego, czy kontakt na tej płaszczyźnie rzeczywiście jest czymś niemożliwym.

Przeciwnie, uznawał, że jeśli ktokolwiek będzie w stanie go nawiązać, to jedynie on.

Ostatecznie zawarł z żoną umowę. Sprowadzała się do tego, że jeśli Houdini po śmierci odnajdzie sposób, by się z nią skomunikować…

Urwałem na moment tok myśli. Starałem się odsunąć od siebie świadomość tego, jak wiele analogii w tej chwili pojawiło się między tamtymi dwojgiem a mną i Ewą.

Ale będzie jeszcze czas na roztrząsanie innych ukrytych przekazów, teraz liczył się tylko jeden.

Wróciłem myślami do Houdiniego.

Ustalił ze swoją żoną, Bess, że ta po jego śmierci odwiedzi wszystkie osoby, które mogły w rzeczywistości okazać się medium. I robiła to przez dziesięć lat, uczestnicząc w kolejnych seansach spirytystycznych.

Umowa polegała na tym, że jeśli kontakt naprawdę zostanie nawiązany, Harry przekaże Bess hasło, które znali tylko oni. Miało brzmieć: „Rosabelle, uwierz".

Rosabelle była ich ulubioną piosenką. Bess śpiewała mu ją, kiedy poznali się na Coney Island.

Skinąłem głową, wprowadziłem je do pola, gdzie mrugał biały kursor, a potem nacisnąłem enter.

Zegar znikł. Strona się przeładowała.

4

Wiedziałam, że wybrzmienie dźwięku klawiszy z dołu jest sygnałem, bym szybko zakończyła rozmowę z Wernerem. Zamknęłam RIC, niezadowolona, że tego wieczoru nie poznam już odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

Będę musiała poczekać aż do jutra. Mogłabym spróbować skontaktować się z Damianem w trakcie dnia, ale nawet jeśli Robert nie korzystał z monitoringu w domu, to z pewnością o wszystkim doniosłaby mu któraś z pracujących u nas osób.

Czasem odnosiłam wrażenie, że mamy ludzi do wszystkiego. Do sprzątania, zajmowania się ogrodem, prania, suszenia czy w końcu zapewniania nam bezpieczeństwa. Większość pochodziła ze Wschodu, w Polsce pewnie przebywała bez wizy. Plus był taki,

że praca, którą im dawaliśmy, była znacznie lepiej płatna od jakiejkolwiek, którą udałoby im się zdobyć legalnie.

Minus sprowadzał się do tego, że czułam się nieustannie inwigilowana. Przynajmniej za dnia.

Nocą wydawało się, że jesteśmy sami w domu. Właściwie sami na całym świecie.

Zeszłam na parter i zastałam Roberta w kuchni. Stał przed otwartą szufladą ze sztućcami i kręcił głową.

– Tyle razy cię, kurwa, prosiłem.

Zatrzymałam się między salonem a kuchnią.

– Czy naprawdę tak trudno kłaść moje noże po prawej, a twoje po lewej?

Zdawałam sobie sprawę, że to dla niego powód dobry jak każdy inny, by się wściec. Mieliśmy oddzielne zestawy sztućców. Moje pochodziły głównie z supermarketów, on swoje kupował w internecie. Zestawy Gerlacha, które wybierał, kosztowały prawie tysiąc złotych, ale wydawał te pieniądze lekką ręką.

Z taką samą łatwością przychodziło mu podnoszenie jej na mnie.

Kiedy się obrócił, nie mogło ulegać wątpliwości, że zaraz tak się stanie.

– Dlaczego nie możesz po prostu zrobić tego, o co proszę?

Nie odzywałam się. Nie spuściłam wzroku.

Trwałam w bezruchu, starając się patrzeć na niego bez emocji. Myślałam o tym, że tej nocy nie będzie źle. Przetrwam godzinę, może dwie, a potem wszystko się skończy. Rano się obudzę, napiję się prosecco, jakoś przetrzymam do wieczora.

Wtedy dowiem się, co zdołał ustalić Werner.

– Przecież to takie, kurwa, nieskomplikowane.

Robert zbliżył się szybkim, zdecydowanym krokiem. Zanim zdążyłam zareagować, złapał mnie za kołnierz i pociągnął w stronę kuchni. Rzucił mną o blat jak workiem śmieci. Chwycił

za kark, a potem przeciągnął kawałek w kierunku wysuniętej szuflady.

– Zobacz! – wyrzucił z siebie. – Po prawej moje, po lewej twoje, kurwa mać!

Uniósł mi lekko głowę i przez moment obawiałam się, że zaraz uderzy nią o rzędy równo ułożonych sztućców.

Zamiast tego obrócił mnie jednak, przycisnął jedną ręką do wiszącej szafki, a drugą sięgnął po nóż. Jeden ze swoich, marki Gerlach. Był wykonany ze stali nierdzewnej, miał lustrzany połysk.

Zbliżył mi ostrze do twarzy, jakby miał zamiar wydłubać mi oko.

– Teraz widzisz? Teraz poznajesz, który jest mój?

– Robert…

– Zamknij, kurwa, ryj!

Wypuścił mnie, ale nawet się nie poruszyłam. Wiedziałam, że próba ucieczki nie skończy się dobrze. Robert zamachnął się i uderzył mnie otwartą dłonią. Potem znów złapał za bluzkę, potrząsnął mną i wymierzył we mnie nóż.

– Muszę ci coś zrobić, żebyś sobie to w końcu wbiła do swojego durnego łba?

– Nie.

– A jednak powtarzam ci to od… kurwa, od kiedy pamiętam! A ty wciąż to robisz. Wciąż masz to wszystko w dupie.

Rzucił nóż do szuflady, złapał mnie oburącz, a potem potrząsnął tak mocno, że uderzyłam głową o szafkę. Robił tak przez jakiś czas, wykrzykując coś pod moim adresem. Większości słów nie rozumiałam, niknęły w szumie, który powodowały uderzenia.

Modliłam się nie o to, by przestał, ale by Wojtek niczego nie słyszał. I by nigdy niczego podobnego z rąk Roberta nie doświadczył.

Był to główny powód, dla którego to wszystko znosiłam. Miałam głębokie przekonanie, że w jakiś sposób chronię syna. Że wszystkie ciosy, które Robert mi wymierza, równie dobrze mogłyby dosięgnąć Wojtka.

Wydawało mi się, że godząc się na to, poświęcam się dla syna.

– Kiedyś cię zajebię, rozumiesz?!

Cisnął mną na podłogę, potem z impetem zasunął szufladę. Pochylił się, podniósł mnie i zaciągnął do sypialni.

Kiedy zamykał za sobą drzwi, wiedziałam już, że męka nie potrwa godziny czy dwóch. Musiałam nastawić się na znacznie więcej.

Festiwal brutalności trwał do czwartej nad ranem.

Potem przemoc zamieniła się w żal. Terror w błagalne, żałosne apele o wybaczenie. I o pomoc.

Rankiem oceniłam rozmiar szkód i po raz kolejny nie mogłam opędzić się od wrażenia, że staję się coraz większą profesjonalistką w maskowaniu obrażeń. A jednocześnie, że wymaga to coraz więcej pracy.

Robert czekał na mnie ze śniadaniem, czytał gazetę na iPadzie. Przy stole siedział Wojtek, też przeglądając coś w internecie. Raz po raz wymieniali się jakimiś uwagami i wszystko to wyglądało jak typowe śniadanie kochającej się, szczęśliwej rodziny.

Stanęłam przed szufladą ze sztućcami i na moment zamknęłam oczy. Potem zmusiłam się do uśmiechu. Był przeznaczony tylko dla mnie. Już dawno odkryłam, że nawet tak prozaiczna rzecz potrafi sprawić, że znacznie łatwiej utrzymuje się potem pozory.

Odsunęłam szufladę i zobaczyłam, że nie ma w niej ani jednego noża czy widelca z zestawu Gerlacha. Odwróciłam się i uniosłam brwi. Robert uciekł wzrokiem.

– Wyrzuciłem je – powiedział. – Zdecydowanie lepsze są te twoje.

– Moje kosztowały niecałe pięćdziesiątych złotych.

– I dobrze. To tylko sztućce, po co wydawać na nie więcej?

Pokręciłam głową. Nie podobało mi się to – i bynajmniej nie chodziło o wyrzucenie niemal tysiąca złotych w błoto. Chciałam mieć tutaj te sztućce. Chciałam, żeby przypominały mu za dnia o tym, w kogo zmienia się nocą.

– Gdzie one są?

– Wyrzuciłem je.

Otworzyłam kosz, ale sztućców nie znalazłam. Zamknęłam drzwiczki nieco zbyt mocno, przez co Wojtek niepewnie uniósł wzrok. Posłałam mu ciepły uśmiech i odpuściłam. Nie było sensu kruszyć kopii o kilka kawałków stali.

Zresztą prędzej czy później porządny zestaw wróci. Tak jak wracało wszystko inne.

Usiadłam przy stole i zaczęłam jeść domową granolę, którą przygotował Robert. Wiedziałam, że niespecjalnie lubi takie śniadania. Zrobił ją dla mnie, jakby mogło to zatrzeć bolesne wspomnienie tego, co działo się jeszcze kilka godzin temu.

Spojrzałam na wydatne cienie pod oczami męża. Spał dłużej ode mnie, po swoim własnym *katharsis* zawsze w końcu odpływał. Nie mógł jednak zakamuflować tego, co ja bez trudu potrafiłam ukryć.

Zamknął futerał z iPadem i popatrzył na mnie.

Ktoś kiedyś powiedział, że miłość to nic innego jak zdolność rozpoznania samego siebie w oczach drugiej osoby. Ja widziałam jednak w oczach męża zupełnie obcego, niepodobnego do mnie człowieka.

– Zastanawiam się nad Reimann Investigations – rzucił.

– To znaczy?

– Albo musimy przyjąć kogoś na miejsce Glazura i Klizy, albo rozważyć, czy w ogóle potrzebny nam ten biznes.

– Oczywiście, że potrzebny.

– Do czego?

– Wiesz, że prowadzę kilka spraw.

Z trudem przełknęłam kawałki pestek słonecznika i migdałów. Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak tracę jedyną rzecz, która potrafiła wyrwać mnie z tej rzeczywistości.

Niewiele było trzeba, by Robert mi ją odebrał. Robił to już niejednokrotnie.

Zazwyczaj co jakiś czas dawał mi trochę swobody, na przykład godząc się, bym zaadaptowała dla siebie gabinet na poddaszu lub przejęła stery w RI. Mijało jednak trochę czasu, a on zmieniał zdanie. Dochodził do wniosku, że za bardzo się uniezależniam, zupełnie jakby w jakiś sposób mogło mu to zagrozić.

Był to głośny podźwięk paranoi, która go nie opuszczała. Cały czas był przekonany, że podjęcie przeze mnie tego czy innego zajęcia sprawi, że się od niego oddalę. Najgorzej było podczas ciąży.

Ale nie chciałam do tego wracać. Najważniejsze było to, że po narodzinach Wojtka traktował naszego syna jak spoiwo, a nie osobę, która nas dzieli.

– Sprawa tej dziewczyny z Opola jest zakończona – powiedział. – A pozostałe zamkniesz szybko.

– Ale…

– Macie teraz kilka wywiadów gospodarczych do domknięcia i jedną sesję zdjęciową.

Sesjami zdjęciowymi określaliśmy najgorsze zadania, które otrzymywało RI – śledzenie małżonków i gromadzenie przedrozwodowych brudów.

– Prowadzimy jeszcze…

– Weryfikację jakiegoś tam kandydata do zarządu – przerwał mi. – Wiem.

Oczywiście wiedział o wszystkim. Był pasjonatem kontroli. Nie, kimś więcej. Fanatykiem. Był jak bezlitosny dyktator, który postrzegał obce terytoria wyłącznie jako swoje przyszłe dominium.

– To wszystko da się zamknąć w tydzień, najwyżej dwa. Potem moglibyśmy zastanowić się nad zlikwidowaniem firmy.

Zastanawiałam się, jak odpowiedzieć, żeby nie rozpętać burzy przy Wojtku.

– RI nie przynosi dochodów – dodał Robert.

Nie była to prawda, ale nie mogłam się na ten temat zająknąć. Wiedziałam, czym skończyłoby się kwestionowanie słów męża. Wprawdzie za dnia nie podniósłby na mnie ręki, chyba że szłabym w zaparte, ale Wojtek z pewnością wyczułby wrogość. Dzieci widziały znacznie więcej, niż ich rodzice byli gotowi przyznać.

– Ale nie generuje też wielkich kosztów – powiedziałam.

– Wielkich może nie…

– Zastanów się jeszcze.

– Dobrze – zapewnił mnie i się uśmiechnął.

Chwilę później ucałowałam syna w policzek i klepnęłam go w plecy. Wciąż towarzyszyło mi nieodparte poczucie, że jesteśmy w przededniu tego momentu, kiedy Wojtek uzna, że najwyższa pora skończyć z takimi czułościami.

Odprowadziłam ich wzrokiem, a potem wyciągnęłam schłodzone prosecco i usiadłam sama przy stole. Na zewnątrz krzątał się Ukrainiec, który dbał o trawnik. Zerkał na mnie raz po raz, zapewne z polecenia Roberta.

Nalałam sobie, ale się nie napiłam. Przez jakiś czas siedziałam bez ruchu przy stole, patrząc przed siebie, jakby na przestrzał.

Robert zamknie Reimann Investigations. Nie mogłam nic w tej sprawie zrobić. Podobnie jak w każdym innym przypadku, kiedy podjął jakąś decyzję, klamka od razu zapadła. Nikt ani nic nie mogło przekonać go, by zmienił zdanie.

Miałam ograniczoną ilość czasu. I musiałam zrobić z niego użytek.

Zabrałam kieliszek i poszłam na górę. Jeśli monitoring był włączony lub pracownicy rzeczywiście mieli na mnie oko, Robert od razu zainteresuje się, dlaczego w trakcie dnia spędzam czas w gabinecie. Ale w tej sytuacji musiałam zaryzykować.

Wysłałam Wernerowi esemesa z kodem aktywacyjnym, a potem czekałam.

W końcu się pojawił. I od razu docenił nick, który mu tym razem ustawiłam.

[J.Verne] Widzę, że humor Ci dzisiaj dopisuje.
[Kas] Wyjątkowo.
[J.Verne] I ewidentnie lubisz skróty imion.
[Kas] Każdy ma jakieś zboczenie.
[J.Verne] Każdy ma też swój własny plan, dopóki nie dostanie po ryju.

Uniosłam brwi. Nie mógł wiedzieć, jak niefortunnie trafił z tą nieprzesadnie złotą myślą.

[J.Verne] To Mike Tyson. I właściwie miał rację, z jednym wyjątkiem. Ewa swój plan zabezpieczyła na każdy możliwy sposób. I przygotowała się na każdą ewentualność.
[Kas] Odgadłeś hasło?
[J.Verne] Przy ostatniej próbie. Okazało się, że mam tylko trzy.

Napiłam się i od razu zrobiło mi się lepiej. Nie wiedziałam, czy to przez alkohol, czy dzięki temu, że Damianowi udało się trafić na coś konkretnego.

[J.Verne] Houdini byłby z niej dumny.
[Kas] Co takiego?
[J.Verne] Z Ewy. Wywinęła taki numer, że…

Urwał, a jego wiadomość po chwili znikła.

[J.Verne] Mniejsza z tym. Ważne jest to, że się ze mną skontaktowała.

Natychmiast dopadłam do klawiatury.

[Kas] Co? Jak?

Pisałam bez zastanowienia, gorączkowo. Gdybym miała chwilę, by się zastanowić, zapewne zdecydowałabym się na nieco zgrabniejszą odpowiedź.

[J.Verne] Po zalogowaniu się trafiłem na inną stronę. Początkowo myślałem, że ta sama tylko się odświeżyła, ale nie. Przekierowało mnie gdzie indziej.
[Kas] Gdzie?
[J.Verne] Do deep webu, rzecz jasna.
[Kas] To znaczy?

Kursor przez moment mrugał na czarnym ekranie. Odpowiedź nie nadchodziła. Przez głowę przeszedł mi korowód czarnych myśli, najwyraźniej wcześniejszy optymizm był wyjątkowo kruchy.

Bez trudu mogłam wyobrazić sobie, jak ktoś wpada na trop Damiana. Lokalizuje go w podopolskim hotelu, a potem wysyła ludzi, by się nim zajęli. Dokładnie tak, jak było w przypadku jego przyjaciela.

Wzdrygnęłam się. Nie tylko ja znajdowałam się w nieciekawej sytuacji. Mnie i Wernera łączyła jedna rzecz – realne zagrożenie życia. W jego przypadku mogło nadejść ze strony obcych osób, w moim nie.

Jedna i druga groźba była jednak realna.

W końcu na monitorze pojawiła się odpowiedź.

[J.Verne] Jak Ty się uchowałaś?

[Kas] Nie śledzę nowinek technologicznych na bieżąco. Mam życie.
[J.Verne] Deep web to nie żadna nowinka.
[Kas] A jednak musiałeś wyguglać to i owo, stąd ta przerwa w odpowiedzi.
[J.Verne] Przerwę zarządził pęcherz.
[Kas] Wątpię. Nie poszłoby ci tak szybko.
[J.Verne] Skąd wiesz, że nie siedzę na toalecie z laptopem na kolanach?

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową.

[Kas] Nie wiem.
[J.Verne] I na tym polega piękno komunikacji internetowej.

Nie, polegało na tym, że Robert nie mógł mi w niej przeszkodzić. Przynajmniej nie w tej chwili. Zerknęłam na otwarte drzwi, obawiając się, że niebawem usłyszę, jak otwierają się te wejściowe.

[Kas] Czym jest ten deep web?

Miałam wrażenie, że Kliza często z niego korzystała. Kiedyś tłumaczyła mi nawet, na czym polega.

[J.Verne] Głęboką siecią.
[Kas] Tak, tyle rozumiem.
[J.Verne] Żeby zrozumieć więcej, musisz wiedzieć, że z poziomu swojej przeglądarki masz dostęp do jakichś czterech procent całego internetu.

Zaczął tłumaczyć, że indeksowanych jest około czterech i pół miliarda stron. Cała reszta pozostaje pod powierzchnią, nie da się do niej dotrzeć bez precyzyjnej wiedzy, gdzie się skierować.

Na deep web składały się i te legalne, i nielegalne rzeczy. Od rządowych dokumentów przechowywanych na bezpiecznych serwerach, przez zwykłe strony, do których nie prowadzą żadne

odnośniki, aż po czarny rynek, na którym można było kupić wszystko. I znaleźć wszystko.

Ten ostatni poziom Wern nazwał darknetem.

[J. Verne] Jest tam wszystko. Możesz kupić kilka kont na Netfliksie, ale też broń, podrobiony amerykański paszport czy narkotyki. Wszelkiej pornografii masz ile dusza zapragnie, a dodatkowo możesz komunikować się tam bezpiecznie, bez obaw, że ktokolwiek trafi na twój trop.
[Kas] Tak jak przez RIC.
[J.Verne] Nie, my nie korzystamy z TOR-a. Choć oczywiście jesteśmy w deep webie… tyle że nie w darknecie.
[Kas] Mniejsza z tym.
[J.Verne] Chodzi właściwie tylko o to, że w tym miejscu nikt przypadkowy nie trafia na daną stronę. Ani nikt niepożądany. Ewa mogła być pewna, że tylko ja dotrę do tego, co dla mnie zostawiła.
[Kas] A co zostawiła?
[J.Verne] Pliki MP3.

Zabębniłam nerwowo palcami o blat. Ile czasu jeszcze miałam? Robert nie musiał jechać do biura, zapewne po odwiezieniu Wojtka do szkoły przyjedzie do domu. Nie, po drodze zatrzyma się jeszcze, by kupić kwiaty. A kwiaciarki będą miały już zapewne przygotowane bukiety.

Niemal się zaśmiałam, myśląc o tym, jak musi wyglądać to z ich perspektywy. Bez wątpienia brały Roberta za wyjątkowo kochającego męża, który dba o żonę bardziej niż niejeden mężczyzna o kochankę.

[Kas] Co jest w tych plikach?
[J.Verne] Wszystko.
[Kas] To znaczy? Wystarczy tej tajemniczości, Wern.
[J.Verne] Wybacz. Uczę się jej od ciebie.

Przez moment zastanawiałam się, czy to nie odpowiednia chwila, by stać się bardziej wylewną. Uznałam, że nie. Nie miało znaczenia, jak Damian mnie odbiera.

[Kas] Więc?
[J.Verne] Pliki są nagraniami. Ewa zostawiła je dla mnie.
[Kas] Ale co na nich jest?
[J.Verne] Wszystko. Naprawdę.

Zaklęłam pod nosem.

[Kas] Nie mam wiele czasu.
[J.Verne] To niedobrze, bo nagrania trochę trwają. I Ewa opisuje w nich, co się z nią działo. Każdego dnia. Od momentu, kiedy straciłem przytomność na brzegu rzeki.

Serce zabiło mi szybciej. Poczułam, że krew zaczyna krążyć w żyłach ze zdwojoną prędkością, zupełnie jakby mój organizm do tej chwili działał jedynie na pół gwizdka. Sięgnęłam po kieliszek i opróżniłam go jednym haustem. Bąbelki nagromadziły się w gardle.

Położyłam ręce na klawiaturze i nabrałam głęboko tchu.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpisać, usłyszałam otwierane na dole drzwi.

5

Spodziewałem się niekończącej się fali pytań. Pusty ekran i migający kursor zdawały się jednak sugerować, że Kasandra nie zamierza o nic pytać. Pomyślałem, że czeka, aż podeślę jej link do pierwszego nagrania, ale zanim zdążyłem w ogóle o tym wspomnieć, RIC się wyłączył.

Spojrzałem niepewnie na starego laptopa, jakby to on mógł zawinić. Ale wina nie leżała po mojej stronie. To Kas się rozłączyła, a system automatycznie wyrzucił wszystkich, którzy znajdowali się na stronie.

Musiałem przyznać, że los zapewnił mi raczej dziwną sojuszniczkę. Nie rozumiałem jej, ale może nie musiałem, by skorzystać z jej pomocy. Problem polegał na tym, że nie miałem teraz jak się z nią skontaktować.

Przypuszczałem jednak, że prędzej czy później dostanę kolejnego esemesa z jednorazowym kodem. Musiałem tylko uzbroić się w cierpliwość.

Zamknąłem zakładkę z RIC i znów spojrzałem na niemal pustą witrynę.

Była schowana gdzieś pod internetową powierzchnią, przez cały ten czas czekając właśnie na mnie. Ukrywała się w mroku, ale była w zasięgu – wystarczyło tylko oświetlić prowadzącą do niej drogę.

Na białym tle pojawiła się pajęczyna ze słupków equalizera. Przywodziła na myśl tę, która znajdowała się na kostiumie mojego ulubionego bohatera komiksowego. Na tym jednak pozytywne akcenty się kończyły.

Po przesłuchaniu pierwszego pliku dostrzegłem bowiem, że pajęczyna jest także przenośnią. Życia Ewy. Życia, którego nie znałem, które przede mną skrzętnie ukrywała.

Pierwszy plik zatytułowany był *Zanim cię poznałam*. Kiedy naciskałem doskonale każdemu znaną ikonę „play", czułem się, jakbym przekraczał granicę między snami a rzeczywistością.

Ewa wracała do mojego życia.

Tyle że nie była tą samą osobą, z którą spędziłem jego większość. Przeciwnie, dopiero teraz zdawała się odkrywać przede

mną swoją prawdziwą twarz. Odsłaniała się, ukazując mi wszystkie sekrety, które miała.

A wreszcie także to, co stało się z nią po tamtej pechowej nocy na Loży Szyderców.

Słupki ułożone w pajęczynę drgnęły. Potem z głośników popłynął głos, który zdawał się dochodzić z zaświatów.

Zanim cię poznałam

Wydawało ci się, że znasz mnie od zawsze? Mnie też.

Patrząc w lustro, widziałam tę samą osobę, co na co dzień ty. Ale żadne z nas nie miało świadomości, że to tylko odbicie.

Wiem, że powinnam powiedzieć ci o wszystkim, zanim było za późno. Ale skąd miałam wiedzieć, kiedy ten moment nadejdzie? Myślałam, że mamy wiele czasu. Byłam pewna, że czekają nas szczęśliwe chwile, nie chciałam ich psuć.

Łudziłam się, że jesteśmy bezpieczni. Wiele osób, którym ufałam, zapewniało mnie, że tak jest.

Odłożyłam więc wyjawienie ci prawdy na później. Na nieokreślone później. To było jak odwlekana wizyta u lekarza, kiedy w głębi ducha wiesz już, że cierpisz na jakąś ciężką chorobę, ale nie chcesz słyszeć potwierdzenia diagnozy.

Kiedy się oświadczyłeś, wiedziałam, że nie mogę już dłużej zwlekać. Zasługiwałeś na to, żeby dowiedzieć się wszystkiego, zanim weźmiemy ślub. Powinieneś wiedzieć, w co dokładnie się pakujesz.

Ale stało się to, co się stało.

Przeżyłam, choć po tamtym wieczorze nigdy nie przypominałam już nawet swojego odbicia w lustrze. Minęły lata, zanim zdecydowałam się to dla ciebie nagrać. Potrzebuję jednak twojej

pomocy, Tygrysie. I wiem, że jeśli na kogokolwiek mogę liczyć, to tylko na ciebie.

Dowiesz się wszystkiego po kolei. Wiem, że chciałbyś od razu otrzymać odpowiedzi na wszystkie pytania, ale zanim ci ich udzielę, musisz mnie zrozumieć. Musisz poznać tę historię od samego początku.

Inaczej nigdy nie zrozumiesz, dlaczego podjęłam taką, a nie inną decyzję. Dlaczego znikłam z twojego życia. I dlaczego przez tyle lat nie miałeś ode mnie żadnego sygnału.

Zacznę od początku.

Szukasz paska przewijania?

Mój player nie ma takiej funkcjonalności, przykro mi. Samego pliku też nie ściągniesz na dysk, zadbałam o to. Musisz wysłuchać tej opowieści na moich warunkach. Bo to moje życie, które chcę ci opowiedzieć.

Posłuchaj więc…

Moi rodzice nigdy nie dogadywali się z twoimi, nie było to dla nas żadną tajemnicą. Zazwyczaj zbywaliśmy to śmiechem, żartowaliśmy sobie na ich temat i snuliśmy absurdalne scenariusze ich pojednania. A jeśli już przyszło do poważnej rozmowy, wszystko składaliśmy na karb tego, że pochodzili z dwóch różnych światów.

Moi rodzice co rok czy dwa wymieniali samochód na najnowszy model którejś z najbardziej snobistycznych marek. Twoi mogli pozwolić sobie na skodę felicię i na dobrą sprawę nie marzyli chyba nawet o niczym innym.

Logiczne wydawało się, że będą dogadywać się z trudnością. Ale powód nie był taki, jak sądziłeś. Nie chodziło o pieniądze, karierę czy nawet priorytety.

Chodziło o to, że twoi rodzice to dobrzy ludzie.

Moi do nich nie należeli.

Owszem, dbali o mnie, zapewniali mi wszystko, czego potrzebowałam, a jednocześnie nie pozwalali na zbyt wiele przepychu. Sami zresztą też byli powściągliwi, choć może trudno ci w to uwierzyć.

Mieli odpowiednio dużo pieniędzy, by zmieniać samochody nie co kilkanaście miesięcy, ale dni.

Myślałeś, że mój ojciec prowadził zwykłą kancelarię prawną? Błąd. Zapewniał obsługę i dwudziestoczterogodzinną pomoc tym, którzy płacili najwięcej. Nie miał żadnych barier moralnych i jak na prawdziwego prawnika przystało, miał prawo w głębokim poważaniu.

Po latach wydaje mi się nawet, że sam szukał klientów, którzy działali nielegalnie. Wiedział, że to tam pieniędzy jest najwięcej. A cała jego egzystencja sprowadzała się właśnie do ich gromadzenia.

Był świetnym potwierdzeniem zasady, że im więcej rzeczy posiadasz, tym więcej ich potrzebujesz. Zarabianie stało się jego obsesją, mimo że nie mógł swobodnie wydawać w obawie przed przykuciem uwagi skarbówki. Gdyby moja mama miała inny system wartości, być może w pewnym momencie by go przyhamowała.

Ale nie miała. Pod tym względem byli dla siebie stworzeni. Oboje napędzała niezdrowa potrzeba akumulacji pieniędzy. Oboje zapominali o tym, że pieniądze w najlepszym przypadku są jedynie narzędziem do osiągania celu, a nie celem samym w sobie. Byli przekonani, że bogactwo to stan, w którym stać cię na kupienie wszystkiego. A nie stan, kiedy posiadasz rzeczy, których kupić nie można.

Przez wiele lat podzielałam ich sposób pojmowania świata. W końcu byłam ich córką. Nie wiedziałeś o tym, bo skrzętnie to przed tobą ukrywałam, ale w rzeczywistości wciąż towarzyszył mi głęboki niepokój, że idąc drogą, którą sobie wybraliśmy, w końcu znajdziemy się w miejscu, gdzie zabraknie nam pieniędzy.

Momentami była to obsesyjna obawa.

Ale potem coś sobie uświadomiłam. Mianowicie to, że mój największy strach sprowadza się do czegoś zupełnie innego – tego, że zobaczysz mnie taką, jaką ja siebie widziałam.

To przypomniało mi, że jesteś najważniejszy. I że muszę zacząć nad sobą pracować.

Robiłam, co mogłam, żeby odrzucić wychowanie oparte na miłości do pieniądza, a nie do drugiej osoby. I w końcu mi się udało. Dzięki tobie, bo pokazałeś mi, co jest naprawdę ważne.

Szkoda, że moi rodzice nigdy nie trafili na takiego człowieka.

Może zapobiegłoby to tragedii, która rozegrała się na niecały rok przed tym, jak mi się oświadczyłeś.

Wypadek samochodowy? Nie, ich śmierć nie miała nic wspólnego z wypadkiem. Ani z przypadkiem. Zostali zamordowani.

Opowiem ci o tym w następnym nagraniu. Teraz musisz wiedzieć tylko tyle, że wszystko zaczęło się właśnie od śmierci moich rodziców. Napędziło to spiralę zdarzeń, w którą wpadłam. I w którą wpędziłam także ciebie.

Jestem winna tak samo jak oni.

Chciałam dobrze, ale zamiast tego sprowadziłam na nas wyłącznie smutek i cierpienie. Chcę, żebyś zrozumiał, dlaczego tak się stało. Chcę, żebyś wiedział, w jakiej rodzinie dorastałam. W jak szemranym towarzystwie obracali się moi rodzice. I z jakimi ludźmi sama miałam przez nich styczność.

Wychowałam się w zupełnie innych warunkach niż ty. Popełniałam przez to błędy, które przed tobą ukrywałam, wiedząc, że nie powinnam tego robić. Wstrząs nadszedł dopiero wtedy, kiedy zginęli moi rodzice.

Zastanów się nad tym wszystkim.

A potem, kiedy będziesz gotowy, pojedź do Wrocławia.

W miejscu, gdzie pierwszy raz upiłeś się tak, że musiałam cię prowadzić, czeka na ciebie pendrive z kolejnym nagraniem. Jest zabezpieczony hasłem, tym samym, które otworzyło ci te drzwi.

Przepraszam, że musisz czekać. Ale muszę mieć pewność, że te nagrania trafią do twoich rąk. Tylko fizyczna weryfikacja, tylko twoja obecność w tym miejscu może dać mi poczucie, że tak się stanie.

*I kto wie? Może gdzieś tam mnie znajdzie*sz.

Nagranie się skończyło, a ja uświadomiłem sobie, że po raz kolejny wstrzymałem oddech. Nic z tego, co usłyszałem, nie miało sensu. Ewa wprawdzie zawsze żyła dostatnio, ale nigdy nie powiedziałbym, że pławiła się w luksusie.

Jeśli jednak jej ojciec rzeczywiście obawiał się niepotrzebnego zainteresowania ze strony służb, wydawało się to logiczne.

Rozmasowałem skronie, starając się odsunąć od siebie wszystko to, co usłyszałem. Słuchając nagrania, mogłem odnieść wrażenie, że Ewa jest niedaleko. Czeka na mnie, nic jej nie jest.

Ale nie wiedziałem, kiedy nagrała wiadomość. Nie wiedziałem, co działo się z nią później.

I w końcu nie wiedziałem, czy odnalezione przez policję ciało naprawdę należy do kogoś innego.

Teraz, kiedy wspomniała o niejasnych związkach ze światem przestępczym, właściwie mogłem spodziewać się wszystkiego.

I mój umęczony umysł skwapliwie z tego skorzystał, tworząc najbardziej pesymistyczne, ponure scenariusze.

Postanowiłem, że od razu ruszę w drogę, zupełnie jakbym mógł zostawić za sobą wszystkie wątpliwości i obawy. Spakowałem laptopa, a potem stanąłem przy oknie i zerknąłem na zegarek. Ojciec powinien już tu być. Miał przywieźć mi trochę ubrań, torbę podróżną i gotówkę. Przypuszczałem, że może minąć sporo czasu, nim wrócę do Opola, musiałem być przygotowany.

Po ojcu nie było jednak śladu. Wzbudziło to we mnie niepokój, bo rzadko się spóźniał, nawet jeśli był umówiony na niewiele znaczące spotkanie.

Ślina zgęstniała mi w gardle, kiedy pomyślałem o tym, że ktoś mógł zorientować się, iż trafiłem na kolejny trop.

Nie, to było niemożliwe. Ktokolwiek stał za tym wszystkim, nie mógł się dowiedzieć o moich odkryciach w wirtualnym świecie. Ewa zadbała o to, by wszystko pozostało poza zasięgiem przypadkowych ludzi. Ukryła nas w deep webie.

Oparłem się o framugę i zawiesiłem wzrok na widocznych w oddali polach. Myślałem o tym, co może dziać się z moją narzeczoną. I czy wciąż mogę określać ją w taki sposób.

Ta myśl była jak katalizator wyjątkowo niebezpiecznej reakcji chemicznej. Właściwie wyzwoliła eksplozję termonuklearną w moim umyśle. Kolejne pytania pojawiły się jak grzyb atomowy, przesłaniając mi racjonalność.

Co się stało po gwałcie? Dlaczego Ewa znikła na tak wiele lat?

Kim był Phil Braddy? Co sprawiło, że Blitzer musiał zginąć? Kto go zamordował?

Co ukrywała przede mną Ewa, kiedy byliśmy razem?

Czułem się jak narkoman, któremu po długim odwyku ktoś wydarł z rąk narkotyk na moment przed upragnionym zażyciem.

Chaos w umyśle przełożył się też na sferę cielesną. Uświadomiłem sobie, że ręce zaczęły mi się trząść. Na moment opuściłem powieki, zrobiłem głęboki wdech i potarłem skronie. Kiedy na powrót otworzyłem oczy, zobaczyłem taksówkę zatrzymującą się na hotelowym parkingu.

Ojciec zapłacił kierowcy i chyba poprosił go, żeby poczekał. Wysiadł z auta, a ja odwróciłem się i sięgnąłem po torbę. Byłem gotowy do drogi. Zanim jednak otworzyłem drzwi, zerknąłem jeszcze przez okno.

Wtedy zobaczyłem czarnego opla vectrę parkującego kawałek dalej. Nie znałem wprawdzie numerów rejestracyjnych nieoznakowanych samochodów policyjnych jak co poniektórzy, ale wiedziałem, że funkcjonariusze często poruszają się tym modelem.

Przez moment przypatrywałem się dwóm mężczyznom w środku. Nie wysiadali z samochodu. I całą uwagę skupiali na moim ojcu.

Zrozumiałem, że mam problem.

6

Jadłam w milczeniu, głównie dlatego, że Robert i Wojtek zajęci byli wspólnym rozwiązywaniem zadania domowego. Zdolnościami matematycznymi nigdy nie mogłam się pochwalić, więc nie ingerowałam w ich wysiłki.

Szkoła przesadzała z pozalekcyjnymi obowiązkami, a jeśli potrzebowałam jakiegoś potwierdzenia tego wniosku, wystarczyło, że spojrzałam na męża i syna. Nawet przy obiedzie musieli tracić na to czas.

Badania dowodziły, że poświęcanie siedemdziesięciu minut dziennie na zadania domowe jest destrukcyjne dla psychiki dziecka. Inne ustalenia naukowców potwierdzały, że taka aktywność prowadzi do chronicznych stanów depresyjnych.

Najbardziej przemawiało do mnie jednak to, co mówił Harris Cooper z Uniwersytetu Duke'a, guru badań nad zadaniami domowymi. Dowiódł, że nie istnieją żadne dowody potwierdzające, by taka forma edukacji wpływała pozytywnie na uczniów.

A mimo to trzymaliśmy się jej, jakby od tego zależało, czy nasze dzieci wchłoną odpowiednią ilość wiedzy. Popatrzyłam na Wojtka i starałam się skupić na nim, nie na Robercie.

Moje myśli jednak uciekały. I od zadań domowych, i od tego, jak wpływają na mojego syna. Biegły w kierunku tego, jaki wpływ ma na niego ojciec.

Czy Wojtek jako dorosły stanie się taki jak on? Czy gdzieś głęboko w nim tkwiło to zło, które tak dobrze znałam? I czy miało się w pewnym momencie uaktywnić?

Napiłam się prosecco, jakbym dzięki temu miała znaleźć odpowiedzi. Odstawiwszy kieliszek, zobaczyłam, że włączył się wyświetlacz mojego smartfona. Wcześniej wyciszyłam dzwonki i wyłączyłam wibracje, nie chciałam, żeby ktokolwiek przerywał nam podczas obiadu.

Zresztą nie spodziewałam się żadnego telefonu.

A już szczególnie nie od Klizy.

Zmarszczyłam brwi, a potem sięgnęłam po telefon. Wstałam od stołu, patrząc kontrolnie na męża. Był tak pochłonięty zadaniem, że ledwo zauważył, kiedy się oddaliłam.

– A więc jednak zmieniłaś zdanie? – powitałam Jolę.

– Nie. Ale to nie znaczy, że mam wszystko w dupie.

Stanęłam przed przeszklonymi drzwiami tarasowymi i wyjrzałam w stronę morza. Niebo zaciągnęło się chmurami, nie

zanosiło się tego dnia na poprawę pogody. Wiał mocny wiatr, a widoczne w oddali spienione fale napełniały mnie niepokojem.

Właściwie byłam zadowolona z odpowiedzi Klizy. Gdyby oznajmiła mi, że po przemyśleniu sprawy zamierza wrócić do Reimann Investigations, stanęłabym przed trudnym wyborem. Próbować ocalić firmę i zaangażować z powrotem Jolę, rozsierdzając męża? Czy nie narażać mu się i pozwolić, by zrealizował swoje plany?

Szczęśliwie nie musiałam szukać odpowiedzi. W głębi ducha być może i tak ją znałam.

– Więc po co dzwonisz? – zapytałam.

– Jak wiesz, kontaktowałam się z lokalsami.

– Lokalsami?

– Kilkoma osobami z Opola, które dostarczały mi informacji.

– Mówisz o nich jak o członkach jakiegoś afrykańskiego plemienia.

– Jak zwał, tak zwał – odparła pod nosem. – Dla mnie wszyscy są obcy.

Uśmiechnęłam się lekko, ale się nie odezwałam.

– Jeden z nich przed momentem do mnie dzwonił – powiedziała.

– Kto?

– MOZI.

– Co proszę?

– Moje Osobiste Źródło Informacji.

– Kliza…

– Nie mogę zdradzać, z kim współpracuję – zastrzegła. – Szczególnie teraz, kiedy możesz chcieć wykorzystać te kontakty.

Zabrzmiało to po części infantylnie, a po części wrogo, ale właściwie się nie dziwiłam. Zdążyłam poznać trochę Klizę i wiedziałam, że nie łapie wielu niuansów międzyludzkich, które pozwalały na utrzymywanie dobrych relacji z innymi.

– Chodzi o MOZI-ego z komendy wojewódzkiej, tyle mogę ci zdradzić.

– Jakiegoś policjanta?

– Nie. Oni za mną nie przepadają.

– Mniejsza z tym – ucięłam. – Dowiedziałaś się czegoś w sprawie Ewy?

– Niezupełnie. Chodzi o Werna.

– A konkretnie?

– Nie wszczęli przeciwko niemu postępowania.

Obejrzałam się przez ramię na męża. Nadal zdawał się pochłonięty rachunkami, ale doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że nie uronił żadnego z wypowiadanych przeze mnie słów.

Maniak kontroli jednak nawet na mnie nie zerknął.

– To chyba dobra wiadomość – powiedziałam.

– Tak by można sądzić… – odparła bez przekonania Jola. – Ale w takim razie zastanawiające jest to, że mundurowi go szukają. I to dość gorączkowo, jeśli wierzyć mojemu MOZI-emu.

– Dlaczego?

– Nie wiem. On też tego nie wie.

– Może chcą po prostu, żeby Werner złożył wyjaśnienia?

– Według MOZI-ego to tak nie wygląda. Policjanci zachowują się raczej, jakby na niego polowali. Z tym że poza prawem.

– Poza prawem?

– No – potwierdziła i odkaszlnęła. – Formalnie nie prowadzą przeciwko niemu postępowania, ale zachowują się, jakby się toczyło. Nic ci to nie mówi?

– W takich sprawach staram się nie gdybać.

Jola na moment zamilkła, a ja wbiłam wzrok w ciemne chmury. Przesłaniały całe niebo, nikły dopiero na horyzoncie.

– W takim razie w tej będziesz miała zadanie ułatwione.

– Tak?

– Bo niedługo zabraknie ci okazji do gdybania – dodała Kliza. – Jadą po niego.

– Co takiego?

– Znaleźli go w tym podmiejskim hotelu. Najwyraźniej popełnił podstawowy błąd uciekiniera. Skontaktował się z kimś ze swojego środowiska.

Zaklęłam w duchu.

– Zadzwoń do niego – rzuciłam bez namysłu.

Będę musiała tłumaczyć się z tego wszystkiego wieczorem, zrelacjonować Robertowi każdy szczegół. I z pewnością nie doprowadzi to do niczego dobrego. Zarówno jeśli chodziło o mnie, jak i prowadzenie dalej tej sprawy przez Reimann Investigations.

– Musisz go ostrzec – dodałam mimo to.

– Zwariowałaś?

– Jeśli teraz go zamkną…

– To co?

Nie miała pojęcia o odkryciach Damiana. Nie wiedziała, jak blisko przełomu się znalazł. A ja nie miałam ani czasu, ani prawa, by jej o tym mówić.

– Wiem, że masz do mnie ograniczone zaufanie – powiedziałam.

– To w sumie niedomówienie.

– Odsuń to na bok, przynajmniej na chwilę. Nie chodzi o mnie, tylko o niego.

Mimo że stałam tyłem do stołu, odniosłam nieodparte wrażenie, że Robert w końcu podniósł wzrok.

– Zaufaj mi ten jeden raz. I po prostu daj mu znać.

– Nie.

– Kliza, to nie są żarty.

– Wiem – przyznała. – I właśnie dlatego się z nim nie skontaktuję. Jeśli go zatrzymają, sprawdzą telefon i zobaczą, że

próbowałam… jak to się formalnie nazywa? Utrudniać funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości?

Miałam ochotę uderzyć otwartą dłonią w szybę.

– Nie mogę sobie na to pozwolić – dodała. – Nie teraz, kiedy potrzebuję czystego CV.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, rozłączyła się. Najwyraźniej uznała, że to ostatnie zdanie stanowiło dostatecznie wymowne pożegnanie. I może tak było.

Musiałam jednak docenić, że w ogóle przekazała mi informację. Problem polegał na tym, jak sprawić, by dotarła w porę do Werna. Miałam wrażenie, że najmniejszy ruch z mojej strony przykuje zbyt daleko idące zainteresowanie Roberta.

Z telefonu skorzystać nie mogłam, zresztą nie znałam nawet numeru Damiana – znajdował się jedynie w automatycznym systemie RIC. Jedyne, co mogłam, to zalogować się na konto administratora RIC i wysłać kod aktywacyjny. A potem czekać, aż Wern się zjawi. O ile w ogóle zdążyłby to zrobić.

Musiałam zaryzykować.

Dolałam sobie prosecco, a potem stanęłam za Wojtkiem i Robertem. Nachyliłam się między nimi, kładąc dłoń na plecach męża. Grunt to zachować pozory. A w tym miałam wieloletnie doświadczenie.

Rzuciłam kilka luźnych uwag, podkreślając, że to wszystko dla mnie czarna magia, a potem pocałowałam Roberta i powoli się oddaliłam. Najważniejsze było niewykonywanie nerwowych ruchów. Zupełnie jakbym balansowała na linie.

Towarzyszyła mi jednak niepokojąca świadomość tego, jak głęboką przepaść mam pod sobą.

Weszłam do gabinetu i dopadłam do komputera. Wprowadziłam odpowiedni adres, login i hasło, a potem czym prędzej wysłałam

kod aktywacyjny do Wernera. Czekałam nerwowo, stukając palcami w blat.

Odrywałam wzrok od monitora i patrzyłam na otwarte drzwi. Potem znów przenosiłam go na ekran. Wydawało mi się, że trwa to w nieskończoność.

Damian wciąż się nie pojawiał. Ciche głosy z dołu sugerowały, że mam jeszcze trochę czasu. Ale niewiele. Dzięki temu, że zachowałam spokój, Robert nie zainteresował się od razu tym, co robię – była to jednak kwestia najwyżej kilku minut.

Wern w końcu się zjawił. Odetchnęłam.

Przynajmniej na moment.

[Werner] Nie mam wiele czasu. Policja tu jest.

– Kurwa mać… – mruknęłam.

Już miałam odpisać, kiedy usłyszałam dźwięk zbliżających się kroków. Zaklęłam jeszcze raz, ale tym razem znacznie ciszej.

Robert wchodził po ostatnim schodku.

[Kasandra] Uciekaj.

Nic więcej nie zdążyłam napisać. Wyłączyłam RIC, a potem uśmiechnęłam się do stojącego w progu męża.

7

Trzasnąłem klapą laptopa i na powrót schowałem go do torby. Przypuszczałem, że Kasandra chciała mnie ostrzec, ale się spóźniła. Właściwie zabrakło kilku minut, a przy odrobinie szczęścia być może udałoby mi się uciec.

Teraz było już jednak za późno.

– Synu? – zapytał z niepokojem ojciec.

Musiał być zdziwiony moim zachowaniem. Kiedy tylko wszedł do pokoju, zatrzasnąłem za nim drzwi, ale zanim zdążyłem cokolwiek wytłumaczyć, przyszedł esemes z kodem aktywacyjnym.

– Co się dzieje? – dodał.

– Jechali za tobą tajniacy.

Pokręcił stanowczo głową.

– Nikt za mną nie jechał. Upewniałem się.

Nie miałem zamiaru tego roztrząsać. O ile jeszcze przed momentem mogłem mieć wątpliwości, bo dwóch mężczyzn zostało w samochodzie, zamiast pójść za moim ojcem, o tyle teraz dzięki Kasandrze zyskałem pewność.

Wskazałem na laptopa.

– Właśnie to potwierdziłem.

Ojciec nagle pobladł i odwrócił się do okna. Chciał coś powiedzieć, być może brnąć w zaprzeczenie, a być może przeprosić. Nie dałem mu jednak okazji ani do jednego, ani do drugiego.

– Teraz to nieważne – powiedziałem. – Muszę jak najszybciej stąd zniknąć, zanim przyślą posiłki.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Wiem, jak to brzmi – kontynuowałem. – Ale w tej sprawie chodzi o znacznie więcej, niż sądziliśmy.

– Z pewnością nikt nie będzie organizował obławy, synu.

– Nie, obławy nie. Ale kilku policjantów z pewnością zaraz się tu stawi.

– W mediach nic o tobie nie mówili.

– Tym gorzej – odparłem cicho. – Dzięki temu mogą więcej.

– Kto?

– Policja, szemrane typy… nie wiem. Ale odpowiedzi czekają na mnie na pendrivie we Wrocławiu.

– Gdzie?

– Nieważne. Muszę się dostać do samochodu, tak żeby mnie nie zauważyli.

Pokręcił głową. Tyle wystarczyło, bym utwierdził się w przekonaniu, że to zwyczajnie niemożliwe. Nigdy nie udało mi się uciec nawet przed kontrolerem w MZK, co dopiero przed policją.

Nigdy nawet nie miałem ku temu okazji. Nie było sensu łudzić się, że pierwsza próba nie będzie również ostatnią.

Co mi pozostało? Cóż, miałem trochę rzeczy na przebranie i gotówkę. Ostatecznie mogłem poradzić sobie bez samochodu.

Musiałem tylko niezauważenie opuścić hotel. Jeśli ci policjanci byli tutaj po raz pierwszy, mogli nie wiedzieć, że z holu da się wyjść zarówno od frontu, jak i z tyłu kompleksu, gdzie znajdował się basen, a kawałek dalej korty tenisowe i las.

Podjechali sami, nikogo więcej tu nie było. A może tak mi się tylko wydawało? Może tak miało mi się wydawać?

– Co zamierzasz? – zapytał ojciec.

– Nie wiem.

– Może powinieneś z nimi…

– Omówić kwestię dobrowolnego poddania się karze? – wpadłem mu w słowo, podchodząc do okna. – O niczym innym raczej nie będą chcieli ze mną rozmawiać.

Ojciec na własnej skórze doświadczył trudów PRL-u. Wydawało mi się, że kto jak kto, ale on wykaże przynajmniej ograniczone zaufanie do organów państwa.

Zerknąłem na policjantów. Wciąż siedzieli w samochodzie, sprawiając wrażenie, jakby na kogoś czekali. Przez moment

miałem irracjonalną nadzieję, że z głównego wejścia wybiegnie jakiś dzieciak z torbą tenisową i popędzi do czarnego opla.

Nic takiego jednak się nie stało. Ci dwaj czekali na mnie. Albo na swoich towarzyszy, którzy z pewnością już byli w drodze.

Musiałem podjąć decyzję.

– Wyjdę tyłem – powiedziałem.

Ojciec stanął obok i wyjrzał przez okno.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

– Jestem pewien, że nie. Ale co innego mogę zrobić?

Obrócił się do mnie.

– Może w takim razie jakoś ci pomogę.

– Nie – odparłem natychmiast. – Tylko im pokażesz, że coś jest nie tak. Zostań w pokoju.

Właściwie mógłbym skorzystać na małej dywersji, ale nie chciałem, by ojciec ryzykował. I tak zrobił już zbyt wiele. Nie wiedziałem, co spotka jego i matkę, kiedy pojadę do Wrocławia.

Jeśli pojadę.

Jeszcze przez moment przypatrywałem się funkcjonariuszom. Miałem nadzieję, że popełnili najpowszechniejszy policyjny grzech – nie docenili przeciwnika. Że mieli mnie za zupełnego amatora, który nie zorientuje się nawet, iż są na miejscu.

Właściwie przesadnie by się nie pomylili.

Podniosłem torbę, a potem uściskałem ojca, chyba po raz pierwszy od dobrych piętnastu lat. Zapewniłem go, że będę na siebie uważać, choć na dobrą sprawę niewiele już ode mnie zależało.

Potem ruszyłem korytarzem w kierunku tylnego wyjścia. Las, który rozciągał się za kompleksem, znałem tylko z grubsza. Jeździłem tutaj kiedyś na rowerze, ale doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że nawet mieszkańcy okolicznych wiosek potrafią zgubić się w gęstwinie.

Miało to swoje plusy i minusy. Przy odrobinie szczęścia mogło sprawić, że uda mi się uciec. Po drugiej stronie lasu mieściły się Niwki, a kawałek dalej Turawa, lokalny magnes na wszystkich, którzy w lecie lubili spędzać czas nad wodą.

Byłem przekonany, że gdzieś tam trafię na pociąg jadący do Wrocławia.

Musiałem tylko wydostać się z hotelu.

Zatrzymałem się przed wyjściem, a potem wychyliłem lekko głowę i się rozejrzałem. Nie zauważyłem, by ktokolwiek pilnował tylnego wyjścia. Można było przejść stąd do budynku pływalni lub bezpośrednio na tyły restauracji.

Teren był ogrodzony, co stanowiło pewien problem. Jak większość Opolan grałem tutaj kiedyś w tenisa. I piłka raz czy dwa śmignęła nad siatką, spadając po drugiej stronie. Wiedziałem, że muszę przejść wzdłuż ściany lasu, by minąć ogrodzenie.

Wyszedłem z budynku, wciąż bacznie się rozglądając. Z parkingu byłem widoczny tylko przez moment, kiedy przemykałem między hotelem a pływalnią. Kiedy zatrzymałem się przy jej ścianie, odetchnąłem. Nikt mnie nie dostrzegł. I nikt na mnie nie czekał.

A przynajmniej tak wydawało mi się jeszcze przez chwilę.

Kiedy się odwróciłem w stronę lasu, usłyszałem nieznajomy męski, chrapliwy głos:

– Tylko spokojnie, Werner.

Wbiłem wzrok w stojącego kilka metrów dalej umundurowanego policjanta.

A więc jednak nie mieli mnie za kompletnego żółtodzioba.

Zamarłem, nie wiedząc, co począć. Funkcjonariusz trzymał dłoń na odpiętej kaburze z pistoletem. Patrzył na mnie

z niewypowiedzianym ostrzeżeniem w oczach, a ja poczułem uderzenie gorąca.

Nie mogłem wpaść na żadne rozwiązanie tej sytuacji. Nie było sensu próbować ucieczki. Łapówka? Nie miałem przy sobie choćby połowy kwoty, którą musiałbym dać temu człowiekowi. Desperacki atak? Nawet gdybym był zaprawiony w mordobiciu, policjant z pewnością zdążyłby wyciągnąć broń.

Patrzył na mnie badawczo, niepewnie, jakby spodziewał się, że zrobię coś nieroztropnego. Miał ku temu wszelkie powody. Od początku tej sprawy nie zachowywałem się racjonalnie.

– Żadnych nerwowych ruchów – powiedział.

Ślina stężała mi w gardle, nie mogłem jej przełknąć. Stałem jak rażony piorunem, nie potrafiąc się poruszyć. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że to naprawdę koniec. Trafię do niewielkiego pokoju bez okien, zostanę przesłuchany, a potem umieszczony w areszcie śledczym.

Gdyby nie to, że zbiegłem z miasta, zapewne mógłbym odpowiadać z wolnej stopy. Ale w tej sytuacji policja wystąpi o tymczasowe aresztowanie. A sąd nie będzie potrzebował wiele czasu do namysłu.

Sytuacja była jasna. Wszystkie dowody świadczyły na moją niekorzyść, a potwierdziłem to, zaszywając się w podmiejskim hotelu.

Zrobiłem więc jedyne, co mogłem. Postawiłem torbę na ziemi i uniosłem otwarte dłonie.

– To wszystko nieporozumienie – powiedziałem.

Mężczyzna drgnął i rozejrzał się nerwowo. Nie byłem specjalistą od stopni policyjnych, ale dwie skośne kreski na naramienniku zapewne nie oznaczały zbyt wysokiej rangi. Mimo to funkcjonariusz sprawiał wrażenie, jakby był starym wyjadaczem.

Spojrzał na torbę, a potem na mnie.

– Podnieś to – odezwał się.

Przez moment miałem wrażenie, że się przesłyszałem. Potem zrozumiałem, że coś jest bardzo nie w porządku. Policjant nie sięgnął do radia, nie zaalarmował swoich towarzyszy, że próbuję zbiec.

– Podnieś to i uciekaj.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć ani tym bardziej jak zareagować. Agresywny ton głosu jasno dawał do zrozumienia, że jeśli tylko zrobię to, co polecił policjant, ten sięgnie po broń.

– Nie mam zamiaru – odezwałem się. – Zrobię wszystko, co…

– Nie rozumiesz.

Podszedł o krok, znów się rozejrzał.

– Musisz stąd spierdalać. W tej chwili.

– Co takiego? – wypaliłem.

– Mój dowódca jest z drugiej strony, zaraz się tu zjawi.

Popatrzył nerwowo w kierunku lasu.

– No już, kurwa! Opuść te ręce i w długą!

– Ale…

– Nie masz dużo czasu – uciął, zbliżając się jeszcze bardziej. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że zdjął dłoń z pistoletu.

– Nie rozumiem, co…

– Wszystko zrozumiesz w swoim czasie, Werner – syknął funkcjonariusz. – Na razie musisz się stąd zabierać.

Otworzyłem usta, chcąc powiedzieć, że nie wiem nawet, gdzie miałbym uciekać, ale policjant najwyraźniej mnie przejrzał.

– Najbliższe stacje kolejowe są w Dębskiej i Chrząstowicach. Wiesz gdzie?

Popatrzyłem na jego imiennik z nazwiskiem. J. Falkow. Cokolwiek się tu działo, przypuszczałem, że powinienem to zapamiętać.

– Tak, chyba wiem – wydukałem. – Ale zamierzałem raczej…

– Co? Iść w drugą stronę i zgubić ogon w lesie?

Pokręcił głową i właściwie tyle mi wystarczyło, bym uznał, że mój pomysł nie był najlepszy. Pamiętałem, że przez lasy turawskie biegły jakieś tory, ale być może nieopodal nie było żadnej stacji. Może rzeczywiście powinienem skierować się do którejś z tych po drugiej stronie.

Ale jakim cudem w ogóle miałem taki wybór?

Spojrzałem na Falkowa, a ten nerwowym ruchem wskazał mi kierunek.

– Uciekaj, Werner. Póki jeszcze możesz.

Nie miałem zamiaru tak po prostu odpuszczać. Nie, kiedy trafiłem na człowieka, który najwyraźniej miał z tym wszystkim, co się działo, jakiś związek. Wiedziałem, że czas nagli, ale nie stać mnie było na to, żeby zrezygnować z takiej okazji.

– Najpierw wytłumacz mi, co tu się dzieje. I kim jesteś?

– Nie ma czasu.

– Trudno.

– Albo teraz się stąd zwiniesz, albo…

Urwał, kiedy z oddali doszło nas ciche nawoływanie.

– To mój przełożony – powiedział Falkow. – Wiesz, co się stanie, kiedy tu przyjdzie?

– Nie obchodzi mnie to. Chcę wiedzieć, co to wszystko znaczy, do kurwy nędzy. Kto zabił Blitzera? Co z Ewą?

Funkcjonariusz zaklął pod nosem i zmarszczył czoło. Posłał mi wrogie, niemal nienawistne spojrzenie.

– Powiedziałem ci, że wszystkiego się dowiesz.

– Nie mam zamiaru czekać.

Znów rozległo się wołanie. Wiedziałem, że Falkow będzie musiał w końcu odpowiedzieć, by nie wzbudzać podejrzeń. I zrobił to, sygnalizując przełożonemu, gdzie się znajduje.

Zrobiło mi się gorąco. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że jestem o krok od wpadki.

– Musisz znikać.

Miał rację. Przepuszczałem wprawdzie okazję, by dowiedzieć się czegoś konkretnego, ale wciąż zachowywałem szansę, żeby odsłuchać nagranie, które czekało na mnie we Wrocławiu.

Nie mogłem dłużej zwlekać.

Złapałem za torbę, a potem się odwróciłem.

– Nie ufaj nikomu – dodał Falkow, kiedy odchodziłem.

Zatrzymałem się i obejrzałem na niego.

– Nikomu – powtórzył.

8

Wieczór przyniósł wytchnienie, jakby wraz z nim nadeszła fala chłodu po wyjątkowo parnym dniu. Usiadłam przed komputerem w gabinecie, wiedząc, że zaraz Werner wciągnie mnie do swojego świata. I że przestanę myśleć o rzeczywistości, w której funkcjonowałam na co dzień.

Sprawdzałam newsy z lokalnych portali opolskich. Wiedziałam, że nie został ujęty. Żaden serwis nawet nie zająknął się na jego temat, a z pewnością o jakiejkolwiek akcji policyjnej byłoby do tej pory głośno.

Kiedyś można by ją ukryć. Teraz każdy był reporterem i ktoś niechybnie zarejestrowałby komórką całe zdarzenie. Być może policja sama by się pochwaliła. Zabójstwo Blickiego odbiło się głośnym echem w miejscowych mediach i komenda wojewódzka z pewnością chciała jak najszybciej przedstawić jakieś konkrety.

Wernowi w jakiś sposób udało się uciec. Byłam tego pewna.

Nie, nie byłam. Pragnęłam jednak, by tak rzeczywiście się stało.

Szczególnie po tym, ile wysiłku kosztowało mnie przekonanie Roberta, że nie robiłam niczego niewłaściwego, siedząc o niewyznaczonej porze w swoim gabinecie. Nie pamiętałam dokładnie, co mówiłam Klizie przez telefon, nie wiedziałam też, jak wiele usłyszał. Niełatwo było dopasować do tego bajkę, którą by kupił.

Ostatecznie jednak mi się udało. Przekonałam męża, że rozmowa nie miała nic wspólnego z prowadzoną sprawą. Przeciwnie, wiązała się z poprzednią, nad którą pracował Glazur – komputerowy spec wyrzucony jakiś czas temu przez Roberta z RI.

W moim scenariuszu na Glazurze chciał zemścić się mąż kobiety, która zleciła nam zbieranie przedrozwodowych brudów. Trochę kręciłam, ale wytłumaczyłam się tym, że czuję się odpowiedzialna. W końcu gdybyśmy go nie zwolnili, korzystałby z naszej pełnej ochrony. Kto jak kto, ale nasi pracownicy nie musieli się niczego obawiać.

Wynikało to z drugiej, tej mniej oficjalnej działalności Roberta. Często mieszał jeden świat z drugim, zazwyczaj z pożytkiem dla obydwu. Czasem zdarzało się, że prowadziło to do komplikacji, ale na przestrzeni lat były to tylko wyjątki potwierdzające regułę.

Ostatecznie zaproponowałam, żebyśmy zadzwonili do Klizy i zweryfikowali, czy mówię prawdę. Robert był skłonny to zrobić, ale wiedziałam, że tylko mnie sprawdza. Nie miał zamiaru kontaktować się ani z nią, ani z kimkolwiek innym.

Byłam bezpieczna. Przynajmniej na razie.

Usiadłszy przed komputerem z kieliszkiem musującego wina, wysłałam esemesa z kodem aktywacyjnym. Czułam, że robi mi się coraz cieplej, i to nie za sprawą alkoholu. Nerwowo czekałam, aż upragniona linijka tekstu pojawi się na ekranie. Aż przeniosę się gdzie indziej. Słowa miały moc, naprawdę kształtowały

rzeczywistość. Szczególnie że świat, w którym żyłam, był w nie ubogi. Dominowały w nim pięści.

Zakołysałam się lekko w przód i w tył, napiłam się. Zaczęłam obracać kieliszek na blacie i dopiero teraz uświadomiłam sobie, że zachowuję się jak narkoman na głodzie. Czyżbym tak szybko popadła w nowe uzależnienie?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć sobie na to pytanie, Damian zalogował się na RIC. Odetchnęłam, zyskując pewność, że udało mu się wywinąć.

[Wern] To już chyba stała pora?
[Kas] Tak.
[Wern] Kiedy ją ustaliliśmy?
[Kas] Przy pierwszej rozmowie.
[Wern] Nie pamiętam, żeby ktokolwiek mnie pytał.
[Kas] Bo nie miałeś nic do gadania.

Podobnie jak ja, dodałam w duchu. Robert był bardzo precyzyjny w określaniu, kiedy mogłam korzystać z komputera na górze, kiedy oglądać z nim seriale i kiedy wychodzić na taras.

Zawsze uważałam, że mamy bogatszy język od Anglików czy Amerykanów, ale w przypadku określenia *control freak* to oni wiedli prym. Brzmiało znacznie wymowniej od naszego maniaka, fanatyka czy pasjonata kontroli. Żadne z tych słów nie oddawało sedna. Nie zbliżało się nawet do *clou* problemu, którym był fakt, że osoba określana tym terminem jest w istocie szalona.

[Wern] Tak czy inaczej, powinienem się chyba cieszyć, że uwzględniasz mnie w swoim codziennym rozkładzie dnia.
[Kas] Może.
[Wern] Bo jesteś pewnie jak wszyscy ci, którzy prowadzą własną firmę. Pracujesz dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pewnie nawet teraz siedzisz w żakiecie i spódnicy w jakimś biurze o przeszklonych ścianach.

[Kas] Skąd pewność, że nie siedzę w łazience z laptopem na kolanach?

Czekałam na okazję, żeby to napisać. Wbiłam wzrok w ekran, ale odpowiedź nie nadchodziła. Przypuszczałam jednak, że Damian przynajmniej lekko się uśmiechnął, widząc, że się odgryzłam.

Dopiero po chwili pojawiła się kolejna wiadomość.

[Wern] Dziękuję.
[Kas] Za tę wizję?
[Wern] Nie, za cynk. Gdyby nie to, nie miałbym pewności, że naprawdę mam przesrane.
[Kas] A masz?
[Wern] Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Machinalnie się napiłam. Ruch był naturalny, nieuświadomiony. Pociąganie kolejnych łyków było dla mnie tak normalne jak oddychanie.

[Kas] Jak udało ci się uciec?
[Wern] Dzięki sprytowi, przebiegłości i błyskowi geniuszu.
[Kas] Czyli miałeś farta?
[Wern] Niezupełnie. Ktoś mi pomógł.
[Kas] Kto?

Odpowiedź nie nadchodziła zbyt długo, bym mogła to zignorować. Albo coś było nie w porządku, albo Werner zastanawiał się, czy może mi zaufać.

Po chwili musiałam uznać, że nie doczekam się już odpowiedzi.

Zastanawiałam się nad tym, kto mógł wyciągnąć do niego pomocną dłoń. Informacje zgromadzone przez Klizę na jego temat dawały obraz człowieka, który właściwie może liczyć wyłącznie na siebie.

W pewnym momencie zawinął się w kokon samotnej egzystencji, czy raczej jej namiastki. Po stracie Ewy nie dopuszczał do siebie nikogo, od wszystkich się oddalił. I trudno było mi pomyśleć o kimkolwiek, kto w sytuacji kryzysu zaufałby mu na tyle, by działać przeciwko policji.

Jeszcze przez chwilę patrzyłam na pusty ekran.

[Kas] Jesteś?
[Wern] Tak.
[Kas] Pytałam, kto ci pomógł.
[Wern] Sam nie wiem.
[Kas] Nie rozumiem.
[Wern] To normalne dla takich ludzi jak ty.

Uniosłam brwi.

[Kas] Co to ma znaczyć?
[Wern] Że wychowałaś się w bogatej rodzinie, wystartowałaś w życiu z save'em z ukończoną w stu procentach grą. Pozostali z nas musieli przechodzić ją od początku.

Niespecjalnie wiedziałam, do czego zmierza. Czekałam na więcej, znów jednak nie odpowiadał.

[Kas] Zmierzasz do czegoś konkretnego?
[Wern] Tylko do tego, że pewnych rzeczy nie zrozumiesz.
[Kas] A więc zmieniasz temat?
[Wern] Właściwie tak.

Zaklęłam pod nosem.

[Kas] Jeśli masz komuś zaufać, to wyłącznie mnie, Werner. Wiesz o tym, prawda?
[Wern] Dałaś mi nick „Wern". Po czymś takim nie oczekuj zaufania.
[Kas] Mówię poważnie.
[Wern] Ja też.

Pokręciłam głową. Najwyraźniej nie było szansy, bym dowiedziała się, kto postanowił mu pomóc. Przez moment namyślałam się nad tym, czy istnieje inny sposób, by to ustalić. Mogłam skorzystać z pracowników RI, ale Robert z pewnością by się tym zainteresował.

Dowiem się prędzej czy później, uznałam w duchu. Teraz pora przejść do konkretów.

[Kas] Gdzie jesteś?
[Wern] W drodze do Wrocławia.
[Kas] I piszesz na laptopie? Nie słyszałeś, że co czwarty wypadek w Polsce spowodowany jest wysyłaniem esemesów?
[Wern] Nie esesmesuję przecież.
[Kas] No tak.
[Wern] Poza tym jadę pociągiem. Obecnie całkiem niezłym, z wi-fi i bez ludzi wpieprzających jajka na miękko. Wcześniej musiałem odpokutować swoje w regionalnych. Ostro tam dawało.
[Kas] Po co jedziesz do Wrocławia?
[Wern] Czekają tam na mnie odpowiedzi.

Nachyliłam się w stronę monitora.

[Kas] I co zrobisz, kiedy je poznasz?
[Wern] Znajdę osobę, która je dla mnie zostawiła.
[Kas] Wciąż zakładasz, że ona żyje.
[Wern] Ty też.
[Kas] Skąd ta pewność?
[Wern] Inaczej byś mi nie pomagała. Uznałabyś, że sprawa jest zakończona, a Reimann Investigations wypełniło zlecenie.
[Kas] Podejrzewasz mnie o wyłącznie zawodowe pobudki.
[Wern] A masz jakieś inne?
[Kas] Może to moje nowe hobby?
[Wern] Może. A może po prostu mnie polubiłaś.
[Kas] Nie szłabym tak daleko.

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że uśmiecham się do białych literek pojawiających się i znikających na czarnym ekranie. Poczułam się jak pierwszoklasistka, którą w końcu zainteresował się chłopak z ostatniej klasy.

[Wern] Muszę kończyć. Dam znać, jak tylko będę wiedzieć coś więcej.
[Kas] W porządku. Uważaj na siebie.
[Wern] Jasne.

Po tym, jak się wylogował, siedziałam jeszcze przez chwilę w bezruchu. Zastanawiałam się nad swoimi pobudkami, a potem nad jego motywacjami. Właściwie na tym etapie mnie nie potrzebował. Może ten, kto mu pomógł, poradził nawet, żeby trzymał się ode mnie z daleka.

Nie miałam dobrej opinii. Publiczna wersja Kasandry Reimann w niczym nie przypominała tej, którą znali Wojtek i Robert. Dla zewnętrznego świata byłam zimną snobką, po której wszystko spływa i która wpłaca środki na cele charytatywne tylko po to, by ocieplić nieco wizerunek.

Mogłam wyobrazić sobie, że ktoś zamieszany w sprawę zaginięcia Ewy dotarł do informacji, że Reimann Investigations prowadziło poszukiwania. I mógł ostrzec Damiana, by trzymał się od nas z daleka.

Nabrałam głęboko tchu i sięgnęłam po telefon. Uznałam, że czas najwyższy samej się czegoś dowiedzieć.

Jola odebrała po drugim sygnale.

– Widzę – rzuciła.

– Co widzisz?

– To, co dzieje się w opolskich mediach.

Nie miałam pojęcia, co ma na myśli. Szybko wyświetliłam jeden z lokalnych portali i spojrzałam na stronę główną. Policja podała

oficjalny komunikat w sprawie ciała, które rzekomo znaleziono na wyspie Bolko. Wykluczono udział osób trzecich.

Ewa miała popełnić samobójstwo, zażywając mieszankę substancji powodujących zatrzymanie akcji serca. W szczegóły się nie zagłębiano, ale rzecznik lokalnej policji nie pozostawiał wątpliwości, że kwalifikacja prawna jest jasna. Ofiara sama odebrała sobie życie.

– Ale po twoim zdziwieniu zgaduję, że nie dlatego dzwonisz – odezwała się Kliza.

– Nie – przyznałam.

– To dobrze. Bo nie chcę o tym gadać.

Nie dziwiłam się jej. I zastanawiałam się, czy Werner już przeczytał doniesienia. Jeśli tak, zapewne nic nie zmienią – uzna po prostu, że to kolejna spreparowana, niemająca nic wspólnego z prawdą informacja.

– Potrzebuję dojścia do twojego MOZI-ego w komendzie – powiedziałam.

– Nie ma mowy.

– Nikomu nie…

– Nie obchodzi mnie, że zachowasz to dla siebie. Nie ujawniam takich rzeczy i koniec.

Zacisnęłam usta i poczułam, jak wzbiera we mnie gniew. Być może nadszedł moment, bym pokazała się z tej strony, którą widział – i chciał widzieć – cały zewnętrzny świat.

– W takim razie pomożesz mi inaczej – oznajmiłam. – Zadzwonisz do tego człowieka i dowiesz się, jakim cudem Wernerowi udało się wymknąć policjantom sprzed nosa.

Kliza się nie odzywała.

– I nie dasz mu spokoju, dopóki tego nie ustalisz – dodałam, jakbym nadal była jej przełożoną. – Jasne?

Odchrząknęła niepewnie.

– Już to zrobiłam – oświadczyła.

– Tym lepiej.

– Ale MOZI nie ma pojęcia, jak to się stało. Twierdzi, że wszystkie wyjścia były obstawione. Przesłuchali starego Wernera, ale ten twierdzi, że z synem się nie widział. Że kiedy przyjechał do hotelu, już go nie zastał.

Przesunęłam dłonią po włosach, odgarniając grzywkę na bok. Zmrużyłam oczy.

– Co tam się stało, Kliza?

– Nie wiem – odparła.

Milczałyśmy, nie znajdując niczego, co mogłybyśmy powiedzieć. Zadawanie sobie kolejnych pytań wydawało się bezcelowe i przygnębiające.

– Wiem za to, że wszystko, co w tej sprawie zdążyliśmy odkryć, to tylko wierzchołek góry lodowej – dodała. – To jest bardziej skomplikowane, niż myślałyśmy.

9

Nie ufaj nikomu. To krótkie zdanie odbijało mi się echem w głowie, kiedy wychodziłem z pociągu na wrocławskim dworcu. Znów miałem wrażenie, że wszyscy mi się przypatrują, przez co słowa Falkowa rozbrzmiewały jeszcze głośniej.

Może miał rację, może nie. Musiałem brać jednak pod uwagę, że wyciągnął mnie z beznadziejnej sytuacji. Czy mogły kierować nim jakieś ukryte motywacje? Możliwe.

Przypuszczałem, że niebawem wszystkiego się dowiem. Idąc w stronę rynku, myślałem o tym, co podała niedawno opolska policja. Komunikat potwierdzał, że funkcjonariusze byli zamieszani w sprawę.

Osoba, której ciało odnaleziono, nie mogła mieć nic wspólnego z Ewą. Samobójstwo nie wchodziło w grę, nie miałoby żadnego sensu. Jeszcze ileś lat temu mógłbym wmawiać sobie, że po prostu dokonano złej kwalifikacji, ale teraz oszukanie techników kryminalistycznych graniczyło z cudem.

Nikt nie zmanipulował śledczych. To oni sami byli w to zamieszani, a zmowa na dobrą sprawę mogła obejmować więcej osób, niż dotychczas przypuszczałem. Fakt, że upozorowano samobójstwo jakiejś Bogu ducha winnej dziewczyny, zdawał się to potwierdzać.

Na plac Solny szedłem niecałe pół godziny. Wiedziałem doskonale, że muszę kierować się do pubu Guinness. To o nim wspominała Ewa. To z niego wyprowadzała mnie, kiedy zataczałem się, jakbym wrócił z kilkuletniej misji na orbicie okołoziemskiej i utracił zdolność funkcjonowania w ziemskiej grawitacji. Znajdowałem się w stanie nieważkości.

Wszedłem do pubu, który przez wyspiarski klimat przywodził na myśl Highlandera. W pewnym sensie historia zataczała więc koło, choć nie przypuszczałem, by Ewa celowo zdecydowała się na taką symbolikę.

Powitałem jednego z pracowników uśmiechem, a potem podszedłem do baru. Zastanawiałem się, jak zacząć rozmowę. Wybrałem chyba najlepszą z możliwości, po prostu sięgając po menu.

Powiodłem wzrokiem po nazwach drinków. Blitzer czułby się tu jak w niebie. Come As You Are, Du Hast, Ace Of Spades, Highway To Hell…

– Zielone piwo poproszę – powiedziałem.

– Jakie?

– Obojętnie.

Barman nalał mi beczkowego leżajska, wymieszał z zielonym sokiem i postawił przede mną oszroniony kufel. Nie miałem zamiaru pić całego, chciałem zachować trzeźwy umysł. Po jednym łyku zmieniłem jednak zdanie.

Przypatrywałem się mężczyźnie, kiedy odbierał zamówienia od innych klientów. Zastanawiałem się, czy to jego Ewa wybrała, by przekazał mi pendrive'a. A jeśli tak, to dlaczego akurat jego?

Nie, z pewnością pracowało tu zbyt wiele osób, bym trafił akurat na tę, z którą dogadała się moja narzeczona.

Odchrząknąłem, ściągając na siebie uwagę kelnera. Spojrzał na mnie, potem na kufel i odwrócił wzrok, uznając, że chrząknięcie nie było znaczące. Kiedy je powtórzyłem, zmienił zdanie i podszedł do mnie.

– Właściwie nie przyszedłem tu na piwo.

– W takim razie polecam Shepherd's pie. Zapiekankę pasterską z jagnięciną.

– Na jedzenie też nie wpadłem.

Uniósł pytająco brwi.

– Podobno ktoś zostawił tutaj pendrive'a, którego mam odebrać.

Mimo że z głośników sączyła się muzyka, miałem wrażenie, jakby nagle wszystkie dźwięki ustały. Patrzyłem na kelnera, a on na mnie. Mierzyliśmy się wzrokiem, jakbyśmy szykowali się do konfrontacji.

– Pan Damian? – zapytał w końcu.

Ciepła fala przemknęła mi po plecach.

– Tak.

– Nie spieszyło się panu.

Uznałem, że muszę podjąć tę grę.

– Nie mogłem szybciej się pojawić.

– No, ale pendrive jest cały i zdrowy. I czeka na pana.

– Świetnie.

Barman na moment odszedł. Stanął po drugiej stronie baru, pochylił się i sięgnął pod ladę. Kilka osób niecierpliwiło się, chcąc złożyć zamówienie, a ja przypomniałem sobie, jak podczas pracy w Highlanderze irytowali mnie ci wszyscy klienci, którzy w weekendowe wieczory podchodzili do mnie tylko po to, by poprosić o podładowanie smartfona. Bo sytuacja awaryjna, bo zaraz padnie. Kilku klientów tymczasem czekało na swoje drinki. Zazwyczaj niezbyt cierpliwie.

Teraz ja byłem jednym z natrętów. I nie miałem zamiaru szybko dawać za wygraną.

Barman wrócił z pendrive'em przypominającym symbol pająka z kostiumu Spider-Mana. Nie mogłem powstrzymać lekkiego uśmiechu.

– Aż takie to ważne? – zapytał mężczyzna, widząc moją reakcję.

Położył urządzenie na blacie, a ja wbiłem w nie wzrok. Bałem się wziąć je do ręki, jakbym mógł przez to wymazać to, co się na nim znajdowało. Podniosłem wzrok.

– Bardzo ważne.

Nie skomentował, co kazało mi sądzić, że nie podpięli go do komputera i nie odkryli, że jego otwarcie wymaga hasła. Dobra decyzja. Pendrive mógł przecież okazać się siedliskiem wirusów.

Barman chciał się oddalić, ale przytrzymałem go wzrokiem.

– Kto go zostawił? – zapytałem.

– Jakiś mężczyzna.

– Mężczyzna?

Poczułem się jak idiota, powtarzając po rozmówcy, ale ten skinął głową, jakby był przyzwyczajony do obcowania z ludźmi w nie najlepszej kondycji umysłowej.

– Jak wyglądał? – zapytałem.

– Nie wiem, nie było mnie tu wtedy.

– To jakiś stały klient?

– Nie, chyba nigdy więcej tu nie zawitał. Pewnie odebrałby wtedy pendrive'a sam, prawda? A teraz przepraszam, ale…

– Nie zajmę wiele czasu – wpadłem mu w słowo niemal błagalnym tonem.

Popatrzył na niecierpliwiących się klientów, a ja doszedłem do wniosku, że muszę powołać się na solidarność zawodową. Musiałem tylko uwiarygodnić się jako kolega po fachu. I doskonale wiedziałem, jak to zrobić.

– Wybacz, że nie jestem jednym z tych, którzy zamawiają czystą wódkę w dużej szklance bez lodu i do tego tylko wodę mineralną – dodałem.

Zmarszczył czoło.

– Też byłem barmanem – powiedziałem. – I takie combo zawsze oznaczało, że przyszedł alkoholik, który od lat nie pił i tej nocy w końcu uległ. I który przez całą noc będzie w ciszy opróżniał obydwie szklanki, nie zawracając mi dupy.

Mężczyzna lekko się uśmiechnął, najwyraźniej doceniając, że właściwie przedstawiłem mu się jako jeden z upierdliwców.

– Poczekaj moment – powiedział, a potem odszedł i przyjął zamówienia od paru osób.

Wbiłem wzrok w pendrive'a. Chciałem podłączyć go już do laptopa, wprowadzić hasło i wysłuchać, co Ewa miała mi do powiedzenia. Nie mogłem jednak przepuścić okazji, by dowiedzieć się czegoś o tym, kto zostawił dla mnie urządzenie.

Barman po chwili wrócił. Oparł się o blat i popatrzył na mnie podejrzliwie.

– O co chodzi z tym USB? – odezwał się.

– Dobre pytanie.

Wyglądał na nieco zmieszanego, więc szybko się uśmiechnąłem i zbyłem temat machnięciem ręki.

– To wiadomość od pewnej dziewczyny – wyjaśniłem. – Problem polega na tym, że nie wiem, kto go dla mnie zostawił.

– Trochę to dziwne.

– Ale niegroźne. Na dobrą sprawę to tylko niewinna zabawa.

Nie mogłem być dalszy od prawdy, wydawało mi się jednak, że barman tego nie dostrzegł. I szczęśliwie postanowił nie wnikać, zapewne mając cały czas świadomość, że może pozwolić sobie jedynie na chwilę rozmowy.

– Chcę zyskać trochę przewagi – dodałem. – Stąd pytanie o tego, kto to zostawił.

– Aha.

– Jak wyglądał?

– Nie wiem, nie widziałem go.

Rozejrzałem się za innymi pracownikami, ale wszyscy krzątali się gdzieś między lożami zajmowanymi przez roześmianych, wstawionych młodych ludzi. Wrocław z pewnością stanowił najbardziej akademickie miasto w Polsce. Jeśli ktoś chciał się o tym przekonać, wystarczyło w weekendowy wieczór wejść do któregokolwiek z pubów.

– Nie pracuje dziś ta osoba, której zostawiono USB?

– Nie – odparł barman.

– A mógłbyś dać mi do niej kontakt?

– Słuchaj…

– To naprawdę ważne. Zabawa zabawą, ale naprawdę zależy mi na tej dziewczynie.

Westchnął głęboko.

– No, nie wiem.

– Ogromnie byś mi pomógł.

Zastanawiał się przez chwilę, ale ostatecznie się zgodził. Z pewnością tylko dlatego, że chodziło o innego barmana, nie barmankę. Numer do kobiety zyskać byłoby znacznie trudniej.

Podziękowałem mu, a potem pociągnąłem łyk zielonego piwa. Czułem lekki posmak czegoś syntetycznego, ale może tylko mi się wydawało. Potem położyłem na stole banknot dwudziestozłotowy.

– Dzięki – powtórzyłem, chowając do kieszeni pendrive'a i kartkę z numerem.

– Nie ma sprawy.

– Powiedz mi jeszcze tylko… kiedy ten facet to zostawił?

Barman namyślał się przez chwilę, drapiąc się za uchem i krzywiąc, jakby wyłowienie tego z pamięci graniczyło z cudem. Nie dziwiłem się. W takich miejscach przewijało się tyle osób, dochodziło do tylu zdarzeń, słyszało się o tylu sprawach, że wszystko się mieszało.

A mimo to bywali tacy, którzy przychodząc raz na kwartał, prosili „to, co zawsze" i oczekiwali, że obsługa będzie pamiętała.

– Nie wiem – powiedział w końcu. – Tydzień, może dwa temu.

Z trudem przełknąłem ślinę. Kogokolwiek wysłała Ewa, zrobiła to stosunkowo niedawno. Odniosłem złudne wrażenie, jakbym zbliżył się do niej na wyciągnięcie ręki.

A może nie było tak złudne, jak mi się wydało.

Cofnąłem się w okolice Renomy i zacząłem rozglądać za hotelem. Przy Podwalu trafiłem na miejsce z obiecującą nazwą. Incepcja okazała się niewielkim hostelem i oferowała wszystko, czego potrzebowałem.

Zamknąłem się w niewielkim pokoju, który metrażowo biła na głowę przeciętna studencka kawalerka, a potem ułożyłem się na łóżku z laptopem na kolanach. Wpiąłem pendrive'a do portu i nabrałem głęboko tchu.

Pojawiło się okienko do wpisania hasła. Wprowadziłem „Rosabelle".

Potem odniosłem wrażenie, że odsłoniło się przede mną coś, co równie dobrze mogło stanowić największą tajemnicę

wszechświata. Patrzyłem na plik AAC, w którym czekały na mnie odpowiedzi.

Nosił nazwę *Foliowe torebki pod zlewozmywakiem*.

Musiałem chwilę się nagimnastykować, by go otworzyć na starym sprzęcie. W końcu jednak mi się udało. I z głośników laptopa dobiegł głos Ewy.

Foliowe torebki pod zlewozmywakiem

Część dzieci po latach może powiedzieć, że jedyną rzeczą, jaką nauczyli ich rodzice, jest gromadzenie i przechowywanie foliowych torebek pod zlewozmywakiem w kuchni. Zazdroszczę tym, których to dotyczy.

Moi rodzice nauczyli mnie wielu rzeczy. Rzeczy, których nie chciałabym umieć.

Dzięki nim dowiedziałam się, jak obchodzić prawo, żeby nie płacić podatków. Jak uruchomić małe piramidy finansowe, by ukryć pochodzenie środków finansowych, i czym różnią się one od schematu Ponziego. Dowiedziałam się, jak zacierać ślady, jak prać brudne pieniądze, jak wykorzystywać państwo, by wyłudzać ogromne zwroty VAT…

Mogłabym wymieniać tak jeszcze długo.

Uczyli mnie tych rzeczy bez względu na to, jak reagowałam. A musisz wiedzieć, że od kiedy zaczęliśmy planować własną przyszłość, dawałam im jasno do zrozumienia, jak mam zamiar spędzić resztę życia. Z tobą, z dala od tego wszystkiego, czym oni się zajmowali.

Ale w końcu ich grzechy stały się moimi. Cień ich działalności padł na mnie. I na ciebie niestety również, choć robiłam wszystko, co mogłam, żeby tak się nie stało.

Odcięłam się od nich na długo przed wypadkiem.

Określam to zdarzenie w ten sposób, ale jak już wiesz, nie miało nic wspólnego z niefortunnym zrządzeniem losu. Było zaplanowane, przeprowadzone z zimną krwią, a potem zamiecione pod dywan.

Zanim jednak do niego doszło, powiedziałam ojcu, że nie mam zamiaru przejmować po nim kancelarii. Nie chciałam mieć nic

wspólnego nie tylko z nią, ale także z moimi rodzicami. Wciąż liczyło się dla mnie jednak to, byśmy zachowywali jako takie pozory.

Dla ciebie, dla twoich rodziców. Może poniekąd dla mnie samej. Nie wiem, czym się kierowałam. Może tym, że pielęgnowałam tę fasadę przez całe życie, więc nie wyobrażałam sobie, by pewnego dnia po prostu runęła.

Chciałam, żebyśmy byli inni niż moi rodzice. Chciałam, żebyśmy mieli normalny, szczęśliwy związek. Żebyśmy doczekali się dzieci, cieszyli się w życiu spokojem, statecznością, komfortem…

Nie wiem, dlaczego łudziłam się, że to możliwe.

Może dlatego, że moi rodzice w końcu otrzeźwieli. Stało się to jednak za późno, by mogli cokolwiek zmienić.

Mój ojciec pracował dla zorganizowanej grupy przestępczej, która działała przede wszystkim na Dolnym Śląsku. Na jej czele stał człowiek o ksywie Kajman. Całkiem odpowiedniej, bo przywodził na myśl potężnego gada.

Płacił kancelarii niemało, w dodatku tylko niewielka część była opodatkowana. Przez lata ojciec nie miał powodów, by narzekać. Zarabiał więcej, niż mógłby wydać, właściwie nie miał styczności ze środowiskiem, w jakim obracał się Kajman, a łapówki płacone kilku urzędnikom gwarantowały bezpieczeństwo.

Przynajmniej tak się im wszystkim wydawało.

Jestem przekonana, że gdyby CBA nie wpadło na ten trop, mój ojciec do dziś robiłby to samo co w czasach świetności Kajmana. Ja nadal byłabym w Opolu, do zdarzenia nad Młynówką nigdy by nie doszło i do tej pory użeralibyśmy się już pewnie z gromadką dzieci.

Ale po kolei.

Agenci Centralnego Biura Antykorupcyjnego trafili na ślad łapówki tylko dlatego, że jeden z urzędników zaczął szarżować. Pracował na niezbyt prestiżowym stanowisku w urzędzie skarbowym, zarabiał niewiele ponad średnią krajową, a mimo to o kilka razy za dużo pozwolił sobie na zakup rzeczy, na które nie powinno było go stać.

Wzbudziło to typowo ludzką zazdrość współpracowników. A ona w końcu doprowadziła do podejrzliwości. Wystarczył donos jednego nieprzychylnego znajomego z pracy, a CBA zainteresowało się urzędnikiem.

Urządzono chyba nie do końca legalną prowokację. Tak mętną, że biedak nie wiedział, kto w istocie składa mu propozycję korupcyjną. Kiedy zgodził się przymknąć oko na niewielką nieprawidłowość i przyjął za to prezent w postaci kilku tysięcy, agenci się ujawnili.

Facet szybko pękł. Wskazał palcem wprost na Kajmana, skądinąd osobę dobrze znaną służbom. Przeanalizowano wszystkie punkty styczne między urzędnikiem a Kajmanem i trafiono na kancelarię prawną, która pomagała zarówno jednemu, jak i drugiemu.

Nie muszę chyba ci mówić, że należała do mojego ojca.

Agenci CBA mogli zapukać do niego nad ranem i wyciągnąć go z domu siłą. Nie zależało im jednak na płotkach, chcieli dostać tego, który wrzuca do wody zanętę. Mogli to zrobić, przyciskając ojca, ale byli już na etapie postępowania, kiedy nie stać ich było na jakiekolwiek uchybienia proceduralne.

Musieli działać zgodnie z prawem. I wespół z Centralnym Biurem Śledczym Policji, bo sprawa okazała się znacznie szerzej zakrojona, niż początkowo sądzili. Z niewinnego przewinienia

urzędniczego przerodziła się w poważną operację przeciwko zorganizowanej przestępczości.

Zgłosili się więc do ojca z propozycją nie do odrzucenia. Poinformowali go, że prowadzą postępowanie przeciwko Kajmanowi i mają wystarczająco dużo dowodów, by obciążyć także jego.

Wiedział, co to oznacza. Miał nie tylko pójść za kratki, ale także stracić wszystko, co przez lata wypracował. Bez względu na to, czy pochodziło z legalnych, czy nielegalnych źródeł.

Nie zastanawiał się długo nad tym, czy zmienić front. Przy drugim czy trzecim spotkaniu zgodził się pójść na współpracę. Prawnikom zamieszanym w przeróżne afery zawsze opłacało się przedstawiać takie propozycje. Byli odpowiednio rozeznani w przepisach i procedurach, by wiedzieć, kiedy należy opuścić tonący okręt.

Tyle że ktoś zauważył ojca przygotowującego sobie szalupę ratunkową. Przypuszczam, że w szeregach policji Kajman miał wtykę, ale mogę się mylić. Równie dobrze to ojciec mógł sam podłożyć sobie nogę – ot, choćby przerzucając coraz więcej środków na zagraniczne konta, by zachować choć ułamek nielegalnych przychodów.

Tak czy inaczej, Kajman o wszystkim się dowiedział. I szybko zrobił to, co potrafił najlepiej.

Jaki był rezultat? Doskonale wiesz, bo byłeś na pogrzebie. Bo pocieszałeś mnie długimi tygodniami, pomogłeś mi przetrwać ten trudny okres. Nie byłam tak blisko z moimi rodzicami jak ty ze swoimi. Ale wciąż byli to moi rodzice.

W dodatku zdawałam sobie sprawę z tego, co się tak naprawdę wydarzyło. I czułam, że niebezpieczeństwo może grozić zarówno

mnie, jak i tobie. A mimo to nie mogłam niczym się z tobą podzielić.

Znam cię, wiem doskonale, co byś powiedział i do czego byś mnie namawiał. Nie pozwoliłbyś, żeby prawda została zamieciona pod dywan.

A może teraz byś pozwolił?

Jesteś już innym człowiekiem, życie mocno dało ci w kość. Głównie przeze mnie, zdaję sobie z tego sprawę. Moja wina nie ulega żadnej wątpliwości, a to nagranie nie jest próbą rozgrzeszenia.

Chcę tylko, żebyś zrozumiał.

Wspomniałam już, że moi rodzice nauczyli mnie znacznie większej liczby rzeczy niż tylko przezornego chowania torebek pod zlewem. I właśnie to sprawiło, że rozpoczęły się wszystkie moje problemy. Twoje także.

Wiedziałam o wszystkim. Miałam pełną wiedzę na temat tego, co robił mój ojciec.

Zarzekałam się, że nigdy nie zrobię z niej użytku. Upierałam się, że nie chcę mieć z jego działalnością nic wspólnego. Obiecywałam sobie, że nie pozwolę, by cokolwiek na nas wpłynęło.

Połowicznie dotrzymałam słowa. Niestety tylko połowicznie.

Myślisz, że domyślasz się końca tej opowieści?

Zastanów się jeszcze raz. Gdyby wszystko było takie oczywiste, nie zadawałabym sobie tyle trudu.

Ale o tym dowiesz się z następnego nagrania. Zaufaj mi, mam dobry powód, by nie mówić ci teraz więcej. Bądź cierpliwy jeszcze przez chwilę.

Nagranie czeka na ciebie w innym miejscu. Tam, gdzie ja nie miałam zamiaru wchodzić, a dla ciebie był to obowiązkowy punkt programu.

Niedaleko miejsca, do którego wyciągnął nas Blitzer.

Pamiętasz pewnie, że nie zdezerterowałam ani nie zapadłam w komę. I pomknęłam jak Lux-Torpeda razem z wami. Ty też się pospiesz, bo równo za dwanaście godzin czekający na ciebie plik zniknie.

Nagranie się skończyło, a ja siedziałem w bezruchu. Byłem tak zdezorientowany, że mój umysł miał problem z połączeniem wskazówek, które wyłożyła przede mną Ewa. Nie wiem, ile czasu minęło, zanim odpowiednie trybiki zaczęły działać w mojej głowie.

Spojrzałem na zegarek i szybko zapamiętałem, kiedy minie dwunastogodzinna cezura wyznaczona przez Ewę.

Nie, to absurdalne, uznałem. Nie miałaby żadnego sposobu, by wiedzieć, kiedy odtworzę to nagranie. Kolejne nie zniknie, będzie czekało na mnie w miejscu, gdzie je zostawiła.

Ale dlaczego w takim razie tak powiedziała?

Mimo że najwyraźniej ukrywała przede mną właściwie całe swoje prawdziwe życie, ufałem jej. Upływ lat nie miał żadnego znaczenia, moje uczucie nadal było tak samo mocne. Może nawet bardziej. I przekładało się na to, że bezgranicznie wierzyłem jej słowom.

Bo czy miałaby jakikolwiek cel w oszukiwaniu mnie? Po tym wszystkim? I całym trudzie, jaki zadała sobie z nagraniami?

Musiałem uznać, że nie. I że naprawdę mam dwanaście godzin, by odnaleźć kolejny plik. Plik, dzięki któremu uzyskam odpowiedzi na pytania nękające mnie od dekady.

10

Słusznie przypuszczałam, że Robert sprawdzi moje bilingi. Potwierdził to podczas kolacji, nie zważając na obecność naszego syna. Wojtek tym razem nie miał zadania domowego i całą uwagę dzielił między nas a nuggetsy z ciecierzycy w tempurze. Zajadałby się nimi na okrągło, gdyby nie to, że Robert przygotowywał je właściwie tylko od wielkiego dzwonu.

Mąż patrzył na mnie uważnie, od kiedy usiedliśmy do stołu. Dla zewnętrznego obserwatora wyglądałoby to z pewnością niegroźnie. Zupełnie jakby szef kuchni bacznie przyglądał się, czy przyrządzone przez niego danie smakuje zebranym. Dla mnie jednak ten wzrok był zapowiedzią kolejnej nieprzespanej nocy.

– Sporo ostatnio rozmawiasz z Klizą – rzucił niby mimochodem.

Tyle mi wystarczyło, bym wiedziała, że skontrolował połączenia. Podziękowałam sobie w duchu za przezorność. Gdyby nie ona, prędzej czy później pozwoliłabym sobie na telefon do Wernera i teraz miałabym znacznie większy kłopot.

– Mimo że już u nas nie pracuje – dodał.

Skinęłam głową, udając, że temat jest zupełnie nieistotny, i skupiając się na nuggetsach.

– Zaprzyjaźniłyście się?

– Niespecjalnie.

– To skąd tyle tych telefonów?

– Mówiłam ci, że pomagamy trochę Glazurowi.

– No tak, tak…

Mimo że w każdym naszym słowie kryło się drugie dno, używaliśmy ciepłego, przyjaznego tonu. Nie wiedziałam, czy jesteśmy dzięki temu w stanie oszukać własne dziecko i stworzyć wrażenie, że funkcjonuje w zwykłej, szczęśliwej rodzinie.

Było w tym coś niewłaściwego, ale z drugiej strony również… satysfakcjonującego. To także traktowałam jako poświęcenie

z mojej strony. Byłam gotowa znieść znacznie większe upodlenie, byleby ta patologia nie odbiła się negatywnie na Wojtku.

– Ale sprawdziłem, co z Glazurem – odezwał się Robert.

Podniosłam na moment wzrok.

– Mówiłaś, że groził mu mąż kobiety, dla której zbieraliśmy kompromitujące go materiały?

Ten eufemizm nie oddawał w najmniejszym stopniu tego, co staraliśmy się uzyskać w tego typu przedrozwodowych sprawach. Gromadziliśmy najgorszy brud, jaki udało nam się wygrzebać.

W tym wypadku akurat nie było go wiele. To nasza klientka prowadziła znacznie bogatsze życie pozamałżeńskie, choć jej partner też nie był bez winy. Ta jak zawsze leżała gdzieś pośrodku.

Może w przypadku moim i Roberta też tak było? Może stopniowo pozwalając mu na coraz więcej, doprowadziłam do sytuacji, w której obecnie się znajdowałam?

Wolałam nie szukać odpowiedzi na te pytania. Szczególnie teraz, kiedy mąż wciąż nie odrywał ode mnie oskarżycielskiego spojrzenia.

– Tak mówiłaś? – ciągnął. – Czy coś przekręciłem?

– Nie, tak było.

– Ale Glazura nie ma w mieście.

„Sprawdziłem”, powinien dodać. Nie zrobił tego jedynie ze względu na to, że dla Wojtka mogłoby to zabrzmieć niepokojąco.

– Uznałyśmy, że najlepiej będzie, jeśli wyjedzie.

– Dokąd?

– Nie wiem, Kliza się tym zajęła.

Brnęłam w niebezpiecznym kierunku, wchodząc na niepewny grunt. Po telefonie Joli przygotowałam sobie wymówkę, ale nic ponadto. Nie było to dobrze zaplanowane kłamstwo, które mogło zadziałać jak bufor bezpieczeństwa. Przeciwnie.

– Sprawdziłem też tego męża – dodał Robert.

– I?

– Nie wygląda mi na takiego, który mógłby zaszkodzić Glazurowi.

Znów eufemizm. Robert radził sobie z nimi równie dobrze jak z formułowaniem brutalnych, werbalnych ciosów, kiedy zamykały się za nami drzwi sypialni.

– Cóż… – zaczęłam, starając się skupić na jedzeniu. – Wiesz, jaki jest Glazur. Boi się wszystkiego.

– Nie wiem, nie znam go.

– To strachliwy chłopak, a poza tym…

– Chętnie bym go poznał.

– Tak?

– Może poczułby się lepiej, gdybyś go zaprosiła.

Było to ostatnie, czego Robert by sobie życzył. Teraz wiedziałam już, że w każdym kolejnym słowie kryje się niewypowiedziana groźba. Pod warstwą pozorów prowadziliśmy zupełnie inną rozmowę.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – powiedziałam. – W końcu go zwolniliśmy.

– Może masz rację.

Na tym się skończyło. Przynajmniej jeśli chodziło o pielęgnowanie fasady.

Kiedy parę godzin później Wojtek zasnął, a ja leżałam już w łóżku z książką, wiedziałam, że dopiero teraz będę musiała zmierzyć się z prawdziwymi zarzutami. Przygotowałam się, jak mogłam. Założyłam podomkę, którą Robert lubił najbardziej. Skropiłam się jego ulubionymi perfumami po wewnętrznej stronie ud i między piersiami. Ułożyłam włosy tak, jak zawsze sobie tego życzył. Nie miałam jednak złudzeń, że na wiele się to zda.

Robert wszedł do sypialni wściekły. Trzasnął drzwiami, nie bacząc na to, czy obudzi syna.

Był wyraźnie wstawiony. Bardziej niż zwykle.

Nie wiem, ile czasu spędził na próbach przekonania samego siebie, że tym razem uda mu się powściągnąć emocje. Z pewnością podjął starania, ale przypuszczam, że im dłużej pił, tym gorzej mu szło.

Bez słowa zrzucił kołdrę na podłogę, a potem gwałtownym ruchem ręki kazał mi się podnieść. Nie odzywał się.

Wstałam niepewnie, a potem zrobiłam krok w stronę ściany. Znajdowaliśmy się po przeciwnych stronach łóżka, jak zawodnicy na ringu.

Jeszcze dwa, może trzy lata temu w takiej sytuacji rozważałabym sposoby, dzięki którym mogłabym się ratować. Od tamtej pory minęło jednak wiele czasu. Wiele siniaków, zadrapań i stłuczeń pojawiło się na moim ciele. A każde jedno utwierdzało mnie w przekonaniu, że nie mogę zrobić absolutnie nic, co sprawi, że Robert nie wpadnie w furię.

Trwał w milczeniu jeszcze tylko przez chwilę.

– Myślisz, że możesz mnie ot tak sobie, kurwa, oszukać?

– Nie.

– I wydaje ci się, że możesz kłamać mi prosto w oczy?

– Robert…

– Za kogo ty mnie masz? Co? Za jakiegoś pierdolonego idiotę?

– To wszystko nie tak.

Mogłam zaprzeczać. Mogłam próbować go ugłaskać. Mogłam błagać, obsypywać go komplementami, wyrazami miłości i zupełnego oddania. Ale jedynym rezultatem byłoby odwleczenie nieuniknionego.

– Zdradzasz mnie, ty suko?

– Nigdy bym…

– Z kim?! – ryknął, obchodząc łóżko.

– Nigdy bym cię nie zdradziła.

Słowa wydobywały się z moich ust samoistnie. Co z tego, że miałam świadomość ich bezużyteczności? Spadając w przepaść, człowiek stara się złapać za cokolwiek, mimo że wie, jak daremny to wysiłek.

– Niewiarygodne, że myślałaś… – urwał i zaśmiał się. – No, naprawdę, kurwa mać. Jak mogłaś w ogóle pomyśleć, że cokolwiek przede mną ukryjesz? Ochujałaś już zupełnie. Ale koniec z tym, rozumiesz? Raz na zawsze zapamiętasz sobie, że przede mną nigdy nie będziesz mieć żadnych tajemnic. Że każdego, kurwa, oszukasz, nawet siebie. Ale nie mnie, ty jebana wywłoko.

Spodziewałam się, że teraz nadejdzie pierwszy cios otwartą dłonią. Zazwyczaj był niepewny, jakby Robert starał się wybadać, na ile może sobie pozwolić. Potem stopniowo się rozkręcał.

Tej nocy było jednak inaczej.

Zanim zdążyłam się zorientować, zamachnął się nogą i kopnął mnie w kolano. Padłam na podłogę z głuchym jękiem i automatycznie zasłoniłam twarz. Robert złapał mnie za ramiona i rzucił na środek pokoju. Niedbale, jak bagażowi na lotnisku, którzy przerzucają torby podróżnych.

Natychmiast do mnie doskoczył, kopnął w żebra, a potem poprawił, tłukąc nogą w miednicę. Nie miałam czasu zareagować. Nawet gdybym chciała coś powiedzieć lub chwycić jego stopę, nie było na to czasu. Razy były szybkie, zdecydowane, opętańcze.

Skoczył na mnie, a potem uderzył dłonią w twarz.

– Ty kurwo…

Okładał mnie przez przerażająco długą chwilę. Miałam wrażenie, że nie przestanie, a zaraz w ruch pójdą pięści.

Zrozumiałam, że to jeden z tych wypadków, kiedy zupełnie traci nad sobą kontrolę.

Zazwyczaj choć trochę się pilnował. Był w tym względzie taki jak ja, kiedy piłam. Wiedziałam, że jeśli przesadzę, efekty sprawią, że będę zmuszona przestać. On także musiał uważać. Starał się nie wyrządzać mi szkód, które byłyby nie do zamaskowania.

Zazwyczaj.

Tym razem jednak złapał mnie za gardło i zacisnął mocno ręce. Poczułam, że nie mogę złapać oddechu ani przełknąć śliny.

– Jak śmiałaś…

Próbowałam się odezwać, ale bezskutecznie.

– Zawszona suko, jak śmiałaś?! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?!

Miałam wrażenie, że zaciska dłonie jeszcze mocniej. Były potężne jak imadło, a ja czułam się krucha i bezbronna. Mimo to zaczęłam się bronić. Podziałało to na niego w jedyny możliwy sposób – dolało oliwy do płonącego w nim ognia szaleństwa.

– Zawsze musisz wszystko spierdolić! Nie tylko moje życie, ale całej naszej rodziny!

Zarzuty pojawiały się za każdym razem, takie czy inne. Obarczał mnie winą nie tylko ze wszystkie swoje niepowodzenia, ale także potknięcia Wojtka czy rzeczy zupełnie od nas niezależne.

W takich chwilach stawałam się w jego oczach źródłem wszelkiego zła.

Przerażała mnie ta myśl. Kazała mi bowiem sądzić, że Robert jest gotów usunąć mnie z równania, które tworzył, by bilans był dodatni.

Zaciskające się na szyi dłonie zdawały się to potwierdzać.

Dusiłam się, mając świadomość, że jest coraz gorzej. Nigdy jeszcze nie zbliżył się tak bardzo do tego, czego najbardziej się obawiałam.

Nie chodziło o sam fakt, że mnie zabije. Nie, to momentami postrzegałam jako jedyny sposób na uwolnienie się z tego koszmaru. Druzgocąca była dla mnie świadomość tego, co stanie się z Wojtkiem, jeśli mnie zabraknie.

Nie miałam wątpliwości, że całą przemoc Robert skieruje na niego. Może nie od razu, ale ostatecznie tak się właśnie stanie.

Zdwoiłam wysiłki, żeby się wyswobodzić, ale to tylko pogorszyło moją sytuację. Zaciskał palce coraz mocniej, potrząsając mną i coś krzycząc. Krew przestawała dopływać mi do mózgu, nie rozumiałam już poszczególnych słów.

Kiedy poczułam, że powieki robią mi się ciężkie, kilkakrotnie uderzył moją głową o podłogę, jakby w absurdalny sposób starał się mnie ocucić.

Na moment przed tym, jak odpłynęłam, w końcu puścił.

Czas jakby się zatrzymał. Panicznie nabrałam tchu i próbowałam się odwrócić, ale Robert wciąż mnie przytrzymywał. Trwał w bezruchu. Dopiero moment później potrząsnął głową, zerwał się na równe nogi i wybiegł z sypialni.

Spojrzałam na otwarte drzwi z obawą, że zobaczę stojącego w progu syna. Że głośne dźwięki go zbudziły i kazały mu sprawdzić, co się dzieje.

Nikogo jednak nie dostrzegłam. Odetchnęłam w duchu, jakby to, że Wojtek pozostał niczego nieświadomy, było rzeczywiście najważniejszą rzeczą.

Podniosłam się obolała.

Wszystko, co działo się później, było intensywniejszą wersją zwykłej skruchy Roberta. Płakał dłużej niż zazwyczaj. Zapowiadał, że z samego rana pójdzie na policję. Doniesie na siebie, poprosi o założenie niebieskiej karty.

Obietnicom, zapewnieniom i przeprosinom nie było końca.

Nie chciał spać tej nocy ze mną. Twierdził, że na to nie zasługuje. Zawinął się w koc w salonie. Jeszcze przez jakiś czas słyszałam, jak robi sobie wyrzuty, pociąga nosem, klnie. Potem w końcu zasnął.

A ja przeszłam cicho do gabinetu na piętrze.

Włączyłam komputer i wysłałam aktywacyjnego esemesa do Wernera. Nie wiedziałam, czy ma włączone dzwonki, czy znajduje się w miejscu z dostępem do internetu i czy o tej porze nie zignoruje mojego sygnału.

Pojawił się już po niecałej minucie.

Kiedy zobaczyłam adres IP, a potem ustawiłam mu nick, poczułam się, jakbym pociągnęła spory łyk prosecco. Zrobiło mi się lżej na sercu.

[Damian] Nie masz spania?
[Kasandra] Ciężka noc.
[Damian] Nie tylko u ciebie.
[Kasandra] Dowiedziałeś się czegoś?
[Damian] Właściwie więcej, niż chciałbym wiedzieć. I nie jestem pewien, czy chcę tę wiedzę pogłębiać.

Przesunęłam dłonią po szyi i poczułam ostry ból w boku.

[Kasandra] Przypuszczam, że tylko tak mówisz.
[Damian] Przypuszczam, że masz rację.

Przez chwilę się zastanawiałam.

[Kasandra] Mogę ci jakoś pomóc?
[Damian] Na razie nie.

Przełknięcie śliny znów przyszło mi z trudem, tym razem jednak przyczyna była zupełnie inna niż podczas zajścia z Robertem.

Uświadomiłam sobie, dlaczego pytam. I do czego zmierzam.

Planowałam przekroczyć granicę, przed którą ostatnio zawróciłam.

[Kasandra] W takim razie być może ty pomożesz mnie.
[Damian] W jaki sposób?

Wciągnęłam powietrze nosem i przez moment wpatrywałam się w otwarte drzwi do gabinetu.

[Damian] Jesteś?
[Kasandra] Tak.
[Damian] Wszystko w porządku?
[Kasandra] Bynajmniej. Ale z twoją pomocą to się może zmienić.

Wbijałam wzrok w monitor i nerwowo czekałam na odpowiedź. W końcu nadeszła.

[Damian] Możesz na mnie liczyć.

Tego potrzebowałam. Tak naprawdę tylko tyle było mi niezbędne, bym w końcu podjęła decyzję, że czas najwyższy działać. Werner był jedyną osobą, która mogła mi pomóc. Pochodzącą z zewnątrz, niezwiązaną z biznesem ani pieniędzmi Roberta. Anonimową. Zupełnie nieznaną mojemu mężowi. W dodatku Damian znalazł się poza prawem, był gotów na wszystko.

I prędzej czy później sam będzie potrzebował pomocy. W najgorszym wypadku potraktuje wsparcie mnie jako element handlu wymiennego.

Dzięki niemu zrobię to, co powinnam uczynić już dawno. Wyzwolę się.

11

Empatię straciłem wiele lat temu. Zupełnie zobojętniałem na ludzkie krzywdy i troski, przegapiając chyba nawet moment, w którym do tego doszło. Mimo to zgodziłem się pomóc Kasandrze Reimann – bo było to w moim najlepszym interesie.

Do teraz interesowała się moją sprawą wyłącznie dlatego, że stanowiło to jej nowobogacki kaprys. Może nawet swoiste hobby. Teraz jednak miałem szansę, by to zmienić.

Nie wiedziałem, czego dokładnie będzie ode mnie wymagała, ale byłem pewien jednego – czegokolwiek chciała, stanie się to dla mnie cenną walutą. Walutą, którą spożytkuję, kiedy znajdę Ewę.

Wiedziałem bowiem, że będziemy potrzebować pomocy. Ktokolwiek stał za jej zniknięciem i tym, co działo się później, dysponował nieporównywalnie większymi środkami niż ja. Posiadanie sojuszniczki w postaci Kasandry Reimann mogło okazać się na wagę złota.

Przespałem dwie godziny, nim ruszyłem w drogę. Zapewne opuściłbym Wrocław od razu, gdyby nie fakt, że musiałem czekać na nocny pociąg. Nie miałem wielkich nadziei na to, że uda mi się zasnąć, ale najwyraźniej organizm był bardziej wycieńczony, niż sądziłem.

Do Ostrowa Wielkopolskiego pojechałem Intercity, tam musiałem poczekać kilka godzin na dworcu, ale do upłynięcia terminu Ewy miałem jeszcze mnóstwo czasu. Podróż regionalnym z Ostrowa do Witaszyc zabrał mi trzydzieści minut.

Byłem absolutnie pewny, że udałem się we właściwe miejsce.

Ewa twierdziła, że znajduje się niedaleko miejscowości, do której wyciągnął nas Blitzer. To mogło oznaczać kilka punktów na mapie

Polski, ale w tym wypadku chodziło o Jarocin. A konkretnie o rockowy festiwal, który się tam odbywał. Niechętnie braliśmy udział w jakichkolwiek koncertach, ale raz daliśmy się przekonać. I nie żałowaliśmy.

Wiedziałem od razu, że to dobry strzał, bo związek z występem Foo Fighters był oczywisty. Ewa zaplanowała to tak, by wszystko zaczęło się od koncertu i skończyło na koncercie.

W dodatku wspominała, że nie zdezerterowała. Nie wpadła w komę. I pomknęła z nami jak Lux-Torpeda. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że chodzi o Jarocin, grali tam bowiem wtedy zarówno Dezerter, Coma, jak i Luxtorpeda.

Ale samym celem było inne miejsce. To, do którego nie zamierzała wchodzić – to, które było dla mnie obowiązkowym punktem programu.

Mogło chodzić tylko o jedno. Przed koncertem mieliśmy trochę czasu do zagospodarowania, Blitzer szybko więc sprawdził, co ciekawego można w okolicy zrobić. Kiedy wpadł na trop Muzeum Gwiezdnych Wojen w Pałacu Witaszyce, nie miałem zamiaru odpuszczać.

Darth Maul w skali 1 : 1? Ogromny Jar Jar Binks, któremu mogłem spojrzeć w oczy i nawtykać? Nic nie mogło mnie powstrzymać przed złożeniem tam wizyty.

O ile Ewa tolerowała moją fascynację *Spider-Manem*, o tyle trudno było jej zrozumieć, co widzę w *Gwiezdnych wojnach*. Nigdy nie udało mi się namówić jej na obejrzenie więcej niż kilkunastu minut *Nowej nadziei*. Z trylogią prequeli nawet nie próbowałem. A J.J. Abrams zatrząsł kinematografią o wiele później.

Wiedziałem więc, gdzie się kierować.

Nie wiedziałem zaś, co czeka na mnie w muzeum. I jakim cudem miałoby to zniknąć po dwunastu godzinach od odsłuchania przeze mnie drugiej wiadomości, którą zostawiła mi Ewa.

Kolejne wątpliwości pojawiły się zaraz po tym, jak za dziesięć złotych kupiłem bilet. Stanąłem przed miniaturowymi replikami szturmowców, zastanawiając się, co dalej, kiedy podszedł do mnie mężczyzna koło trzydziestki. Miał wyraźną bliznę pod lewym okiem, ale bynajmniej nie przywodził na myśl zakapiora. Przeciwnie.

Początkowo sądziłem, że to pracownik, ale rozglądał się z podobną ciekawością jak ja. Oprócz nas w muzeum nie było nikogo więcej i na dobrą sprawę nie stanowiło to chyba odstępstwa od normy.

Przyglądałem się turyście stanowczo zbyt długo. W końcu odwzajemnił spojrzenie.

– Coś nie tak? – zapytał niepewnie.

– Nie, po prostu na kogoś czekam. A przynajmniej tak mi się wydaje.

Jego wzrok stał się jeszcze bardziej podejrzliwy. Nie miałem pewności, czy rzeczywiście mam się z kimś spotkać, ale wydawało mi się to logiczne. Jak inaczej Ewa miałaby przekazać mi kolejny plik?

Nie ryzykowałaby ukrycia go w płaszczu Obi-Wana czy jakimkolwiek innym miejscu, bo nie miałaby sposobu, by wiedzieć, jak długo zajmie mi dotarcie do Witaszyc. Z tego samego powodu jednak nie zdołałaby wysłać kogoś, by się ze mną spotkał.

A mimo to po chwili odniosłem nieodparte wrażenie, że stojący obok mnie mężczyzna jest tutaj właśnie dlatego, że poprosiła go o to Ewa.

– Wydaje mi się, że to na ciebie czekam – odezwałem się.

Zabrzmiałem jak szaleniec, ale nie miałem zamiaru się tym przejmować. Patrzyłem na turystę, niepewny, jak się zachowa. Jego wyraz twarzy się nie zmienił, co właściwie mogło oznaczać wszystko.

Przyszło mi na myśl, że równie dobrze mogłem w taki sposób zagadnąć kogoś z obsługi. Skoro miałem robić z siebie idiotę, mogłem od tego zacząć.

– Co masz na myśli? – zapytał mężczyzna.

Nie był zdziwiony. Sprawiał raczej wrażenie osoby, która chce upewnić się, czy nie doszło do pomyłki. A może widziałem to, co chciałem? Tak bardzo zależało mi na kolejnej części nagrania, że umysł mógł mnie oszukiwać.

Tak czy inaczej, nie miałem wyjścia. Ani tym bardziej nic do stracenia.

– Że Ewa dała ci coś dla mnie – powiedziałem.

– Co konkretnie?

Poczułem mrowienie na karku. Ta odpowiedź jednoznacznie sugerowała, że jednak się nie pomyliłem. Obróciłem się do mężczyzny i znów posłałem mu długie spojrzenie.

– Przypuszczam, że pendrive'a.

– I nie mylisz się.

Uniosłem brwi, nie mogąc się odezwać.

– Ale zanim mnie o cokolwiek zapytasz, musisz wiedzieć, że przekazanie ci tego to jedyne, na co się zgodziłem.

– Rozumiem.

– Na nic więcej nie licz.

Skinąłem głową.

– Żadnych pytań, żadnego drążenia, nic z tych rzeczy. I tak o niczym nie wiem.

– Jasne – potwierdziłem.

Nie miałem jednak najmniejszego zamiaru mu odpuszczać. Uznałem, że kiedy tylko da mi USB, przycisnę go i wyduszę z niego wszystko, co chciałem wiedzieć.

Kim jest? Skąd zna Ewę? Jakim sposobem dowiedział się, że będę tutaj właśnie teraz?

Na to ostatnie pytanie być może znałem odpowiedź. Podłączenie pendrive'a we Wrocławiu mogło sprawić, że na dysk przeniósł się jakiś robak. Oprogramowanie mogło być zaprojektowane tak, by mój laptop wysłał sygnał w odpowiednie miejsce. Wystarczyłby krótki ping pod właściwy adres IP, nic więcej.

Mężczyzna przekazał mi kolejnego przypominającego pająka pendrive'a, a ja szybko zamknąłem go w dłoni jak najcenniejszą relikwię. Schowawszy go do kieszeni, mogłem przystąpić do dzieła.

– Skąd znasz Ewę? – zapytałem.

Nie odpowiedział i się odwrócił. Zanim jednak ruszył w stronę wyjścia, złapałem go za przegub ręki. Nie wyglądał na zaskoczonego. Czyżby Ewa przygotowała go na to, że tak łatwo nie dam za wygraną?

Posłał mi wrogie spojrzenie, a potem zerknął na moją dłoń.

– Mówiłem: żadnych pytań.

– Gówno mnie obchodzi, co mówiłeś – odparłem, zaciskając mocniej rękę.

Myślałem, że ją odtrąci, a w jego oczach pojawi się wyraźna agresja, ale się pomyliłem. Mężczyzna wciąż nie sprawiał wrażenia konfliktowego, choć w tej chwili byłoby to całkowicie uzasadnione.

– Puść – rzucił.

Miałem ochotę się roześmiać. Jeśli orientował się w mojej sprawie choć trochę, powinien wiedzieć, że nie odpuszczę, dopóki nie otrzymam od niego jakichś odpowiedzi.

Istniała oczywiście możliwość, że nic na temat zaginięcia nie wie. Ale wciąż mógł mi wyjaśnić kilka kwestii – kim jest, skąd zna moją narzeczoną i dlaczego zaufała mu do tego stopnia, by przekazać pendrive'a.

– Puszczaj, człowieku…

– Nie ma mowy.

Próbował się wyszarpać, ale nie pozwoliłem mu na to. Przeszło mi przez myśl, że jeśli dojdzie między nami do rękoczynów, właściwie nie sposób będzie stwierdzić, kto mógłby okazać się górą. Żaden z nas nie był specjalnie umięśniony.

Ale ja miałem jeden mocny atut.

Byłem zdesperowany.

– Więc co? – zapytał, nerwowo się rozglądając. – Masz zamiar mnie, kurwa, torturować?

– Po prostu chcę wiedzieć, kim…

– Nic nie wiem, rozumiesz?

– Coś z pewnością wiesz. Inaczej by cię tu nie było.

– Miałem tylko dać ci tego flasha, to wszystko.

– Tak? A skąd wiedziałeś, kiedy się tu pojawić?

– Dostałem wiadomość.

– Jaką? Od kogo? – zapytałem przez niemal zaciśnięte usta. – W jaki sposób? No? Coś jednak wiesz.

Dopiero teraz w jego oczach dostrzegłem głęboki niepokój. Rozejrzał się, a potem lekko otworzył usta. Zorientowałem się, że zobaczył kogoś za moimi plecami. Odwróciłem się z irracjonalną, kretyńską nadzieją, że ujrzę Ewę. Że zaplanowała to wszystko tak, byśmy spotkali się tu i teraz. By tutaj to wszystko się skończyło.

Zamiast niej jednak zobaczyłem pracownika muzeum, który przyglądał się nam z niepokojem. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że nadal trzymam za przegub mojego rozmówcę.

Zanim jednak zdążyłem podjąć próbę beznadziejnego tłumaczenia, mężczyzna skorzystał z chwili mojej nieuwagi i się wyrwał. Natychmiast skierował się w stronę wyjścia, a ja ruszyłem za nim.

– Moment – rzucił pracownik, zastępując mi drogę.

Posłaniec Ewy obejrzał się jeszcze przez ramię, a potem wybiegł na korytarz.

Nie miałem zamiaru tłumaczyć zatrzymującemu mnie mężczyźnie, że najlepiej będzie, jeśli mnie przepuści. Odepchnąłem go i popędziłem za uciekającym. Wypadłem na zewnątrz, rozglądając się na wszystkie strony.

Posłaniec był już przy bramie wjazdowej na teren przypałacowy. Pobiegłem za nim, niepewny, czy go dogonię. Nie wyglądał na wysportowanego, był jednak szczuplejszy ode mnie. Być może nie ćwiczył regularnie, ale cieszył się wyraźnie lepszą formą niż ja.

Pognałem za nim w kierunku niewielkiego skweru po drugiej stronie ulicy, ale w ostatniej chwili skręcił i znikł za jednym z poniemieckich, podniszczonych budynków. Kiedy znalazłem się za winklem, zrozumiałem, że go zgubiłem. Zatrzymałem się na moment – moment w zupełności wystarczający, by mężczyzna odbiegł dostatecznie daleko. Nawet gdybym go wypatrzył, już bym go nie dogonił.

Zgiąłem się i oparłem ręce na kolanach. Powinienem od czasu do czasu, zamiast kilku meczów w Fifie, wybrać się na jeden krótki bieg. Może wtedy dopadłbym tego człowieka, dowiedział się, kim jest i dlaczego pomaga Ewie.

Musieli dobrze się znać, a ona z pewnością mu ufała. Nie był przypadkowym posłańcem, któremu zapłaciła, by pojawił się w określonym miejscu i czasie. Musieli być blisko. Inaczej mężczyzna nie zadałby sobie tyle trudu, by dostarczyć mi wiadomość. Musiał przecież zdawać sobie sprawę, że będę próbował coś z niego wyciągnąć.

Ale tak naprawdę jak daleko byłem gotów się posunąć? Nie wiedziałem. Być może powinienem być wdzięczny losowi za to, że

nie miałem okazji się przekonać. I zaufać Ewie, tak jak robiłem to wcześniej.

Tak jak wtedy, gdy byliśmy razem.

Tyle że teraz to zaufanie zdawało się zbyt daleko idące. Żyłem z osobą, która ukrywała przede mną istotne fakty ze swojego życia. Która wychowała się w przestępczej rodzinie. I to jednej z tych najgorszych, w których nosi się garnitury i krawaty zamiast pałek i kastetów.

Zamknąłem oczy i przez moment trwałem w bezruchu. Potem otarłem pot z czoła i się wyprostowałem.

Nie pozostało mi nic innego, jak wynająć gdzieś pokój, zasiąść w nim z laptopem i odsłuchać wiadomość, którą Ewa dla mnie przygotowała. Być może ostatnią.

Wyboru co do lokalizacji właściwie nie miałem. O ile dobrze się orientowałem, był tu tylko jeden obiekt, w którym mogłem spędzić noc. Hotel znajdował się w Pałacu, z którego przed momentem wybiegłem.

Licząc na to, że nie trafię na pracownika muzeum, który widział mnie i mężczyznę z blizną, poszedłem do recepcji. Zapłaciłem niewiele ponad stówę za jednoosobowy pokój, który miał wszystko, czego było mi potrzeba – łazienkę i dostęp do wi-fi.

Usiadłem przed niewielkim biurkiem pod ścianą, a potem otworzyłem laptopa. Kiedy wpiąłem flash disc do portu USB, rozległ się sygnał świadczący o tym, że dostałem esemesa. Nie miałem teraz czasu na Kasandrę. Czegokolwiek chciała, musiało poczekać.

Wprowadziłem to samo hasło, które otwierało mi wszystkie inne drzwi, a potem spojrzałem na samotny plik AAC w folderze. Ewa nazwała go *Nad grobem tych, którzy pokazali*.

Nad grobem tych, którzy pokazali

Najwięcej łez wylewamy nie nad grobami tych, których najlepiej poznaliśmy, ale tych, którzy sprawili, że mogliśmy lepiej poznać samych siebie. Tych, którzy pokazali nam, kim naprawdę jesteśmy.

Dlatego tak bardzo brakuje nam muzyków i pisarzy, kiedy odchodzą. Jedni i drudzy dają nam wgląd w nasze własne dusze. Ale nie dotyczy to przecież tylko osób znanych i cenionych. W moim przypadku odnosiło się do rodziców – mimo że wcale nie miałam z nimi modelowych relacji.

Ich śmierć sprawiła, że poznałam samą siebie.

Dokonałam przewartościowania wszystkich założeń, które stanowiły fundament mojej egzystencji. Może z jednym wyjątkiem. Ciebie. Ty zawsze byłeś oparciem, dzięki któremu trzymało się w moim życiu wszystko inne.

Pamiętaj o tym, kiedy będziesz oceniał moje wybory. Bo podejmowałam je właśnie dlatego, że dałeś mi tak mocny grunt, na którym mogłam ustać. Przynajmniej przez pewien czas.

Po wypadku moich rodziców od razu stało się jasne, co w istocie się wydarzyło, choć policja i prokuratura nie wychylały się z tą informacją. To normalna procedura w takiej sytuacji, trwało w końcu postępowanie przeciwko ludziom, którzy odpowiadali za zamach.

Ja jednak nie tylko sama wiedziałam, co się wydarzyło, ale otrzymałam także potwierdzenie od służb.

Spotkał się ze mną świeżo upieczony oficer prowadzący dochodzenie, Tomasz Prokocki. Przedstawił, co miało miejsce, i nie zostawił żadnych wątpliwości co do tego, kto był zamieszany w sprawę.

Wyrok na moich rodziców wydał Kajman. Wiedział, że przez mojego ojca straci wszystko, przy czym wolność była dla niego

chyba jedną z mniej istotnych rzeczy. W więzieniu kontynuowałby swoją działalność – ale tylko pod warunkiem, że zdołałby ocalić swoją organizację. A nie było na to szans. Ojciec wiedział za dużo i miał dokumenty pozwalające na skazanie większości członków tej przestępczej grupy.

Znikły oczywiście zaraz po tym, jak doszło do wypadku. Rodzice mieli rzekomo przewozić je w samochodzie, który, jak wiesz, zajął się ogniem po zderzeniu. Była to oczywista bzdura, ale nie miało to dla Prokockiego wielkiego znaczenia.

Wiedział bowiem, że jest ktoś, kto miał wgląd w cały materiał. Ktoś, kto był dobrze obeznany w całym procederze, który organizowała kancelaria. Ktoś, kto mógł zeznawać w sądzie i pogrążyć nie tylko Kajmana, ale także jego współpracowników. Tą osobą byłam oczywiście ja.

Było także coś, o czym Prokocki nie wiedział.

Ojciec nauczył mnie nie tylko, gdzie chować torebki foliowe, ale także gdzie szukać materiałów, które pomogą mi w sytuacji kryzysowej.

Wykonał kopie najważniejszych dokumentów, zabezpieczył się. I przekazał mi wszystko, co musiałam wiedzieć, gdyby kiedyś doszło do szantażu, porwania czy innej próby zastraszenia jego lub matki.

Nie uwzględnił, że Kajman pójdzie dalej i zdecyduje się usunąć problem w najprostszy sposób.

Tomasz Prokocki podchodził mnie kilkakrotnie. Zaczął się kontaktować jeszcze za życia rodziców, starając się mnie przekonać, że moje zeznania mogą rzucić nieco światła na to, co działo się w kancelarii.

Może wiedział o moich złych relacjach z rodzicami i razem z prokuraturą chciał zbudować przeciwko nim alternatywną linię

oskarżenia, a może po prostu uznał, że dobrze mieć kogoś w odwodzie.

Tak czy owak, stanowczo odmawiałam. Skupiałam się na nas, na naszej przyszłości. Nadal nie chciałam mieć nic wspólnego ani z ojcem, ani z organami ścigania, ani ze światkiem przestępczym.

Prokocki namawiał mnie wiele razy, twierdząc, że dzięki temu prokurator spojrzy jeszcze przychylniej na moją rodzinę. Była w tym niezbyt zawoalowana sugestia, że sprawa dotyczy także mnie bezpośrednio.

Upierałam się jednak, że o niczym nie wiem, i w końcu spławiłam go raz a dobrze, ostrzegając, że nęka niewinną osobę i że złożę na niego doniesienie do przełożonych. Wątpię, żeby specjalnie się tym przejął, ale przynajmniej odpuścił.

Na jakiś czas.

Ponownie uaktywnił się po śmierci rodziców. Uznał pewnie, że to wszystko zmienia i będę chciała wziąć odwet na tych, którzy upozorowali wypadek.

Od razu dałam mu do zrozumienia, że to niczego nie zmienia, bo nic nie wiem. Przez pewien czas sama byłam przekonana, że teraz powinnam tym bardziej trzymać się od sprawy z daleka. Wydawało mi się, że skoro i tak nic nie przywróci życia rodzicom, nie jestem zobligowana, by cokolwiek robić.

Nie brałam pod uwagę wszystkich tych osób, które mogą podzielić ich los. Ani tych, którym Kajman i jego ludzie wcześniej odebrali życie. Nie mieli żadnych skrupułów, jak się później dowiedziałam. Wykorzystywali dziewczyny z Ukrainy, porywali dzieci, wymuszali okupy, niszczyli lokalne biznesy, rozbijali rodziny… właściwie nie było niczego, czym by się brzydzili.

Zajęło mi jednak trochę czasu zrozumienie, że mogę to zmienić.

Śmierć rodziców naprawdę sprawiła, że poznałam samą siebie.

Zmieniłam się, ale jedynie wewnątrz. Nie zauważyłeś niczego, bo skrzętnie ukrywałam to pod płaszczem żałoby. Przypuszczam, że jeśli przyłapałeś mnie na głębokim zamyśleniu lub niepokojeniu się bez wyraźnego powodu, składałeś to na karb tego, że straciłam rodziców.

W rzeczywistości jednak planowałam już, co zrobię. Raz, chyba po seansie Iluzjonisty*, niemal ci o wszystkim powiedziałam. Siedzieliśmy wtedy w Masce, piliśmy piwo, ty jadłeś piętrowego tosta z kurczakiem. Ja nie pamiętam, co zamówiłam. Myślami byłam daleko.*

Decyzję już podjęłam, ale wciąż zastanawiam się, kiedy opowiedzieć ci o wszystkim, co przed tobą ukrywałam. Prędzej czy później musiało do tego dojść. Nie miałam zostać przecież anonimowym informatorem, ale zeznawać w sądowym procesie. Nie sposób byłoby tego przed tobą ukryć, prawda?

A mimo to nigdy się o tym nie dowiedziałeś.

I z pewnością zastanawiasz się teraz, jak to możliwe. Nie zeznawałam? Zrezygnowałam w ostatniej chwili?

Wszystkiego się dowiesz. Pora na to już dawno minęła, ale mam nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

Kiedy w końcu spotkałam się z Prokockim i oznajmiłam mu, że chcę pomóc w ujęciu Kajmana i jego grupy, wszystko się zmieniło. Początkowo policjant sądził, że przedstawię mu wprawdzie mocne, ale nie niepodważalne dowody. Że nie będą mogły równać się z tymi, które zgromadził mój ojciec.

Wyjawiłam mu jednak, że mam wszystko, czego potrzebował do skazania. Kopie każdego dokumentu, który rzekomo spłonął we wraku samochodu.

Nie muszę ci chyba mówić, że Prokocki był wniebowzięty. Sprawiał wrażenie, jakby zagrał w Lotto tylko po to, by pokazać

komuś, jak bzdurny jest to pomysł, a potem nagle wygrał w największej kumulacji.

Zaczęło się żmudne przygotowywanie aktu oskarżenia. Przekazałam Prokockiemu wszystkie materiały, a on razem z prokuratorami zaczął je analizować.

Wiedzieli, że trafili na żyłę złota – i to nawet bogatszą, niż się spodziewali. Materiały dotyczyły bowiem nie tylko samej organizacji Kajmana, ale także ludzi, którzy nie znajdowali się w jej szeregach, a mimo to od czasu do czasu z nią współpracowali.

Przy odrobinie szczęścia śledczy mogli rozpracować kilka szajek. W najgorszym wypadku – skazać Kajmana i jego gang, a wobec pozostałych wszcząć postępowanie.

Szybko stało się jasne, że to wiąże się z szeregiem kłopotów dla mnie. Wszyscy zrozumieliśmy, że nie minie wiele czasu, a gros osób zorientuje się, na jakiej podstawie doszło do skazania.

Gdyby chodziło tylko o środowisko Kajmana, problem byłby znacznie mniejszy. Ci ludzie trafiliby za kratki i nie mogliby mi zagrozić. A w razie czego mogłam liczyć na pomoc policji.

W takiej sytuacji jednak fala uderzeniowa była zbyt duża. Pojawiły się przypuszczenia graniczące z pewnością, że ktoś w końcu trafi na mój ślad.

W dodatku Prokocki ustalił, że szemrane typy od Kajmana pojawiły się na pogrzebie moich rodziców. I że od tamtej pory ktoś miał mnie na oku. Ciebie również. Przestępcy nie wiedzieli, czy byliśmy zaangażowani w proceder mojego ojca, ale musieli założyć najgorszą wersję.

Przez jakiś czas ciągnął się za nami ogon, ale pozory, które stwarzałam przez wzgląd na ciebie, sprawiły, że nabierali się na nie także inni. W tym śledzący nas ludzie.

W końcu odpuszczono. Według Prokockiego zagrożenie jednak wciąż istniało – i z perspektywy czasu trudno się dziwić jego ocenie. Nikt wprawdzie nie pozwoliłby sobie na upozorowanie kolejnego wypadku, byłoby to zbyt podejrzane, ale istniało przecież wiele sposobów, by mnie uciszyć. Jednym z nich było porwanie.

Ale czy do tego doszło? Nie.

Stało się coś znacznie gorszego. Do dziś nie wiem dokładnie, w jaki sposób. Niestety Prokocki także nie, co oznacza, że nawet po dziesięciu latach niebezpieczeństwo jest wciąż realne.

Dlatego tak kluczowe jest, żebyś na siebie uważał.

Musisz pozostawać w ruchu, Tygrysie.

Nie umieszczam kolejnych nagrań w innych miejscach po to, by sprawiać ci trudność. Przeciwnie, to mój sposób, by o ciebie zadbać. Najlepsza ucieczka polega na tym, byś przenosił się do miejsc, których normalnie byś nie wybrał.

Dzięki temu nikt nie wie, gdzie cię szukać.

Nikt oprócz mnie.

Kolejne nagranie jest tym ostatnim, obiecuję. Dowiesz się z niego, co się ze mną stało. Czeka na ciebie w innym miejscu i tym razem także po dwunastu godzinach zniknie. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Gdybym nie kazała ci zmieniać miejsca pobytu, nigdy byś tego nie zrobił. Szukałbyś mnie, a być może zaszyłbyś się gdzieś, gdzie twoim zdaniem byłoby bezpiecznie.

Nie byłoby, tyle mogę ci powiedzieć. Nigdzie nie jest. I nie mam wątpliwości, że ktoś podąża twoim tropem, w taki czy inny sposób.

Zaufaj mi więc ten ostatni raz i pojedź tam, gdzie nie dotarliśmy.

Kiedy nagranie dobiegło końca, trwałem w bezruchu, wstrzymując oddech. Dopiero po chwili wypuściłem ze świstem

powietrze. Niczego więcej Ewa już nie powiedziała. Brzmiało to zdecydowanie zbyt lakonicznie.

„Pojedź tam, gdzie nie dotarliśmy”?

Nie miałem pojęcia, o co mogło chodzić.

12

Tym razem musiałam uzbroić się w cierpliwość. Po wysłaniu pierwszego esemesa z kodem czekałam na Wernera na próżno. Ponowiłam próbę godzinę później, korzystając z nieobecności Roberta.

Od rana zapewniał mnie, że zrobi wszystko, co trzeba. Że już nigdy nie podniesie na mnie ręki i dobrowolnie zgłosi się na policję. Musiałam sama powstrzymywać go przed tym, by tego nie zrobił.

Ale wszystko to było jedynie teatrem.

Czy mu wierzyłam? Nie, oczywiście, że nie.

Kiedyś było inaczej, bo okoliczności różniły się od obecnych. To, co ze mną robił, postępowało stopniowo, a nie wybuchło pewnego dnia jak niespodziewany ładunek. Narastało, z roku na rok przybierając coraz groźniejszą formę.

Znaki powinnam dostrzegać od samego początku, ale byłam zaślepiona miłością.

Już od pierwszej randki wiedziałam jednak, że mam do czynienia z nadopiekuńczym facetem. Cały czas upewniał się, czy nie dolać mi wina, odsuwał mi krzesło, pytał, czy wszystko smakuje, czy nie chcę czegoś jeszcze i czy wszystko jest w porządku.

Ale na takie rzeczy nie zwraca się uwagi, bo to przecież miłe akcenty.

Potem pojawiają się jednak kolejne symptomy. Robert chodził ze mną na wszystkie spotkania ze znajomymi. I podczas nich zawsze zabiegał o to, by być w centrum uwagi. Nie, więcej, chciał kontrolować rozmowy, nadawać im ton, podsuwać tematy. Jeśli zaczynaliśmy dyskutować o czymś, co go nie interesowało, zawsze znajdował sposób, by zejść na inny, odpowiadający mu temat.

To on wybierał produkty, z którymi wychodziliśmy z supermarketów. To on podejmował decyzje, gdzie spędzimy wakacje. To on zawsze prowadził samochód, nigdy nie pozwalał mi usiąść za kółkiem.

Control freak.

Dostrzegłam, że ma obsesję na punkcie kontroli, znacznie później niż moi znajomi. Ale zazwyczaj tak to działa, kiedy uczucie robi swoje i rozmydla ogląd rzeczywistości. A ja Roberta kochałam. Nie mogę temu zaprzeczać.

Właściwie ta świadomość daje mi pewien komfort, dzięki niej mogę sama się rozgrzeszyć. W końcu miłość to narkotyk. Ale jeśli tak, to ludzie łączą się w pary dlatego, że są ćpunami.

Moje uzależnienie minęło już dawno. Fazę odstawienia też zakończyłam lata temu. Teraz po prostu odsiadywałam wyrok za to, co zrobiłam.

Ale nie miałam zamiaru tego dłużej znosić.

Po godzinie od wysłania esemesa weszłam do gabinetu. Byłam cała obolała, pokonanie każdego pojedynczego stopnia wiązało się z dużym wysiłkiem. Wiedziałam, że mimo szumnych zapowiedzi Roberta monitoring w domu jest włączony, a jeden z pracowników na zewnątrz cały czas ma na mnie oko.

Mój mąż pilnował, czy aby na pewno nie mam zamiaru na niego donieść.

Nie planowałam tego. Zamierzałam zrobić coś znacznie bardziej dotkliwego.

Wchodząc po schodach, posłałam pracownikowi krzątającemu się na zewnątrz odpowiednio długie spojrzenie. To jego obecność miałam zamiar wykorzystać jako powód, dla którego znikłam w gabinecie.

Powiem Robertowi, że przyglądał mi się zbyt uważnie. I bałam się, że zobaczy ślady po biciu. Oprócz tego czułam wyraźny dyskomfort, chciałam zostać sama.

Każdego innego dnia z pewnością to by nie wystarczyło. Po wczorajszym okładaniu jednak katalog moich praw znacznie się rozszerzył. Przynajmniej na pewien czas.

Wysłałam kolejny kod i włączyłam RIC. Czekałam, zastanawiając się, dlaczego Wern się nie pojawia. Najprostsze wytłumaczenie było takie, że nie miał dostępu do internetu. Równie dobrze jednak mogło okazać się, że dopadli go ludzie, którym wcześniej się wymknął.

Po chwili pomyślałam jeszcze o innej opcji, być może jeszcze bardziej niepokojącej. Damian mógł uznać, że nie warto mi pomagać. Mogłam go spłoszyć, prosząc o wsparcie.

Może dokonał chłodnej kalkulacji i stwierdził, że na tej transakcji więcej straci, niż zyska.

W końcu jednak się pojawił, a ja odetchnęłam.

Rozmawialiśmy przez moment o rzeczach zupełnie nieistotnych, jakbyśmy oboje potrzebowali tego, by się rozkręcić. Zauważyłam, że jest to już pewna tradycja. Może szukaliśmy dystansu wobec tego, co naprawdę ważne?

W pewnym momencie Damian na dłużej zamilkł.

[Kas] Żyjesz?
[Werner] Głównie udaję. Ale grunt to utrzymywać dobre pozory.

Przyznałam mu w duchu rację. Nawet nie wiedział, jak bardzo trafił w sedno.

[Werner] Tyle że przed kimś muszę w końcu z nich zrezygnować.
[Kas] Co masz na myśli?

Znów chwila milczenia.

[Werner] Jest parę rzeczy, o których chciałbym ci powiedzieć.
[Kas] Śmiało.

Zaczął powoli i niepewnie, linijka po linijce. Relacjonował mi wszystko, co go spotkało w ostatnim czasie, tym razem niczego nie pomijając. Na początku byłam zaskoczona, potem coraz mniej. Stopniowo pozwalał mi zrozumieć, dlaczego w końcu podjął decyzję, by mi o wszystkim powiedzieć.

[Werner] Jak widzisz, mam problem.
[Kas] Nawet niejeden.
[Werner] W dodatku przed momentem dzwoniłem do tego barmana z Wrocławia.

Zawiesiłam wzrok na ekranie, namyślając się.

[Werner] Do tego, którego nie zastałem w Guinnessie. Tego, któremu ktoś zostawił pendrive'a.
[Kas] Tak, domyśliłam się. Nie odebrał?
[Werner] Odebrał.
[Kas] Więc czemu to kolejny problem?
[Werner] Bo opisał mi klienta, który zostawił mu tego pająka. I rysopis pasował do mężczyzny, którego spotkałem w muzeum. Też miał wyraźną bliznę pod okiem. Ewa musi naprawdę mu ufać.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

[Kas] To zazdrość?

[Werner] Raczej niepokój, bo najwyraźniej nie miała dużego pola manewru w doborze współpracowników. Ten nie sprawia wrażenia kogoś, na kim można polegać.
[Kas] Ale swoją obecnością potwierdza, że Ewa żyje.
[Werner] Tak sądzisz?
[Kas] Oczywiście. Masz rację, zakładając, że musieli być ze sobą blisko. Inaczej nigdy by mu nie zaufała do tego stopnia. Gdyby nie żyła, ten człowiek by o tym wiedział. I nie kontynuowałby swojej… misji.
[Werner] Może masz rację.
[Kas] Na pewno mam.

Zabębniłam palcami o blat biurka, odrywając na moment dłonie od klawiatury. Zastanawiałam się, czy to dobry moment, by ostatecznie rozwiać pewne wątpliwości. W końcu uznałam, że tak.

[Kas] Dlaczego akurat mnie o tym wszystkim mówisz? Szczególnie po tym, jak J. Falkow kazał ci nie ufać nikomu?
[Werner] Bo jesteś poza kręgiem podejrzeń.
[Kas] Dzięki.
[Werner] Zasadniczo to nie komplement, tylko stwierdzenie faktu. Wszyscy inni, których znam, są w jakiś sposób związani z Ewą, miastem czy choćby regionem. A nie wiedząc, kto jest moim przeciwnikiem, nie mogę wiedzieć, kogo się wystrzegać. Oprócz ciebie.
[Kas] To jednak jakieś wotum zaufania.
[Werner] Może. Tak czy inaczej, potrzebuję twojej pomocy, a ty mojej.
Mimo że był dość wylewny, odniosłam wrażenie, że nie mówi mi całej prawdy.

[Werner] Ale najpierw muszę ustalić, o jakie miejsce chodzi w nagraniu.
[Kas] Jak ona to określiła? Tam, gdzie nie dotarliśmy?
[Werner] Mhm.
[Kas] I nie masz najmniejszego pojęcia, co to mogłoby znaczyć?
[Werner] Nie.
[Kas] Ale zdajesz sobie sprawę, że zapewne chodzi o coś najbardziej oczywistego? Coś, co powinno od razu przyjść ci do głowy?
[Werner] Nie pomagasz. Czuję presję.
[Kas] Zastanów się.

[Werner] Zastanawiam się nieustannie.
[Kas] Więc może to jednak złe podejście. Spróbuj podejść do tego bezrefleksyjnie.
[Werner] O, w tym jestem mistrzem. To może pomóc.

Najwyraźniej jednak nie pomagało, bo Damian zamilkł. Wbijałam wzrok w migający kursor i zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie dobry moment, by urządzić małą burzę mózgów.

[Kas] Zepsuł się wam kiedyś samochód po drodze na wakacje? Albo coś w tym stylu?
[Werner] Nie.
[Kas] Może nie weszliście na jakiś szczyt, bo nagle rozpętała się burza?
[Werner] Też nie.
[Kas] Więc może chodzi o jakąś metaforę?

Znów przez chwilę nie odpisywał. Potem pojawiła się krótka informacja, która sprawiła, że się uśmiechnęłam.

[Werner] Chyba wiem, co miała na myśli.
[Kas] Brawo. O co chodzi?
[Werner] O jedynego hopla Ewy, który mógł choćby zbliżyć się do mojego pierdolca względem Spider-Mana.
[Kas] Nie bardzo rozumiem.
[Werner] Fascynowały ją początki osadnictwa na ziemiach polskich.
[Kas] Naprawdę?
[Werner] Każdy ma jakieś skrzywienie. To akurat było dość pociągające.
[Kas] Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być, ale w porządku. I co w związku z tym?
[Werner] Kiedy byliśmy w Jarocinie, Ewa naciskała, żebyśmy skorzystali z okazji i podjechali do Biskupina.
[Kas] To chyba niezbyt blisko.
[Werner] Jeśli przyjechałabyś do Wielkopolski z Opola, to jednak dość blisko. I tak mieliśmy już kawał drogi za sobą, a w Biskupinie jest cały ten archeologiczny bajzel. Jakaś prehistoryczna osada, wioska wczesnopiastowska, chaty, mosty, mury obronne… A w sezonie robią tam rekonstrukcje.
[Kas] Więc chciała jechać, ale nie daliście się z Blickim namówić.
[Werner] Za nic w świecie. Obiecałem jej jednak, że kiedyś się tam wybierzemy.
[Kas] Tyle że nigdy tam nie dotarliście.

[Werner] Zgadza się.

Pokiwałam głową i machinalnie sięgnęłam po kieliszek prosecco. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że jestem kompletnie nieprzygotowana. Po raz pierwszy od długiego czasu – właściwie od kiedy pamiętałam – wyleciało mi z głowy, by nalać sobie ulubionego wina.

Ta myśl raczej nie powinna mnie zmartwić, ale podziałała na mnie przygnębiająco. Uświadamiała mi bowiem, jak naturalne stało się dla mnie picie.

Kiedy ostatnim razem byłam trzeźwa?

Nie, nie było sensu się nad tym zastanawiać. Nie w mojej sytuacji. Potrzebowałam każdego narzędzia, które pomogłoby mi przetrwać. Jeszcze przez jakiś czas, zanim z pomocą Wernera wyrwę się z tego piekła.

[Kas] W takim razie wiesz, gdzie musisz się skierować po ostatnie nagranie.
[Werner] Wiem.
[Kas] Daleko masz?
[Werner] Nie wiem.

Szybko otworzyłam Mapy Google i wpisałam trasę. Gdyby Damian miał na podorędziu samochód i nieco się pospieszył, zapewne byłby na miejscu w półtorej godziny. W linii prostej od Biskupina dzieliło go niecałe sto kilometrów. Z pociągami mogło być jednak różnie.

[Werner] Wiem za to, że kiedy tam dotrę, będę miał wszystkie odpowiedzi.
[Kas] Jesteś tego pewien?
[Werner] Absolutnie. Obiecała mi to.

Znów skinęłam głową, jakby mógł to zobaczyć.

[Werner] A wtedy będę potrzebował twojej pomocy.
[Kas] Ach.
[Werner] Co to miało znaczyć?
[Kas] Że teraz rozumiem, dlaczego mi o wszystkim powiedziałeś. Bezinteresowności było w tym tyle, ile słodyczy w papryczkach jalapeño.
[Werner] Hmm…
[Kas] Teraz ty idziesz w enigmatyczność?
[Werner] Możesz wierzyć mi na słowo, że się uśmiecham.
[Kas] W takim razie nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś użył emotki, zamiast mi o tym pisać.
[Werner] No, nie wiem. W jakiś sposób wydaje się to tutaj niewłaściwe. Przez ten czarny ekran i migający kursor mam wrażenie, jakbyśmy korzystali z jakiegoś komunikatora tekstowego. Albo z pozbawionego skryptu BitchX.
[Kas] Nie wiem, o czym mowa.
[Werner] Mniejsza z tym. Wróćmy do tego, że ostatnim razem, jak sprawdzałem, umówiliśmy się na handel wymienny.
[Kas] Tak było.

Uznałam, że najwyższa pora przejść do rzeczy. Jeśli Damian miał mi pomóc, musiałam działać.

[Werner] O bezinteresowności nie może być więc mowy. Coś za coś.
[Kas] Byle nie oko za oko.
[Werner] Byle nie.
[Kas] Zabierajmy się więc do roboty, Wern. Masz jakiś bank w okolicy?
[Werner] W Witaszycach? Chyba żartujesz.

Szybko sprawdziłam, czy rzeczywiście nie było tam żadnej placówki. Okazało się, że jedyną jest oddział Banku Spółdzielczego. Niespecjalnie mi to odpowiadało.

[Kas] W takim razie pojedź do Jarocina. Tam masz kilka miejsc do wyboru. Założysz konto, a potem przyślesz mi wszystkie dane.
[Werner] Dane do czego?
[Kas] Do przelewu, rzecz jasna.

Nie odpisywał, a ja pomyślałam, że czego jak czego, ale pieniędzy się nie spodziewał. Z mojej perspektywy wydatek finansowy nie wiązał się tak naprawdę z żadnym kosztem. Ponosiłam znacznie większe, zupełnie innego rodzaju.

[Kas] Zrobimy kilka przelewów. Za jeden z nich kupisz samochód w komisie, a po tym, jak zdobędziesz ostatnie nagranie, przyjedziesz na Pomorze.
[Werner] Po ciebie?
[Kas] Po mnie i po mojego syna.

Znów przez kilka chwil nie miałam żadnej odpowiedzi. Potem Damian napisał, że chyba muszę powiedzieć mu nieco więcej. I tak też zrobiłam.

13

Założenie konta nie trwało długo, ale przypuszczałem, że na razie na niewiele mi się zda, skoro i tak musiałem czekać na kartę do bankomatu. Według Kasandry kluczowe jednak było, żebym otworzył je teraz, będąc jeszcze w Jarocinie. Dzięki temu miałem zmylić trop.

Czy ktoś w istocie mnie ścigał? Przypuszczałem, że tak. Jeśli nie policja, to z pewnością ludzie, o których spodziewałem się usłyszeć nieco więcej w następnym nagraniu Ewy.

Koniec końców zrobiłem tak, jak poleciła mi Kas, a potem udałem się do Biskupina. Wiedziałem, że kolejny pendrive w kształcie pająka czeka na mnie w muzeum, ale trudno było wytypować konkretne miejsce, w którym Ewa go ukryła.

Musiała wybrać takie, o którym najłatwiej będzie mi pomyśleć. Problem polegał na tym, że nigdy tu nie dotarliśmy, a ja

niespecjalnie orientowałem się, co mogłoby zainteresować ją najbardziej.

Minąłem drewniane ogrodzenie i rozglądając się, wszedłem na teren Muzeum Archeologicznego. W oddali zobaczyłem grupę młodych ludzi z przewodnikiem, po prawej znajdował się spłachetek pokrytej trawą ziemi, oznaczony wymowną tabliczką „Bagno".

Może tam powinienem rozpocząć poszukiwania. Byłoby to adekwatną analogią do sytuacji, w której się znajdowałem.

Ruszyłem dalej po wyłożonej deskami ścieżce. Kręciłem się przez jakiś czas po muzeum, szukając czegokolwiek, co wyzwoliłoby jakieś skojarzenie. Zwiedziłem wioskę wczesnopiastowską, przypuszczając, że to właśnie ten okres historyczny z jakichś przyczyn najbardziej zaciekawiłby Ewę.

Potem wszedłem do pawilonu muzealnego. Gdybyśmy przyjechali tutaj po festiwalu w Jarocinie, zapewne na tym etapie cierpiałbym już niewyobrażalne męki. Nie byłem typem zwiedzacza muzeów. O ile ktokolwiek może nim być.

Właściwie zainteresowały mnie tylko szkielety zwierząt – naczynia, ozdoby i narzędzia nie przykuwały mojej uwagi nawet w minimalnym stopniu. Powoli traciłem nadzieję, kiedy dostrzegłem pracownika muzeum. Uznałem, że nie zaszkodzi zasięgnąć języka.

Chłopak był nieco zdziwiony, kiedy zadałem mu moje pytanie.

– Szuka pan czegoś… związanego z pająkami?

– Mhm – potwierdziłem. – Choćby luźno.

– W jakim sensie?

– Nie wiem.

Popatrzył na mnie jak na idiotę. I właściwie było to całkowicie uzasadnione.

– Może być też pajęczyna albo… – Urwałem i pokręciłem głową. – Nie macie tu niczego takiego?

– Związanego z pająkami?

– Już raz się pan upewniał.

– Tylko że…

– Nieważne – uciąłem i machnąłem ręką.

Skierowałem się w stronę kolejnych eksponatów, choć sądziłem, że miniaturowa replika osady z czasów łużyckich niespecjalnie mi się przyda. Dopiero po chwili zorientowałem się, że pracownik wodzi za mną wzrokiem.

Oprócz wyraźnego poczucia, że spotkał kretyna, w jego spojrzeniu było jednak coś więcej.

– Dlaczego pan o to pyta? – zagaił, podchodząc do mnie.

– Bo coś tu dla mnie zostawiono.

– Pendrive'a w kształcie pająka?

Drgnąłem nerwowo. A zatem Ewa zostawiła tu dla mnie USB. Poczułem nieprzyjemne ciarki na plecach, kiedy uświadomiłem sobie, że ktoś znalazł dysk i zabrał go z miejsca, w którym miał na mnie czekać.

Posłałem chłopakowi długie spojrzenie.

– Tak, chodzi o pendrive'a – potwierdziłem. – Znaleźli go może państwo?

Potaknął, a potem wskazał na jedną z makiet. Nie mogłem z tej odległości dostrzec, co napisano przy gablocie, ale przypuszczałem, że i tak nic by mi to nie powiedziało. Choć powinno. Najwyraźniej Ewa próbowała nakierować mnie właśnie na tę miniaturę.

– Znaleźliśmy to w czasowej wystawie o…

– Mniejsza o szczegóły – uciąłem, wychodząc z założenia, że Ewa miała przesadzone zaufanie do mojej pamięci.

Nie wiedziałem nawet, jaka tematyka interesowała ją najbardziej. Prawdopodobnie kiedyś mi o tym mówiła, ale nie przykładałem do tego wielkiej wagi. Niewielu pewnie znalazłoby się takich, którzy mogliby w podobnej sytuacji powiedzieć co innego.

– Macie to USB? – rzuciłem.

– Tak, jest w kasie. Myśleliśmy, że ktoś je zgubił i…

– Dziękuję – uciąłem, a potem odwróciłem się i ruszyłem w stronę wyjścia.

Czułem na sobie zdezorientowany wzrok chłopaka, ale nie byłem świadomy, że powodem jego zmieszania było coś innego.

– Ktoś już o nie pytał – odezwał się.

Zatrzymałem się w półkroku.

– Co takiego?

– Jakiś facet koło trzydziestki. Chudy, wysoki i…

– Miał bliznę?

Chłopak pokiwał głową, marszcząc czoło.

– Pod lewym okiem – powiedział.

Poczułem się, jakbym szedł ciemną uliczką w opuszczonym mieście i nagle dostrzegł kogoś kątem oka. Im dłużej myślałem o tym, że posłaniec Ewy był tu przede mną, tym większy niepokój mnie ogarniał.

– Kiedy tu był? – zapytałem.

– Dziś rano.

Rozejrzałem się, jakby istniała szansa, że jeszcze gdzieś go zobaczę.

– Zadał to samo pytanie co pan, ale kiedy powiedziałem mu, że USB czeka w kasie, po prostu odszedł.

Zamrugałem nerwowo oczami.

– Nie, moment – dodał pracownik muzeum. – Chciał jeszcze wiedzieć, czy ktoś inny nie pytał o pendrive'a.

Podrapałem się po głowie w zamyśleniu. Może nie miałem się czym przejmować – mężczyzna z blizną pojawił się tutaj, by sprawdzić, czy trafiłem już na odpowiedni trop. Chciał się jedynie upewnić, że wszystko idzie po myśli Ewy.

A przynajmniej taką miałem nadzieję.

Podziękowałem chłopakowi, po czym szybkim krokiem skierowałem się do kasy. Odebrałem USB bez problemu, przepraszając za kłopot. Przez chwilę dwie miłe kasjerki zapewniały mnie, że to żaden problem i każdemu zdarza się czegoś zapomnieć.

– Gdzie w okolicy znajdę jakiś hotel? – zapytałem.

– Hotel, hotel… – zamyśliła się jedna z nich.

– Może być jakiekolwiek miejsce na nocleg.

– Ach. To najbliżej będzie w Przystani Biskupińskiej, ale nie wiem, czy tam przypadkiem nie wynajmują tylko grupom.

– Mają pokoje jednoosobowe – zauważyła druga z pracownic.

– To może pan spróbować. A jakby nie było możliwości, to w Przystani Weneckiej na pewno się będzie dało.

Jeszcze raz podziękowałem, a potem opuściłem teren muzeum. Pendrive'a trzymałem w kieszeni, zaciskając go w pocącej się dłoni. Miałem w ręce rozwiązanie wszystkich spraw, które nie dawały mi spokoju. Dosłownie.

Wystarczyło tylko podpiąć urządzenie do laptopa i posłuchać, co Ewa ma mi do powiedzenia. Zrobiłbym to od razu, choćby siedząc pod palisadą muzeum, ale wyeksploatowana bateria starego asusa pozwalała tylko na chwilę pracy.

Dojście do Przystani Biskupińskiej zajęło mi nieco ponad kwadrans. Na miejscu okazało się, że nie będzie problemu z noclegiem. Za jedną noc ze śniadaniem miałem zapłacić pięć dych. Byłem w stanie to przełknąć, szczególnie że po uaktywnieniu konta Kasandra miała zrobić pokaźny przelew.

Nie wiedziałem, na ile przedstawiona przez nią wersja jest zgodna z prawdą. Po wszystkim, co na jej temat powiedzieli mi Blitzer i Kliza, spodziewałem się raczej, że w małżeństwie Reimannów to ona jest górą.

Najwyraźniej jednak było inaczej. Pod płaszczykiem sukcesów i bogactwa tych dwoje skrywało patologię, która już dawno powinna wyjść na jaw. O ile oczywiście Kas mówiła prawdę.

Tak czy inaczej, nie miałem wyjścia. Jeśli chciałem, by Kasandra pomogła mi finansowo, kiedy znajdę Ewę, musiałem najpierw pomóc jej. I zamierzałem to zrobić, jak tylko dowiem się, gdzie szukać mojej narzeczonej.

Zamknąłem się w pokoju, podłączyłem laptopa do prądu i usiadłem na łóżku. Kiedy system w końcu się włączył, sprawdziłem dla porządku wi-fi. Sieć działała bez zarzutu, a ja odetchnąłem. Potrzebowałem dostępu, by wieczorem uzgodnić z Kasandrą szczegóły.

Tymczasem jednak mogłem w końcu zająć się tym, co było najważniejsze.

Zanim wyłączyłem przeglądarkę, dostrzegłem jednak, że odświeżyła się strona główna NSI. Ściągnąłem brwi, bo wydawało mi się, że gdzieś wśród najnowszych newsów przewinęła mi się nazwa mojego miasta rodzinnego.

I rzeczywiście tak było.

Artykuł nie mieścił się w głównym segmencie, ale w jednym z bocznych, w których wyświetlano najświeższe doniesienia z lokalnych oddziałów NSI. Ten zatytułowany był *Nowe fakty w sprawie zabójstwa w Opolu*.

Spojrzałem na pendrive'a, a potem na ekran. Przez moment się zastanawiałem, a potem wbrew samemu sobie kliknąłem w link. Zgodnie z moimi przypuszczeniami chodziło o Blitza.

NSI donosił, że zidentyfikowano osobę, która prawdopodobnie odpowiada za zabójstwo. Policja prowadzi poszukiwania, ale dochodzeniowcy przypuszczają, że podejrzany opuścił już miasto.

Poniżej zamieszczono zdjęcie.

Moje zdjęcie.

Podane były wszystkie istotne dane, sporządzono oględny rysopis i zaznaczono, że jestem poszukiwany za zabójstwo. Wlepiałem wzrok w monitor z niedowierzaniem. Z jakiegoś powodu sądziłem, że ktokolwiek za to wszystko odpowiada, nie posunie się tak daleko.

Zaschło mi w gardle, kiedy zrozumiałem, że ci ludzie muszą być naprawdę zdesperowani. A to oznaczało, że zbliżyłem się do rozwiązania sprawy. Znacznie bardziej, niż mógłbym spodziewać się tego jeszcze kilka dni temu.

Zerknąłem na pendrive'a i opadł mnie blady strach. Nie dlatego, że rozpoczęło się polowanie na mnie w całym kraju. I nie ze względu na to, że mogłem trafić do więzienia. Powód był inny. Obawiałem się, że nie zdążę poznać historii mojej zaginionej narzeczonej.

Ktoś w każdej chwili mógł poinformować organy ścigania, gdzie jestem.

Widziało mnie sporo ludzi. Na szczęście w wielu różnych miejscach, co z pewnością zmyli trop. Ewa o to zadbała, przeganiając mnie z jednego miasta do drugiego.

Problem sprowadzał się do pracowników tutejszego muzeum. Chłopak w pawilonie być może zbyt dokładnie mi się nie przyjrzał, ale dwie uprzejme kobiety w kasie biletowej z pewnością mnie zapamiętały.

Nie opuszczało mnie poczucie bezpośredniego, bliskiego zagrożenia. Zupełnie jakby śledczy nie tylko wpadli już na mój

trop, ale czekali na korytarzu. Serce waliło mi jak młotem i potrzebowałem chwili, by się uspokoić.

W końcu opanowałem drżenie rąk. Przez moment zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Chciałem już sprawdzić nagranie, właściwie niczego nie pragnąłem w tej chwili bardziej. Może jednak rozsądniej było czym prędzej się stąd zabierać? Zatrzeć ślad, póki jeszcze mogłem to zrobić?

Pewnie tak.

Ale od dawna nie kierowałem się tym, co rozsądne. Wpiąłem więc USB w kształcie pająka do portu w laptopie, a potem podsunąłem się do wezgłowia. Wbijając wzrok w trzymany na kolanach komputer, przesunąłem palcem po touchpadzie.

Plik nazywał się *Lody w upalny dzień*. Kliknąłem w niego dwa razy, myśląc o tym, że niewinna nazwa z jakiegoś powodu wzbudza we mnie niepokój. Nabrałem głęboko tchu i się wyprostowałem.

Byłem gotowy, by poznać historię, która czekała na mnie przez dziesięć lat. Historię Ewy.

Lody w upalny dzień

Dzień, w którym dałam się przekonać, by zeznawać przeciwko Kajmanowi i jego organizacji, nie był najgorszym w moim życiu. Ale z pewnością jednym z nich. Popełniłam ogromny błąd, a na swoje usprawiedliwienie mam jedynie to, że towarzyszyło mi głębokie przekonanie, że wypełniam wolę ojca.

Nie, to zupełnie nie tak, Tygrysie.

Chcę myśleć, że o to chodziło, ale rzecz sprowadzała się do czegoś całkowicie innego. Kierowała mną czysta chęć zemsty. Chciałam pomścić rodziców, a jedyny sposób, w jaki mogłam to osiągnąć,

polegał na przekazaniu wszystkich materiałów policji i zajęciu miejsca dla świadków w sali sądowej.

Zgodziłam się na to i zaczęłam zeznawać, jeszcze zanim wszyscy zrozumieliśmy, jak daleko ta sprawa może zajść. Z każdym kolejnym odkrywanym dowodem okazywało się, że krąg osób zamieszanych w działalność Kajmana jest coraz szerszy.

Ale nie to stanowiło główny problem. Ten polegał na tym, że części tych ludzi śledczy nie potrafili zidentyfikować. Przewijali się w nagrywanych rozmowach, figurowali jako wydmuszki w dokumentach, ale prowadzące do nich tropy były tak mętne, że pozostawali na wolności nawet po tym, jak zaczęto rozbijać gang.

Mój pozornie prosty plan odegrania się na Kajmanie zaczynał się komplikować. Wręcz obracać przeciwko mnie.

Wiesz, że zemsta jest słodka, prawda? I że jest to danie, które najlepiej smakuje na zimno? Oczywiście, że wiesz. Nie trzeba czytać Maria Puzo ani oglądać Ojca chrzestnego*, by znać to określenie. Ostatecznie to nic innego jak opis lodów, prawda? I to wyjątkowo adekwatny, szczególnie kiedy jemy je w gorący, letni dzień.*

Początkowo przynoszą wytchnienie, wprowadzają w niemal euforyczny stan. Koniec końców jednak nie dość, że tuczą i są niespecjalnie zdrowe, to jeszcze niszczą szkliwo. Próchnica mojego życia rozpoczęła się o wiele wcześniej, ale to właśnie ta ostatnia porcja lodów była decydująca.

W procesie sąd z urzędu przydzielił mi status świadka incognito. Każdy z uczestników postępowania wiedział, że jeśli moje dane wyciekną, poniosę dotkliwe konsekwencje. I nie tylko ja – ty także byłeś zagrożony.

Być może nawet bardziej ode mnie, bo to właśnie ciebie zaatakowaliby ludzie Kajmana, by wymusić na mnie wycofanie się

ze składania zeznań. Ale nikt nigdy do ciebie nie dotarł, zadbałam o to.

Nie oznacza to, że członkowie gangu mnie nie szukali. Wręcz przeciwnie. Im dłużej trwał proces, im więcej osób zatrzymywano, tym bardziej zwiększano wysiłki, by zidentyfikować anonimowego świadka, który pogrążał całą ekipę.

Były to jeszcze czasy, kiedy przestępcom opłacało się iść na koronnego. W tej chwili dochodzi do tego rzadko, bo zorientowali się, jak bardzo jest to dla nich problematyczne. Muszą zmienić całe swoje życie, a w zamian dostają od państwa ochłapy. Nie relokuje się ich do ekskluzywnych willi, nie zapewnia wystawnego życia. Przeciwnie, najczęściej mogą liczyć jedynie na namiastkę tego, które znali.

Powinno gwarantować się im lepsze warunki, by zachęcić do wsypywania innych przestępców, ale państwu najwyraźniej szkoda na to pieniędzy. I wszyscy na tym cierpimy.

Zmierzam do tego, że oni i tak mogą liczyć na całkiem sporo – przynajmniej w porównaniu do osób takich jak ja, świadków incognito. Kiedy zeznawałam, nie przysługiwała mi ani specjalna ochrona, ani żadna gwarancja, że w razie czego policja się mną zajmie.

Zmienili to parę lat temu, w dwa tysiące piętnastym roku. Weszła wtedy ustawa, dzięki której teraz świadek pod ochroną może liczyć nawet na dwudziestoczterogodzinną obecność policjanta, ale nie tylko. Państwo oferuje zmianę miejsca pobytu, a nawet pomoc finansową na zaspokajanie podstawowych potrzeb życiowych i mieszkaniowych. Nie są to kokosy, ale coraz więcej zagrożonych osób decyduje się na skorzystanie z takiej możliwości.

Ja jej nie miałam, przynajmniej nie w takim zakresie.

Szybko stało się jasne, że ludzie Kajmana w końcu mnie dopadną. Ustalili, że nie pojawił się żaden świadek koronny z ich środowiska, pozostało im więc sprawdzenie wszystkich tych ludzi z zewnątrz, z którymi organizacja przez lata współpracowała.

Trafiono w końcu na mój trop. Było to już pod koniec procesu, o którym nie miałeś pojęcia. I który położył się cieniem na całym naszym życiu.

Kiedy na mnie trafili, nie mieli zamiaru długo zwlekać.

Tych kilku facetów z Highlandera przyjechało z Dolnego Śląska, Kajman musiał uznać, że tak będzie najlepiej. Byli w Opolu po raz pierwszy i mieli już nigdy tu nie wracać.

Gdyby ci ludzie wiedzieli, jak wiele wniosłam do sprawy i jak bardzo policji na mnie zależy, być może zastanowiliby się dwa razy, zanim zaatakowali nas przed Lożą Szyderców. Nie zdawali sobie jednak sprawy z tego, jak cenna jestem dla organów ścigania. Nie byli świadomi, ile tak naprawdę wiem.

Przypuszczali jedynie, że to ja sypię. I w takiej sytuacji najlepszym rozwiązaniem wydawało im się to, by porządnie mnie zastraszyć. Raz a dobrze pokazać, kto tu rządzi. Kto jest górą, a kto nic nieznaczącym pionkiem w grze wielkich graczy.

Jak lepiej upodlić kobietę niż poprzez gwałt na oczach narzeczonego? Być może zadawali sobie to pytanie, śmiejąc się przy piwie i obserwując nas. Wyobrażam sobie, że ich zwyrodniałe umysły ożywiły się, kiedy zrozumieli, że trafili akurat na dzień, kiedy postanowiłeś się oświadczyć.

Gwałt i pobicie miały być ostrzeżeniami.

Ale stały się czymś więcej. Przedefiniowały nasze życie, uczyniły z nas dwójkę zupełnie innych ludzi.

Nawet po tych wszystkich latach obrazy znad Młynówki czasem do mnie wracają. Staram się przykrywać je w pamięci, czym tylko

mogę. Próbowałam wielu leków, ale ostatecznie potwierdziłam, że najlepiej sprawdzają się te, na które nie dostaniesz recepty.

Wiem, że to jak ucieczka z płonącego budynku prosto do lodowatej wody, z której już nie wyjdziesz, ale wciąż to jakiś ratunek. Nawet jeśli sprawia, że tylko odwlekam nieuniknione.

Gwałcili mnie bez końca, przynajmniej takie miałam wrażenie. Na początku towarzyszył mi niewyobrażalny ból, choć nie był chyba spowodowany tym, co działo się z moim ciałem. Chodziło o coś więcej. O mnie. Zniszczyli całą mnie w okamgnieniu.

Nie chcę o tym mówić, a ty nie powinieneś chcieć o tym słuchać. Nie mam wątpliwości, że obracałeś to wszystko w głowie przez ostatnią dekadę.

Zresztą byłeś tam, widziałeś, co się działo. Osoba, którą wtedy byłeś, została przez nich zniszczona już w pierwszych chwilach.

Widziałam, jak o mnie walczyłeś, jak ze wszystkich sił starałeś się ich powstrzymać. I nie wiem, czy bardziej bolesna była świadomość tego, co ze mną robią, czy tego, że nie możesz w żaden sposób mi pomóc.

W pewnym momencie straciłeś przytomność. Ja poniekąd także. Oczy miałam wprawdzie otwarte, patrzyłam na nocne niebo, ale nie znajdowałam się już w swoim ciele. Uderzali w nie jak w pustą kukłę, sapiąc przy tym głośno, ściskając piersi, pośladki, a potem zaciskając dłonie na mojej szyi.

Ten, który zaczął, na koniec wrócił. Kiedy znów się we mnie wdzierał, niczego już nie czułam. Miałam wrażenie, że nie przypominam już człowieka, ale zwłoki.

Po tym, jak skończyli, ostrzegli mnie, żebym więcej nie wspominała ani o Kajmanie, ani o jego organizacji. Mieli się zjawić ponownie, gdybym miała wątpliwości, czy powinnam zrobić, jak mówią.

Dodali coś jeszcze, ale nie mogłam skupić się na tyle, by usłyszeć co. Zapewne były to kolejne żałosne groźby.

We mnie tymczasem powoli zaczynały narastać moje własne. Pod ich adresem.

Jeszcze nie do końca sobie to uświadamiałam, ale z perspektywy czasu wiem, że to wtedy podjęłam decyzję. Miałam zamiar zrobić wszystko, by poszli siedzieć.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim naciągnęłam spodnie, a potem przyczołgałam się do ciebie. Próbowałam cię obudzić, ale nie odzyskiwałeś przytomności. Sprawdziłam puls i odetchnęłam, po czym sięgnęłam po telefon.

Chciałam zadzwonić po karetkę, ale się zawahałam.

W okamgnieniu zrozumiałam, że jeśli postąpię tak jak każdy inny w tej sytuacji, wszystko potoczy się wedle powszechnie znanego scenariusza. Policja będzie starała się zapewnić mi bezpieczeństwo, gwałciciele zostaną w końcu ujęci i skazani, a my do końca życia będziemy tkwić w poczuciu, że ktoś w każdej chwili może nas zaatakować.

Nie mogłam na to pozwolić. Nie zasługiwałeś na to.

Zamiast na pogotowie zadzwoniłam do Prokockiego. Kiedy powiedziałam mu, co się stało, chciał natychmiast przysłać chyba wszystkie służby w okolicy. Powstrzymałam go w porę.

Co więcej, przekonałam go, że musimy skorzystać z tej okazji. Była idealna, by stworzyć zupełnie nowy scenariusz. Taki, który pozwalał skończyć to wszystko raz na zawsze.

Postanowiłam zniknąć. Z pomocą policji rozpocząć nowe życie, przyjmując nową tożsamość i pozorując swoje własne zaginięcie. Tylko to mogło sprawić, że ludzie Kajmana zostawią mnie w spokoju. Mnie i ciebie.

Nie zamierzałam spędzać w ukryciu dziesięciu lat. Przeciwnie, byłam przekonana, że to rozwiązanie najwyżej na kilkanaście miesięcy. Wiedziałam, że sprawię ci ogromny ból, ale nie było innego wyjścia.

Kierowało mną coś jeszcze, Tygrysie. Coś, do czego długo nie chciałam się przed sobą przyznać.

Powiedziałabym, że czułam wstyd, ale byłoby to niedopowiedzenie. Towarzyszyło mi poczucie upodlenia, zbrukania… właściwie trudno znaleźć odpowiednie słowo, które oddawałoby to, jak czułam się w swoim ciele.

Najchętniej zdarłabym je z siebie. Dokonała jakiegoś rodzaju oczyszczenia duszy, a potem rozpoczęła nowe życie w ciele zupełnie innym. Zohydzili mi samą siebie, sprawili, że nie było dla mnie na świecie nic równie obrzydliwego jak moje odbicie w lustrze.

Wiedziałam jednak, że to minie. A jeśli nie, to przynajmniej stanie się czymś, co potrafię wytrzymać.

W pierwszych chwilach nie mogłam jednak znieść myśli, że mógłbyś na mnie spojrzeć. Nie sposób tego wytłumaczyć, a zapewne także nie sposób zrozumieć, jeśli samemu się tego nie przeżyło. I dlatego nikt nigdy nie powinien przez to przechodzić.

Sądziłam, że te kilkanaście miesięcy rozłąki uratuje nasz związek. Że dzięki temu, kiedy ponownie się spotkamy, zaczniemy budować nasze życie na nowo, zamiast przyglądać się jego stopniowemu rozkładowi.

To przekonanie było złudne, ale tylko utwierdzało mnie w tym, co zamierzałam zrobić. Kierowała mną chęć zapewnienia nam bezpieczeństwa. I wymierzenia zemsty.

Teraz już nie tylko za moich rodziców, ale także za mnie.

Musiałam mieć pewność, że ci ludzie poniosą najbardziej dotkliwe konsekwencje.

Przedstawiłam swój plan Prokockiemu, kiedy dotarł na miejsce. Nie wezwał pogotowia ani posiłków, wiedział doskonale, jak wiele jest na szali. Wsadzając Kajmana i jego ludzi do więzienia, rozbijaliśmy nie tylko cały gang, ale ratowaliśmy życie wielu osobom.

To nie był najgorszy dzień w moim życiu, ale najbardziej upalny. A lody, które dostałam na ochłodę, dały mi jedynie chwilowe wytchnienie. Potem zaczęły się schody.

Dlaczego nie wróciłam po kilkunastu miesiącach?

Jeśli sprawdziłeś, co stało się z Kajmanem, zapewne wiesz, że został skazany. Odsiaduje teraz wyrok w Strzelcach Opolskich, razem z większością swoich ludzi. Niestety nie ze wszystkimi.

Prokocki przygotował dla mnie nowe życie, zupełnie jakbym była świadkiem koronnym. Nie jestem pewna, jak formalnie to załatwił, ale o całej sprawie wiedziało tylko parę osób. Mogłam je policzyć na palcach jednej ręki.

Przypuszczam, że ministerstwo na to przystało, politycy zawsze chętnie zgadzają się na wszystko, jeśli na szali jest dobra narracja medialna. A w tym wypadku tak było. Rozbicie gangu Kajmana odbiło się szerokim echem nie tylko na Dolnym Śląsku i Opolszczyźnie. Stworzenie nowej tożsamości jednej dziewczynie nie było dla państwa wielkim kosztem.

Szczególnie że miała być to tylko doraźna pomoc.

Okazało się to jednak bardziej skomplikowane, niż wszyscy sądziliśmy. Właściwie powinniśmy się tego spodziewać, biorąc pod uwagę, jak długo Kajmanowi udawało się działać bezkarnie.

Powinno być dla nas jasne, że ma kogoś w policji.

Przekonaliśmy się o tym jednak dopiero wtedy, gdy pojawiły się problemy z zatrzymaniami. Ktoś zawczasu poinformował kilku

najwyżej postawionych ludzi w organizacji Kajmana, dzięki czemu nie tylko uniknęli aresztu, ale zdołali zbiec z kraju.

Część z nich do dzisiaj pozostaje nieuchwytna.

I nigdy nie wykryto, kto w szeregach policji informował przestępców. Jedno było jednak pewne – jeśli ten człowiek kiedykolwiek dotrze do informacji na mój temat, nie odpuści. Natychmiast zrozumie, że to ja byłam gwoździem do trumny Kajmana. I zrobi wszystko, by mnie odnaleźć.

Ostatecznie mój scenariusz z tymczasowego stał się permanentny.

A ja miałam pozostać nieodnaleziona.

Zatrzymałem na moment nagranie i wbiłem wzrok w okno. Na myśl przyszedł mi policjant, który pomógł mi uciec w Chrząstowicach. Ten, który sugerował, bym nie ufał nikomu. Czy on mógł być wtyką Kajmana? Nie, to nie miałoby sensu. Po tym, co usłyszałem, musiałem przewartościować moje podejście do opolskich policjantów.

Najwyraźniej staliśmy po jednej stronie. A w takim układzie J. Falkow mógł być zaufanym człowiekiem Prokockiego. Może w ten sposób komisarz starał się mi pomóc.

Ale skoro tak, to dlaczego mnie teraz ścigano?

Potrząsnąłem głową, uznając, że kolejne odpowiedzi czekają na mnie w dalszej części nagrania. Nie zostało mi już wiele do odsłuchania, co wydawało się dziwne, bo Ewa z pewnością miała mi znacznie więcej do powiedzenia.

Ale może chciała to zrobić na żywo? Może zaraz miałem usłyszeć instrukcje, które pozwolą mi w końcu ją odnaleźć? Przypuszczałem, że tak. I była to myśl tyle krzepiąca, ile przerażająca.

Kogo właściwie spotkam? Narzeczoną, którą dobrze znałem, czy osobę, w którą po dziesięciu latach się zmieniła? A jeśli tę

pierwszą, to czy w ogóle mogłem nadal myśleć, że naprawdę ją znałem?

Pytań było zbyt wiele. Odpowiedzi na szczęście miałem na wyciągnięcie ręki. Tyle że w każdej chwili ktoś mógł przeszkodzić mi w sięgnięciu po nie.

Zerknąłem na drzwi, zastanawiając się, ile mam jeszcze czasu, zanim ktoś wpadnie na mój trop. Zakładając, że informacja o zabójstwie Blitza nie zelektryzowała tutejszej opinii publicznej, być może wystarczająco, by poznać finał historii mojej narzeczonej.

Kliknąłem „play".

Zaszyłam się w Wielkopolsce, choć gdyby to zależało ode mnie, pewnie zdecydowałabym się na góry. Wiesz, że tam mi najbliżej. Ale może właśnie dlatego decyzja została podjęta za mnie, chodziło przecież o to, by nikt mnie nigdy nie znalazł.

I nikomu nigdy się to nie udało.

Dlaczego więc słuchasz teraz tego nagrania? Co sprawiło, że cała machina poszła w ruch?

Nie co, ale kto.

To ja podjęłam tę decyzję. Kiedy się spotkamy, wytłumaczę ci, dlaczego tak się stało. Teraz powinieneś wiedzieć jedynie tyle, że nie pojawiłam się we Wrocławiu bez powodu. Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że Blitzer nie przegapi koncertu swojej ulubionej kapeli. Mimo że nigdy nie żywiłam do Foo Fighters wielkiej sympatii, to właśnie oni okazali się zespołem, który swoją muzyką zmienił moje życie.

Wizytą na tamtym koncercie wprawiłam wszystko w ruch. Kolejne kostki domina zaczęły się przewracać.

Wydawało mi się, że większość z nich sama ustawiłam, ale nie do końca tak było. Zrobiłam wszystko, by ludzie Kajmana nie dowiedzieli się o tym, co się dzieje. Na tym etapie domyślasz się już pewnie, że doszło do pewnych komplikacji.

Konsekwencje moich działań nie są jednak tak oczywiste, jak mógłbyś sądzić. Ale wszystko ci wyjaśnię, kiedy się spotkamy.

Jesteś na to gotowy, Tygrysie?

Jeśli tak, to będę na ciebie czekać. W miejscu, które poznasz tylko ty. I w czasie znanym tylko tobie.

Czekałem na ciąg dalszy. Informacji było stanowczo zbyt mało, bym mógł ustalić, co Ewa ma na myśli. Patrzyłem z niepokojem na suwak, który wskazywał, że do końca nagrania pozostały trzy sekundy.

– No, już – powiedziałem. – Dodaj coś jeszcze.

Miałem wrażenie, że czas się zatrzymał.

Upłynęła kolejna sekunda.

– Dawaj – rzuciłem błagalnie.

Nagranie się skończyło, nie było nic więcej. Siedziałem osłupiały, czułem się, jakby Ewa wymierzyła mi policzek. Miejsce, które poznam tylko ja? Czas znany tylko mi? Co to miało znaczyć?

Z niczym mi się nie kojarzyło. Absolutnie z niczym.

W dodatku było tak ogólne, że trudno było mi wyobrazić sobie, bym mógł wpaść na cokolwiek. Zastygłem w bezruchu, gorączkowo zastanawiając się nad tym, czy czegoś nie przegapiłem.

W końcu potrząsnąłem głową i uznałem, że najlepiej będzie, jeśli odsłucham nagranie od początku. Nie myślałem już o tym, że czas nagli i powinienem jak najszybciej opuścić okolice Biskupina.

Chciałem otworzyć plik, ale po tym, jak dwukrotnie na niego kliknąłem, okienko z zawartością pendrive'a znikło. Zakląłem

w duchu, nie łudząc się nawet, że mógł to być przypadek. Ewa zadbała o to, żeby plik był jednorazowego użytku.

Odłożyłem laptopa na bok i wstałem z łóżka. Zacząłem krążyć po niewielkim pokoju, szukając rozwiązania.

Nic nie przychodziło mi do głowy. Zatrzymałem się przy oknie i zawiesiłem wzrok w oddali, starając się na moment wyłączyć. Najlepsze pomysły pojawiają się w głowie, kiedy nie próbuje się jej przymusić do myślenia.

Ale do tego potrzeba było odpowiednich warunków.

Spokoju.

O nim nie mogło być mowy, kiedy zobaczyłem dwóch policjantów stojących przed budynkiem i rozmawiających z pracownikiem restauracji. Ten gorączkowo drapał się po głowie, a po chwili wskazał wprost na moje okno.

14

Z założeniem kont nie miałam żadnych problemów. Właściwie zaczęłabym przelewać środki z rachunku firmowego już jakiś czas temu, gdybym tylko miała gdzie. Wiedziałam jednak, że Robert natychmiast zauważyłby, gdybym założyła rachunek na swoje nazwisko. I nie skończyłoby się to dla mnie najlepiej.

Jednocześnie nie miałam nikogo, komu mogłabym zaufać na tyle, by powierzyć mu swój fundusz ratunkowy. Tak go nazwałam, choć na dobrą sprawę był on czymś znacznie bardziej doniosłym.

Wszystkie zlecone przeze mnie przelewy miały zapewnić mi i Wojtkowi dostatnie życie przez wiele lat. Z dala od Roberta. Z dala od horroru, który w tej chwili musiałam znosić tylko ja, ale który za jakiś czas mógł dotyczyć także mojego dziecka.

Nie mogłam na to pozwolić.

Wiedziałam, że Wernerowi mogę zaufać. Nie wynikało to jednak z wiary w jego nieskazitelny charakter czy w to, że nigdy nie sprzeniewierzyłby złotówki. Spodziewałam się, że gdyby sytuacja go do tego zmusiła, byłby gotów wydać zgromadzone przeze mnie środki.

Potrzebował jednak mojej pomocy nie mniej niż ja jego.

Zastanawiałam się, jak radzi sobie z odkrywaniem kolejnych poszlak, które na niego czekały. Raz po raz w ciągu dnia wysyłałam esemesa z kodem aktywacyjnym, a potem robiłam wszystko, by niepostrzeżenie dostać się do gabinetu.

Damian jednak ani razu nie pojawił się na RIC. Pod wieczór zaczęłam niepokoić się coraz bardziej. Śledziłam sytuację na bieżąco i wiedziałam, że wysłano za nim list gończy. Wątpiłam jednak, by policja tak szybko trafiła na jego ślad.

Interesowano się nim głównie w południowej części kraju, on zaś obecnie przebywał gdzieś między Bydgoszczą a Poznaniem. Powinien być bezpieczny, przynajmniej przez jakiś czas.

Konto bankowe, którego miał użyć, by kupić używany samochód, było już aktywne. Mimo to nikt nie pobrał z niego pieniędzy w żadnej placówce. Wczesnym wieczorem czułam już głęboki niepokój.

Uświadomiłam sobie, jak niewiele brakuje, by cały mój plan spalił na panewce. Opierał się właściwie na jednej osobie.

Tuż przed tym, jak Robert wrócił do domu, ustawiłam alert na RIC i zeszłam na dół. System miał poinformować mnie, kiedy dojdzie do próby logowania. Bez kodu aktywacyjnego zakończy się to niepowodzeniem, ale nie miało to żadnego znaczenia. Ważne, bym wiedziała, że Damian próbuje się skontaktować.

Nie zdecydowałam się wcześniej na podobne rozwiązanie, bo wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem. Powiadomienie esemesowe w nieodpowiednim momencie mogłoby przykuć uwagę Roberta.

Nie, nie mogłoby. Z całą pewnością by przykuło. Nie dałby spokoju, dopóki nie dowiedziałby się, od kogo dostałam wiadomość.

A ja nie mogłam pozwolić sobie na błąd. Nie w takiej chwili.

Czekając na przyjście męża, powkładałam naczynia do zmywarki i uprzątnęłam w kuchni. Robert nie chciał widzieć nieporządku, gdy wracał po całym dniu do domu. Rzadko zdarzało się, by musiał tak długo przebywać „w pracy", ale od czasu do czasu nie miał innego wyjścia.

Był wtedy poirytowany, wyżywał się nie tylko na mnie, ale też na wszystkich swoich podwładnych. Czasem także na przypadkowych ludziach. Zupełnie jakby fakt, że nie miał mnie na oku, nie pozwalał mu normalnie funkcjonować.

Wiązało się to dla mnie z jeszcze gorszą perspektywą wieczornych scysji. Na szczęście nie dochodziło do tego często, bo zazwyczaj to Robert decydował, kiedy i z kim się spotyka.

Czasem jednak musiał uzupełnić zapasy tego, co sprzedawał. Tego, co zapewniało nam wysoki standard życia. A w końcu tego, dzięki czemu mogłam dokonać szeregu przelewów na mój fundusz ratunkowy.

Gdybym zrobiła to, używając wyłącznie legalnych źródeł, zapewne Robert odkryłby to od razu. Dzięki temu jednak, że środki pochodziły z działalności przestępczej, mogłam być spokojna. Minie kilka dni, nim mój mąż odkryje, że podebrałam jego ciężko zarobione, brudne pieniądze.

Pojawiały się one na kontach bankowych Roberta za sprawą szarainy.

Nie opatentował wprawdzie tego terminu w żadnym urzędzie, ale nie było to konieczne, by większość dilerów w Polsce wiedziała, kto ma wyłączne prawo dystrybucji tego narkotyku.

Szaraina. Brzmiało to niegroźnie, może nawet nieco infantylnie. I właśnie do takiego efektu dążył Robert.

W Stanach narkotyk ten nazywano nieco inaczej. *Grey death*. Szara śmierć.

Pewnie pomagało to w marketingu, a być może na ulicy nazywano opioidową mieszankę w jeszcze inny, nieznany osobom z zewnątrz sposób. Nie zagłębiałam się w temat, zresztą nie wiedziałam nawet, czy wyłącznie tym handlował Robert. Przypuszczalnie nie.

Szaraina nie miała stałego składu. Różniła się w zależności od tego, ile klient był gotów zapłacić. W podstawowej wersji stanowiła mieszaninę fentanylu i karfentanylu, z domieszką heroiny. Efekt, jaki występował po zażyciu, był kilka razy mocniejszy od tego, który można było osiągnąć za pomocą samego kompotu. A koszty po stronie producenta były znacznie niższe.

W USA szara śmierć zbierała już żniwo. Lekarze alarmowali, że do szpitali trafia coraz więcej osób po przedawkowaniu mieszanki. Było o to rzekomo znacznie łatwiej niż w przypadku innych narkotyków.

Nie dziwiło mnie to, biorąc pod uwagę, że karfentanyl był używany do usypiania słoni. W dodatku odnosiłam wrażenie, że do każdej kolejnej partii wytwórcy coraz chętniej wsypują co popadnie. Liczyło się jedynie to, by szaraina osiągała odpowiedni wygląd i klient był w stanie rozpoznać, co kupuje.

Efekt zmieszania poszczególnych składników niespecjalnie kogokolwiek interesował. Roberta także nie. Dla niego liczyło się tylko to, by sprzedawcy rozliczyli się z nim w terminie.

Był lokalnym potentatem, a w dodatku przez lata budował swój publiczny image w taki sposób, by mieć szereg biznesów, dzięki którym mógł systematycznie prać brudne pieniądze. Od pewnego

czasu wszystko napędzało się samoistnie i działało jak dobrze naoliwiona machina.

Najbardziej wzbogaciliśmy się na nieruchomościach, choć nie miało to nic wspólnego z legalnym obrotem. Doświadczenie Roberta z pracy w Służbie Celnej było na wagę złota, a jego pomysł był bardzo prosty – kilka należących do niego firm oferowało niskooprocentowane pożyczki, pod warunkiem zabezpieczenia ich nieruchomościami. Klientów dobierano tak, by mieć pewność, że nie spłacą zaciągniętych zobowiązań. Ich domy lub mieszkania przejmowano potem za bezcen, a sprzedawano za krocie.

Podobnych wydmuszek było na pęczki, a Reimann Investigations stanowiło jedną z nich. Nie przynosiło wielkich wpływów, ale pozwalało zalegalizować część dochodów ze sprzedaży szarej śmierci.

Nie czułam się komfortowo z myślą, że teraz to ja użyję tych pieniędzy, by rozpocząć z Wojtkiem nowe życie, ale nie miałam wyboru. Zresztą klamka już zapadła. Pieniądze znalazły się na odpowiednich kontach, założonych na nazwisko Damiana.

Teraz musiałam tylko sprawić, by w odpowiednim momencie wszystko wypłacił.

Potem mogłam uciekać.

Powtarzałam sobie to w myśli, starając się podnieść na duchu. Potrzebowałam tego, by jakoś przetrwać ten wieczór. Kiedy Robert wszedł do domu, wiedziałam już, że będzie źle.

Głównie dlatego, że nie usłyszałam naszego syna.

Robert zajrzał do kuchni i posłał mi lekki uśmiech. Odpowiedziałam tym samym, a potem podeszłam do niego i go pocałowałam.

– Gdzie Wojtek? – zapytałam.

– Śpi u kolegi.

Uniosłam pytająco brwi, starając się nie okazać pretensji.

– Nic o tym nie wiedziałam.

– Wymyślili to w szkole.

– Mogłeś…

– Co? – żachnął się. – Zadzwonić i spytać cię o zdanie? A co to za wielka sprawa? Zapytał mnie, jak go odbierałem, a ja się zgodziłem. Nie muszę chyba wszystkiego z tobą konsultować, prawda?

Otworzyłam usta, ale nie dał mi okazji, żebym się odezwała.

– To tylko jedna noc u kolegi – dodał. – O co masz pretensje?

– Nie mam.

– A patrzysz na mnie, jakbym ci, kurwa, zabił matkę.

– Po prostu…

– Co? – syknął, zbliżając się do mnie.

Nawet nie ściągnął marynarki. Ledwo zdążył odstawić teczkę, a już był gotów mnie okładać. Ta noc będzie inna niż wszystkie. Już teraz to rozumiałam.

Jeszcze parę godzin temu wydawało mi się, że jestem o krok od ucieczki. Werner był na tropie Ewy, ja zabezpieczyłam środki finansowe. Wystarczyło, by się tutaj pojawił, a razem z Wojtkiem mogliśmy zniknąć.

Nie zostawiłabym żadnych śladów. Żadnych.

A Robert nigdy nie trafiłby na trop Wernera. Z jego perspektywy byłby to anonimowy, przypadkowy facet, z którym nic mnie nie wiązało. Nigdy nie połapałby się, że to on pomógł mi wyrwać się z tego piekła.

I dzięki temu nigdy nie byłby w stanie zmusić mnie, bym do niego wróciła.

Tymczasem teraz Damian przepadł jak kamień w wodę, a mnie czekały przejścia, które…

Nie, nie powinnam używać eufemizmów, przynajmniej nie w myślach. Czekały mnie tortury. Musiałam powiedzieć to sobie wprost.

Tortury, których mogłam nie przeżyć. Widziałam to w oczach męża, kiedy wlepiał we mnie wzrok. Był wściekły, miał pretensje, czuł potrzebę wyładowania wszystkich tych emocji, które narastały w nim przez cały dzień.

– O co ci chodzi, do kurwy nędzy? – zapytał. – Nie mogę sam zdecydować, czy mój syn śpi poza domem, czy nie?

– Chodzi tylko o…

– O co? – przerwał, łapiąc mnie za przegub.

Udałam, że nawet tego nie odnotowałam. Gdybym choćby spojrzała na jego dłoń albo jęknęła z bólu, zdenerwowałby się jeszcze bardziej. Odebrałby to jako kolejne nieuzasadnione pretensje.

– Nie ma piżamy – powiedziałam cicho.

Czułam się żałośnie. Ale jeśli kiedykolwiek miałam dobry powód, by być spolegliwą, to właśnie tej nocy. Musiałam przetrwać ją w jak najlepszym stanie, by być gotową na przyjazd Wernera.

– Szczoteczki ani…

– Ja pierdolę – uciął Robert, puszczając mnie. Rozłożył ręce. – Jesteś po prostu niewiarygodna. Nie może raz spać w jebanych majtkach? Albo nie umyć zębów? Słyszysz w ogóle, co ty mówisz?

Uderzył mnie w twarz, nie dając czasu na jakąkolwiek reakcję. Potem spojrzał na swoją dłoń, jakby należała do kogoś innego. Zmieszał się, cofnął o krok.

Sam był chyba zaskoczony tym, że zaczął tak wcześnie.

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że to nie tak. Spojrzał kontrolnie na przeszklone drzwi tarasowe, a ja zrozumiałam, że jego obawy wynikały z tego, że któryś z pracowników mógł nas zobaczyć.

Na zewnątrz nikogo jednak nie było. Jeśli ktoś przypadkowo zauważył cios, który wymierzył mi mąż, natychmiast się oddalił, nie chcąc robić sobie problemów. Było to w naszym domu powszechne podejście.

Tajemnicą poliszynela było to, co się tu działo. Mimo to żaden z pracowników nie miał na tyle odwagi, by zareagować. Czy mogłam im się dziwić? Nie. Doskonale wiedzieli, dla kogo pracują, w dodatku część z nich przebywała w kraju nielegalnie. Mieli na utrzymaniu rodziny, brakowało im alternatyw. Nie miałam im za złe, że przymykają oko.

Znajomych, którzy mogliby zaalarmować policję, nie mieliśmy. Na tym etapie utrzymywaliśmy kontakty już tylko z ludźmi, którzy współpracowali z moim mężem. Kto jak kto, ale oni potrafili dochować tajemnicy.

Nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. Nikogo, oprócz Wernera.

Robert zrzucił marynarkę, a potem usiadł przy stole. Przez moment milczał, a ja jak zwykle łudziłam się, że może tym razem na tym się skończy. Kiedy jednak mąż podniósł wzrok, wiedziałam już, że nie powinnam na to liczyć.

– Czasem zastanawiam się, jak z tobą wytrzymuję – rzucił.

Milczałam.

– Nie dość, że mam zapierdol poza domem, to potem wracam i…

Urwał, pokręcił głową, a potem westchnął głęboko. Nie wiedziałam, czy ten teatr odstawia dla siebie, czy dla mnie. Ilekroć to robił, sprawiał wrażenie, jakby coś przeskakiwało w jego głowie.

– Powinnaś mnie wspierać.

– Wspieram.

– Gówno prawda. Zamiast mi pomagać, ulżyć, zdjąć ze mnie ten cały pierdolony ciężar, zachowujesz się, jakbyś za cel stawiała sobie dobicie mnie.

Rozejrzał się, pocierając nerwowo po karku.

– Gdzie jest jakieś, kurwa, jedzenie?

– Myślałam, że sam…

– Co? – uciął. – Że po całym dniu będę jeszcze gotować?

– Możemy coś zamówić.

– Zamów sobie lepiej, kurwa, trumnę… – mruknął pod nosem.

W jego przekonaniu nie było to nic innego jak zwyczajny żart, ale dla mnie zabrzmiało jak realna groźba, którą akurat tego wieczoru powinnam potraktować wyjątkowo poważnie. Zachowywał się inaczej niż zwykle.

W dodatku wiedział, co się święci. Inaczej nie wysłałby Wojtka do kolegi.

Zazwyczaj wydawał się zaskoczony tym, jak szybko sytuacja eskalowała. Zupełnie jakby rzeczywiście wierzył, że ten jeden raz uda mu się powstrzymać. Dziś jednak tak nie było. Dziś z góry założył, że sobie pofolguje.

Może uznał, że tylko w ten sposób poradzi sobie z napięciem? Może w końcu zmierzył się z tym, jakim naprawdę był człowiekiem?

Nie miało to żadnego znaczenia. Liczyło się to, że tej nocy był gotów na wszystko.

Rozejrzałam się za czymś, czym mogłabym się obronić. Wiedziałam, że noże czy inne ostre przedmioty nie wchodzą w grę. Mogłabym wyrządzić mu poważną szkodę, a to skończyłoby się tragicznie zarówno dla mnie, jak i Wojtka. Współpracownicy Roberta by o to zadbali.

– Coś ci nie pasuje? – bąknął.

– Nie…

– To co się tak rozglądasz?

– Zastanawiam się, co mogłabym ci ugotować.

– Może trzeba było pomyśleć o tym wcześniej? Żeby chociaż raz przywitać wracającego do domu męża tak jak należy? Co? Nie wydaje ci się, że na to zasługuję?

Podniósł się i spojrzał na mnie z góry.

– Za to wszystko, co dla ciebie robię, to minimum, które…

Urwał i pokręcił głową.

– Inne żony tak się nie zachowują.

Inne żony nie mają takich mężów, dodałam w duchu. A nawet jeśli, to udaje im się rozładować całe to napięcie w łóżku. Ja nie miałam na to najmniejszych szans. W ciągu wszystkich tych lat małżeństwa spaliśmy ze sobą raptem kilka razy.

Robert nie potrzebował seksu, zaspokajał się w zupełnie inny sposób. Czasem wydawało mi się nawet, że nigdy go nie pociągałam. Fakt, że w ogóle zaszłam z nim w ciążę, wydawał się nie do pojęcia.

Początkowo jego aseksualność stanowiła utrapienie. Ostatecznie jednak była dla mnie błogosławieństwem. Bez trudu mogłam wyobrazić sobie, co by było, gdyby oprócz bicia dochodziło do innych form fizycznego znęcania się.

– Wstawaj – rzucił Robert.

Zrobiłam to, nie widząc sensu w protestowaniu.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, nagle złapał mnie za kołnierz i szarpnął. Zaciągnął mnie na środek kuchni, ignorując moje prośby, a potem jedną ręką przytrzymał mi głowę nad zlewem. Drugą sięgnął do jednej z szafek i gwałtownie otworzył drzwiczki.

Wyjął garnek, rzucił go do zlewozmywaka, a potem puścił wodę.

– Zobaczysz, jak się, kurwa, gotuje.

– Robert…

– Może coś zapamiętasz.

– Posłuchaj mnie, proszę…

– Nie, nie. To ty będziesz słuchać, leniwa suko. I nauczysz się, że zamiast żłopać swoje jebane prosecco przez cały dzień, od czasu do czasu mogłabyś zadbać o swojego męża.

Kiedy woda zaczęła wylewać się z dużego garnka, poczułam nagłe szarpnięcie. Zanim zorientowałam się, co robi mój mąż, woda już wypełniła mi usta. Poczułam, jak uderzam szyją o brzeg garnka.

Robert docisnął mocniej. Próbowałam się wyrwać, ale bezskutecznie. Był znacznie silniejszy, nie miałam szans w takim starciu. Poczułam, że brakuje mi oddechu, i zaczęłam rzucać się jak opętana.

Uścisk jednak nie malał.

Niewiele brakowało, bym się zachłysnęła. W ostatniej chwili Robert podniósł moją głowę, spojrzał na mnie, parsknął, a potem uderzył mnie otwartą dłonią w policzek. Mamrotał coś o tym, że wyglądam jak najgorsza wywłoka.

Zdążyłam jedynie kaszlnąć, zanim rzucił mną na podłogę. Uderzyłam głową o twardą posadzkę, zaszumiało mi w uszach. Robert natychmiast do mnie doskoczył, złapał za gardło i zacisnął na nim dłonie.

Poczułam najpierw ostry ból, który uświadamiał mi, że zraniłam się o kant garnka. Potem tępy, rozchodzący się po klatce piersiowej. Znów zaczynało brakować mi tchu. Robert potrząsał mną, cedząc jakieś przekleństwa. Nie docierały do mnie.

W pewnym momencie puścił, a ja natychmiast odwróciłam się na bok, zanosząc kaszlem. Na chwilę znikł mi z pola widzenia, ale zaraz wrócił, trzymając nóż. Pochylił się nade mną i przyłożył mi ostrze do gardła.

Zestaw Gerlacha wrócił. Tak jak się spodziewałam.

Robert mówił coś o nauczeniu mnie patroszenia. Starałam się nie słuchać, wiedząc, że te wszystkie słowa mają taką samą

wartość jak te, które usłyszę później, kiedy będzie przepraszał.

O ile do tego dojdzie. Miałam powody obawiać się, że tym razem będzie inaczej. A Robert po chwili dał mi kolejny.

Złapał mnie za głowę jedną ręką, zasłaniając oczy, jakby nie mógł znieść mojego spojrzenia. Uścisk był mocny. Miałam wrażenie, jakby na skroniach zaciskały mi się szczęki imadła.

Robert przesunął ostrzem po mojej szyi. Poczułam rozdzierający ból, jęknęłam głośno.

– Zamknij się! – ryknął.

Próbowałam go z siebie zrzucić, ale bezskutecznie.

– Uspokój się, bo cię zajebię! Rozumiesz, suko?!

Odrzucił nóż na bok, ale krzyczał coraz głośniej, pluł na mnie i zaczął okładać mnie pięściami. Przeszła mi przez głowę niejasna myśl, że czekał na ten moment. Moment, w którym straci kontrolę i będzie mógł zupełnie poddać się swoim pierwotnym instynktom.

Miałam wrażenie, że ciosom nie będzie końca. Robert uderzał mocno w moje piersi, czego nigdy wcześniej nie robił. Ból był nie do zniesienia. Potrząsał mną bez pamięci, jakby chciał wygnać ze mnie jakiegoś demona. Raz po raz uderzałam potylicą o posadzkę, mając nadzieję, że za moment wreszcie stracę przytomność.

Prędzej czy później musiało do tego dojść. Wolałam, by stało się to szybciej.

W pewnym momencie Robert nagle przerwał. Spojrzałam mu w oczy, szukając dobrze znanej, żałosnej skruchy, ale nawet na nią nie było w nich miejsca. Wciąż był wściekły. Zrozumiałam, że to tylko przerywnik.

Mąż zmęczył się znęcaniem nade mną. Musiał dać sobie chwilę oddechu.

Podszedł do lodówki, wyciągnął z niej butelkę prosecco, a potem mamrocząc pod nosem, zamachnął się i rozbił ją na podłodze obok

mnie. Poczułam, jak chłodne krople padają mi na policzki. Ostre kawałki szkła rozsypały się na posadzce.

Usłyszałam charakterystyczny syk, kiedy Robert otwierał butelkę piwa. Obrócił się w kierunku morza, a ja uznałam, że muszę skorzystać z okazji. Zaczęłam czołgać się ku schodom, nie zważając na kawałki szkła.

Nie czułam nawet, że ranię sobie ręce i zostawiam za sobą krwawe ślady. Wiedziałam, że muszę dostać się do gabinetu, zanim będzie za późno.

Robert nadal stał odwrócony tyłem. Mówił do siebie, raz po raz pociągając z butelki.

Byłam przekonana, że nie zainteresuje się mną, nim jej nie opróżni. Biorąc pod uwagę, jak szybko pił, nie miałam wiele czasu. Kiedy udało mi się dotrzeć do schodów, złapałam za poręcz i się podniosłam.

Kilka pierwszych stopni pokonałam z trudem, kręciło mi się w głowie. Potem poszło mi nieco lepiej. Na piętrze musiałam przytrzymać się ściany, by się nie przewrócić. Kątem oka dostrzegłam czerwone ślady, które zostawiałam.

Weszłam do gabinetu i natychmiast wysłałam kod aktywacyjny do Wernera. Musiałam ściągnąć go tutaj natychmiast, nie było już czasu do stracenia. Potrzebowałam pomocy w tej chwili.

Z dołu doszedł mnie krzyk. Wściekły jak ryczenie rannego zwierzęcia. Potem usłyszałam, jak Robert wbiega po schodach.

– Proszę… – jęknęłam, patrząc na mrugający na czarnym tle kursor.

15

Komórka po raz kolejny zawibrowała mi w kieszeni. Nie miałem wątpliwości, kto stara się ze mną skontaktować, numer znały przecież tylko dwie osoby. A ojciec nie zwykł pisać esemesów.

Nie musiałem sięgać po telefon, by wiedzieć, że to kolejny kod aktywacyjny. Na razie jednak nie miałem jak z niego skorzystać. Zresztą w tej chwili nie to było najważniejsze.

Jechałem krajową jedenastką w kierunku Piły, chyba po raz pierwszy w życiu dostosowując prędkość nie tylko do warunków drogowych, ale także do ograniczeń. Sprawę ułatwiał fakt, że poruszałem się starym peugeotem 206, którego jednolitrowy silnik nie pozwalał na szarżowanie.

Kupiłem go w Żninie, niedaleko Biskupina. Zaraz po tym, jak w popłochu opuściłem hotelowy pokój. Nie miałem czasu zabrać ze sobą niczego poza komórką i pieniędzmi. Zostawiłem nawet laptopa, choć gdybym miał chwilę na zastanowienie, być może postąpiłbym inaczej.

Wtedy jednak liczyło się dla mnie tylko to, że na pendrivie i tak nie ma już interesującego mnie pliku – i to, że musiałem jak najszybciej uciekać. Kiedy policjant i pracownik ruszyli w kierunku mojego pokoju, mnie już w nim nie było.

W tamtym momencie pędziłem po podwórzu w kierunku bramy wjazdowej. Przeskoczyłem przez nią, a potem skręciłem w prawo i pobiegłem przed siebie. Nie wiedziałem, dokąd zmierzam, ale cel nie miał znaczenia.

Minąłem szkołę podstawową z czerwonej cegły, która przywodziła na myśl upiorne budynki z najlepszych horrorów, a potem pognałem wzdłuż podobnie wyglądających, nieco zapuszczonych domów jednorodzinnych.

Opuściłem Biskupin, idąc niewielką asfaltową drogą między polami i nie wiedząc nawet, gdzie zajdę. Ostatecznie trafiłem do wsi Gogółkowo i dopiero tam rozeznałem się nieco w okolicy.

Najbliższe placówki bankowe i komis samochodowy znajdowały się w Żninie. Nie zastanawiałem się długo, czy to właściwy kierunek. Dotarłem tam po półtoragodzinnym marszu.

Załatwienie formalności trochę mi zajęło i obawiałem się, że policja zdążyła już ruszyć moim śladem. Wprawdzie nie mogli się spodziewać, w którą stronę się skieruję, ale wystarczyło jedno zbyt długie spojrzenie, by ktoś po drodze mnie rozpoznał i skontaktował się z najbliższym komisariatem.

Im mniejsza jednak wieś, tym bardziej byłem bezpieczny. Ludzie w takich miejscach interesowali się wyłącznie sobą i swoimi sprawami. Niespecjalnie obchodziło ich, że w całym kraju poszukiwany jest listem gończym pewien rzekomy zabójca.

Dzięki temu teraz mogłem spokojnie kierować się w stronę Piły. Miasto planowałem ominąć szerokim łukiem, nie miałem zamiaru niepotrzebnie ryzykować. Byłem na ostatniej prostej, Ewa musiała być gdzieś niedaleko.

Na chwilę wprawdzie opuściłem Wielkopolskę, udając się do Żnina, ale teraz byłem z powrotem w jej rejonie. Nie wiedziałem, gdzie konkretnie się znajduje, ale z pewnością na terytorium województwa.

Może właśnie w Pile? Nie, było to tylko pobożne myślenie. Nie zostawiła mi żadnych wskazówek. Wiedziałem jedynie tyle, że chodzi o jakieś miejsce w Wielkopolsce.

Miejsce, które poznam tylko ja.

Wciąż nie miałem pojęcia, co ma to znaczyć. Ani dlaczego tylko ja miałbym znać czas spotkania. Wydawało się to kompletnie bez sensu, nie kojarzyło się z żadnym wydarzeniem związanym z naszym życiem.

Myślałem o tym zbyt intensywnie, by do czegokolwiek konkretnego dojść. Przekładałem to już nawet na angielski, starałem się dopasować do jakiejś piosenki. Wszystko nadaremno.

Gdybym miał dostęp do Google'a, być może udałoby mi się znaleźć jakiś związek, ale byłem zdany wyłącznie na siebie.

Nawet gdybym zatrzymał się w McDonaldzie, zaszył gdzieś w kącie i chciał skorzystać z wi-fi, nie miałem jak. Kupiony w komisie telefon pochodził jeszcze z czasów, kiedy urządzenia te produkowano wyłącznie po to, by z nich dzwonić.

Wyjąłem komórkę i zerknąłem na wyświetlacz. Nie pomyliłem się co do tego, że to Kasandra starała się ze mną skontaktować. Już któryś raz tego dnia. Przeszło mi przez myśl, że może stało się coś, o czym powinienem wiedzieć.

Jakaś zmiana planów?

Cóż, jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, za jakiś czas będę miał okazję ją o to zapytać.

Kas przekazała mi swój adres, kiedy porozumieliśmy się co do warunków naszej współpracy. Miałem zjawić się w Rewalu po tym, jak znajdę ostatnią wskazówkę – a przy odrobinie szczęścia po tym, jak odnajdę także samą Ewę. Sytuacja jednak się zmieniła.

Potrzebowałem pomocy Kasandry już teraz. Bez niej trudno byłoby mi odkryć, co znaczyły pokrętne słowa mojej narzeczonej. Potrzebowałem miejsca, w którym mogłem spokojnie się zastanowić, bez nieustannego oglądania się przez ramię. A ponad wszystko niezbędny był mi komputer z dostępem do internetu.

Wiedziałem, że do nikogo innego nie mogę się zgłosić. Kasandra była moim jedynym ratunkiem.

A czy ja rzeczywiście mogłem nim być dla niej? Tak twierdziła, kiedy opowiadała mi o horrorze, jaki musi znosić od lat. Nie chciałem znać szczegółów, w zupełności wystarczało mi to, że mąż się nad nią znęcał. I że wraz z synem w końcu zamierzała się od niego uwolnić.

Pomógłbym jej pewnie, nawet gdyby nie była to transakcja wymienna.

A może tylko chciałem tak myśleć. Może w rzeczywistości zabrakłoby mi empatii i skupiłbym się wyłącznie na tym, by rozwiązywać swoje problemy.

Tak czy inaczej, potrzebowaliśmy się nawzajem. Tyle było jasne.

Jeszcze raz spojrzałem na telefon, a potem odłożyłem go do schowka i nieco przyspieszyłem. Poruszanie się po polskich drogach z przepisową prędkością było właściwie bardziej podejrzane niż jej przekraczanie.

Od Rewala według moich obliczeń dzieliło mnie jeszcze ponad dwieście kilometrów. Miałem nadzieję, że dotrę na miejsce za nieco ponad trzy godziny, o ile po drodze nie natrafię na żadne roboty. I o ile Kasandra nie wysyłała mi tych esemesów, by poinformować mnie, że zmieniła zdanie.

16

Robert wpadł do gabinetu pogrążony w dzikim szale. Widziałam w jego oczach, że człowiek, za którego wyszłam, zupełnie usunął się w cień. Zastąpił go ktoś inny. Ten obcy mężczyzna zaczął się wydzierać, obrażać mnie, grozić i zrzucać z półek wszystkie moje książki.

Zanim wyciągnął mnie na korytarz, zdążyłam spojrzeć jeszcze na RIC. Po Wernerze nadal nie było śladu. Obawiałam się, że policja trafiła na jego trop i że został zatrzymany. Innego wytłumaczenia właściwie nie było.

Wiele oddałabym, by sprawdzić lokalne doniesienia z Wielkopolski i Opolszczyzny. Jeśli miałam tej nocy zostać

zakatowana przez własnego męża, chciałam wiedzieć chociaż, czy Damian trafił na trop swojej Ewy.

Robert okładał mnie przez dobrą godzinę, co chwilę przestając, jakby chciał dać mi nadzieję, że to już koniec, a potem zgnieść ją jak robaka. Formułował wobec mnie każdy możliwy zarzut, a kolejne ciosy były coraz mocniejsze.

Nakręcał się, widząc, że jest ze mną coraz gorzej. Czuł się panem życia i śmierci, upajał świadomością, że wszystko, co się ze mną stanie, zależy wyłącznie od niego. Był daleko od poczucia skruchy, ale nie miałam wątpliwości, że w końcu się do niego zbliży.

Modliłam się tylko o to, by nie stało się to zbyt późno.

Podczas jednej z przerw byłam już tak obolała, jakby potrącił mnie samochód. Wiedziałam, że nie mam co myśleć o maskowaniu ran. Komplikowało to plan mojej ucieczki, bo poraniona kobieta od razu będzie przykuwała uwagę wszystkich wokół.

A ja musiałam zbiec niezauważenie.

Odsunęłam od siebie te myśli, patrząc na Roberta stojącego przed jednym z regałów. Opierał się o półkę i nabierał łapczywie tchu, jakby właśnie przebiegł sprintem krótki odcinek. Jego ramiona unosiły się i opadały.

Czy w ogóle mogłam wciąż się łudzić, że uda mi się uciec? Że to wszystko nie skończy się tu i teraz? Mąż zdawał się coraz bardziej wściekły. Na tym etapie zazwyczaj widziałam już pierwsze oznaki świadczące o tym, że emocje opadają. Ale nie tym razem.

Odwrócił się i spojrzał na mnie z pogardą. Podszedł, a potem zamachnął się i kopnął mnie w żebra. Zawyłam, kuląc się. Nie wiedziałam już, czy większy ból sprawiają mi kolejne ciosy, czy obrażenia, które dotychczas odniosłam.

– Robert…

– Zamknij ryj! – krzyknął, a potem kopnął znowu.

– Zobacz… zobacz, co robisz…

Dukałam tak cicho, że nie wiedziałam, czy mnie słyszy. Mimo że brakowało mi już sił, podniosłam rękę i wskazałam na korytarz. Odwrócił się na moment i popatrzył na krwawe zacieki na ścianach.

Skrzywił się i trącił mnie nogą jak bezpańskiego kundla.

– Co ja robię? – syknął. – To ty ufajdałaś cały ten pierdolony dom!

Położył mi nogę na piersiach i przycisnął mocno. Miałam wrażenie, że zaraz usłyszę, jak pęka mi któreś żebro. Robert zdawał się przenosić na mnie cały ciężar ciała.

– W domu… – wydyszałam – jest pełno… krwi…

Spojrzał na mnie z wściekłością i pretensją.

– Pomyśl, co się… stanie…

– Kiedy co? Zadzwonisz na policję? Proszę bardzo, dzwoń.

Podniósł nogę, a potem sięgnął do kieszeni po telefon. Zamknął go w pięści, jednocześnie zaciskając usta. Potem cisnął nim we mnie. Komórka trafiła prosto w oko, ból był okropny. Poczułam, jakbym miała nigdy więcej nie podnieść powieki.

Pozwoliłam sobie jednak tylko na ciche jęknięcie.

– Wojtek…

– Co Wojtek? Będziesz teraz zasłaniać się dzieckiem, wywłoko pierdolona?

– Zobaczy…

– Zobaczy tylko, jak chowają cię, kurwa, do piachu – odparł Robert, a potem złapał za moją bluzkę.

Pociągnął mnie w kierunku korytarza, rozrywając szwy. Dwa pierwsze guziki puściły od razu, pozostałe jeszcze się trzymały. Robert ciągnął mnie po podłodze, a potem po schodach. Robił to tak, bym po drodze potłukła się jak najbardziej. Głowa uderzała

mi o schodki, a by było to bardziej dotkliwe, lekko unosił mnie przy każdym kolejnym.

Kiedy wróciliśmy na dół, znów byłam półprzytomna.

Myślałam tylko o jednym. Nieistotne było to, co się ze mną stanie. Przestało martwić mnie, czy Robert w porę się powstrzyma. Skupiałam się wyłącznie na tym, że ostatecznie znajdę się w takim stanie, że nie zdołam uprzątnąć krwawych zacieków i całego bałaganu. Wojtek zobaczy efekty tego, co się działo.

Odsunęłam od siebie tę absurdalną myśl.

Powinnam skupić się na tym, co tu i teraz. Spróbować się ratować. Nie poprzez fizyczny opór, na to było już za późno. Musiałam próbować sprytem, używając słów jako narzędzi mogących rozmontować szaleństwo mojego męża.

– Ty brudna pizdo… – syknął, przeciągając mnie ku salonowi.

Huczało mi w głowie, ale nie na tyle głośno, bym nie słyszała jego słów. Każde kolejne potwierdzało, że Robert jest gotowy na wszystko.

– Wiedziałaś, że tak to się skończy.

Ponownie rzucił mną jak workiem śmieci. Przetoczyłam się kawałek i zatrzymałam na przeszklonych drzwiach werandy. Wyjrzałam na zewnątrz. Mimo że nie padał deszcz, miałam wrażenie, jakbym patrzyła przez pokryte kroplami szkło.

– Długo na to pracowałaś, szmato…

Kopnął mnie w plecy. Wygięłam się w łuk, nie wiedząc już nawet, skąd emanuje ból. Robert złapał mnie za ramię, obrócił do siebie, a potem uderzył pięścią w twarz. Zrobił to z nienawiścią i brutalnością kogoś, kto po latach powstrzymywania się w końcu dał upust swoim najgorszym emocjom.

Może właśnie to się teraz działo.

– Robert… nie możesz…

– Czego nie mogę?

– Narobisz…

– Przestań tak dukać, do kurwy nędzy!

Zupełnie stracił kontrolę. Zaczął okładać mnie po żebrach, jakbym była workiem treningowym. Tłukł bez pamięci. Raz, drugi, trzeci, czwarty. Wydawało mi się, że się zawahał, ale szybko uświadomiłam sobie, że to tylko rezultat złudnej nadziei. Nadziei na to, że jakiś pierwiastek człowieczeństwa się w nim ostał.

– Zabijesz… mnie… – zdołałam powiedzieć.

Nie słyszał. Nie zwrócił uwagi nawet na to, że zaczęłam zanosić się krwawym kaszlem. Czerwone rozbryzgi pojawiły się na jego białej koszuli, na podwiniętych, zwężanych rękawach. Mięśnie napinały się przy każdym uderzeniu, widziałam jego bicepsy i czułam je w każdym ciosie.

W pewnym momencie przestał bić, potrząsnął głową, a potem chwycił mnie za uda. Szarpnął na boki, rozkładając mi nogi. Nie wiedziałam już, co się ze mną dzieje. Ledwo odnotowywałam, co robił.

Krzyczał, że kurwię się pod jego nieobecność. Że przyjmowałam tutaj przypadkowych sukinsynów z ulicy. Że kiedy w końcu zatrudnił ludzi do pilnowania, bym się nie puszczała, zaczęłam robić to z nimi.

Rozszerzył moje nogi jeszcze bardziej, a potem uderzył wprost między nie. Cios był potężny, ale nawet gdyby Robert użył połowy siły, odebrałoby mi dech. Miałam wrażenie, że opadł mnie całkowity paraliż. Ból, który rozszedł mi się między nogami, zdawał się wnikać w trzewia.

Nie byłam w stanie wydusić z siebie choćby jednego słowa. Robert podniósł mnie, wziął zamach, a potem cisnął mną jak lalką prosto w tarasowe drzwi. Zdążyłam zasłonić kawałek twarzy, zanim rozbiłam szybę.

Nie wypadłam na zewnątrz, mąż trzymał mnie mocno. Gdyby tego nie zrobił, któryś kawałek szkła z pewnością wbiłby mi się w szyję.

Żałowałam, że tak się nie stało. Teraz wiedziałam doskonale, co Edgar Allan Poe miał na myśli, gdy pisał o *the imp of the perverse*. O duchu przekory. Przemożnym uczuciu, że musisz postąpić wbrew sobie. Zachować się wbrew logice.

Zabij mnie, powtarzałam w duchu.

Zabij mnie.

Wiedziałam, że zostawię syna na pastwę tego szaleństwa. Wiedziałam, że Robert nie poniesie żadnych konsekwencji. Że moja śmierć będzie zupełnie bezsensowna. I że po niej nic na mnie nie czeka. Wyłącznie pustka.

Mimo to wciąż powtarzałam bezgłośnie swój apel.

Zabij mnie.

Robert nie potrzebował jednak przyzwolenia ani próśb. Złapał mnie za rękę, zaciskając palce na przegubie. Przeciągnął mnie na środek salonu, a potem puścił. Dłoń opadła mi bezwładnie na podłogę.

Poszedł po piwo do lodówki, a ja zdołałam jedynie odwrócić głowę. Mój wzrok padł na irysa w doniczce. Zapomniałam o nim całkowicie, nie podlewałam go, a roślina do tej pory prawie uschła.

Zamknęłam oczy.

Leżałam zupełnie bezsilna, nie potrafiłam zmusić się do tego, by podjąć próbę ucieczki. Momentami traciłam świadomość, nie wiedziałam, jak wiele czasu minęło, odkąd mąż zaczął mnie okładać.

Kiedy wrócił, by dokończyć dzieło, stanął nade mną w rozkroku. Zupełnie jakby prowokował mnie, bym podjęła ostatnią,

beznadziejną próbę ratunku. Zrobiłabym to, gdybym tylko miała siłę podnieść rękę.

Nie wiedziałam, czy pokonał mnie fizycznie, czy psychicznie. Na tym etapie nie potrafiłam już pojąć, z czego wynika moja bezsilność.

Odpływałam, świat stawał się coraz mniej realnym miejscem. Do tego stopnia, że kiedy spojrzałam w stronę rozbitych drzwi, wydawało mi się, że dostrzegam jakąś postać.

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że ktoś naprawdę tam stoi.

I nie był to przypadkowy przechodzień.

Rozpoznałam Wernera. Nie miałam wątpliwości, że to właśnie on. Jednocześnie nie mogłam w to uwierzyć, zaczęłam dopuszczać możliwość, że umysł jednak płata mi figle.

Przemknęło mi przez głowę, że jeśli Damian naprawdę tutaj jest, musi natychmiast uciekać. Nie da rady Robertowi. Zanim mój mąż stworzył sobie image poważnego biznesmena, zaprawił się w ulicznych mordobiciach. Należał do ludzi, którzy chodzili do klubów po to, by szukać zaczepki.

Nie wiem, co w ten sposób chciał osiągnąć. Być może zamierzał udowodnić, że mimo wychowywania się w dobrej rodzinie potrafił o siebie zadbać na ulicy. A było tak między innymi dzięki godzinom spędzanym na siłowni.

Damian nie mógł się z nim równać w uczciwej walce.

Zamrugałam niepewnie, mając nadzieję, że kiedy otworzę oczy, postać na werandzie rozmyje się w mroku.

Mrok. Na Boga, ile czasu minęło, od kiedy Robert zaczął się nade mną znęcać? Dopiero teraz zaczynało dochodzić do mnie, że całkiem sporo. Mój umysł powoli wracał do normalnego stanu, paraliż ustępował.

Nie mogłam tego samego powiedzieć o moim ciele. Właściwie wydawało się nie należeć już do mnie.

Robert uderzył w brzuch, potem poprawił, tłukąc nieco wyżej. Zabrakło mi tchu.

– Hej! – rozległ się krzyk.

Mąż nagle zamarł, a ja poznałam ten głos. Należał do Wernera.

Naprawdę tu był.

I naprawdę powinien czym prędzej uciekać.

17

Nie było czasu do zastanowienia. Kiedy podjechałem pod willę i usłyszałem krzyki, wiedziałem już, że to nie skończy się dobrze. Zaszedłem od tyłu i miałem zamiar rozeznać się w sytuacji, kiedy rozległ się dźwięk tłuczonego szkła.

To, co zobaczyłem, przeszło moje najśmielsze obawy.

Wprawdzie Kasandra zarysowała mi swoją opłakaną sytuację, ale nie mówiła nigdy, że mąż znęcał się nad nią w takim stopniu. Określanie tego torturami stanowiło niedomówienie. I przypuszczałem, że w żadnym słowniku nie znalazłbym adekwatnego terminu.

Moją pierwszą myślą było, by zadzwonić na policję. Z oczywistych względów natychmiast ją odsunąłem.

Kiedy mężczyzna odwrócił się do mnie tyłem, uświadomiłem sobie, że mam szansę. Mogłem go zaskoczyć, a przy odrobinie szczęścia obezwładnić. Wystarczyło znaleźć coś dostatecznie ciężkiego i przywalić mu w tył głowy.

Wtedy zaczął ją bić, a ja zrobiłem najgorszą rzecz, na jaką mogłem się zdecydować. Pozbawiłem się elementu zaskoczenia.

– Hej! – krzyknąłem.

Zamarł, ale tylko na moment. Potem nagle wyprostował się i spojrzał na mnie, jakbym wyrósł z podziemi. Dyszał ciężko, a w jego oczach widziałem czyste szaleństwo.

Zrobił krok w moją stronę, a ja mimo woli się cofnąłem. Szkło zachrzęściło pod podeszwami.

– Coś ty, kurwa, za jeden? – odezwał się.

Zrobiłem jeszcze jeden, niewielki krok do tyłu. Sam ledwo to sobie uświadamiałem i miałem nadzieję, że umknęło to Reimannowi. Kiedy się zbliżył, zrozumiałem, że tak nie jest – i że każdy centymetr ma znaczenie.

– Przechodziłem plażą i usłyszałem…

– Dźwięk tłuczonego szkła?

– Tak.

– Nic się nie stało – oznajmił stanowczo Robert.

Dopiero teraz zrozumiałem, że zbliżając się do mnie, nie próbuje pokazać, kto tu rządzi. Chciał sprawić, że oddalę się od rozbitych drzwi. Od leżącej na podłodze Kasandry, którą dostrzegłem kątem oka.

Teraz nie miałem szans na nią spojrzeć, Reimann zasłaniał mi widok. Wcześniej wydawało mi się jednak, że dostrzegłem krew. Sporo krwi. W półmroku niełatwo było stwierdzić, w jakim stanie jest Kas. A kiedy odsunęliśmy się od domu, stało się to niemożliwe.

Stojący przede mną mężczyzna nagle lekko się uśmiechnął. W pierwszej chwili nie mogłem pojąć, co próbuje przez to osiągnąć. Potem dotarło do mnie, że nie wie, jak długo tam stałem. Nie wie, co widziałem – i chce ratować sytuację.

– Dzięki za zainteresowanie – powiedział. – Ale naprawdę nic się nie stało.

Zerknąłem w stronę rozbitej szyby, a Reimann wzruszył ramionami.

– Stawialiśmy z żoną nowy regał – wyjaśnił. – Ikea naprawdę powinna przysyłać pracowników do skręcania takich rzeczy.

W okolicy nie było żadnej Ikei, ale nie miało to znaczenia. Robert składał mi jasną propozycję – przymknij oko na to, co mogłeś zauważyć, a wszystko będzie w porządku.

Z trudem przełknąłem ślinę, przyglądając się mu. Jak daleko był gotów się posunąć?

I co ja sam byłem w stanie zrobić? Jego szerokie barki i wyraźnie widoczne mięśnie nie pozostawiały wątpliwości, że w starciu z nim nie mam wielkich szans. W dodatku nie miałem niczego, czego mógłbym użyć jako broni. Kiedy tylko usłyszałem dźwięk tłuczonego szkła, wybiegłem z samochodu, jakby się paliło, nie myśląc nawet o tym, że do poradzenia sobie z tym ogniem będę potrzebować nawet nie gaśnicy, ale całego zastępu straży pożarnej.

– Ale jeszcze raz dzięki za zainteresowanie – dodał Reimann. – Gdyby ludzie na co dzień nie przechodzili obojętnie obok takich spraw, może byłoby na świecie trochę mniej tragedii.

– Może.

Znów lekko się uśmiechnął. Starałem się spojrzeć mu przez ramię, ale wnętrze willi ginęło w mroku.

– Skąd szedłeś? – zapytał.

Nie rozeznawałem się zbyt dobrze w okolicy i potrzebowałem chwili na zastanowienie. Chwili, która sprawiła, że podejrzliwość Roberta tylko się wzmogła.

– Z Pobierowa – rzuciłem, przypominając sobie nazwę jednej z miejscowości wchodzących w skład Rewala.

– Urlop?

– Taa – odparłem najbardziej nonszalancko, jak potrafiłem.

– Na długo zostajesz?

– Niewiele ponad tydzień.

– Hotel czy pensjonat?

– Pensjonat. Całkiem niedaleko.

Na szczęście nie pytał, o który chodzi. W razie czego byłem gotów rzucić nazwę jakiegokolwiek gatunku morskich ptaków. W okolicy z pewnością roiło się od Albatrosów czy Kormoranów.

– Przyjechałeś sam?

– Tak. Muszę złapać trochę oddechu… odpocząć od rodziny.

– Zrozumiałe.

Posłał mi porozumiewawcze spojrzenie, a ja zastanawiałem się, czy pyta dlatego, że chce podtrzymać pozory normalnej, niewinnej konwersacji, czy może stara się wybadać, czy ktoś mógłby zauważyć moje zniknięcie.

– Czasem wieczorami przechadzam się tam i z powrotem – dodałem.

– Nie dziwię się, tereny aż zachęcają.

– To prawda.

– Ale uważaj, wchodząc na prywatny teren.

– Nie wiedziałem, że…

– No tak, powinniśmy postawić jakieś ogrodzenie – przyznał, jakby to rzeczywiście on zawinił. – Ale nie chcemy psuć sobie widoku.

– Całkiem słusznie.

– Na plaży jest zresztą tabliczka. Pewnie w tej ciemnicy jej nie zauważyłeś.

Pokiwałem głową, czując, jak ślina coraz bardziej gęstnieje mi w gardle. Było w tej rozmowie coś wybitnie niepokojącego. Jakby każde zdanie, każde słowo skrywały niewypowiedziane groźby.

Wziąłem się w garść. Powinienem sprawdzić, co z Kasandrą, postarać się jakoś jej pomóc.

Ale jak to zrobić? Mogłem się oddalić, a potem zadzwonić na policję – właściwie wydawało się to jedynym możliwym

rozwiązaniem. Tyle że byłoby tragiczne w skutkach nie tylko dla mnie.

– Na pewno wszystko okej? – zapytałem. – Może mógłbym jakoś pomóc?

– Chłopie… – mruknął Reimann i parsknął. – Nie masz co robić po nocach?

– Właściwie nie.

– W takim razie dam ci namiar na dobrą knajpę w Pobierowie. Baltic Pipe.

– Ciekawa nazwa.

– Nie tylko nazwa. Cały wystrój nawiązuje do klimatów industrialnych, spodoba ci się. Za dnia to kawiarnia, ale wieczorami właściwie koktajlbar. Powiedz, że przysłał cię Robert Reimann.

– To da mi darmową kolejkę?

Roześmiał się, jakbym naprawdę powiedział coś zabawnego. Poczułem, że robi mi się gorąco, mimo że temperatura po zachodzie słońca była wyjątkowo niska.

– Co najmniej jedną – oświadczył. – Zaraz zresztą zadzwonię i cię zapowiem. Może nawet uda mi się wpaść, jak tylko z żoną trochę posprzątamy.

Zrobiłem krok w prawo i zerknąłem w stronę domu. Rozmówca natychmiast wykonał taki sam ruch, a uśmiech nagle znikł z jego twarzy.

– Z nią wszystko w porządku?

– Tak, tak. Poharatała sobie dłoń, ale nic groźnego się nie stało.

Przez chwilę milczeliśmy, patrząc na siebie.

To koniec, pomyślałem. Czas gry pozorów dobiegł końca. Albo teraz zrobię, co trzeba, albo za moment inicjatywę przejmie Reimann. Przestał już badać grunt.

– No – rzucił. – W każdym razie jeszcze raz dzięki.

Trzeci raz. Jaśniejszego sygnału, bym się oddalił, nie mógł już wysłać. Skinąłem głową, jakbym go odebrał i poszedł po rozum do głowy, a potem odwróciłem się w kierunku, który wskazał mi wzrokiem.

– Baltic Pipe? – upewniłem się.

– Aha.

– Wpadnę na pewno.

Ruszyłem przed siebie, wciąż nie mając pomysłu na to, co powinienem zrobić. Do cholery, tak doświadczona przez życie osoba powinna posiąść choćby zdolność szybkiego decydowania w trudnych sytuacjach. A mimo to nadal czułem się, jakbym był sparaliżowany.

W dodatku popełniłem duży błąd, kiedy zacząłem oddalać się od Reimanna. Obróciłem głowę w kierunku rozbitych drzwi i dostrzegłem Kasandrę leżącą w plamie krwi. Zatrzymałem się jak rażony piorunem – i choć sekundę później ruszyłem dalej, tyle wystarczyło, by Robert zrozumiał, że widziałem zbyt dużo.

Natychmiast znalazł się obok mnie, robiąc szeroki zamach. Zaciśnięta pięść wylądowała prosto na mojej skroni. Uderzenie odbiło mi się echem w uszach, poczułem impuls bólu przechodzący przez głowę.

Straciłbym równowagę, gdyby nie to, że Reimann złapał mnie za fraki. Automatycznie uniosłem dłonie, starając się chronić głowę. Był to kolejny błąd. Robert skorzystał z tego, że nie wyprowadziłem kontry. Zamachnął się i uderzył w grdykę.

Cios nie był mocny, ale wystarczyło, że napastnik dobrze wymierzył. Zabrakło mi tchu, a rozdzierający ból sprawił, że zupełnie straciłem kontrolę nad tym, co się dzieje.

Upadłem na ziemię, starając się osłonić. Wtedy nadszedł kopniak. Reimann nie celował w żadne konkretne miejsce, zdawał

się po prostu dawać upust swojej złości. Oberwałem w głowę, a kolejny cios padł gdzieś na tors.

Potem poczułem, jak Reimann mnie podnosi.

– Niczego nie widziałeś, rozumiesz?

– T-tak…

Czułem się żałośnie. Jechałem tutaj z myślą, że stanowię odsiecz. Miałem pomóc Kasandrze wyrwać się z koszmaru, w którym od lat żyła. Miałem okazać się jej wybawieniem.

Tymczasem jedyne, co zrobiłem, to podjęcie absurdalnej, tragikomicznej rozmowy z jej mężem.

Reimann uderzył mnie w brzuch, a ja zgiąłem się wpół, zanosząc kaszlem. Po ciosie w gardło miałem wrażenie, jakby coś się rozerwało. W ustach czułem metaliczny posmak, który działał na mnie bardziej paraliżująco niż jakikolwiek ból.

Przypominał mi bowiem to, co wydarzyło się nad Młynówką. To tam ostatnim razem czułem w ustach krew.

– Zawiadomisz kogoś, to cię zajebię, rozumiesz?

Trudno było mi nabrać tchu, co dopiero się odezwać. Wiedziałem jednak, że by uniknąć kolejnych ciosów, muszę coś z siebie wydusić.

– Człowieku, co ty…

– Rozumiesz?!

– Tak – odparłem niepewnie.

– Gdzie mieszkasz?

Milczałem.

– Mów!

Nie czekając na odpowiedź, uderzył prosto w zęby. Zrobił to od dołu i przypuszczałem, że poranił sobie knykcie. Ja zaś poczułem, jak górne jedynki drgnęły. Dziąsła zdawały się natychmiast spuchnąć.

– Gdzie?!

– W Alba… w Albatrosie.

– Który pokój?

– Numer… piętnaście…

Reimann splunął na bok, a potem mną potrząsnął.

– Jak się nazywasz, skurwielu?

Wahałem się o moment za długo, przez co Reimann zrozumiał, że coś jest nie w porządku. Powinienem odpowiedzieć od razu, ale zachowałem na tyle rozsądku, by nie podawać swojego prawdziwego imienia czy nazwiska. Robert z pewnością znał klientów RI, skojarzyłby mnie bez trudu.

I od razu uświadomiłby sobie, że moja obecność tu nie jest przypadkowa.

– Tomasz… Prokocki… – wydukałem.

– Po chuj kłamiesz? – syknął. – Myślisz, że tego nie sprawdzę?

Przywalił mi po raz kolejny, tym razem nieco słabiej, z lewej. Ten cios podziałał na mnie jak gong zapowiadający następną rundę bokserskiego pojedynku. Gong, który budzi słaniającego się zawodnika.

Wyrwałem mu się, a potem sam wyprowadziłem nieporadne uderzenie. Trafiłem go w głowę prawym sierpowym, ale atak nie przyniósł żadnego skutku. Reimann natychmiast się otrząsnął, złapał mnie za rękę i ją wykręcił. Kiedy mnie odwracał, zamachnąłem się drugą ręką. Trafiłem łokciem w podbródek, a przeciwnik wydał z siebie ciche stęknięcie.

Nie udało mi się przejąć inicjatywy, ale poczułem, że mogę się bronić. Zawdzięczałem to głównie temu, że Robert był zaskoczony moim oporem.

Zdołałem przywalić jeszcze raz, zanim spadł na mnie grad ciosów.

Reimann był zaprawiony w bijatykach – i szybko mi to udowodnił. Okładał mnie raz za razem, a ja wymachiwałem

rękoma w beznadziejnych próbach obrony. Każdy jego cios sięgał celu, moje w większości były chybione.

W końcu zatoczyłem się w tył, czując, że tracę kontrolę nad własnym ciałem. Kiedy Reimann kopnął mnie w kolano, nie byłem w stanie dłużej utrzymać równowagi. Bezwładnie przewróciłem się na ziemię.

Kolejne uderzenie spadło z góry jak młot. Napastnik trafił mnie w nos, a ja usłyszałem, jak coś gruchnęło. Ból rozszedł się gdzieś za oczami i był tak przemożny, że zdawał się paraliżować końcówki nerwów.

Kilka kolejnych ciosów sprawiło, że znów balansowałem na granicy omdlenia. Czułem, jak krew wypływa mi z nozdrzy już nie ciurkiem, ale strumieniem. Wlewała się do ust, do gardła. Każde kolejne kaszlnięcie przychodziło mi z coraz większym trudem.

Miałem wrażenie, że zaraz się udławię. I że z mojej twarzy za moment zostanie jedynie krwawa miazga.

Mimo to Reimann nie przestawał. Bił bez opamiętania, jakby coś go opętało. Krzyczał coś, ale nie rozumiałem co. Jego głos nie przebijał się przez szum, który rozbrzmiewał ogłuszająco.

Zrozumiałem, że to koniec.

Po wszystkich trudnościach, z którymi udało mi się uporać. Po całej tej drodze, którą przebyłem. Tu i teraz wszystko się kończyło.

Nie dowiem się, czy Ewa naprawdę na mnie czeka. Nie przekonam się, co działo się z nią przez cały ten czas, kiedy się ukrywała. Nie zrozumiem do końca wszystkiego, co chciała mi powiedzieć.

Myśli przestawały układać mi się w głowie. Rozbijały się w drobny mak, a ja nie rozumiałem już, co się dzieje. Okładający mnie mężczyzna stał się obcy, niemal anonimowy. Powód, dla którego mnie bił, gdzieś mi umknął.

Opadło mnie poczucie zupełnej dezorientacji, nierealności sytuacji. Absurdu.

Może tak to zawsze wygląda przed śmiercią?

Odpływałem. Wydawało mi się, że zbliżam się do miejsca, z którego nie będzie już powrotu.

Traciłem świadomość. I wtedy Reimann nagle przestał.

Było to jak niespodziewany przebłysk słońca w trakcie ponurej, szalonej nawałnicy. Czas jakby się zatrzymał. Poczucie nierealności sytuacji się wzmogło. Tylko jedna myśl ułożyła mi się w głowie.

Zabił mnie.

Przestał, bo osiągnął to, co zamierzał, a ja właśnie straciłem życie.

Zdołałem otworzyć zalane krwią oko. Zobaczyłem nad sobą ciężko dyszącego Reimanna.

Unosił zaciśniętą pięść, szykując się do ostatniego uderzenia. Uderzenia, które miało sprawić, że już nigdy więcej nie otworzę oczu.

18

Kawałek szkła wszedł w kark mojego męża jak nóż w masło.

Robert zamarł z uniesioną pięścią, nie wydając z siebie najmniejszego dźwięku. Nie tego się spodziewałam. Obawiałam się, że jeden cios nie wystarczy. Że Robert odwróci się, wytrąci mi rozbitą szybę z dłoni, będzie się bronił.

Obawie tej towarzyszyła także nadzieja.

Nadzieja na to, że będzie długo się męczył, wykrwawiał i cierpiał, zanim umrze. Tymczasem stało się to natychmiast.

Ledwo przeczołgałam się na zewnątrz, zmobilizowałam wszystkie siły, by się podnieść, było już po wszystkim.

Wystarczyło, że kawałek szkła znalazł się w jego ciele.

Zdołałam przytrzymać go przez moment i sprawić, że nie upadł prosto na Wernera. Osunął się tuż obok, a mnie natychmiast opuściły siły. Uświadomiłam sobie, jak niewiele brakowało, by stało się to chwilę wcześniej.

I jak niewiele dzieliło Wernera od śmierci.

Podciągnęłam się w jego stronę. Na dobrą sprawę nie byłam pewna, czy się nie spóźniłam. Widziałam, co działo się na zewnątrz, próbowałam doczołgać się tutaj jak najszybciej, ale pokonanie każdego metra wiązało się z nieludzkim wysiłkiem.

W dodatku cały czas miałam wrażenie, że Robert za moment się odwróci i mnie zobaczy.

Ale tak się nie stało. Zaskoczyłam go, to ja byłam górą. Miałam tylko nadzieję, że w ostatniej sekundzie życia zrozumiał, co się zdarzyło. I kto wymierzył mu sprawiedliwość.

Do mnie jeszcze to nie docierało. Kątem oka widziałam Roberta leżącego twarzą w piasku, nieporuszającego się, ale w głębi ducha obawiałam się, że za moment otrzepie się i wstanie. A potem zacznie robić to wszystko, za co go znienawidziłam.

Skupiłam wzrok na Damianie, a potem złapałam go za przegub ręki. Starałam się wyczuć puls, ale nadal byłam jak sparaliżowana, trudno mi było cokolwiek stwierdzić.

– Wern…

Wydawało mi się, że słyszę płytki oddech, ale nie miałam pewności. Poczułam na całym ciele nieprzyjemny chłód i przeszło mi przez myśl, że jednak się spóźniłam. Niewiele, ale jednak.

Otarłam mu krew z twarzy, ale on nawet nie drgnął. Jeśli jeszcze żył, znajdował się już na granicy. Za moment miał ją przekroczyć.

Wiedziałam, co muszę zrobić.

Zasługiwał w końcu na to, by usłyszeć, co chciałam powiedzieć mu przez te wszystkie dni.

Nabrałam głęboko tchu. Nie tak to wszystko miało wyglądać. Nie tak miało się skończyć.

Pochyliłam się nad nim, pocałowałam go w usta. Potem uniosłam się lekko.

– Tygrysie… – powiedziałam.

Drgnął nerwowo, jakby ktoś przyłożył mu elektrody do klatki piersiowej i uruchomił defibrylator. Otworzył oczy i spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

Nie spodziewałam się, że odnajdzie w sobie na tyle sił, by się odezwać. A jednak mu się to udało.

– Ewa? – zapytał.

ROZDZIAŁ 3

1

Momenty przebudzenia były jak błyskawice rozświetlające niebo. Niczym fotograf polujący na idealne ujęcie próbowałem je uchwycić, ale znikały równie szybko, jak się pojawiały.

Byłem przytomny tylko przez krótkie chwile. Obrazy migały mi przed oczami, a ja robiłem wszystko, by ułożyć z nich logiczną całość.

Ewy nie mogło tutaj być.

A jednak pochylała się nade mną, przykładała mi dłoń do policzka i pytała, czy jestem w stanie się podnieść. Nie zdążyłem odpowiedzieć, ogarnęła mnie ciemność. Kiedy znów otworzyłem oczy, znajdowałem się w salonie.

Potem ocknąłem się na moment na kanapie.

Zobaczyłem pokiereszowaną twarz Ewy, nie rozumiejąc, co się dzieje i jak to możliwe, że tutaj jest. Mój umysł odmawiał pojęcia tego, co było zupełnie oczywiste.

Ani razu nie widziałem Kasandry Reimann.

Nigdy nie słyszałem jej głosu.

Kontaktowała się ze mną wyłącznie przez RIC, upierając się, że to jedyny bezpieczny sposób. I biorąc pod uwagę Sodomę i Gomorę, w które zamieniła się willa Reimanna, musiałem uznać, że miała rację.

Ale jeśli to naprawdę Ewa, to dlaczego nie powiedziała mi od razu? Po co to wszystko?

I jak to możliwe, że skończyła jako żona Roberta Reimanna?

Czy nikt jej przez lata nie rozpoznał? Występowała przecież publicznie, udzielała się…

Nie, nie udzielała, poprawiłem się w duchu. Owszem, przeznaczała spore środki na działalność charytatywną i wspierała lokalne inicjatywy, ale nie uczestniczyła w wystawnych bankietach, nigdy nie pławiła się w blasku fleszy.

Na Boga, to naprawdę była ona.

Za każdym kolejnym razem, gdy udało mi się ocknąć, rozumiałem to lepiej. Pytań jednak zdawało się coraz więcej, a odpowiedzi – żadnych. To wszystko nie miało najmniejszego sensu.

Po co pojawiła się na tym koncercie? I dlaczego później przeganiała mnie po całym kraju?

Zaraz, pomyślałem. Wcale nie po całym. Przeciwnie, prowadziła mnie z południa na północ. Sprawiła, że małymi krokami cały czas zbliżałem się do Rewala.

Kiedy w końcu ocknąłem się na dobre, siedziała na skraju kanapy, wbijając pusty wzrok w czerń za oknem. Czerń, która chowała ciało Reimanna. Wzdrygnąłem się na tę myśl, uzmysławiając sobie, że Ewa naprawdę odebrała mu życie.

Patrzyłem na nią w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć. Zmieniła się, wyglądała nieco inaczej. Do tego stopnia, że nasi starzy znajomi być może nie poznaliby jej, gdyby minęła ich na ulicy.

Zapewne taki był jej cel. Od lat musiała robić wszystko, by nie przypominać samej siebie. Głos też jej się zmienił. On być może najbardziej. Jedynie oczy pozostały takie same, choć gdzieś głęboko w nich było coś, co ściskało mi serce.

– Ewa…

Potrząsnęła głową i spojrzała na mnie.

– Nie ruszaj się, masz pęknięte żebra.

Przez ostatnią dekadę wyobrażałem sobie nasze upragnione spotkanie. Nie takich słów spodziewałem się usłyszeć na początek.

– Obandażowałam ci klatkę piersiową, ale musisz uważać.

– Jak…

– Wszystko ci wyjaśnię.

Mimo jej poleceń starałem się podciągnąć. Natychmiast mnie powstrzymała, kładąc mi delikatnie dłoń na ramieniu. Patrzyliśmy na siebie przez moment, oboje starając się powiedzieć sobie więcej, niż mogły wyrazić słowa.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, dlaczego tak szybko i łatwo nawiązaliśmy dobry kontakt na RIC. Mimo że nawet się nie widzieliśmy, konwersowaliśmy ze sobą jak dwójka starych znajomych. Rozmowy się kleiły, a my bez trudu rozumieliśmy swoje żarty. Od początku była między nami jakaś chemia – co powinno dać mi do myślenia, biorąc pod uwagę, że cała znajomość sprowadzała się na dobrą sprawę do chatu.

Ewa cofnęła rękę, przesuwając nią po mojej dłoni. Nawet bez wszystkich obrażeń, które widać było gołym okiem, wyglądała jak cień człowieka. Krwawe ślady i pierwsze siniaki odcinały się wyraźnie na bladej cerze. Cienie pod oczami tworzyły niemal upiorne wrażenie, a pęknięte żyłki w oczach sprawiły, że część białka pokryła czerwień.

Ewa odwróciła głowę i znów wbiła spojrzenie w nieprzenikniony mrok. Miałem wrażenie, jakbym stracił ją gdzieś w nocnej toni. Nie dziesięć lat temu, teraz. Jakby przed chwilą zostawiła gdzieś tam prawdziwą siebie.

Zwiesiła głowę i przez moment się nie poruszała. Nie chciałem nawet myśleć o tym, co musi czuć. Nie wiedziałem, czy pierwszy cios był śmiertelny, nie miałem pojęcia, czy siłowała się z Reimannem, czy walczyła o życie… czy zrobiła to, co zrobiła, z zimną krwią.

W końcu udało mi się podciągnąć do oparcia. Zasyczałem z bólu, ale Ewa mnie nie zestrofowała.

– Dlaczego… – wydukałem. – Po co to wszystko?

– Wyjaśnię ci to niedługo.

Oboje właściwie szeptaliśmy. Nie dlatego, że ktoś mógłby nas usłyszeć. Żadne z nas nie miało siły mówić.

– Teraz musimy uciekać, Tygrysie.

– Uciekać?

Chciałem zapytać przed kim, skoro Robert leży martwy przed domem. W porę jednak ugryzłem się w język.

– Będą nas ścigać.

– Kto? Ci ludzie, przed którymi się ukrywasz? Ci od Kajmana?

– Oni też.

– Też? Kto jeszcze?

– Podwładni Roberta – odparła, nadal nie podnosząc głowy. – I jego współpracownicy. Ktoś zajmie jego miejsce i pierwsze, co będzie chciał zrobić, to…

Urwała i pokręciła głową. Sprawiło jej to wyraźny ból.

– Wszystko zaczyna się na nowo… – powiedziała przybita. W końcu podniosła wzrok i na moment na mnie spojrzała. – Będę przechodzić wszystko od początku, Wern.

– Nie będziesz.

Nie wiedziałem wszystkiego, ale doskonale rozumiałem, co ma na myśli.

– Tym razem masz mnie. Razem damy sobie radę.

Uśmiechnęła się blado.

– Musi być naprawdę źle, jeśli rzucasz takimi banałami.

– Jestem w tym mistrzem.

– To prawda…

Obróciłem się i spuściłem nogi na podłogę. Spowodowało to ostry, przejmujący ból, starałem się jednak nie dać tego po sobie

poznać. Skrzywiłem się lekko, ale nie oddawało to w najmniejszym stopniu tego, jak dotkliwe były moje obrażenia.

Pieprzony Reimann rzeczywiście musiał mi złamać kilka żeber. Nie mogłem zrobić wdechu bez uczucia, że coś rozrywa mi od środka klatkę piersiową. Najmniejszy ruch powodował to samo.

– Musimy pojechać po Wojtka – odezwała się Ewa. – Zabierzemy go i natychmiast wyjedziemy.

Popatrzyłem w stronę rozbitych szyb.

– A co z nim?

– Zostawimy go tak.

– Jesteś pewna? Nie lepiej byłoby…

– Nie – ucięła, a potem się podniosła. Zachwiała się, a ja machinalnie ją podtrzymałem.

Miała rację, powinniśmy jak najszybciej stąd uciekać. Ale jak mieliśmy to zrobić w takim stanie? Oboje ledwo trzymaliśmy się na nogach, zrobienie choćby kilku kroków wydawało się zbyt dużym wysiłkiem.

– Nie pozbędziemy się ciała – dodała. – Prędzej czy później i tak je znajdą, a my stracimy tylko cenny czas.

– Moglibyśmy wypłynąć z nim kawałek w morze.

– A zdołasz wiosłować?

– Nie – odparłem bez wahania.

Chciałem zapytać, czy w okolicy nie ma czegoś z napędem, ale w porę dotarło do mnie, że gdyby tak było, Ewa dobrze by o tym wiedziała. Całe mnóstwo innych, ważniejszych pytań kołatało mi się w głowie. Postanowiłem skupić się jednak na tym, co tu i teraz. Będziemy mieć jeszcze czas, by mi wszystko opowiedziała.

Wstałem z kanapy, a potem ruszyliśmy na zewnątrz, wzajemnie się podpierając.

– Jak zamierzasz go odebrać? – zapytałem.

Popatrzyła na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– Twojego syna – powiedziałem. – Śpi u kogoś, tak?

– Tak – potwierdziła. – U kolegi.

– Więc zjawisz się w takim stanie i po prostu go zabierzesz?

– Jakoś sobie poradzimy.

Fakt, że użyła liczby mnogiej, podziałał na mnie krzepiąco. Poczułem przypływ sił, ale był jedynie złudą. Sekundę lub dwie później na powrót miałem trudności z utrzymaniem równowagi.

Wsiedliśmy do peugeota. Ja od strony pasażera, Ewa zajęła miejsce za kółkiem. Przekręciła kluczyk w stacyjce.

– Nie zabierasz niczego? – zapytałem.

– Nie. Mam wszystko, czego potrzebuję.

Trudno było przesądzić, czy ma na myśli mnie, czy pieniądze, które ulokowała na rachunkach założonych na moje nazwisko. W przypadku Ewy, którą niegdyś znałem, zapewne pierwsza opcja byłaby słuszna. Nie wiedziałem jednak, na ile kobieta siedząca obok odpowiada tamtej osobie.

Ruszyliśmy w kierunku drogi łączącej przybrzeżne miejscowości. W głowie rozbrzmiewało mi echo słów Ewy, które musiała wypowiedzieć podczas jednego z momentów, kiedy odzyskiwałem świadomość.

Nie tak to miało wyglądać.

Tak powiedziała, nieobecnym i jakby nieswoim głosem. Przypuszczałem, że zakładała wiele scenariuszy naszego spotkania, ale nie taki. Nie dopuszczała możliwości, że ktokolwiek zginie. Zaprojektowała wszystko tak, byśmy znikli bez śladu – i bez ciągnącego się za nami cienia.

Zaparkowaliśmy pod jednym z domów w samym Rewalu.

– Poczekaj tutaj – poleciła Ewa, a potem wyszła z auta, nie czekając na odpowiedź.

Obserwowałem, jak podchodzi do drzwi wejściowych, a potem naciska na dzwonek. Zerknąłem na zegarek. Było już po północy,

młody z pewnością spał. Pewnie tak samo jak reszta domowników. Od strony ulicy nie paliło się żadne światło.

Po chwili pojawiło się w jednym z okien. Moment później drzwi się otworzyły, a w progu stanęła zaspana kobieta w średnim wieku.

Przyglądałem się Ewie, zupełnie ignorując właścicielkę domu. Patrzyłem na moją zaginioną narzeczoną. I niebawem miałem zobaczyć, jak weźmie w ramiona swojego syna.

Co stanie się później? Czy naprawdę mogliśmy łudzić się, że uda nam się uciec? A jeśli nawet, to co dalej? Zostaniemy szczęśliwą rodziną, a ja będę robił za nowego ojca?

Jezu Chryste, powinienem przestać snuć takie myśli. Wszystko po kolei.

Najpierw bezpiecznie opuścimy tę okolicę, potem będziemy zastanawiać się nad tym, co robić. Ewa zresztą musiała mieć jakiś plan. Biorąc pod uwagę wszystko, co zrealizowała w ramach tego szalonego przedsięwzięcia, powinienem spodziewać się, że jest gotowa na każdą ewentualność.

Zamrugałem, starając się dostrzec reakcję gospodyni. Ta wycofała się wyraźnie zmieszana i znikła w holu. Ewa obejrzała się przez ramię i skinęła do mnie głową. Wszystko było w porządku.

Może kobieta wybudzona w środku nocy nie dostrzegła ran. A może Ewa sprzedała jej jakąś zgrabną historię.

Tak czy inaczej, Wojtek po chwili pojawił się w progu. Ziewnął przeciągle, a Ewa wzięła go za rękę i poprowadziła w stronę samochodu. Kiedy usiadł z tyłu i zapiął pas, zdał sobie sprawę z mojej obecności.

– Mamo, kto to?

Odpowiedź na to pytanie była równie skomplikowana jak na wszystkie te, które nie dawały mi spokoju. Nie miałem ochoty

teraz się z nim mierzyć.

– Werner – powiedziałem, z trudem się obracając.

Kiedy chłopiec potrząsnął moją ręką na powitanie, ból przeszył górne partie mojego ciała.

Ewa wycofała z podjazdu, a potem skręciła w lewo. Pojechaliśmy drogą numer sto dwa w kierunku Trzebiatowa.

Zmierzaliśmy w stronę nowego życia. Nikt nas nie zatrzymał, nikt za nami nie jechał. Dopiero teraz zrozumiałem, że uzyskanie odpowiedzi jest tylko kwestią czasu. Że w końcu udało nam się osiągnąć to, na co Ewa musiała pracować od lat.

Poczekaliśmy, aż Wojtek zaśnie. Nie trwało to długo, młody był wyraźnie rozespany. Gdzieś w okolicach Kołobrzegu ułożył się wygodnie na tylnym siedzeniu. A my odetchnęliśmy z ulgą.

– Zacznę od początku… – odezwała się Ewa.

2

Czułam się dziwnie, jakbym zaczęła funkcjonować w zupełnie innym, obcym świecie. Bez pytania kogokolwiek o zdanie mogłam zatrzymać samochód na stacji benzynowej, a potem kupić to, na co miałam ochotę. Mogłam skręcić w jakikolwiek zjazd z głównej drogi, obrać dowolny kierunek. Mogłam przełączyć na taką stację radiową, jaką lubiłam najbardziej.

Wszystko zależało ode mnie. Nikt nie patrzył mi przez ramię na to, co robię.

W pierwszej chwili nie potrafiłam się odnaleźć. Byłam jak zagubiony więzień, wypuszczony na wolność po kilku dekadach spędzonych za kratami.

Świadomość tego, w jaki sposób się wydostałam, niemal mnie paraliżowała. Przed oczami nadal miałam zamglony obraz

kawałka szkła wbijającego się w szyję Roberta. Kiedy ten powidok wracał, odnosiłam wrażenie, jakbym przyglądała się tej scenie z oddali.

Widziałam, jak życie natychmiast uleciało z mojego męża. Przypatrywałam się samej sobie, chwytającej ciało i wraz z nim osuwającej się obok Wernera.

Spojrzałam na niego. Opierał się łokciem o szybę, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Wiedziałam, że próbuje poukładać sobie wszystko w głowie – ale równie pewna byłam tego, że mu się to nie uda.

Nie bez mojej pomocy.

Zorientował się, że na niego patrzę, i posłał mi blady, przelotny uśmiech. Znikł tak szybko, jak się pojawił, zapewne z powodu bólu. Twarz miał spuchniętą, posiniaczoną. Obawiałam się, że wystraszy Wojtka – że oboje to zrobimy – ale mój syn w półmroku najwyraźniej nie dostrzegł ran. Teraz spał spokojnie na tylnym siedzeniu.

– Więc? – ponaglił mnie cicho Damian.

– Zastanawiam się, od którego momentu zacząć…

– Mhm.

– Masz jakąś propozycję?

– Zacznij od tego, na czym skończyłaś w ostatnim nagraniu. Od lodów w upalny dzień. – Posłał mi długie spojrzenie, a ja zacisnęłam ręce na kierownicy. – Swoją drogą, niespecjalnie mi się ten ostatni tytuł spodobał.

– Chciałam na finiszu wstrzyknąć w ciebie trochę optymizmu.

– Nie udało ci się – odbąknął półgłosem. – Może dlatego, że zostawiłaś mnie na końcu z niczym.

– Z niczym?

– Ta ostatnia wskazówka nic mi nie mówiła. Nadal nic nie mówi.

Spojrzał przed siebie, mrużąc oczy, jakby starał się wyłowić coś z nocnego mroku. Droga była pusta, z naprzeciwka dawno nie nadjechał żaden samochód.

– Miejsce, które miałem poznać tylko ja? I czas, o którym miałem wiedzieć? – jęknął. – Co to wszystko miało znaczyć?

– Niewiele.

– Tego sam się domyśliłem.

Zerknęłam w tylne lusterko. Wojtek spał twardo, najwyraźniej nie brakowało mu wrażeń w ciągu dnia. Zresztą rozmawialiśmy na tyle cicho, że nie powinnam martwić się jego obudzeniem. Nabrałam głęboko tchu.

– Miałam na myśli tylko to, że niebawem się z tobą skontaktuję, Tygrysie – odparłam szeptem. – Podam ci miejsce i czas spotkania. I tylko ty będziesz je znał. To wszystko.

– I jak zamierzałaś to zrobić?

– Przez RIC.

– Zamierzałaś mi o wszystkim powiedzieć? Ot tak?

– Nie ot tak – zaoponowałam stanowczo. – Przygotowywałam cię do tego od długiego czasu, prawda?

Milczał, co stanowiło chyba najbardziej bolesną odpowiedź. Wiedziałam, że kiedy przyjdzie co do czego, będę musiała zmierzyć się z jego pretensjami. Ale była to cena, którą byłam gotowa zapłacić.

– Po co to wszystko? – spytał w końcu.

– Wszystko ci wyjaśnię.

– Więc zacznij teraz.

– Wolałabym…

– Co? – wpadł mi w słowo. – Zatrzymać się w motelu i pogadać przy lampce wina? To nie jest rozmowa, którą można odwlekać.

Miał rację, choć wiele oddałabym choćby za możliwość zwilżenia ust prosecco. Miałam wrażenie, że po tym wszystkim, co się stało,

alkohol przestał działać. Adrenalina podkręciła mój metabolizm, zupełnie wytrzeźwiałam.

Zapewne w rzeczywistości tak nie było. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie powinnam prowadzić jeszcze przez dobrych kilka godzin. Ale ewentualne zatrzymanie przez policję i tak zakończyłoby się tragicznie.

Gdyby jakikolwiek mundurowy rzucił na nas okiem, nie odpuściłby, zanim by nie ustalił, co się nam przydarzyło.

– Zaszyłaś się w Wielkopolsce – mruknął Werner. – Na tym skończyło się ostatnie nagranie.

– Tak.

– Kiedy to było?

– Niedługo po tym, jak zeznawałam przeciwko Kajmanowi.

– Wpadli na twój trop?

– Nie, ale… – urwałam, wzdychając głęboko. – Cały czas miałam wrażenie, że dzieli mnie od tego tylko jeden niefortunny krok.

Damian pokiwał głową, zapewne w duchu przyznając mi rację.

– Czułam, że wisi nade mną niebezpieczeństwo, Tygrysie. Nieustannie.

– Rozumiem.

– I widmo tego, co się stało.

Werner milczał. Na firmamencie jego życia też przesuwały się dokładnie te same ciemne chmury. Nie musiałam dodawać nic więcej, by wiedział, że tamte sceny wynurzały się nie tylko z jego pamięci.

Mimo to postanowiłam wspomnieć o czymś, co musiało zostać powiedziane.

– To zdeterminowało wszystkie moje decyzje.

Opuścił łokieć i osunął się na fotelu. Zerknął na mnie.

– Co masz na myśli?

– To, że całe moje życie widziałam przez pryzmat tamtych wydarzeń. I strachu, który się z nimi wiązał. Rozumiesz?

– Oczywiście, że tak…

– Wszystko, co robiłam, było tym powodowane. Każda najmniejsza decyzja była kalkulacją.

– Opartą na czym?

– Na tym, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Potrzebowałam tego, inaczej bym zwariowała. Może nawet tak się stało.

Miałam nadzieję, że uśmiechnie się i potwierdzi, że rzeczywiście musiałam oszaleć, by porwać się na taki plan. Damian jednak milczał.

– Zaczęłam studia z psychologii w biznesie – kontynuowałam.

– Skończyłaś je?

– Tak.

– Ja wypadłem z obiegu. Nie zrobiłem magisterki.

– Wiem. Starałam się śledzić, co się z tobą dzieje.

– I ani razu nie próbowałaś się skontaktować? Dać mi znać, że żyjesz? Że wszystko z tobą w porządku i że nic ci nie grozi?

– Myślałam, że…

– Że co?

Wojtek poruszył się nerwowo na tylnym siedzeniu, a ja uświadomiłam sobie, że oboje podnieśliśmy głos. Werner wykonał przepraszający gest dłońmi i znów zapatrzył się przed siebie.

– Myślałam, że to zrozumiałeś po nagraniach – podjęłam. – Po to je dla ciebie przygotowałam, Wern.

– W takim razie przyniosły skutek odwrotny do zamierzonego, bo po nich mam mętlik większy niż wcześniej.

Przez moment się nie odzywaliśmy. Nie musieliśmy, bym wiedziała, że mimo tych deklaracji Damian wszystko zrozumiał. Potrzebował jednak usłyszeć pewne rzeczy z moich ust. A ja się nie dziwiłam.

– Żyłam w poczuciu nieustannego zagrożenia – powtórzyłam. – I wiedziałam, że ludzie Kajmana wciąż mnie ścigają. A co więcej, że ciebie też obserwują. Jeden nierozsądny krok z mojej strony mógłby wszystko pogrzebać.

Werner potarł nerwowo skronie i syknął cicho z bólu.

– Czekaj… – mruknął. – Bo jeśli dobrze rozumiem, pomyliłem się w ocenie sytuacji.

Tym razem ja nie wiedziałam, co ma na myśli.

– To nie policja była moim przeciwnikiem – dodał.

– Nie.

– Lata temu nie doszło do żadnych nadużyć, żadnego uchybienia obowiązkom, niczego nie zatuszowano ani nie zamieciono pod dywan. Żaden z policjantów nie zawinił i żaden nie miał nic wspólnego z twoim zaginięciem.

Czekał, aż potwierdzę, ale nie mogłam tego zrobić.

– Czy źle myślę? – zapytał.

– Dobrze. Ale jest jeszcze coś.

– Co?

– W policji jest człowiek, który pracował dla Kajmana. To dzięki niemu w ogóle się o mnie dowiedzieli. I przypuszczam, że kret do dzisiaj nosi mundur. Może nawet awansował. Dlatego nie mogłam ryzykować, Tygrysie. Skontaktowanie się bezpośrednio z tobą lub Prokockim byłoby tragiczne w skutkach.

Chciałam ciągnąć dalej, ale zauważyłam, że Damian marszczy czoło.

– Co jest?

– Chyba wiem, kto jest tym kretem. Mówi ci coś nazwisko Falkow?

– Nie.

– To dzięki niemu udało mi się uciec spod hotelu w Chrząstowicach – wyjaśnił Wern, a potem ze świstem wypuścił

powietrze. – Dodał przy tym, żebym nikomu nie ufał.

To miało sens, skwitowałam w duchu.

– Ale co dzięki temu zyskiwał? – dodał Damian. – Przecież…

Kiedy zamilkł, wiedziałam, że poukładał to sobie w logiczną całość.

– No tak – mruknął. – Ci ludzie dowiedzieli się, co próbujesz zrobić.

– Tak.

– I wiedzieli, że najlepszym sposobem, by cię znaleźć, jest podążanie moim śladem. Wiedzieli, że w końcu doprowadzę ich do ciebie. Dlatego mi pomogli.

Skinęłam głową, a Wern obrócił się w moją stronę. Wreszcie spojrzał na mnie tak, jak powinien. Ze współczuciem, bez pretensji. Wreszcie przyjął do wiadomości, że przez cały ten czas czułam oddech ludzi Kajmana na plecach.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak… to znaczy… – zrobiłam pauzę i potrząsnęłam głową. Poczułam ból w karku. – Sama nie wiem… trudno mi słuchać o tym, że byłeś tak blisko tych ludzi.

Zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– To już przeszłość – odparł w końcu. – Zostawiliśmy ich za sobą, a ty o to zadbałaś, prowadząc mnie nad morze. Nawet jeśli trafili w pewnym momencie na mój trop, zgubili go po drodze.

Zerknęłam na wskaźnik poziomu paliwa. Niebawem powinniśmy się zatrzymać, nie było sensu ryzykować, że benzyna skończy się nam gdzieś między jedną a drugą stacją. Tyle że nawet tak prozaiczna czynność będzie niełatwa w wykonaniu. Oboje wyglądaliśmy, jakby wypuszczono nas z klatki z dzikimi zwierzętami.

Zrozumiałam, że przed nami długa droga. Gdziekolwiek się kierowaliśmy, musieliśmy być gotowi na niełatwą przeprawę.

Nagle poczułam, że Damian położył dłoń na mojej ręce. Uświadomiłam sobie, że trzymałam ją na drążku skrzyni biegów. Spojrzałam na Wernera, ale zaraz przeniosłam wzrok z powrotem na drogę.

– Poradzimy sobie – powiedział.

– Wiem.

W oddali pojawiły się oślepiające światła samochodu. Kierowca poniewczasie zorientował się, że ktoś nadjeżdża z naprzeciwka i za późno wyłączył długie. Kiedy nas mijał, mimo woli spojrzałam prosto w reflektory samochodu i przez moment nic nie widziałam.

– Chcę o wszystkim usłyszeć – odezwał się cicho Damian. – O tym, co się z tobą działo, o twoim planie, o każdym posunięciu, każdym etapie i…

– Daj mi chwilę – odparłam, zmuszając się do uśmiechu. – Muszę zebrać myśli.

– Zbierałaś je chyba przez ostatnie dziesięć lat – zauważył z przekąsem, który od razu doceniłam. – I widzisz, co z tego wynikło.

– Więc mam po prostu nadawać jak najęta, bez ładu i składu?

– Później wszystko uporządkujemy – zadeklarował. – Teraz chcę po prostu wiedzieć, dlaczego się na to wszystko zdecydowałaś.

3

Znałem Ewę na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie uda mi się przeforsować swojego zdania. Przynajmniej nie do końca. Ostatecznie osiągnęliśmy konsens, który sprowadzał się do tego, że zatrzymamy się na noc gdzieś w okolicach Słupska i tam Ewa wypełni wszystkie luki w swojej opowieści.

Po drodze musieliśmy zatankować, choć żadne z nas nie miało dobrego pomysłu, jak zrobić to bez wzbudzania podejrzeń. W końcu jednak oboje doszliśmy do wniosku, że wyjście jest tylko jedno.

Musieliśmy uczynić z tego niewinną zabawę. Zajechawszy na jedną z większych stacji benzynowych przy krajowej szóstce, obudziliśmy Wojtka. Ja zalałem do baku, a on miał dostarczyć pracownikowi stacji pieniądze, pozorując odgrywanie roli dorosłego. Mężczyzna za ladą wprawdzie posłał mi długie spojrzenie, ale z oddali nie mógł wypatrzeć ran na twarzy. Uniosłem rękę i skinąłem do niego porozumiewawczo, a on przyjął pieniądze od młodego.

Odetchnęliśmy, jadąc dalej w kierunku Słupska.

Powtórzyliśmy podobny scenariusz, kiedy płaciliśmy za pokój w przydrożnym motelu, a potem z ulgą zamknęliśmy się w środku. Samochód zaparkowaliśmy na tyłach, choć na dobrą sprawę nikt nie miał prawa go poszukiwać. Był to niepowiązany z Reimannami, właściwie przypadkowy pojazd.

Podobnie było ze mną. Z tego punktu widzenia byłem dla Ewy i Wojtka idealnym ratunkiem. Problem polegał na tym, że istniała także inna perspektywa. Ta, która sprowadzała się do faktu, że policja poszukiwała mnie za zabójstwo Blitzera.

Nadal nie rozumiałem, dlaczego musiał zginąć. Ani kto targnął się na jego życie.

Przypuszczałem jednak, że wszystkiego się dowiem. Tu i teraz, w motelowym pokoju na obrzeżach Słupska. To miejsce i ten czas miałem zapamiętać jako jedne z najważniejszych w moim życiu.

Wojtek zasnął błyskawicznie. Zazdrościłem mu, myśląc o tym, że sam z pewnością nie wyśpię się przez kilka najbliższych dni. Ewa tym bardziej nie. Nawet kiedy uporamy się z przeszłością, będziemy musieli zmierzyć się z upiorami teraźniejszości. A one

zdawały się jeszcze bardziej potworne od tych, które oboje dobrze znaliśmy.

Usiedliśmy przy niewielkim stoliku w największym pokoju. Z minibaru Ewa wyciągnęła dla mnie małego żywca, a dla siebie dwie buteleczki wódki. Zrobiła sobie drinka i zamknąwszy oczy, pociągnęła łyk.

Przeszło mi przez myśl, że przypatruję się jej, jakby była narkomanem zażywającym działkę. Odsunąłem tę myśl. To zwykły drink, nie bardziej groźny od mojego piwa.

Ewa szybko jednak rozpoznała znaczenie mojego wzroku.

– Biorąc wszystko pod uwagę, to mój najmniejszy problem – zauważyła.

– Nie miałem zamiaru nic mówić.

– Nie musiałeś.

Uśmiechnęliśmy się lekko.

– Ostatnim razem byłam trzeźwa prawdopodobnie w dniu, kiedy poszliśmy do Haja.

– Mhm – mruknąłem. – Wedle moich kalkulacji to daje jakieś dziesięć lat w stanie nieważkości.

– U ciebie było inaczej?

– Nie wiem. Większość tego czasu widzę jak przez mgłę.

– Potraktuję to jako najwymowniejszą odpowiedź.

Pokiwałem głową i upiłem łyk piwa. Nie mogłem się dziwić, że piła dzień w dzień. Nawet bez bagażu doświadczeń, który ze sobą nosiła, życie z takim człowiekiem jak Robert Reimann usprawiedliwiało znacznie gorsze przewinienia wobec samej siebie.

Nie chciałem o tym myśleć. A mimo to wiedziałem, że od tego nie ucieknę. Miałem niebawem poznać każdy szczegół z jej życia, dowiedzieć się o wszystkim, co działo się z nią od momentu, w którym na nagraniach skończyła swoją opowieść.

– Więc zadekowałaś się w Wielkopolsce, zaczęłaś studia z psychologii biznesu…

– I poznałam na nich Roberta.

– Przypuszczam, że nie wspominasz tego jako najlepszego, co cię w życiu spotkało.

Rzuciłem uwagę zupełnie bezmyślnie. Niepotrzebnie starałem się nadać lekki ton rozmowie, która właściwie powinna być prowadzona grobowymi głosami. Upomniałem się w duchu, by tego więcej nie robić.

Spodziewałem się, że Ewa skwituje to milczeniem, ale odchrząknęła znacząco.

– Staram się w ogóle tego nie wspominać – odezwała się. – Ale w tamtym momencie była to jedna z tych rzeczy, która wynikała z czystej kalkulacji.

Ściągnąłem brwi.

– W jakim sensie?

– Szukałam poczucia bezpieczeństwa. A nawet więcej, gwarancji, że nic mi się nie stanie, jeśli ludzie Kajmana trafią na mój trop.

– I Reimann mógł ci to zapewnić?

– Tak. Zrozumiałam to, kiedy odkryłam, czym naprawdę się zajmuje.

Przez jakiś czas tłumaczyła mi, że Reimann Investigations i inne firmy Roberta były jedynie słupami. Niektóre miały solidniejsze fasady, inne właściwie były jedynie wydmuszkami, które znikały równie szybko, jak się pojawiały.

Reimann prężnie rozwijał przestępczą organizację, nie tylko sprzedając narkotyki, dopalacze i wszystko, na co był popyt w nielegalnym obrocie, ale także robiąc przekręty na rynku nieruchomości. Obraz, który wyłaniał się z opowieści Ewy, kazał

mi sądzić, że organizacja tego człowieka rzeczywiście ochroniłaby ją, gdyby ludzie Kajmana ją odnaleźli.

Po raz pierwszy pomyślałem o tym, że teraz straciła parasol ochronny, decydując się zerwać z tym życiem i wrócić do poprzedniego. Do tego, w którym to ja miałem obowiązek zapewnić jej bezpieczeństwo. Lub chociaż jego namiastkę.

Szybko jednak przypomniałem sobie o horrorze, który przechodziła. Nic nie było warte tego, by dłużej go znosić. Nawet jeśli musiała zrezygnować z poczucia bezpieczeństwa.

– Kiedy się z nim wiązałam, nie miałam pojęcia, jakim jest człowiekiem.

– Znaczy…

– Nie spodziewałam się, co będzie ze mną robił – nie dała sobie przerwać, choć próbowałem zrobić to jedynie po to, by nie musiała mówić o rzeczach, które sprawią jej ból. – Zdawałam sobie sprawę z jego bezwzględności i tego, że idzie po trupach do celu, ale… Wern, nie wiedziałam, że będzie się nade mną znęcał. Nic w jego przeszłości nie kazało mi nawet podejrzewać go o takie…

Wynaturzenie? Okrucieństwo? Chciałem podsunąć odpowiednie słowo, ale żadne się takim nie wydawało. Ewie chyba także nie, bo ostatecznie pokręciła głową, nie kończąc.

– Kiedy to wszystko się zaczęło, byłam już w ciąży. Nie miałam odwrotu.

Rozumiałem to doskonale.

– Poza tym wmawiałam sobie, że to tylko przejściowe. Że to jakiś psychologiczny odprysk spowodowany ciążą. Atawistyczna obawa Roberta, że teraz cała moja miłość i uwaga skoncentruje się na dziecku.

Otworzyłem usta, bo jedno kluczowe pytanie wciąż kołatało mi w głowie. Nie odezwałem się jednak. Nie musiałem.

– Tak, kochałam go – powiedziała Ewa. – Na początku chodziło tylko o kalkulację, ale potem… z czasem…

Urwała, nie dodając nic więcej. Siedzieliśmy w milczeniu, nie patrząc na siebie i popijając jakby leniwie. Nie było w tym jednak ani odrobiny ospałości. Oboje byliśmy pobudzeni, serca waliły nam jak młotem.

– Rozumiesz to, prawda? – spytała w końcu Ewa.

– Tak.

– To wszystko ze względu na poczucie bezpieczeństwa, które mi wtedy dawał.

– Rozumiem – zapewniłem jeszcze raz z nadzieją, że skończymy temat.

Ewa skinęła głową, ale nie przypuszczałem, by mi uwierzyła. Prawda była taka, że sam nie wiedziałem, czy potrafię wczuć się w jej sytuację. W teorii nie powinno być to trudne – zgwałcona, zastraszona kobieta w końcu trafia na kogoś, przy kim może poczuć się bezpieczna. Czy w takiej sytuacji kogokolwiek mogło dziwić, że się w tej osobie zakochała?

Nie, pewnie nie. Tym bardziej że nie spodziewała się, byśmy kiedykolwiek znów się spotkali. Musiała wykreślić mnie ze swojego życia, dla dobra nas obojga. Akurat to doskonale rozumiałem.

– Po studiach mieszkaliśmy trochę w Wielkopolsce, on pracował w Służbie Celnej – podjęła. – Potem wróciłam z nim w jego rodzinne strony. – Zamieszkaliśmy w Rewalu, początkowo wszystko się układało. Potem zaczęły się problemy…

– Nie musisz o tym mówić.

– Ale chcę – zaoponowała i poprawiła się na krześle. – Powinieneś znać cały kontekst.

– W porządku.

– Pierwsze sygnały powinnam odebrać już na początku. Zawsze chciał dominować w rozmowach, podejmował wszystkie decyzje i tylko pozornie dawał mi jakąkolwiek swobodę. W rzeczywistości stopniowo ją ograniczał, a w końcu całkowicie mnie ubezwłasnowolnił.

Napiłem się piwa, myśląc o tym, że w takim tempie za moment opróżnię butelkę. Przeszło mi przez myśl, by pójść do najbliższego sklepu po czteropak, ale szybko z tego zrezygnowałem. Chciałem mieć trzeźwy ogląd, kiedy Ewa przejdzie do rzeczy.

Jeszcze przez moment mówiła o tym, jak Reimann z każdym kolejnym tygodniem tłamsił jej wolność coraz bardziej. W pewnym momencie chciała od niego odejść, ale zaraz potem okazało się, że jest w ciąży.

Wtedy nastąpiła lawina. Groził jej, dochodziło do pierwszych rękoczynów. Zaczęło się od podduszania, potem uderzał tak, by nie zostawiać śladów. Ostatecznie folgował sobie do woli, szczególnie po narodzinach Wojtka, kiedy Ewa nie opuszczała willi.

– Byłam przerażona, Tygrysie – wyszeptała, zawieszając nieobecny wzrok na ścianie.

Sprawiała wrażenie zażenowanej, choć nie miała ku temu najmniejszego powodu. Każdy na jej miejscu by się bał.

– Po tym, co przeszłam… sam rozumiesz.

Pokiwałem smętnie głową.

– Wraz z tymi groźbami wszystko wróciło – dodała, otrząsając się z chwilowego marazmu. – Miałam wrażenie, że Robert jest gorszy od tych, którzy zaatakowali nas na Loży Szyderców. Że jest zdolny do znacznie brutalniejszych rzeczy, jeśli mu się nie podporządkuję. Przez długi czas byłam jak sparaliżowana.

Widząc przed momentem jej wyblakłe spojrzenie, mogłem to sobie wyobrazić.

– Na tym etapie nie miałam już do kogo się zwrócić. Straciłam wszystkich znajomych – ciągnęła. – W Rewalu praktycznie nikogo nie znałam. A nawet jeśli, to byli to ludzie w taki czy inny sposób powiązani z Robertem. Dopiero zatrudniając pracowników do Reimann Investigations, spotkałam pierwsze osoby, które nie miały z nim nic wspólnego.

I bez tego wiedziałem, że nie miała u kogo szukać ratunku. Po całym horrorze, który przeszła, po złudnej nadziei na to, że wreszcie zapomni, znalazła się w jeszcze gorszym położeniu.

Zamknąłem na moment oczy i opuściłem głowę.

– Ten facet z blizną… – powiedziałem. – Kim on jest?

– To Glazur.

– Kto?

– Pracownik RI, informatyk. To jemu wszystko zawdzięczam.

– Nie rozumiem.

– Zwróciłam się do niego, kiedy uznałam, że jesteś moim jedynym ratunkiem. Sądziłam, że to bezpieczne posunięcie, ale Robert zaczął coś podejrzewać. Zwolnił Glazura, na szczęście nie wnikając w szczegóły. Odsuwał ode mnie wszystkich, którzy zaczęli za bardzo się zbliżać.

– Dlatego Kliza wyleciała?

– Tak. Ją i Glazura spotkał identyczny los.

– Wiedziała o tobie? O twojej prawdziwej tożsamości?

– Nie. – Ewa potrząsnęła głową. – Glazur zresztą też wiedział tylko tyle, że jestem w patologicznym związku i próbuję się z niego wyrwać. I że tylko ty możesz mi w tym pomóc.

Na moment się zamyśliłem. Na pierwszy rzut oka wszystko to wydawało się logiczne, ale kiedy zacząłem się przyglądać całej konstrukcji, pojawiło się mnóstwo pytań. Przypuszczałem, że Ewa zaraz je rozwieje, mówiąc o tym, co popchnęło ją do podjęcia

takich, a nie innych decyzji. Pewna rzecz nie dawała mi jednak spokoju.

– Ale Kliza mogła przecież cię rozpoznać – powiedziałem. – Kiedy zajęła się sprawą.

Ewa się uśmiechnęła.

– Taki był plan.

– A konkretnie?

– Miała zobaczyć to zdjęcie, które zrobił na koncercie Phil Braddy. Ewentualnie to, które ty miałeś przez te wszystkie lata.

Czekałem na dalsze wyjaśnienia, gryząc się w język, by nie zasypać Ewy kolejnymi pytaniami. Moje starania spełzły na niczym.

– Kim on był? Braddy? – zapytałem.

– Tak naprawdę nie istniał. To Glazur zamieścił post, wprawiając wszystko w ruch.

– A potem go usunął?

– Nie, to zrobiła policja.

Podrapałem się w kark i pochyliłem nad niewielkim stolikiem.

– Ewa, musisz mi to wyjaśnić.

– Taki mam zamiar, choć planowałam opowiedzieć ci o wszystkim chronologicznie. Byłoby łatwiej.

– Zaraz do tego wrócimy – zaproponowałem. – Na razie powiedz mi, kto usunął to zdjęcie?

– Prokocki – odparła i ciężko wypuściła powietrze. – Nie miał pojęcia, że to ja za wszystkim stoję. Że robię, co mogę, żebyś mnie odnalazł. Zareagował więc tak, jak nakazywały mu to zasady i czysta ludzka moralność. Zaczął zacierać ślady, by ludzie Kajmana do mnie nie dotarli. Zdjęcia usunięto i zadbano o to, żeby więcej się nie pojawiły.

Teraz przynajmniej oględnie rozumiałem, co się wydarzyło. I jak bardzo pomyliliśmy się z Blitzem. Źle odczytaliśmy sytuację,

przypuszczając, że to wszystko jakaś machinacja ludzi, którzy chcieli wyrządzić Ewie krzywdę.

Tymczasem to policja starała się ją chronić.

I całkiem dobrze wywiązała się ze swojego zadania. Zadania teraz już uregulowanego w ustawie. Ewa zaczynała lata temu jako anonimowy świadek pozbawiony prawnych gwarancji, ale od kiedy weszły w życie zmiany, przysługiwało jej pełne, obligatoryjne wsparcie ze strony państwa.

Na Prokockiego musiał paść blady strach, kiedy uzmysłowił sobie, że ktoś trafił na jej trop. Był gotów zrobić wszystko, żeby nie dopuścić do jej odnalezienia. A ja stałem się ofiarą jego zabiegów.

Wyprostowałem się i założyłem ręce na karku. Zabolał mnie każdy mięsień, ale starałem się tego nie okazywać. Miałem zresztą wrażenie, że bardziej potłuczony zostałem pod względem psychicznym.

– Glazur musiał uważać – dodała. – A raczej to ja musiałam zadbać o to, by uważał. Nie wiedział tak naprawdę, w co się wpakował, a był mi jeszcze niezbędny.

– By dostarczyć mi nagrania?

– Zgadza się. A dzięki temu, że utrzymywaliśmy kontakt na RIC, wiedziałam, kiedy i gdzie będziesz.

– Stąd te dwunastogodzinne okresy, po których nagrania miały zniknąć.

– Tak, choć był to z mojej strony…

– Blef.

Potwierdziła ruchem głowy, unikając mojego spojrzenia.

– Glazur nie zniszczyłby pendrive'ów, nawet gdybyś się spóźnił.

– Więc po co było mnie tak gonić?

– Bo nie mogłeś pozostawać w jednym miejscu zbyt długo. Ludzie Kajmana cię namierzyli.

Ewa nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości, ja również nie. Prawdopodobnie obserwowali mnie od dawna, ale ostatecznym potwierdzeniem, że mnie śledzą, był fakt, że Falkow pojawił się w Chrząstowicach.

Czy potem ich zgubiłem? Najwyraźniej, skoro żaden z nich do tej pory nas nie odnalazł. Byliśmy bezpieczni. A przynajmniej tak powtarzałem sobie w duchu.

Ewa jednym sprawnym ruchem opróżniła kolejną buteleczkę.

– Masz jeszcze jakieś pytania? – odezwała się z przekąsem.

– Kilka się znajdzie.

– Więc wybierz jedno, bo zasycha mi w ustach i obawiam się, że długo już tak nie pociągnę.

– Załatwię ci jakieś lekarstwo na tę przypadłość.

– Jeśli tak, to zgadzam się na więcej pytań.

– Okej – odparłem, a potem niechętnie się podniosłem i spojrzałem w kierunku drzwi. – Masz jakieś preferencje?

– Prosecco – rzuciła bez wahania. – Ale, Tygrysie… dwie butelki.

Skinąłem głową i chciałem ruszyć przed siebie, ale złapała moją dłoń. Przyciągnęła mnie lekko, sama się podnosząc. Kiedy nasze usta się spotkały, miałem wrażenie, że cały świat wokół wiruje, a my znajdujemy się w oku cyklonu. Jakbyśmy w samym środku trzęsienia ziemi znaleźli schronienie. Trwało to tylko kilka sekund, ale wystarczyło, by wszystkie pytania, odpowiedzi, wątpliwości i niepewności przestały mieć jakiekolwiek znaczenie.

Spojrzeliśmy na siebie, a potem bez słowa odwróciłem się i wyszedłem z pokoju. Na trzęsących się nogach poszedłem w kierunku najbliższego sklepu. Nie myślałem o niczym, umysł miałem zupełnie sparaliżowany.

Rozglądałem się nieustannie, ale dopiero po przejściu kilkuset metrów uświadomiłem sobie, że nie szukam wzrokiem

monopolowego, ale oznak, że coś jest nie w porządku. Oznak, że czyha na nas niebezpieczeństwo.

Po całej tragedii, jaka rozegrała się w ostatnich godzinach, to wszystko było zbyt piękne, by mogło trwać. Mieliśmy z Ewą wrócić do naszego życia? Stworzyć razem nowe?

Jedna i druga możliwość wydawały się równie nierealne. Toczyłem wzrokiem po okolicy, jakbym szukał potwierdzenia, że perspektywa szczęśliwego końca naszej historii zaraz zniknie.

Nie dowiem się, czym się kierowała Ewa, dlaczego postąpiła w taki sposób – ani jak osiągnęła szereg rzeczy, które pozwoliły na realizację jej planu.

Gdzieś zza budynku zaraz wyłoni się policjant. A jeśli nie, to zobaczę błysk światła księżyca na broni trzymanej przez kogoś przysłanego przez Kajmana. Tu i teraz wszystko się skończy.

Ale w mroku nikogo nie dostrzegałem. Utykając, dotarłem w końcu do stacji benzynowej. Kupiłem dwie butelki prosecco, ignorując pełne niepokoju spojrzenie ekspedienta. Potem zabrałem z lodówki jeszcze czteropak heinekena.

Wracając do hotelowego pokoju, poczułem, że niepokój wraca. Przez moment przerodził się niemal w pewność, że nie zastanę w środku Ewy.

Zapukałem, sam nie wiem po co, a potem powoli otworzyłem drzwi. Zrobiłem krok do środka i zatrzymałem się. Z przerażeniem powiodłem wzrokiem po pustym pokoju.

– Ewa? – spytałem.

4

Czas dłużył mi się okropnie, kiedy czekałam, aż Werner wróci. Próbowałam zająć czymś myśli, ale bezskutecznie. Wirowały mi

w głowie jak szalone. Nie wiedziałam już nawet, od którego miejsca powinnam kontynuować opowieść.

Potrzebowałam alkoholu, tyle było pewne.

Kręciłam się trochę po pokoju, raz po raz wyglądałam za okno, a ostatecznie usiadłam z gazetą przy stoliku. Przewróciłam kilkanaście stron, nie mając nawet pojęcia, co czytam. Potem poszłam sprawdzić, co z Wojtkiem.

Wtedy usłyszałam, że otwierają się drzwi.

Zaraz potem rozległ się cichy odgłos kroków. Stawianych powoli, uważnie, jakby ktoś szedł po polu minowym. Wstrzymałam oddech.

Wypuściłam powietrze dopiero, kiedy usłyszałam, jak Damian wypowiada moje imię. Wyszłam z sypialni i cicho zamknęłam za sobą drzwi. Uśmiechnęłam się do Wernera. Wyglądał, jakby właśnie otarł się o śmierć.

– Coś nie tak? – zapytałam.

– Nie… nie, po prostu mnie wystraszyłaś.

– Czym?

Potrząsnął głową i machnął ręką. Wyciągnąwszy z torby prosecco, usiadł przy stole i zaczął mocować się z korkiem. Usiadłam po drugiej stronie, przyglądając się mu. Nie radził sobie zbyt dobrze i w innej sytuacji zapewne uznałabym, że to poniekąd urocze. Teraz jednak chciałam po prostu się napić.

Kiedy w końcu otworzył butelkę, trochę wina wylało się na stół. Zaklął cicho i się rozejrzał.

– Nie przejmuj się tym, rano sprzątniemy.

– Szukam kieliszka.

– Ach – odparłam z uśmiechem. – Akurat to mi zupełnie niepotrzebne.

Wzięłam butelkę, a potem nalałam sobie do tekturowego kubka, który obsługa hotelowa zostawiła z myślą, by goście mogli

zaparzyć sobie herbaty.

Po chwili Werner pił piwo, a ja swój ulubiony trunek. Od razu poczułam się lepiej. Myśli poukładały mi się w głowie na tyle, że wiedziałam, co powinnam teraz powiedzieć.

Damian był spięty, co rusz spoglądał z niepokojem w okno. Uznałam, że najlepiej będzie skierować jego myśli na coś innego niż hipotetyczne zagrożenie ze strony ludzi Roberta lub Kajmana.

Narobiliśmy sobie wrogów, nie ulegało to wątpliwości. Ale nikt nie wiedział, gdzie jesteśmy. Nikt nie był świadomy nawet, jakim samochodem się poruszamy. W tej chwili nic nam nie groziło.

– Na czym skończyliśmy? – spytałam.

– Na tym, że w pewnym momencie miałaś dosyć.

– To lekko powiedziane – przyznałam, odstawiając kubek. – Byłam już poza granicą wytrzymałości.

– Domyślam się.

– I postanowiłam w końcu działać.

– Więc dlaczego po prostu się ze mną nie skontaktowałaś?

– Nie miałam jak. Robert śledził każde moje posunięcie. Wiesz, ile wysiłku kosztowała mnie chwila rozmowy na RIC? I mogłam prowadzić ją tylko dlatego, że stukanie w klawisze nie wzbudzało jego obaw. Jego ani osób, które opłacał, by mnie pilnowały.

Werner uniósł brwi.

– Chodziło o ogrodników, sprzątaczki, ochroniarzy… właściwie mogłabym wymieniać bez końca. Wszyscy mieli na mnie oko.

– Mówisz, jakbyś była więźniem we własnym domu.

– Byłam. Ale nie tylko w domu.

Zmrużył lekko oczy, jakby ta świadomość spowodowała fizyczny ból.

– Długo zastanawiałam się, w jaki sposób nawiązać z tobą kontakt – podjęłam czym prędzej. – Musiałam znaleźć rozwiązanie, które nie zwróciłoby uwagi Roberta. I kanał

kontaktu, który udałoby mi się utrzymać w tajemnicy nie przez kilka godzin czy dni, ale znacznie dłużej. Nie wiedziałam, ile zajmie ci dotarcie tutaj, a mnie przelanie tych wszystkich środków finansowych i przygotowanie ucieczki.

Słuchał z uwagą, starając się nie uronić ani słowa. Pomyślałam, że nikt już dawno nie zachowywał się tak w stosunku do mnie. Nikt nie patrzył na mnie w taki sposób.

Uświadomiłam sobie, że przy Wernerze mogę cieszyć się prawdziwym poczuciem bezpieczeństwa. Nie musi mieć za sobą organizacji, która potrafiłaby stawić czoła mafii Kajmana.

Wystarczyło, że był gotów zrobić dla mnie wszystko.

Przypatrywałam mu się odrobinę zbyt długo, by nie zauważył, że odpłynęłam myślami. Poruszył się nerwowo, a potem napił się piwa.

– Nie bardzo rozumiem, jak to wynalezione przez ciebie rozwiązanie miało pomóc… – zauważył.

– Bo nie wiesz, że przez te wszystkie lata nauczyłam się manipulować Robertem. Przynajmniej do pewnego stopnia.

– To znaczy?

– Wiedziałam, że jeśli danej nocy rozsierdzę go nieco bardziej, sprowokuję do gorszych niż zwykle rzeczy, to następnego dnia będę mogła liczyć na więcej ustępstw z jego strony. Był jak wahadło, a ja nauczyłam się, jak wprawiać je w ruch.

– To brzmi raczej niepokojąco.

Wzruszyłam ramionami. Z zewnątrz rzeczywiście musiało to tak wyglądać. Ostatecznie jedynym sposobem wpływania na męża stało się zachęcanie go, by bił mocniej i częściej. Pokazywało to być może lepiej niż wszystko inne, w jak toksycznym, patologicznym związku żyłam.

– Mniejsza o wydźwięk – powiedziałam, nie chcąc tego rozważać. – Pewnej nocy zaczęłam robić mu przytyki seksualne.

Damian z trudem przełknął ślinę, a ja dopiero teraz uświadomiłam sobie, że jego wyobraźnia musiała już działać na najwyższych obrotach.

– Był aseksualny – wyjaśniłam. – Zaspokajał się wyłącznie przemocą.

Werner kiwnął głową.

– Wykorzystałam to, żeby go rozwścieczyć, kiedy zaczynał swój codzienny… rytuał.

– Przypuszczam, że nie było to trudne.

– Nie. Nie było.

Nie chciałam wracać myślami do tamtych wydarzeń. Kiedy zaczęłam zarzucać Robertowi, że jest impotentem, że nie potrafi się kochać, a w końcu że pociągają go mężczyźni, zrobił wszystko, by udowodnić mi, że tak nie jest.

Był to zwykły gwałt. Poprzedzony biciem i zakończony biciem.

Nie wiedziałam, że mąż posunie się tak daleko. Seksualna przemoc nigdy nie była jego domeną, wydawało się, że naprawdę jej nie potrzebuje, by zaspokoić swoje wynaturzone żądze. A mimo to tym razem właśnie do tego go popchnęłam.

Musiałam to zrobić. Nie było innego wyjścia.

– Następnego dnia zrobił to co zawsze – ciągnęłam. – Nie prosił o wybaczenie, czuł, że na nie nie zasługuje. Próbował za to ubłagać mnie, bym mu się odpłaciła. Oczekiwał, że będzie mógł jakoś zadośćuczynić. Chciał pokuty.

– Albo stwarzał takie wrażenie.

– Nie – odparłam stanowczo. – To był realny żal. Prawdziwe poczucie winy.

– Jakoś nie wyglądał mi na takiego, który…

– Dobrze go poznałam, Wern – ucięłam. – A raczej ich, bo było dwóch Robertów Reimannów. Teraz opisuję ci tego drugiego.

– Okej.

W jego głosie nie było ani joty przekonania, ale się nie dziwiłam. Każdemu na jego miejscu wydawałoby się, że wie lepiej ode mnie.

– Rankiem wykorzystałam to, co wypracowałam w nocy.

– W jaki sposób?

– Zmusiłam go, by obiecał mi wyjazd. Krótki, jednodniowy.

W oczach Wernera pojawiło się zrozumienie.

– Na koncert do Wrocławia?

– Tak. Zaczęłam planować to już kilka miesięcy wcześniej, kiedy tylko dowiedziałam się, że będą grać Foo Fighters. Wiedziałam, że pojawi się tam Blitzer, nie mógłby przegapić takiej okazji. – Nabrałam tchu i odrzuciłam grzywkę na bok. – I ja też nie.

– Ty nigdy nie przepadałaś za Foo Fighters.

Uśmiechnęłam się przelotnie.

– Ale Robert o tym nie wiedział. Co więcej, był przekonany, że wyjątkowo polubiłam tę kapelę.

– Tak?

– Katowałam ich albumy, od kiedy tylko dowiedziałam się o koncercie. A gdy nadeszła odpowiednia chwila, Robert nie miał wątpliwości, że naprawdę zależy mi na tym, by zobaczyć ich na żywo.

Damian uniósł brwi i ciężko wypuścił powietrze. Zupełnie jakby świadomość tego wszystkiego, co musiałam zrobić, zaczęła go przytłaczać.

– Tamtego dnia zrobiłam zamówienie w sklepie z odzieżą – dodałam z satysfakcją. – Dla Roberta kupiłam szarą bluzę z kapturem.

– Z napisem „There is nothing left to lose” i logiem Foo Fighters.

– Zgadza się.

– A dla siebie koszulkę, która doprowadziła mnie do twoich wskazówek.

W jego głosie wreszcie usłyszałam uznanie.

– To był jedyny sposób, żeby zrobić to bez wzbudzania podejrzeń – powiedziałam. – Robert skrupulatnie kontrolował moje zakupy. Właściwie to on decydował, co mogę zamówić.

Werner się wzdrygnął, coraz bardziej uświadamiając sobie, jak niewiele miałam kontroli nad własnym życiem. Zależało mi na tym, by to rozumiał. To wiele tłumaczyło, podobnie jak wszystkie te nagrania, które dla niego wykonałam.

Planowałam, by dzięki nim Damian nabrał poczucia, że możemy odzyskać przynajmniej część z tych zaprzepaszczonych dziesięciu lat. Nie byłam pewna, czy osiągnęłam swój cel.

– Ostatecznie pozostawało mi tylko zamówić bilety – dodałam.

– I liczyć na to, że Blitzer cię dostrzeże?

– Nie. Wystrzegałam się jego wzroku, nie mogłam ryzykować. Byłam tam przecież z Robertem.

– No tak…

– Ale na miejscu znajdował się także Glazur. Miał zrobić mi zdjęcie, które potem zamieścił na spotted i na profilach związanych z Foo Fighters. Wiedziałam, że Blitz pojawi się w jednym lub drugim miejscu.

Werner smętnie skinął głową.

– Jeśli chodzi o próby podrywu, na Blitzkriega zawsze można było liczyć – zauważył nieobecnym głosem. – Zresztą…

Urwał, ale domyślałam się, co chce powiedzieć – że w innych sferach też można było na nim polegać. Nie chciałam myśleć o Blitzie, był moim wyrzutem sumienia. Jego śmierć nigdy nie powinna mieć miejsca. Mój plan nie powinien do tego doprowadzić.

Nie wszystko jednak mogłam przewidzieć.

Na powrót skupiłam się na tym, co miałam powiedzieć Damianowi. By szło mi łatwiej, pociągnęłam łyk prosecco.

Potrzebowałam jeszcze przynajmniej kilkunastu, by słowa zaczęły się kleić.

Wern patrzył na mnie wyczekująco.

– Więc Phil Braddy miał upewnić się, że Blitzer ruszy twoim tropem – odezwał się.

– Glazur.

– No tak… Skąd w ogóle ta ksywka?

– Od tej blizny na twarzy.

– Adekwatnie.

Wzruszyłam ramionami, zastanawiając się nad tym, w którym miejscu podjąć wątek. W końcu uznałam, że najlepiej trzymać się chronologii. Zaczęłam opowiadać, jak nerwowo sprawdzałam postępy Blitza, jak czekałam, aż gdzieś pojawi się jakiś znak, że Damian włączył się w poszukiwania.

I jak zaskoczona byłam reakcją policji.

– Prokocki naprawdę poczuwał się do odpowiedzialności – powiedziałam. – Od razu zadbał o to, by wszystkie zdjęcia i tropy znikły. Chciał dobrze.

– Może.

– Na pewno. Jego jednego akurat nie podejrzewam o żadne przekręty. Chronił mnie przez te wszystkie lata.

– A jednak od kogoś wyszedł przeciek, niekoniecznie od Falkowa – mruknął Werner. – I to właśnie ta osoba doprowadziła do śmierci Blitza.

Pokiwałam smętnie głową.

– Wiesz, kto to zrobił?

– Nie – odparłam. – Prawdopodobnie ktoś z zewnątrz, opłacony przez Kajmana. Wątpię, żeby chciał używać do tego swoich ludzi lub wtyki w policji.

– Ale…

Wiedziałam doskonale, o co chce zapytać. Mimo to nie wychylałam się z odpowiedzią. Wyszłam z założenia, że lepiej będzie, jeśli Wern sam po kolei poukłada sobie wszystko w głowie.

– Ale to mnie oskarżyli – odezwał się po chwili. – Dlaczego? Przecież Prokocki musiał wiedzieć, że to nie ja zabiłem Blitza.

– Przypuszczam, że wiedział.

– Ale?

– Powiedziałam ci, że naprawdę poczuwał się do obowiązku, by mnie chronić.

– Aż tak?

– Dziwisz się? – spytałam, obracając tekturowy kubek, w którym bulgotały bąbelki dwutlenku węgla. – To policjant starej daty, który dał mi słowo, że będę bezpieczna. Po tym, jak Kajman zlecił zabójstwo moich rodziców, Prokocki poprzysiągł sobie, że zrobi wszystko, żeby nie spotkał mnie podobny los.

– Więc oskarżył mnie o zabójstwo, z którym nie miałem nic wspólnego?

– On tylko skierował uwagę prokuratora na…

– Bez takich – uciął Damian. – Chodzi mi o to, że to była jego decyzja. Po co to zrobił?

– Żeby mnie chronić – odparłam ciężko. – Założył, że to ty stanowisz dla mnie największe zagrożenie.

Damian prychnął cicho, jakbym powiedziała największą bzdurę.

– Był pewien, że całą tę akcję zainicjował Kajman – dodałam. – I że po latach w końcu znalazł sposób, by do mnie dotrzeć. Przez ciebie.

– Mhm.

– Prokocki był pewien, że ostatecznie dotrzesz do prawdy, odnajdziesz mnie na Pomorzu. I że tuż za tobą podążać będą ci, którzy od lat czekają, żeby się na mnie zemścić.

– Mógł więc po prostu…

– Co? – wpadłam mu w słowo. – Skontaktować się z tobą, kiedy ukrywałeś się przed wszystkimi?

Chyba dopiero teraz Werner uświadomił sobie, że tak naprawdę od momentu, kiedy odkrył ciało przyjaciela, pozostawał poza radarem. Z góry założył, że został wrobiony – i że będzie ścigany.

I właśnie o to chodziło Kajmanowi. Wyjęty spod prawa, szukający zaginionej narzeczonej, zdesperowany facet był znacznie bardziej przydatny. To dlatego zabili Blitzera, a Damiana pozostawili przy życiu.

Posunięcie Kajmana było genialne w swej prostocie. Osiągał wszystko, co chciał – nie założył jednak, że będę prowadziła Wernera od jednego punktu do drugiego, tym samym sprawiając, że zgubi ogon.

– Chcesz mi powiedzieć, że gdybym po prostu rozmówił się z Prokockim, to wszystko mogłoby inaczej się skończyć?

– Czasem zwykła rozmowa wystarcza – odparłam dyplomatycznie, a potem na moment zawiesiłam głos. – A czasem nie.

Zgodziliśmy się co do tego bez słów. Widziałam, że Damian czuje się podwójnie zmanipulowany. Najpierw przeze mnie, potem przez ludzi, którzy chcieli mnie dopaść.

Uznałam jednak, że nie pora na poprawianie jego samopoczucia. Musiał dowiedzieć się reszty.

– Prokocki w końcu uznał, że sytuacja jest kryzysowa. I że Kajmana dzieli już tylko krok od namierzenia mnie.

– Więc zrobił numer z ciałem na Bolko.

– Tak – odparłam i westchnęłam.

– Do kogo należało?

– Nie wiem. Przypuszczam, że to jakaś ofiara o nieustalonej tożsamości. A może w ogóle nie ma żadnego ciała.

– W dokumentach urzędowych na pewno istnieje.

Potwierdziłam cichym mruknięciem.

– Prokocki starał się przekonać wszystkich, łącznie z tobą, że nie żyję – dodałam, bo miałam poczucie, że to musi zostać powiedziane wprost. – Ale być może powinien to zrobić o wiele wcześniej, żeby przyniosło zamierzony efekt.

Werner zapatrzył się w jakiś punkt za oknem. Wiedziałam, że pozbierał już wszystkie elementy w spójną całość. Przynajmniej jeśli chodziło o działania innych. Nie byłam pewna, czy rozumie moje motywacje.

– Nie miałam innego wyjścia, Tygrysie – dodałam po chwili.

Uniósł pytająco brwi.

– Musiałam sprawić, żebyś cały czas pozostawał w ruchu.

– Wiem.

– I musiałam mieć pewność, że tylko ty odczytasz moje wiadomości. To było absolutnie kluczowe, bo nie ulegało wątpliwości, że ludzie Kajmana będą mieli cię na oku i dotrą do każdego śladu, który pozostawię.

Damian wstał i podszedł do okna. Przez chwilę trwał w bezruchu, nie odwracając się. Miałam wrażenie, że w całej konstrukcji, którą mu nakreśliłam, coś mu zazgrzytało. Na tyle głośno, że nie potrafił przejść obok tego obojętnie.

Nie wiedziałam jednak co.

5

Mężczyzna w sportowej czapce cofa się o dwa kroki, kiedy dostrzega, że w hotelowym oknie pojawia się Damian Werner. Raczej go nie zauważy, ale lepiej być bezpiecznym, niż potem żałować, że w tak głupi sposób pozwolił się wypatrzeć.

Kamuflaż ma dość dobry, zważając na miejsce, w którym się znajdują. Podjechał tutaj ciężarówką, nowym modelem scanii, czy też skakanki, jak zwykło się mówić na CB-radiu. Nikt nie zwracał na niego uwagi, a już szczególnie nie Werner.

Kierowca TIR-a się nie dziwił. Każdy uciekinier spodziewał się raczej tego, że będzie śledzony jakimś czarnym, podejrzanym samochodem. Ciężarówki pozostawały poza wszystkimi podejrzeniami. Były elementem krajobrazu na polskich drogach, wtapiały się w otoczenie.

Mężczyzna wiedział, że tylko w ten sposób będzie mógł niezauważenie podążać za Wernerem i Kasandrą.

Ciało Reimanna znalazł chwilę po tym, jak dwójka zbiegów opuściła willę. Zastanawiał się, co z nim zrobić, bo czasu miał dużo. Nie musiał jechać zderzak w zderzak za niebieskim peugeotem, zawczasu przygotował się odpowiednio do tego, by nie zgubić uciekinierów.

Reimann komplikował nieco sprawę. Trup mógł spowodować, że policja się zaangażuje. Śledczy nie będą czekać na wyniki ekspertyz kryminalistycznych, by dojść do tego, kto odpowiada za zabójstwo. Ale czy ktokolwiek mógł trafić na właściwy trop? Nie, raczej nie.

Kierowca przygląda się Wernerowi i zastanawia, jak długo będzie musiał jeszcze czekać, by podjąć działania. Właściwie jest już na to gotowy. Sam Damian nie miał pojęcia, że jest obserwowany – kiedy się zorientuje, że od początku mieli ogon, będzie już za późno, by cokolwiek zrobić.

Mężczyzna naciąga czapkę z daszkiem, a potem wraca do szoferki. Zatrzaskuje drzwiczki, ale nie zasuwa firanki. Zaparkował tak, by widzieć, co dzieje się w pokoju hotelowym.

Choć nawet gdyby nie dostrzegał zapalonego światła, wiedziałby, że Kasandra opowiada mu teraz o tym, jak przez lata unikała

Kajmana. Mężczyzna w czapce jest przekonany, że zna każdy szczegół. I że wie, jaki będzie każdy następny krok tej dwójki.

Prześpią się, odpoczną, a potem ruszą w dalszą drogę. Nie ma pewności, jaki kierunek obiorą, ale pewnie będą się starali opuścić terytorium Unii Europejskiej. Nie bez powodu zmierzali na wschód.

Gdzieś przed granicą, w stosunkowo niewielkiej mieścinie, zatrzymają się, by wyciągnąć gotówkę, którą Kasandra podebrała z kont męża. Tak zaopatrzeni ruszą dalej, by zacząć nowe życie.

Kierowca wbija wzrok w Wernera. Dostrzega na jego twarzy uśmiech, który sugeruje, że Damian może również myśleć o tej perspektywie.

Nadzieja jest matką głupich i zdradliwą kochanką zakochanych, myśli mężczyzna, a potem rozsiada się wygodniej i przygotowuje na długie czekanie. Czekanie, które zwieńczy swoim największym sukcesem.

6

Odwróciłem się od okna i przysiadłem na parapecie. Ewa patrzyła na mnie niepewnie, jakby spodziewała się, że nie zrozumiem tego wszystkiego, co nią kierowało.

Rozumiałem jednak doskonale. Trafiłem kiedyś na badania dotyczące przemocy domowej wobec kobiet, które mroziły krew w żyłach. Nie pamiętałem szczegółów, ale jedna statystyka zapadła mi wyjątkowo w pamięć. W ciągu tygodnia trzy kobiety ginęły z rąk ludzi takich jak Robert Reimann.

Ewa pewnego dnia mogła stać się jedną z tych trzech. Brutalność Reimanna narastała i nic nie wskazywało na to, by w pewnym momencie miało się to zmienić. By wyrwać się z tego

horroru, moja narzeczona musiała działać – i to zachowując najwyższą ostrożność. Nie tylko z obawy przed Kajmanem, ale także przed swoim mężem. Być może przede wszystkim przed nim.

Gdyby zorientował się, że Ewa zamierza od niego uciec, wszystko skończyłoby się tragicznie. To tłumaczyło, dlaczego zdecydowała się na tak skomplikowane rozwiązanie problemu.

Zamknąłem na moment oczy, myśląc o tym, jak wiele kobiet znajduje się w podobnej sytuacji. Trzy tygodniowo zostają zabite przez partnerów, ale ile doświadcza takiej gehenny jak Ewa? Gehenny, która rozgrywa się za zamkniętymi drzwiami i przez to nie jest uwzględniana w jakichkolwiek statystykach?

– Coś nie tak? – odezwała się nagle.

Podniosłem powieki.

– Nie, wszystko okej.

– Wyglądasz na zaniepokojonego.

Podniosła się i powoli do mnie podeszła. Stanęła przy oknie, a potem rozejrzała się czujnie po okolicy.

– Zobaczyłeś coś podejrzanego?

– Nie – odparłem, biorąc ją za rękę. – Chociaż w tej sytuacji odrobina paranoi właściwie byłaby wskazana.

Stanęliśmy naprzeciwko siebie, w odległości kilku centymetrów. Wpatrywaliśmy się w siebie tak długo, że miałem wrażenie, jakby cały świat na jakiś czas się zatrzymał, dając nam w końcu okazję do nacieszenia się swoją obecnością.

– Nikt nas nie śledzi – powiedziała Ewa. – Policja nie ma pojęcia, gdzie nas szukać. Kajman nie trafił na nasz trop, a ludzie Roberta nie wiedzą jeszcze, co się stało.

– Oby tak było.

– Zadbałam o to – odparła i się uśmiechnęła. – Akurat pod tym względem nic nam nie grozi.

– Ale pod innym tak?

Wypuściła moją rękę, a potem wróciła do stolika. Dolała sobie prosecco i usiadła tak, by mnie widzieć.

– Tego się obawiam – powiedziałam.

– Czego konkretnie?

Wydawało mi się, że trzy zagrożenia, o których wspomniała, w zupełności wyczerpują nasze hipotetyczne powody do zmartwień.

– Nie wiem, czy będziesz w stanie mi wybaczyć, Tygrysie.

– Co takiego?

– To wszystko, co zrobiłam… – zawiesiła głos i uciekła wzrokiem. – Wiem, jak to musi wyglądać.

– Jak?

– Jakbym się tobą bawiła – powiedziała wyraźnie zażenowana. – Jakbym egoistycznie postanowiła, że musisz przejść choć część tej drogi, którą ja obrałam.

Zmarszczyłem czoło, szukając dobrej odpowiedzi. Znałem jej pobudki, rozumiałem je doskonale. Powinna o tym wiedzieć, choć na jej miejscu być może też miałbym pewne wątpliwości.

– Mówisz, jakbyś mnie nie znała – powiedziałem, podchodząc do niej.

Długo nie odpowiadała. Zdecydowanie zbyt długo. Zdawałem sobie sprawę, co to oznacza.

Usiadłem naprzeciwko niej i zmusiłem się do uśmiechu. Nadal bolała mnie cała twarz, ale przypuszczałem, że w tej sytuacji najlepiej będzie po prostu do tego przywyknąć. Nie zapowiadało się, żebym szybko wrócił do pełni zdrowia. Fizycznego czy psychicznego.

– A przecież doskonale mnie znasz – odezwałem się.

– Jesteś pewien?

– Tak. Jestem tym samym facetem, który oświadczył ci się na Loży Szyderców. Może nie byłem nim przez dziesięć lat, ale teraz znów się nim stałem.

Patrzyła na mnie badawczo. Miałem świadomość, że zmierza do jednego, kluczowego pytania: czy nadal jesteśmy tymi samymi ludźmi, którzy związali się ze sobą wiele lat temu? Wydawało mi się, że tak. Mimo wszystkiego, co przeszliśmy.

– Nie chciałam cię przeczołgać, Tygrysie.

– Wiem – odpowiedziałem bez wahania. – I wiem też, że sama nie zdajesz sobie sprawy ze wszystkich swoich motywacji.

– Co takiego?

– Może nie jesteś gotowa tego przyznać, ale to wszystko było też pewnym sprawdzianem.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że podświadomie chciałaś, żebym zdał test oddania, miłości. Dzięki temu dowiedziałaś się, ile nadal dla mnie znaczysz. I że byłem gotów przejść przez dziewięć kręgów piekła, żeby cię znaleźć.

Uśmiechnęła się blado. Z pewnością nie takie były jej bezpośrednie pobudki, ale w głębi ducha musiała wiedzieć, że to także stanowiło część jej motywacji. Musiała potwierdzić, że ma do czynienia z tym samym Wernerem, którego znała.

Nie mogła pozwolić sobie na powtórkę błędu z Robertem.

– To nie tak – powiedziała.

– Mniejsza z tym. Ważne, że pokazałem ci, jak bardzo mi na tobie zależy.

Doceniła to lekkim uśmiechem.

– Fakt – przyznała.

Przyciągnąłem ją lekko do siebie i pocałowałem. Miałem niepokojące wrażenie, jakbym mógł przez to w jakiś sposób ją

skrzywdzić. Było to uczucie absurdalne i pozbawione podstaw, ale jednocześnie w pewien sposób usprawiedliwione.

Wszystko to, co przeszła Ewa, niemalże ją zniszczyło. A ja obawiałem się, że jednym niefortunnym ruchem mogę dopełnić dzieła.

– Nie obchodź się ze mną jak z jajkiem – powiedziała, jakby potrafiła czytać mi w myślach.

– Nie mam zamiaru.

Przechyliła głowę na bok, patrząc mi prosto w oczy.

– To do dzieła, Tygrysie.

Objąłem ją w pasie i starałem się sprawiać wrażenie, jakbym rzeczywiście miał zamiar przejść do rzeczy. Ale nie miałem. Wydawało mi się to w tym momencie niewłaściwe.

Jakbym ją wykorzystywał, robiąc użytek z dramatu, który musiała przeżyć. Nie było w tym żadnej logiki, ale właściwie w niczym innym również nie. Sytuacja, w której się znaleźliśmy, była niemożliwa.

Uciekaliśmy z kraju, ścigani przez policję i gang Kajmana. W dodatku kiedy tylko ludzie Roberta Reimanna rozeznają się w sytuacji, wyślą swoich goryli. Jakby tego było mało, towarzyszyło nam dziecko.

Pokręciłem głową.

– Nie tak wspominam twoje zabieranie się do roboty – odezwała się.

Zerknąłem w stronę łóżka.

– Dawno byś tam leżała, a ja na tobie, gdyby nie to, że Wojtek śpi w pokoju obok.

– Ooo – odparła z uznaniem. – Zrobiłeś się szarmancki na stare lata?

– Zawsze taki byłem.

Zamiast odpowiadać, wtuliła się we mnie jak w ciepły koc podczas chłodnej nocy. Słowa, które wymienialiśmy, właściwie niewiele miały wspólnego z rozmową, jaką naprawdę prowadziliśmy. Tę odbywaliśmy bez odzywania się.

Trwaliśmy przez jakiś czas w bezruchu i ciszy. W końcu Ewa cofnęła się jednak o pół kroku i spojrzała na mnie pytająco.

– Co chcesz jeszcze wiedzieć? – zapytała.

– Wszystko.

– To pytaj. Załatwmy to tu i teraz, i miejmy za sobą.

– Okej – odparłem, pozwalając poprowadzić się do stołu. – Ale przeszłość już mnie nie interesuje.

– Nie?

– Obchodzi mnie tylko to, co przed nami.

Jej uniesione brwi kazały mi sądzić, że nieprzesadnie mi wierzy.

– Nie chcesz zapytać o to, czy nie zmieniły mi się gusta kulinarne? Czy nie zaczęłam spędzać czasu wolnego przy komiksach Marvela? Czy nie zdecydowałam się na zabiegi plastyczne?

– A o co tu pytać? Patrzę na ciebie i widzę wszystko jak na dłoni.

– Tak? To proszę bardzo, powiedz, co się zmieniło.

Nalawszy sobie prosecco, skrzyżowała ręce na piersi i czekała, aż się odezwę.

– Zrobiłaś lekką korektę nosa, uwypukliłaś kości policzkowe i nieznacznie powiększyłaś usta.

– I?

– To wszystko.

– Niezupełnie. Zafundowałam sobie jeszcze korekcję cofniętej szczęki.

– Nigdy nie miałaś żadnej cofniętej szczęki.

– Może w twoich oczach – odparła z przekąsem. – Ale koniec końców nie chodziło o upiększanie.

– A mimo to skorzystałaś z okazji.

Wzruszyła ramionami i się uśmiechnęła. Nie dziwiło mnie, że starała się zmienić wygląd – na jej miejscu zdecydowałbym się dokładnie na to samo. Wprawdzie wbrew zapewnieniom chirurgów plastycznych takie zabiegi nie mogły zdziałać cudów, ale przy odrobinie szczęścia Ewie mogłoby się udać zmylić kilku zbyt wścibskich ludzi. Jeśli ktoś dobrze jej nie znał, być może nie rozpoznałby jej w Kasandrze Reimann. Ja jednak nie miałem z tym problemu.

Przypuszczałem, że zaczęła robić zabiegi po związaniu się z Robertem, wcześniej zapewne nie miała odpowiednich środków. Nie chciałem jednak o to pytać. Nie interesowało mnie nic, co wiązało się z tym człowiekiem.

Poza tym naprawdę zamierzałem skupić się na przyszłości. Przed nami było jeszcze sporo do zrobienia.

– Teraz chyba i ja powinienem się zainteresować jakąś plastyką…

– Wystarczy, że zapuścisz brodę.

– Myślisz?

– Tam, gdzie się udajemy, niczego więcej ci nie potrzeba, Tygrysie.

– A gdzie się udajemy?

– W przeszłość.

– Czyli na Białoruś?

– Albo Ukrainę. Ewentualnie do Kaliningradu – odparła, odstawiając kieliszek. – Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli decyzję podejmiemy już po opróżnieniu wszystkich kont.

– Nikt nas nie namierzy?

– Nie.

W jej głosie nie było żadnej niepewności. Była przekonana, że o wszystko zadbała.

– Każde z kont jest na ciebie, wpłaty były w takiej wysokości, by skarbówka nigdy się nimi nie zainteresowała, a mnie ani Roberta nic z nimi nie łączy. Przynajmniej na papierze. Nawet gdyby ktoś teraz… odkrył ciało, nie zdąży w porę dotrzeć do tych środków.

– Oby.

Było to nasze jedyne ubezpieczenie. Na Białorusi czy Ukrainie nie mogliśmy liczyć na żadną dobrze płatną pracę, ale środki zgromadzone przez Reimanna po wymianie na ruble lub hrywny pozwolą na dostatnie życie. Przy odrobinie szczęścia uda nam się dobrze je ulokować i pomnożyć, pomyślałem.

Zresztą i na to zapewne Ewa miała już przygotowany plan.

– Policja nie wpadnie na mój trop? – odezwałem się.

– Wpadnie. Ale będziemy już daleko stąd.

– Jesteś pewna?

– Tak – znów potwierdziła bez wahania. – Poszukują cię w Opolskiem, ewentualnie w okolicy. Tutaj jeszcze przez jakiś czas jesteś bezpieczny.

Miała rację. Jakkolwiek dla mnie zabójstwo Blitza stanowiło tragedię, z punktu widzenia polskich organów ścigania nie miało priorytetu nad podobnymi sprawami. W razie czego zresztą wystarczyło, by Ewa rozmówiła się z Prokockim i zapewniła go, że dalsze ściganie mnie jest bezsensowne.

– Więc co teraz? – zapytałem.

– Z samego rana pojedziemy w kilka miejsc, wypłacimy, co trzeba, a potem znikniemy.

– A dokumenty?

– To też już załatwione.

– Jak?

– A musisz się tak interesować?

– Biorąc pod uwagę, że przegoniłaś mnie po całej Polsce, trzymając w absolutnej niewiedzy, mam chyba…

– Tak, tak – ucięła i machnęła ręką. – Masz pełne prawo wiedzieć, z jakimi szemranymi ludźmi się dogadałam.

Tak naprawdę nie musiałem znać każdego szczegółu. Oczywiste było dla mnie, że Ewa skorzystała ze znajomości, które nawiązała dzięki mężowi. A jednocześnie, że nie sięgnęła po pomoc ludzi, którzy mogliby donieść o tym komuś z jego otoczenia. Przynajmniej nie od razu.

– Glazur nadal nam pomaga? – zapytałem.

– Nie, kazałam mu zniknąć zaraz po tym, jak przekazał ci ostatnią wiadomość. Nie mogłam ryzykować. I tak zrobił dla mnie dużo. Zajął się właściwie wszystkim, co wiązało się ze sprawami informatycznymi. Od umieszczenia śladów w deep webie aż po wybór formatu pliku.

– Nie wyglądał mi na takiego zaradnego.

– Pozory mylą. Potrafi naprawdę sporo.

– Powinienem być zazdrosny?

– Nigdy – odparła z przekąsem. – I o nikogo.

Słusznie, że go odsunęła, uznałem w duchu. Na tym etapie ktokolwiek wtajemniczony w sprawę stanowiłby dla nas wyłącznie obciążenie. Zawiesiłem wzrok na Ewie i przez chwilę starałem się stwierdzić, jak bardzo jest pewna tego, że uda jej się zrealizować plan do końca. Dotychczas brnęła przed siebie niezłomnie, ale jak długo mogła to jeszcze robić?

W jej oczach nie widziałem żadnych oznak zwątpienia. Pozwoliło mi to wierzyć, że naprawdę nic nam nie grozi.

Mimo to nie mogłem zmrużyć oka, kiedy w końcu się położyliśmy. Było już nad ranem, powoli zaczynało widnieć. Pierwsze odgłosy budzących się ptaków stanowiły ostateczne potwierdzenie tego, że jest już za późno, by wypocząć.

Przeleżeliśmy godzinę, może dwie. Potem zgodnie uznaliśmy, że pora ruszać w drogę. Wojtek obudził się tylko na moment, by jak w transie przejść z pokoju do samochodu. Położył się na tylnym siedzeniu i znów zapadł w sen. Zazdrościłem mu dziecięcej beztroski.

Tym razem to ja usiadłem za kierownicą. Zerknąłem na ciężarówki zaparkowane wzdłuż niewielkiej drogi dojazdowej i przeciągnąłem się. Miałem wrażenie, że pękają mi przy tym żebra.

Niedługo potem wyjechaliśmy na drogę prowadzącą na wschód. Towarzyszyło mi poczucie ulgi, jakbyśmy wszelkie niebezpieczeństwo zostawili daleko za sobą. Momentami nie martwiłem się nawet tym, co może czekać nas na granicy.

A w pewnej chwili niemal zapomniałem, że wciąż powinniśmy mieć się na baczności. Opuściłem gardę, pozwoliłem sobie na to, by nacieszyć się odrobiną szczęścia. A ilekroć wymieniałem się krótkimi spojrzeniami z Ewą, utwierdzałem się w przekonaniu, że mam do tego pełne prawo.

Jechaliśmy powoli, przepisowo. Za nami od pewnego czasu w oddali ciągnęła się ciężarówka, chyba scania.

Kiedy słońce wynurzyło się znad wilgotnej drogi przed nami, miałem wrażenie, że wraz ze świtem nadchodzi nasza wspólna, pełna radości przyszłość. Wiedziałem, że Ewa ma podobne odczucia. Trwaliśmy w przekonaniu, że jesteśmy nieśmiertelni.

Pod wieczór, niedługo po tym, jak wypłaciliśmy wszystkie pieniądze i ostatecznie skierowaliśmy się ku Ukrainie, życie brutalnie uświadomiło nam, jak bardzo się pomyliliśmy.

Znajdowaliśmy się na niewielkiej jednopasmowej drodze, bezpiecznie oddalonej od głównych ciągów komunikacyjnych. Unikając ekspresówek, zamierzaliśmy dostać się do granicy z Ukrainą drogami wojewódzkimi.

Wyszliśmy z założenia, że teraz, kiedy mamy w samochodzie cały swój dobytek, całą swoją przyszłość i kiedy znajdujemy się tak blisko celu, nie możemy pozwolić sobie choćby na najmniejsze ryzyko.

To był nasz błąd.

Błąd, który sprawił, że w istocie podjęliśmy największe ryzyko. Kiedy znajdowaliśmy się na pustej drodze przecinającej przepastne pola uprawne, dostrzegłem w lusterku tę samą scanię, która jechała za nami na północy kraju.

Było jednak już za późno, bym cokolwiek zrobił. Przyspieszała, jakby kierowca zasnął za kierownicą, a tempomat ustawił tak, by pojazd stopniowo nabierał prędkości. Zanim się zorientowałem, że samochód ciężarowy nie zdąży wyhamować, ten znajdował się już w odległości kilku metrów od naszego peugeota.

7

Mężczyzna w czapce jest przekonany, że wybrał dobry moment. Zanim podjął decyzję, jechał za niebieskim samochodem w odpowiedniej odległości przez wiele kilometrów. Przestudiował wcześniej mapę, przygotował się najlepiej, jak mógł.

Musiał tylko poczekać na odpowiednią chwilę, a ta nadeszła właśnie teraz. Znaleźli się na prostym odcinku drogi, najbliższe odbicie według systemu nawigacji znajdowało się kilka kilometrów dalej.

A kawałek przed peugeotem jechała kolejna ciężarówka. Mężczyzna sprawdził przez CB-radio, z kim ma do czynienia – i szybko okazało się, że lepiej być nie mogło. Pojazdem kierował Ukrainiec, nierozumiejący wiele po polsku. Przy odrobinie

szczęścia mógł przewozić dodatkowy, nie do końca legalny ładunek, co sprawi, że nie zaalarmuje służb.

Ale może nie będzie powodu, by się nad tym zastanawiać, myśli mężczyzna w czapce i przyspiesza jeszcze bardziej. Obserwuje z uwagą, jak zachowa się Damian Werner. I już po chwili wie, że towarzysz Kasandry nie ma pojęcia o zbliżającym się zagrożeniu.

Na moment przed tym, jak przód ciężarówki uderzyłby w tylny zderzak peugeota, mężczyzna wdusza pedał hamulca. Werner reaguje dokładnie tak, jak powinien – przyspiesza.

Stara dwieście szóstka ma pod maską może sto koni, niespecjalnie szybko nabiera prędkości. Gdyby mężczyzna nie zahamował, Damian nie miałby szans.

Ale nie chodziło o to, by spychać ich z drogi. Zbyt duże ryzyko, uznał kierowca.

Wprawdzie miał pełną swobodę w podejmowaniu doraźnych decyzji, ale jedna wytyczna pozostawała bez zmian – Kasandrze ani dziecku nie może stać się krzywda.

Wernera właściwie też powinien oszczędzić. Gdyby jednak przyszło co do czego, byłby gotów spisać go na straty.

Kierowca podnosi gruszkę od radia i odchrząkuje. Jego rosyjski jest trochę przykurzony, nie używał go od dawna, ale przypuszcza, że zdoła powiedzieć tyle, ile trzeba.

Dotyka przycisku na boku, nabiera tchu, a potem krzyczy do jadącego przed nim Ukraińca, by ten przyspieszył. By za nic w świecie nie dał się wyprzedzić peugeotowi.

Mężczyzna nie wie, na ile jego paniczne okrzyki okażą się skuteczne, ale jeśli drugi kierowca rzeczywiście wiezie pozbawione akcyzy papierosy, olej napędowy czy cokolwiek innego, co mogłoby zaniepokoić celników, zapewne nie będzie ryzykował. Zresztą solidarność mobili powinna zrobić swoje.

Wyraźnie przyspiesza, odpowiada coś przez radio, ale mężczyzna w czapce już go nie słucha. Teraz wszystko zależy od niego. Znów wciska pedał gazu, tym razem nie mając już zamiaru hamować. Niebieska osobówka znajduje się w potrzasku.

8

– Wyprzedź go! – krzyknęłam, choć wiedziałam, że Werner nie zdąży w porę.

Wszystkie trzy pojazdy poruszały się ze zbyt dużą prędkością, Damian nie miał czasu na odpowiednią reakcję. Mógłby wprawdzie szarpnąć kierownicą w bok, odskoczyć na przeciwległy pas ruchu, ale zdawał sobie sprawę z podwójnego niebezpieczeństwa, jakie się z tym wiązało.

Nie sposób było dostrzec, czy ktoś nie nadjeżdża z naprzeciwka. Czołówka z innym samochodem byłaby tragiczna, nie było sensu łudzić się, że którekolwiek z nas by przeżyło. Peugeot zwinąłby się jak harmonijka.

A gdybyśmy nawet mieli odrobinę szczęścia i nie wpadli na nikogo, w okamgnieniu znaleźlibyśmy się na równi z TIR-em. Wystarczyłoby, żeby kierowca skręcił lekko w naszym kierunku, a naczepa zepchnęłaby nas na pobocze.

Rezultat mógłby być równie tragiczny jak czołowe zderzenie z innym samochodem.

Mimo to krzyknęłam ile sił w płucach, byśmy się ratowali. Werner na szczęście to zignorował, nie próbując nawet wyprzedzać jadącej przed nami ciężarówki.

W ułamku sekundy znaleźliśmy się między jednym a drugim samochodem.

– Mamo! – wrzasnął Wojtek z tylnego siedzenia, kiedy pojazd jadący za nami uderzył lekko w zderzak.

Widziałam, jak Damian zaciska ręce na kierownicy, aż bieleją mu knykcie.

– Mamo! – darł się mój syn.

Chciałam go uspokoić, chciałam powiedzieć cokolwiek, ale nie potrafiłam wydusić z siebie słowa. Zaparłam się o deskę rozdzielczą, mimo że było to chyba najgorsze, co mogłam zrobić.

Przy zderzeniu mogłabym w ten sposób połamać ręce, nie wspominając już, że przeszkodziłabym poduszce bezpieczeństwa w tym, do czego została zaprojektowana. O ile peugeot w ogóle był w nią wyposażony.

Myśli przemykały przez moją głowę jak pioruny. Nie mogłam ich zebrać, odnaleźć odpowiedniego rozwiązania. W końcu wbiłam wzrok w tylne lusterko.

– Werner! – krzyknęłam. – On jest sam!

Damian spojrzał na mnie przerażony.

– Ten przed nami to przypadkowy Ukrainiec!

Widziałam, że nie rozumie, co mam na myśli. Na Boga, uciekały cenne sekundy, a ja nie mogłam pozwolić sobie na to, by stracić jeszcze choćby jedną.

– Hamuj!

– Zwariowałaś?!

– Już!

Wreszcie zrozumiał, a przynajmniej takie odniosłam wrażenie. Jedynym ratunkiem było wytracenie prędkości, pozwolenie Ukraińcowi, by się oddalił, a potem gwałtowne przyspieszenie. Silnik może nie miał dużej mocy, ale osobówka mogła nabrać prędkości szybciej niż samochód ciężarowy.

Innej opcji nie było.

– Hamuj! – krzyknęłam.

W końcu to zrobił. Wszystko rozgrywało się w ciągu kilku sekund, nie mieliśmy czasu na kwestionowanie czegokolwiek. Musieliśmy ratować się w jedyny możliwy sposób, na który udało nam się wpaść.

Werner wcisnął mocno pedał hamulca, a ja ze zgrozą wpatrywałam się w lusterko. Obawiałam się, że Damian przesadził, robiąc to zbyt gwałtownie.

Górna część szoferki zdawała się wygiąć do przodu, kiedy kierowca ciężarówki starał się wyhamować. Jechaliśmy przez krótki moment zderzak w zderzak.

A potem stało się to, co nie powinno.

Napór wielotonowego pojazdu sprawił, że Werner skręcił lekko kierownicą w prawo. Rozległ się pisk opon, a ułamek sekundy potem peugeot stracił przyczepność. Samochód zjechał w bok, Wojtek krzyknął z przerażenia. Jego wrzask odbił mi się w uszach obezwładniającym echem.

Auto wypadło z drogi i wbiło się w niewielki rów. Rozległ się huk, który przywodził na myśl eksplozję. Nic jednak nie wybuchło. Wpadliśmy w niewielką skarpę między drzewami, a ja natychmiast zrozumiałam, jak wiele szczęścia mieliśmy.

Przez moment byłam zdezorientowana, nie rozumiałam, co się dzieje. Poczucie nierealności sytuacji zupełnie mnie unieruchomiło. Szybko jednak się otrząsnęłam. Raptownie szarpnęłam za pas, starając się odwrócić i sprawdzić, co z Wojtkiem.

Czym prędzej wcisnęłam przycisk zwalniający, pas cofnął się ze świstem, a ja wygięłam się do tyłu. Mojemu synowi nic się nie stało. Był w szoku, oddychał nierówno i rozglądał się nerwowo, ale był cały.

Odetchnęłam, jedynie kątem oka dostrzegając, że Damian wyskakuje z auta. Zanim zdążyłam zorientować się w sytuacji,

pędził już w kierunku hamującego samochodu ciężarowego.

Podjął dobrą decyzję. Widział, że kierowca był sam, w tej chwili jedynym rozsądnym wyjściem było przejęcie inicjatywy. Tyle że w starciu jeden na jeden mógł nie mieć większych szans.

Krzyknęłam do Wojtka, żeby się nie ruszał, a potem popchnęłam drzwiczki. Wypadłam z samochodu, jakby się paliło, i popędziłam za Wernerem. Nagle wszystkie wyrządzone przez Roberta rany zdawały się zniknąć. Przynajmniej na tyle, że nie czułam paraliżującego bólu.

Wiedziałam, że to zasługa adrenaliny i że za moment wszystko wróci.

Biegliśmy z Wernerem ile sił w nogach. Damian zdawał sobie sprawę, że jeśli chce w ogóle myśleć o obezwładnieniu kierowcy, musi dobiec do szoferki, zanim przeciwnik zdąży rozeznać się w sytuacji.

Nie potrafiłam go dogonić. Nie mogłam zrobić wdechu i miałam wrażenie, jakby coś od środka rozrywało mi płuca.

Kiedy Werner dopadł do ciężarówki, musiałam się zatrzymać. Byłam w gorszym stanie, niż przypuszczałam. Adrenalina czy nie, moje ciało dało mi jasny sygnał, że na nic więcej go nie stać.

Zgięłam się wpół, oparłam na kolanach i głośno sapiąc, podniosłam wzrok.

Zobaczyłam, jak drzwiczki się otwierają. Z szoferki wyskoczył mężczyzna, zupełnie nieświadom tego, że Damian znalazł się tuż obok. Kiedy tylko się wychylił, Wern złapał go za koszulę i wyrzucił na ulicę.

Nie zastanawiając się długo, wymierzył mu kopniaka prosto w głowę.

Mężczyzna nie miał najmniejszych szans.

Zamknęłam na moment oczy, zaczerpnęłam tchu, a potem popędziłam wzdłuż pobocza. Kątem oka dostrzegłam niewielką

gałąź, której mogłabym użyć. Chwyciłam za nią w biegu, zwalniając tylko na moment. Potem zmobilizowałam wszystkie siły, by jak najprędzej znaleźć się przy ciężarówce.

Damian uderzył jeszcze raz, a potem nagle zamarł.

Doskonale wiedziałam dlaczego.

9

Działałem jak automat. Nie zastanawiałem się, nie kalkulowałem, nie szacowałem swoich szans w starciu z tym człowiekiem. Wiedziałem tylko tyle, że był w samochodzie sam. To wystarczyło, bym podjął decyzję.

Kiedy wyrzuciłem go z pojazdu, nie zawahałem się przed uderzeniem. Na szali było bezpieczeństwo Ewy, Wojtka i moje. Nie, nie tylko bezpieczeństwo, ale cała nasza przyszłość.

Ten człowiek mógł nam ją odebrać.

Bez opamiętania uderzyłem drugi raz i miałem zamiar kontynuować dopóty, dopóki będę miał pewność, że kierowca już nie wstanie. Wtedy jednak spojrzałem na jego twarz.

Z kącika ust pociekła mu krew, na skroni pojawiło się rozcięcie, a tuż obok wyraźny ślad po którymś z moich ciosów. Czerwona strużka spływała w kierunku oka. I zalała niewielką bliznę pod nim.

Stałem jak rażony piorunem, w pierwszej chwili nie rozumiejąc, jak to możliwe. Umysł płata mi figle? Śnię? Miałem przed sobą człowieka, którego spotkałem między innymi w Biskupinie.

Mężczyznę z blizną pod okiem.

Glazura.

Tego, który pomagał Ewie od samego początku, który zajął się wszystkimi informatycznymi trudnościami, który dostarczał mi

kolejne strzępki informacji. Który został za to wyrzucony z pracy, musiał pożegnać się z karierą i prawdopodobnie był nieustannie obserwowany przez ludzi Roberta Reimanna.

Co tu się działo, do cholery?

Cofnąłem się o krok, nie rozumiejąc, dlaczego Glazur miałby nas atakować. Ani jak miałby nas znaleźć.

Nie miał nic wspólnego z przestępczą organizacją Reimanna. Z tą, na której czele stał Kajman, także nie. Gdyby było inaczej, Glazur już dawno pokazałby, jakie są jego prawdziwe motywy. Miał mnóstwo okazji, by to zrobić.

Myśli kotłowały mi się w głowie. Słyszałem, że Ewa biegnie w naszym kierunku, ale nie mogłem się poruszyć.

– Co ty, do kurwy nędzy… – wydukałem.

Leżący na ziemi mężczyzna wypluł trochę krwi i popatrzył na mnie niepewnie. Nie dostrzegłem w jego oczach strachu, choć powinien tam być.

Może współpracował z policją? Nie, to także nie miało sensu.

– Kim ty jesteś? – zapytałem.

Mruknął coś niezrozumiałego, a ja cofnąłem się o pół kroku. Dopiero teraz zrozumiałem, że jest bardziej oszołomiony ode mnie. Tyle że w jego przypadku ciosy padły na ciało, w moim zaś na umysł. Nie potrafiłem pozbierać myśli.

Obróciłem się w kierunku, z którego nadbiegała Ewa.

Wtedy nadeszło uderzenie. Mocne, szybkie i stanowiące przypieczętowanie tego wszystkiego, co się wydarzyło. Czułem, że oberwałem w skroń, ale mój umysł odmawiał próby zrozumienia, skąd nadszedł cios.

Zatoczyłem się lekko, a wtedy Ewa uderzyła jeszcze raz.

W głowie zahuczało mi, jakbym podczas szalonego rockowego koncertu stał tuż przy gigantycznych głośnikach. Poczucie

dezorientacji ustąpiło miejsca zupełnej niemocy. Runąłem na ziemię, nie potrafiąc zamortyzować upadku.

Ewa stanęła nade mną, głośno oddychając. Opuściła rękę, a ja zobaczyłem krew skapującą z końcówki gałęzi. Czułem mokrą, powiększającą się plamę z tyłu głowy.

Niczego nie rozumiałem.

Absolutnie niczego.

Ewa minęła mnie, nie poświęcając mi uwagi. Zupełnie jakby uznała, że nie stanowię już zagrożenia i nie warto się mną interesować. Przykucnęła przy Glazurze, a potem dotknęła jego twarzy.

Powiedziała coś, ale zrobiła to tak cicho, że niczego nie zrozumiałem.

Próbowałem się podnieść, ale zdołałem jedynie drgnąć. Uświadomiłem sobie, że jedno z uderzeń musiało być wyjątkowo niefortunne. Wyrządziło mi więcej krzywdy, niż Ewa zamierzała. A przynajmniej tak kazały sądzić mi resztki racjonalności, z których korzystałem do oceny sytuacji.

Co się właściwie wydarzyło? O co tu chodziło?

I czy to naprawdę właśnie miało miejsce? Czy może spałem w hotelowym pokoju, śniąc najgorszy koszmar mojego życia?

Ewa pomogła Glazurowi wstać, a potem obejrzała jego twarz. Kiedy położył dłonie na jej talii i się odezwał, wyglądał jak zwyczajny mężczyzna zapewniający ukochaną, że wszystko jest w porządku.

Zacząłem powoli czołgać się w ich kierunku.

Zupełnie tak, jak dziesięć lat temu robiłem to na Loży Szyderców.

Historia zatoczyła koło.

10

Glazur cofnął ręce, jeszcze raz zapewnił mnie, że nic mu nie jest, a potem popatrzył z niepokojem na peugeota.

– Wojtkowi nic się nie stało? – zapytał.

– Nie, wszystko w porządku. Jest trochę przestraszony, ale… zaraz się nim zajmiemy.

Pokiwał głową, a potem przeniósł wzrok na Wernera. Przyglądał mu się długo, podczas gdy ja starałam się ocenić, czy Glazur nie doznał wstrząśnienia mózgu. Szybko się zorientował, że przeszło mi to przez myśl, objął mnie i zapewnił, że nic mu nie jest.

– Mocno oberwałeś – zaoponowałam.

– Mogło być gorzej.

Trudno było się z tym nie zgodzić. To wszystko miało skończyć się zupełnie inaczej – i zapewne tak by było, gdyby tylko Damian nie stracił panowania nad kierownicą. Żadne z nas jednak nie miało zamiaru tego roztrząsać.

Teraz nie było już sensu.

– Nie musiałaś tak mocno mu przywalić – zauważył Glazur.

Wzięłam go za rękę, a on przyciągnął mnie do siebie.

– Już wszystko w porządku – powiedział.

– Wiem.

Znów spojrzał w stronę Damiana.

– Werner przeżyje? – spytał.

Miałam nadzieję, że tak. Nigdy nie chciałam, by spotkało go więcej nieszczęścia, niż było to absolutnie niezbędne do realizacji mojego planu.

– Oby – powiedziałam.

– Mogłaś chociaż nie poprawiać.

– Musiałam mieć pewność, że już ci nie zagrozi.

– Nie zagroziłby. Rozpoznał mnie i pewnie już sam zaczynał rozumieć, co się dzieje.

Nie przypuszczałam, by tak było. Z punktu widzenia Damiana sytuacja wyglądała kompletnie inaczej niż w rzeczywistości.

Zasługiwał na to, by poznać prawdę. Miałam zamiar przedstawić mu ją w zupełnie innych okolicznościach, złagodzić nieco cios, który otrzymał od losu.

Nie, nie od losu. Ode mnie, Glazura i wszystkich innych, którzy byli zaangażowani w to przedsięwzięcie. Czas najwyższy, bym to otwarcie przed sobą przyznała. Nabrałam tchu, a potem obróciłam się w stronę Damiana.

Czołgał się ku nam, zostawiając za sobą czerwony ślad. Wyglądało to okropnie, jakby pokonywał ostatnie metry przed granicą, która oddzielała go od śmierci.

Rozejrzałam się nerwowo.

– Nie mamy wiele czasu – odezwał się Glazur.

– Wiem.

– Jeśli chcesz powiedzieć mu, co i jak, musisz się pospieszyć.

– Chcę, ale…

– Co? – spytał Glazur, ściągając mój wzrok. Spojrzał mi głęboko w oczy. – Należy mu się chociaż to, żeby poznał prawdę.

– Wiem – przyznałam. – Ale nie stać nas na dalsze ryzyko.

Nie musieliśmy długo tego roztrząsać. Wystarczyłby jeden przejeżdżający obok samochód, by przepadło wszystko, na co tak długo pracowaliśmy.

Ruszyliśmy bez słowa w kierunku peugeota. Wiedziałam, że Wojtek ucieszy się na widok Glazura. Krzyknie pewnie entuzjastycznie, tak jak miał to w zwyczaju: „wujek!”. Potem Glazur weźmie go na ręce, zaniesie do szoferki i zachowa na tyle ostrożności, by Wojtek nie zobaczył leżącego na jezdni Damiana.

Wytłumaczymy, że Werner musiał nas opuścić. Wojtek nie będzie dociekał, nie zdążył go zbyt dobrze poznać, co dopiero się do niego przywiązać. Damian był dla niego niemal anonimowym człowiekiem, a za kilka lat z pewnością nie będzie pamiętał, że w ogóle go spotkał.

Ja i Glazur nie będziemy mogli powiedzieć tego samego.

Przenieśliśmy Wojtka do ciężarówki, a potem zajęliśmy się tym, co znajdowało się w peugeocie. Pospiesznie zawinęliśmy wszystkie pieniądze w niewielkie pakunki i ukryliśmy je pośród towaru w naczepie. Wszystko było gotowe do przekroczenia granicy.

Popatrzyliśmy na siebie zadowoleni. W głębi ducha towarzyszyło mi jednak poczucie zawodu. I Glazur w pewnym momencie musiał je dostrzec, bo zmarszczył z niepokojem czoło.

– Naprawdę chciałam mu wszystko wyjaśnić – powiedziałam.

Rozejrzał się.

– Może mamy jeszcze chwilę.

– Nie – zaoponowałam stanowczo.

Glazur skinął głową i wsiadł do szoferki. Ja zaś przykucnęłam obok Wernera. Tracił przytomność i się wykrwawiał. Uznałam, że w tym stanie i tak niewiele by usłyszał i jeszcze mniej zapamiętał.

– Przykro mi – powiedziałam tylko.

Podniosłam się, a potem ruszyłam w stronę samochodu. Wsiadłam do środka i uśmiechnęłam się do Glazura. Odpowiedział mi tym samym. Nic więcej do szczęścia nie było mi potrzebne.

Kiedy odjeżdżaliśmy, zerknęłam jeszcze w boczne lusterko. Wydawało mi się, że Werner lekko podniósł głowę.

11

Chciałbym powiedzieć, że ocknąłem się w szpitalu, ale nie byłaby to prawda. Otworzyłem wprawdzie oczy, leżąc w szpitalnej sali, ale obudziłem się tak naprawdę w nowej rzeczywistości.

Była odarta z marzeń, złudy i nadziei. W końcu stała się czymś prawdziwym. Realnym miejscem, do którego od pewnego czasu zmierzałem.

Przy łóżku siedzieli matka z ojcem. Na korytarzu raz po raz widziałem przechadzającego się leniwie policjanta. Z jego perspektywy nic się nie działo. Nie musiał czymkolwiek się przejmować, a już szczególnie mną.

Zostałem oczyszczony z zarzutów, poszukiwania zabójcy Blitza się zakończyły, a podejrzanego zamknięto już w areszcie śledczym. Był to człowiek znany policji, ale niepowiązany z Kajmanem. Z pewnością został przez niego wynajęty, lecz nie było na to dowodów.

Dowodów, które potrzebowała prokuratura. Ja nie.

Rodzice próbowali nawiązać ze mną rozmowę kilkakrotnie, ale nie odpowiadałem. W pewnym momencie zaczęli obawiać się, że doszło do nieodwracalnych zmian, ale lekarz zapewniał, że żadne z badań nie wykazało niczego niepokojącego.

Doznałem wprawdzie wstrząśnienia mózgu, ale najbardziej dotkliwe efekty już ustąpiły. Nic mi nie było. Przynajmniej jeśli chodziło o dolegliwości, które można było zobaczyć dzięki rezonansowi magnetycznemu.

W końcu się odezwałem, właściwie tylko po to, by uspokoić rodziców. Odetchnęli z ulgą, a ja momentalnie poczułem wyrzuty sumienia, że tak długo trzymałem ich w niepewności. Prawda była jednak taka, że nie wiedziałem, co im powiedzieć.

Tym bardziej że wciąż zadawali tylko jedno pytanie. To, które ojciec powtórzył także wtedy, kiedy wreszcie się odezwałem.

– Co się stało, synu?

– Nie wiem.

Spojrzeli po sobie.

– A co mówią policjanci? – zapytałem.

– Że… – zaczęła matka, ale urwała.

– Chcą postawić ci kolejne zarzuty – wyręczył ją ojciec.

Odniosłem wrażenie, jakby dopiero teraz dopadł mnie całkowity paraliż. Potrzebowałem chwili, by przetrawić usłyszaną informację. A więc obecność policjanta jednak była znacząca? Wydawało się to absurdalne.

Może oberwałem mocniej, niż sądziłem? Może o czymś nie pamiętałem?

Z trudem przełknąłem ślinę, patrząc niepewnie na ojca.

– Chryste… – jęknąłem. – Jakie zarzuty?

– Zabójstwa i porwania.

– Co takiego?

– Mówią, że zabiłeś kogoś w Rewalu, synu.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że znaleźli ciało Roberta Reimanna. A na nim pełno śladów DNA, które zostawiłem. Na dobrą sprawę nie trzeba było sprawdzać tych, które znajdowały się na mnie, by wiedzieć, skąd pochodzą moje liczne obrażenia.

Poruszyłem się nerwowo i nagle każda z ran zdawała się o sobie przypominać. Popatrzyłem na rodziców, starając się ocenić, jak to wszystko wygląda z ich perspektywy. Oczywiste było, że nie wierzyli policji. Ale co w takim razie musieli sobie pomyśleć?

– Posłuchajcie…

– Nie musisz nic mówić – przerwała mi matka.

Wskazała wzrokiem w stronę drzwi, a ja uświadomiłem sobie, że policjant stanął tuż za progiem. Nie byłem przykuty kajdankami do łóżka, najwyraźniej wyszli z założenia, że jestem w zbyt złym stanie, by podejmować próbę ucieczki.

– Wiem – odparłem. – Ale chcę wam to wyjaśnić. I nie obchodzi mnie, czy ktoś słucha.

– Dla nas wszystko jest jasne, synu.

– Nie wszystko.

– Zostałeś wrobiony – kontynuował ojciec. – Nie wiemy, w jaki sposób, ale pomożemy ci poradzić sobie z tym wszystkim.

Wiedziałem, że tak w istocie będzie, choć w oczach matki dostrzegałem jakieś niewypowiedziane pytanie. Być może nawet niejedno. Patrzyłem na nią na tyle długo, by sama zorientowała się, że czekam, aż poruszy to, co ją najbardziej nurtowało.

W końcu odkaszlnęła cicho, a ja porozumiewawczo skinąłem jej głową.

– Pytaj, mamo.

– Chcę tylko…

– Nie teraz – wtrącił ojciec pod nosem.

– Nie, nie – zaoponowałem. – Nie mam żadnego powodu, żeby ukrywać cokolwiek przed policją.

Oboje nabrali tchu, nie odzywając się.

– Zastanawiacie się, po co pojechałem do Rewala? – podsunąłem, przypuszczając, że właśnie to najbardziej ich zastanawiało. – Bo czekała tam na mnie Ewa. To zapewne jej dotyczy ten bzdurny zarzut o porwaniu.

– Synu…

Uniosłem lekko rękę.

– Poczekaj – powiedziałem do ojca. – Daj mi skończyć.

– Ewa nie żyje, synu.

Pokręciłem głową.

– Żyje. To ciało, które znaleziono na Bolko, należy do…

– Do niej – weszła mi w słowo matka. – To naprawdę ona.

Ojciec smętnie spuścił wzrok.

– Potwierdziły to badania – dodał.

– Policja nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Rodzice wyglądali, jakby oni również ich nie mieli. Ja jednak nie byłem gotowy w to uwierzyć – mimo że po tym, co się stało, właściwie powinienem przyjąć każdą, nawet najbardziej nieracjonalną wersję. Powinienem być przygotowany na wszystko. I to nie teraz, ale już o wiele wcześniej.

– To niemożliwe – odparłem.

– Sami widzieliśmy wyniki, synu. Komisarz Prokocki wezwał nas na komendę, pokazał nam wszystko.

– Dokumenty można podrobić. A oni starali się po prostu ją chronić.

– Chronić? – spytała matka. – Przed kim?

– Przed ludźmi Kajmana. Tymi, którzy ją ścigali.

– Kajmana?

Spojrzałem na policjanta, jakbym liczył na to, że wyłoży wszystko moim rodzicom. Kiedy jednak napotkałem jego zdziwiony wzrok, uświadomiłem sobie jedną rzecz.

Wszystko, co wiedziałem o Kajmanie, pochodziło z nagrań Ewy.

Podobnie sprawa miała się z tym, co działo się z nią przez ostatnią dekadę.

W dodatku każda informacja o Prokockim, ochronie świadków i każdym posunięciu policji pochodziła z tego samego źródła.

Właściwie cały obraz sytuacji ułożyłem na podstawie tego, co przekazała mi Ewa.

Na Boga, czy dałem się w jakiś sposób wpędzić w gigantyczną manipulację?

Moje myśli zdawały się przejść w wir, który wciągał całą moją racjonalność. Mogłem się tylko przyglądać, jak jej resztki obracały się coraz szybciej, poddając się prądowi. I jak niknęły w samym środku.

Nie potrafiłem wyłowić z tego szalonego nurtu jakiegokolwiek zbornego wniosku. Wszystko wydawało mi się zarazem możliwe i niemożliwe. Wykonalne i wykluczone. Pogubiłem się zupełnie – i najgorsze w tym wszystkim było to, że nie mogłem pomyśleć o nikim, kto mógłby udzielić mi odpowiedzi.

Oprócz Ewy.

– Synu?

– Wszystko w porządku… – mruknąłem.

– Kim jest Kajman?

Pokręciłem głową, mrużąc oczy.

– To teraz nieważne. Przedstawię policji wszystko, co wiem…

Znów na siebie popatrzyli, jakby jedno oczekiwało od drugiego, że wpadnie na pomysł, jak mi pomóc. Spodziewałem się, że to ojciec spróbuje coś zaproponować, ale nie zdążył. Do sali wszedł funkcjonariusz i wszyscy skupiliśmy na nim uwagę.

Wyciągnął komórkę w moją stronę, jakby celował z pistoletu.

– Komisarz Prokocki chciałby z panem porozmawiać.

Otworzyłem usta, ale się nie odezwałem.

Nie wyglądało mi to na standardową procedurę. Jeśli naprawdę mieli zamiar postawić mi zarzuty, kontaktowanie się przez telefon było raczej chybionym pomysłem.

Wyciągnąłem rękę, a policjant podał mi telefon.

– Tak? – spytałem.

– Narobił pan sobie problemów – odezwał się podkomisarz.

– Zauważyłem.

– Ale przynajmniej części z nich uda się panu pozbyć, jeśli zdecyduje się pan na współpracę.

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, z kim powinienem ją podjąć.

Prokocki prychnął cicho.

– Nie pierwszy raz to słyszę – odparł. – Ale zawsze odpowiadam tak samo: najlepiej zaufać tym, którzy przysięgają strzec bezpieczeństwa obywateli.

– Ma pan na myśli tych samych, którzy od czasu do czasu łamią tę przysięgę?

– W każdym stadzie znajdzie się czarna owca.

– Ale pan nią nie jest?

– Nie – odparł i westchnął, jakby uwierało go, że w ogóle musi to werbalizować. – Jestem pana ostatnią deską ratunku. I jedyną nadzieją na to, by wynurzyć się z bagna, w którym pan się zatapia.

Milczałem, nie wiedząc, czy w istocie Prokocki nie ma racji. Jeśli miałbym wierzyć temu, co usłyszałem na nagraniach, podkomisarz rzeczywiście był jedyną osobą, która mogła mi pomóc. Tyle że na tym etapie nie ufałem już niczemu, co usłyszałem od Ewy.

– Jest pan tam?

– Tak – odparłem.

– To dobrze. I skoro się pan nie rozłączył, przypuszczam, że chociaż rozważa pan, czy może mi zaufać.

– Rozważam.

Prokocki znów westchnął.

– Ujmijmy to więc tak: nie ma pan absolutnie żadnego wyjścia, do kurwy nędzy – wypalił. – Jest pan oskarżony o zabójstwo Reimanna, a w dodatku o porwanie jego żony i dziecka.

– To absurd.

– Też tak mi się wydaje.

– Więc dlaczego…

– Bo fakt, że coś mi się wydaje, nie wystarcza ani moim przełożonym, ani prokuraturze.

Przez moment obaj się nie odzywaliśmy.

– Dlatego muszę wiedzieć, co panem, do cholery, kierowało. Rozumie pan?

Nie rozumiałem już nic, zachowałem jednak tę uwagę dla siebie. Spojrzałem na rodziców, którzy przypatrywali mi się w napięciu. Nie musieli nic mówić, bym wiedział, że po spotkaniu z Prokockim z jakiegoś powodu mu zaufali.

Może wiedzieli więcej ode mnie? Może powiedział im o czymś, co cała trójka postanowiła dla mojego dobra zachować w tajemnicy?

Pokręciłem głową i skarciłem się w duchu za zadawanie pytań sobie zamiast mojemu rozmówcy. Uświadomiłem sobie, że tym samym podjąłem decyzję. Dzwoniąc do mnie, podkomisarz wyciągał rękę. Nieformalnie, jako gest dobrej woli. Powinienem z tego skorzystać.

– Kasandra Reimann to w rzeczywistości Ewa, panie komisarzu.

– Co proszę?

– Związała się z Robertem lata temu, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Nie przypuszczała jednak, że…

– Co pan, kurwa, opowiada?

Rozmowa telefoniczna nie była najlepszym sposobem, by wyłożyć mu skomplikowaną historię, ale nie miałem wyjścia. Nabrałem głęboko tchu, chcąc kontynuować, ale policjant nie dał mi na to czasu

– Zidentyfikowaliśmy ciało – powiedział. – Potwierdziliśmy to nie tylko dzięki członkom rodziny, ale także badaniom DNA. Chcieliśmy mieć absolutną pewność.

– Tak pan twierdzi.

– Niech pan da spokój. Jaki miałbym mieć powód, żeby kłamać?

– Wciąż stara się pan ją chronić.

– Chronić?

– Ewę. Obawia się pan, że ją znajdą.

– Kto? – spytał ciężko Prokocki. – Kto miałby jej szukać?

– Ludzie Kajmana. Ci, przeciwko którym zeznawała.

– Ewa nie zeznawała przeciwko komukolwiek.

– Ale…

– Nie wiem, skąd czerpie pan te informacje, ale najwyraźniej został pan wprowadzony w błąd.

Próbowałem przełknąć ślinę, ale zaschło mi w gardle. Kaszlnąłem nerwowo, czując, że robi mi się gorąco.

Ściskałem telefon coraz mocniej, choć brakowało mi sił. Prawda zaczynała powoli do mnie docierać.

– Ale… – powtórzyłem. – Ona… przecież…

W końcu zrozumiał, kto przedstawił mi wersję, o której mówiłem.

– Kasandra Reimann to Kasandra Reimann – powiedział. – Sprawdziliśmy ją dokładnie, kiedy tylko odkryto ciało jej męża. Nie ma nic wspólnego z pana narzeczoną, może z wyjątkiem tego, że istnieje fizyczne podobieństwo.

Jego słowa odbijały się głuchym echem w mojej głowie.

– Jest… jest pan pewien?

– O ile ktoś nie sfałszował dokumentów w urzędach, nie przekupił szeregu ludzi, by udawali jej rodzinę i znajomych, nie sfabrykował zdjęć pochodzących z ostatnich kilkudziesięciu lat, to tak. Jestem pewien.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Funkcjonariusz mówił jeszcze przez jakiś czas, zapewniając mnie, że przedstawi mi wszystkie dowody. Sam będę mógł przekonać się, że odnaleziona osoba to moja zaginiona narzeczona. W końcu Prokocki dopuścił także możliwość, bym zobaczył zdjęcia z sekcji zwłok.

Leżałem jak sparaliżowany, rzeczywistość zdawała się formować gdzieś z dala ode mnie. Czy naprawdę było możliwe, że Kasandra

Reimann to nie Ewa?

Na tym etapie nie mogłem dłużej pozwolić sobie na nieuzasadnioną pewność, że znam odpowiedź. Musiałem dopuścić to, co jeszcze niedawno wydawało mi się niemożliwe.

Na Boga, co w takim razie stało się z Ewą? Gdzie była przez dziesięć lat? I dlaczego zginęła?

Kolejne pytania pojawiały się w mojej głowie, podczas gdy Prokocki kontynuował zapewnianie mnie, że nie ma mowy o żadnej pomyłce. Mówił jeszcze przez jakiś czas, ale już go nie słuchałem.

Potem trzęsącą się ręką oddałem telefon policjantowi i popatrzyłem na rodziców.

– Gdzie… gdzie moja komórka? – wydukałem.

Ojciec wskazał na jedną z szuflad przy łóżku. Przypuszczałem, że telefon został skrupulatnie sprawdzony przez policjantów – właściwie dziwiło mnie, że go nie zabrali. Ale może założyli, że z kimś współdziałałem i że ta osoba prędzej czy później się ze mną skontaktuje.

W pewnym sensie tak się stało.

Kiedy włączyłem komórkę, przekonałem się, że czeka na mnie nieprzeczytany esemes. Otworzyłem go i zobaczyłem kod autoryzacji na RIC.

Miałem wrażenie, że cała krew odpłynęła mi z twarzy.

– Co się dzieje, synu? – zapytał ojciec.

Przełknięcie śliny znów przyszło mi z wielkim trudem.

– Potrzebuję laptopa – wydusiłem.

12

Byliśmy już pod Łodzią, kiedy system RIC w końcu poinformował mnie, że Wern odebrał kod. Nie pojechaliśmy ku wschodniej granicy, tamten kierunek wcześniej obrałam tylko po to, by zmylić Damiana. Nie miałam wątpliwości, że prędzej czy później przekaże policji wszystko, co mu powiedziałam.

– Odebrał esemesa – odezwałam się.

Glazur oderwał wzrok od drogi i zerknął na mnie.

– Chcesz się zatrzymać?

– Tak.

Pokiwał głową, nie próbując odwieść mnie od rozmowy z Wernerem. Zgadzał się, że muszę ją przeprowadzić, nawet jeśli stracimy przez to trochę czasu. Wciąż podkreślał, że jestem ją Damianowi winna.

Nic nie stało na przeszkodzie, bym skontaktowała się z nim przez RIC. Połączenie było szyfrowane, a ewentualny wirtualny trop tak poplątany, że nie sposób byłoby ustalić mojej lokalizacji, nawet gdyby ktoś wiedział, gdzie szukać.

– McDonald? – spytał Glazur.

– Obojętnie. Gdziekolwiek, gdzie mają wi-fi.

Nie musieliśmy długo czekać, by wypatrzeć odpowiednie miejsce. Charakterystyczny żółty łuk był widoczny z oddali. Zjechaliśmy do McDonalda kawałek za węzłem Skierniewice. Wojtek i Glazur usiedli przy stoliku nieopodal okna, a ja zajęłam miejsce na uboczu.

Zależało mi na tym, by nikt mi nie przeszkadzał. Zamówiłam dużą czarną kawę w McCafé, a potem zalogowałam się na RIC. Damian już na mnie czekał. Nabrałam głęboko tchu, nie wiedząc, od czego powinnam zacząć.

Na szczęście Werner mnie wyręczył.

[Wern] Kim ty właściwie jesteś?

Nie było to najprostsze pytanie, które mógł mi zadać, ale stanowiło początek rozmowy dobry jak każdy inny. Upiłam łyk kawy, żałując, że nie mam pod ręką prosecco.

[Kas] Kasandrą Reimann.
[Wern] I nie masz nic wspólnego z moją narzeczoną?
[Kas] Nic.

Odpowiedź przez moment nie nadchodziła. Próbowałam wyobrazić sobie, co musi czuć Damian, ale szybko odsunęłam od siebie te myśli. Były zbyt dojmujące.

[Wern] Wytłumacz mi wszystko.
[Kas] Wiele z pewnością już sam zrozumiałeś.
[Wern] Niewystarczająco.

Pokiwałam głową, jakby mógł to zobaczyć. Poczułam na sobie wzrok Glazura i posłałam mu krótkie, uspokajające spojrzenie. Wiedziałam, co go martwi. Obawiał się, że wszystko, co zrobiliśmy, przez lata nie da mi spokoju. Że będą dręczyć mnie wyrzuty sumienia, z którymi nie zdołam sobie poradzić.

Zapewniałam go od dawna, że tak nie będzie. Powtarzałam, że traktuję każdy podjęty przez siebie krok jako przykrą konieczność i że zdaję sobie sprawę, iż nie miałam żadnego wyboru.

Musiałam się ratować. Wszystkie decyzje, które podejmowałam, wynikały z próby uratowania mnie i Wojtka.

Zawiesiłam wzrok na ekranie i przez moment trwałam w bezruchu, trzymając palce na klawiaturze laptopa. Same ułożyły się w odpowiednich miejscach. Powoli zaczęłam przyciskać jeden klawisz po drugim.

[Kas] Przepraszam.

Znów musiałam poczekać trochę na odpowiedź.

[Wern] Nie interesują mnie przeprosiny, tylko wyjaśnienia.
[Kas] Rozumiem.
[Wern] W takim razie zacznijmy od tego, ile z tych nagrań było prawdą?
[Kas] Wszystko, co mówiłam ci o Robercie.
[Wern] A to o zeznawaniu przeciwko Kajmanowi?
[Kas] To także prawda, ale… tylko jeśli chodzi o Ewę.
[Wern] Wyjaśnij.

Wbiłam wzrok w mrugający kursor.

[Kas] To, co ci przedstawiłam, naprawdę miało miejsce. Ojciec Ewy wplątał się w szemrane interesy z Kajmanem i wprawił w ruch sekwencję zdarzeń, która ostatecznie doprowadziła do tego, co się stało na Loży Szyderców. I do wszystkiego innego. Korzystając z zasobów Reimann Investigations, dokładnie sprawdziliśmy każdy trop, stopniowo odkrywając kolejne elementy tej układanki.

Wysłałam wiadomość i na moment przerwałam, by napić się kawy.

[Wern] Prokocki twierdzi inaczej.
[Kas] Kłamie. Zależy mu na tym, żeby cię zamknąć, bo z jego punktu widzenia to ty doprowadziłeś do śmierci Ewy. W dodatku postrzegają cię jako zabójcę Roberta.

Nie chciałam nawet myśleć o tym, co musi teraz dziać się w głowie Damiana. Nie wiedział już, co jest prawdą, a co nie. Nie miał pojęcia, komu ufać.

[Wern] Ale jak trafiliście na tę sprawę? I jak udało ci się mnie oszukać? Przecież wyglądasz tak jak ona.
[Kas] Wiem.
[Wern] Wyjaśnij mi to.

Przesunęłam nerwowo po włosach, odgarniając grzywkę.

[Kas] Wiesz, co przechodziłam przez ostatnie lata, bo o wszystkim ci opowiedziałam.
[Wern] Tak.
[Kas] Ale nie wiesz, jak długo to trwało. Na użytek wersji, którą ci przedstawiłam, musiałam skrócić ten okres. Prawda jednak jest taka, że Robert znęcał się nade mną od wielu lat, Wern.
[Wern] I?
[Kas] Długo szukałam sposobu, by się z tego wyrwać.
[Wern] Jak?
[Kas] Między innymi przeglądając bazy zaginionych osób. Szukałam sposobności, by wykorzystać tożsamość jednej z nich.
[Wern] Podszyć się pod nią. Nazywaj rzeczy po imieniu.
[Kas] W porządku. Początkowo chodziło mi tylko o to, by po przejęciu tożsamości skierować na siebie uwagę służb. By policja sama przyszła mi z pomocą. Uznałam, że to jedyna możliwość, by wyrwać się z tego piekła.
[Wern] Mogłaś po prostu powiadomić służby.
[Kas] Nie. Robert miał w kieszeni wszystkich ludzi, do których mogłabym się zwrócić. Poza tym kontrolował mnie na każdym kroku. Nawet gdyby udało mi się zaangażować kogoś, kto był poza jego wpływem, od razu by zadziałał. A wierz mi, że miał w garści także wysoko postawionych oficerów. W końcu więc zrozumiałam, że nie tędy droga. Musiałam wymyślić coś innego.

Damian przez chwilę nie odpowiadał, zapewne układając w głowie pierwsze elementy, które ostatecznie miały dać mu obraz całej sytuacji.

[Wern] Jak trafiłaś na Ewę?
[Kas] Tak jak na wszystkie inne kandydatki – przeglądając bazę. Nie masz pojęcia, jak długo czekałam na kogoś takiego. Przez lata odnalazłam kilka dziewczyn, pod które mogłam próbować się podszyć, ale kiedy tylko trafiłam na Ewę, wiedziałam, że w końcu znalazłam odpowiednią osobę.
[Wern] Przez podobieństwo fizyczne.
[Kas] Tak. Przejrzałam setki, może tysiące różnych informacji o osobach zaginionych, od czasu do czasu trafiałam na podobne kobiety, ale nigdy wcześniej nie znalazłam nikogo, kto tak bardzo przypominałby mnie. Wymagało to kilku zabiegów z mojej

strony i bałam się, że wzbudzę podejrzenia Roberta, ale szczęśliwie tak się nie stało. Największy problem sprowadzał się do tego, że nie wiedziałam, na ile mój głos podobny jest do głosu Ewy. Ostatecznie jednak musiałam podjąć ryzyko. A fakt, że minęła dekada, od kiedy ostatnim razem ją słyszałeś, kazał mi być dobrej myśli. Upływ czasu działał na moją korzyść. Im więcej lat minęło, tym większe miałam szanse na powodzenie.

Znów odpowiedziało mi milczenie. Damian musiał powoli uświadamiać sobie, ile wysiłku kosztowała mnie cała ta mistyfikacja. Wysiłku i długoletniego planowania. Od samego początku wiedziałam, że wszystko będzie zależało od mojej wytrwałości. I ostatecznie popłaciła.

Musiałam rozegrać to także odpowiednio pod względem psychologicznym. Zdawałam sobie sprawę, że Werner może mieć wątpliwości, czy odnalazł prawdziwą Ewę. Konieczne było, by powstała jak największa wyrwa między tym, co wiedział, a czego pragnął się dowiedzieć.

Pisał o tym George Loewenstein, udowadniając, że potrzeba zasypania tej przepaści jest motorem napędowym ludzkiej psychiki. Mnie pozostawało tylko ów motor wprawić w ruch z odpowiednią mocą. Tak by Damian stał się zaślepiony potrzebą odnalezienia prawdy.

W końcu potrzeba ta stała się tak silna, że przyćmiła wszystko inne. Logika i racjonalność zeszły na drugi plan, kiedy podsuwałam mu kolejne nagrania, rozbudzając jego apetyt. Nie rozumował już tak, jak powinien. Nie dopuszczał możliwości, że to wszystko jest mistyfikacją.

A im dłużej to trwało, tym efekt był większy. I nie chodziło tylko o psychologię, ale także o fizjologię. Badania potwierdzały, że gorączkowe oczekiwanie na rezultat wyzwala w ludzkim ciele dopaminę – a według Helen Fisher im dłużej przychodziło nam czekać, tym więcej tego neuroprzekaźnika wytwarzały nasz mózg

i rdzeń kręgowy. W efekcie dopamina przejmowała kontrolę nad procesem podejmowania przez nas decyzji.

Ostatecznie wszystko sprowadza się do tego, że wierzymy w to, w co chcemy wierzyć. Ignorujemy fakty, które stoją z tym w sprzeczności. I uwydatniamy te, które potwierdzają nasze założenia.

Nie grałam na uczuciach Damiana. Grałam na uniwersalnych zasadach rządzących ludzkim umysłem.

[Wern] Kiedy ją znalazłaś?
[Kas] Kilka lat temu.
[Wern] I od tamtej pory się przygotowywałaś?
[Kas] Tak. Kosztowało mnie to sporo wyrzeczeń i podjęcia ryzyka, ale nie miałam wyjścia.
[Wern] Miałaś.
[Kas] Nie.

Krótka, stanowcza odpowiedź powinna uświadomić mu, że nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Ale jeśli tak się nie stało, miałam nadzieję, że przekonają go moje dalsze tłumaczenia.

[Kas] Zrozum, że nie mogłam zwrócić się ani do służb, ani do znajomych, ani do rodziny, ani do współpracowników. Robert stopniowo wyeliminował z mojego życia wszystkich ludzi, których nie mógł kontrolować. W pewnym momencie zostałam sama. Mogłam liczyć wyłącznie na Glazura, a on także miał ograniczone pole manewru.
[Wern] Więc załatwiłaś sobie idiotę, który wyciągnął cię z tego bagna.
[Kas] Wiedziałam, że zrobisz wszystko, co trzeba.

Przez moment odpowiedź nie nadchodziła.

[Wern] Jesteś chora.

Nie wiedziałam, co odpisać. I to nie tylko dlatego, że nie zamierzałam wchodzić w sprzeczkę. Zwyczajnie nie byłam pewna, jak powinna brzmieć odpowiedź.

Czasem nachodziła mnie refleksja, że żyję w swoim własnym, skrzywionym świecie. Ukształtowały go przemoc, nieustanne poczucie zagrożenia i alkohol. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio doświadczyłam dnia bez picia lub nocy bez bycia okładaną.

Bywały chwile, że postrzegałam samą siebie jako szaloną.

Ale nie zwariowałam. Przeciwnie, postąpiłam racjonalnie. Uratowałam moje dziecko w jedyny możliwy sposób.

Napiłam się kawy i potrząsnęłam głową, dochodząc do wniosku, że muszę kontynuować rozmowę. Byłam to winna Wernerowi.

[Kas] Potrzebowałam kogoś, kto będzie zdolny do wszystkiego. I kogoś, komu będę mogła powierzyć wszystkie środki z kont Roberta. Rozumiesz to, prawda?
[Wern] Nie. I wątpię, by ktokolwiek zrozumiał. Powinnaś się leczyć.
[Kas] Nie miałam wyjścia, Wern.
[Wern] Mogłaś powiedzieć mi prawdę.
[Kas] I liczyć na to, że nagle zapomnisz o tym, że cię oszukałam? I że kierując się zwykłą empatią, zaryzykujesz życie, by mi pomóc? Podczas gdy Ewa wciąż gdzieś tam była?

Tym razem to on nie wiedział, co odpisać.

[Kas] Nie mogłam pozwolić sobie na takie ryzyko. Na szali było życie mojego syna.
[Wern] Istniało wiele innych sposobów, żeby uciec od Roberta.

Gdyby siedział przy stoliku naprzeciwko mnie, byłabym bliska tego, by zaśmiać mu się w twarz. Nie wiedział, jakim człowiekiem był Robert Reimann. Nie zdawał sobie sprawy, jakich rzeczy dopuszczali się jego ludzie. I on sam.

[Kas] Jesteś pewien?

[Wern] Tak.

[Kas] Więc proszę bardzo, powiedz, w jaki sposób mogłam osiągnąć to wszystko. Od ucieczki aż po zdobycie tych wszystkich środków, dzięki którym zapewnię mojemu synowi przyszłość. Powiedz mi, jak miałam znaleźć kogoś, kto nie tylko pomoże mi wydostać się z piekła, w którym się znalazłam, ale także nie okradnie mnie po fakcie.

Nie spodziewałam się odpowiedzi. Nawet jeśli jakaś pojawiła się w głowie Damiana, prawdopodobnie sam po chwili ją obalił. I może ostatecznie dojdzie do takiego samego wniosku jak ja. Że nie miałam innego wyjścia.

Powtarzałam sobie to w głowie bez ustanku, ale wiedziałam, że ostatecznie nie uda mi się w stu procentach przekonać nawet samej siebie.

Zresztą czy po tym wszystkim, co mnie spotkało, mogłam jeszcze racjonalnie cokolwiek ocenić? Kilkunastoletni ciąg alkoholowy sam w sobie sprawiał, że umykała mi granica, która oddzielała to, co usprawiedliwione okolicznościami, od tego, co niedopuszczalne.

Nie. Nie było sensu snuć takich rozważań. Wszystko, czego się podjęłam, robiłam, by ratować Wojtka.

Chciałam napisać o tym Damianowi, ale miałam wrażenie, że nie muszę. Poznał mnie jako inną osobę, ale rozumiał moje motywacje. Zrozumiał jeszcze coś. Coś, co nie dawało mi spokoju.

I być może przez kolejne lata właśnie to będzie wisiało nade mną jak złowrogie widmo.

[Wern] To ty ją zabiłaś.

[Kas] Nie.

[Wern] Przez ciebie zginęła.

[Kas] Nie miałam z tym nic wspólnego, Wern.

[Wern] Nie pierdol. To przez twoje zabiegi Ewa albo postanowiła się ujawnić, albo to ludzie Kajmana wpadli na jej trop. Tak czy inaczej, to ty wprawiłaś wszystko w ruch. Masz ją na sumieniu, do kurwy nędzy. A ja nie odpuszczę, dopóki cię nie znajdę. I przysięgam ci, że poniesiesz konsekwencje wszystkiego, co zrobiłaś.

Na moment zamarłam. Potem spojrzałam w kierunku stolika, przy którym siedzieli Wojtek i Glazur.

Nie zastanawiając się długo, złapałam za klapę laptopa, a potem ją zatrzasnęłam. Zupełnie jakbym zamykała za sobą drzwi, zostawiając po drugiej stronie nie tylko Wernera i Roberta, ale także wszystko inne, co wiązało się z moją przeszłością.

Dopiłam kawę, zawieszając wzrok za oknem. Autostradą przemykały samochody, niektóre zjeżdżały na stację przy McDonaldzie. Życie biegło normalnie, nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, co zrobiłam.

Rocznie w Polsce dochodziło do dwudziestu tysięcy zaginięć. Dziennie znikało więc ponad pięćdziesiąt osób.

Jakie znaczenie miało to, że ukradłam tożsamość jednej z nich? Nawet jeśli doprowadziło to do jej śmierci, czy nie była to cena, którą warto było zapłacić, by uratować od tragedii własnego syna? Tragedii, którą w końcu Robert by na niego sprowadził?

Uratowałam wiele innych osób, zapewniłam się w duchu. Organizacja mojego męża przez wewnętrzną walkę o władzę rozsypie się prędzej czy później. Dzięki temu okrutnego losu uniknie wiele osób, o których istnieniu nawet nie wiedziałam.

Powtarzałam sobie podobne wnioski jeszcze przez jakiś czas, gdy jechaliśmy z Wojtkiem i Glazurem na zachód.

Ostatecznie jednak potwierdziłam bezowocność prób przekonania samej siebie. Dopuściłam się ohydnych rzeczy i musiałam się z tym zmierzyć. Czy kiedykolwiek poniosę konsekwencje? Pod względem takim, na jaki liczył Wern, z pewnością nie.

Nikt mnie nie znajdzie, nikt nie trafi na nasz trop. Wszystko zostawimy za sobą i nikt za nami nie podąży.

Nikt oprócz Ewy, która stała się częścią mnie.

POSŁOWIE

Statystyki dotyczące osób zaginionych w Polsce są zatrważające, ale jeszcze bardziej krew w żyłach mrożą te, które dotyczą przemocy domowej wobec kobiet. Szacunki mówią bowiem o tym, że w ciągu roku doświadcza jej od siedmiuset tysięcy do miliona Polek. Tygodniowo z tej przyczyny giną trzy kobiety.

Poniekąd właśnie to było przyczynkiem do napisania tej książki. Zastanawiałem się, jak daleko będzie w stanie posunąć się jedna z takich osób, kiedy na szali znajdzie się nie tylko jej życie, ale także życie jej dziecka. I kiedy nadarzająca się szansa na ratunek tak naprawdę nie będzie miała nic wspólnego z moralnością.

Przypuszczałem, że poszukiwanie odpowiedzi będzie niepokojące, i praca nad tą książką tylko to potwierdziła. W pewnym momencie zrozumiałem, że nie mogę liczyć na szczęśliwe zakończenie historii. Zacząłem się też zastanawiać, czym mogłoby ono być z punktu widzenia dwójki głównych bohaterów.

Kasandrze udało się uratować, ale zniszczyła przy tym resztki życia Wernera. Doprowadziła też do śmierci niewinnej osoby. Osiągnęła jednak swoje zamierzenia, zrealizowała cały swój plan. Czy to dla niej *happy end*? Nad odpowiedzią chyba długo nie trzeba się zastanawiać.

Ale czy na szczęśliwy finał może liczyć jakakolwiek inna kobieta, która znalazła się w jej położeniu?

Mam nadzieję, że tak. Tym bardziej że wiele zależy od tego, jak sami zachowujemy się na co dzień, jak reagujemy na dane

zdarzenia, jakie postawy promujemy i jak odnosimy się do tego, co dzieje się w sferze publicznej. Przemoc fizyczną poprzedza psychiczna. A ona wynika z wzorców, które przyswajamy przez całe życie.

Uprzedmiotowianie kobiet, choćby przez mówienie o „fajnej dupie" czy infantylne ocenianie w skali od jeden do dziesięć, sieje ziarno lekceważenia w psychice młodych ludzi. A pogarda, która z niego wyrasta, jest trudna do wyplenienia.

To nie tylko nasz problem. Na świecie więcej kobiet umiera z powodu przemocy domowej niż w wypadkach samochodowych. Niż z powodu nowotworów. Niż przez malarię, która w tropikalnej i subtropikalnej Afryce nadal stanowi plagę.

Amnesty International dowodzi, że przemoc domowa dotyka jedną na trzy kobiety na świecie. Wciąż są państwa, w których prawo nie zakazuje tak zwanego gwałtu małżeńskiego – i nie są to wyłącznie kraje zacofane, bo wśród nich znajduje się między innymi Tunezja. W Londynie, który z państwami Trzeciego Świata nie ma nic wspólnego, ponad czterdzieści procent kobiet przyznaje się do bycia ofiarami przemocy. A ile milczy? Tego zapewne nigdy się nie dowiemy.

Pytanie tylko, czy dlatego, że nie możemy, czy może dlatego, że nie chcemy…

Mam nadzieję, że przy okazji tej lektury razem powiedzieliśmy głośno o kilku ważnych sprawach. Sobie, może także innym – choć to ten pierwszy wymiar jest chyba najbardziej istotny. Za pomoc w tym dziękuję:

– Tobie, bo bez Ciebie świat przedstawiony w *Nieodnalezionej* byłby niepełny; ja tworzę jedynie jego ramy, ale to ty wypełniasz go swoją wyobraźnią;

– moim Rodzicom, którzy nie tylko wprowadzili mnie do świata książek i pokazali drzemiącą w nim magię, ale także nauczyli, jak błahe rzeczy potrafią rzutować na te ważkie;

– Oldze, Marysi, Piotrowi, Mateuszowi, Adrianowi i całej ekipie wydawnictwa FILIA, którzy kiedyś uwierzyli, że maszynopis od anonimowego autora może okazać się bestsellerem;

– Madeleine Milburn, dzięki której ta książka trafiła poza granice Polski i dzięki której moje pisarskie marzenia stają się rzeczywistością;

– Gabrieli Niemiec i Mirosławowi Krzyszkowskiemu, którzy dodają mi wiary we własne literackie siły; nie ma bowiem nic przyjemniejszego dla pisarza, niż z ust redaktora usłyszeć, że praca z autorem to przyjemność;

– Michałowi Kramarzowi, który przetłumaczył ten tekst w taki sposób, że codziennie zgłaszali się do nas zagraniczni wydawcy;

– wszystkim tym, którzy wiedząc, że najgłośniejszym krzykiem jest milczenie, zabierają głos.

Remigiusz Mróz
Opole, maj 2017 roku

Co roku w Polsce prawie milion kobiet doznaje różnych form przemocy. Co trzecia Polka przynajmniej raz w życiu padła jej ofiarą. A jednak – wedle danych cytowanych na stronie **www.kochamszanuje.pl** – tylko 20 proc. sprawców, wobec których toczy się postępowanie sądowe, zostaje skazanych.

Fundacja Krajowe Centrum Kompetencji oraz znane Polki w kampanii społecznej „Kocham. Szanuję" zjednoczyły siły, by jeszcze głośniej mówić o tym, jak ogromnym problemem w Polsce jest przemoc wobec kobiet. Do akcji dołączyli również mężczyźni. Autor niniejszej książki został jednym z jej ambasadorów.

Jeśli doznajesz przemocy w rodzinie lub jesteś jej świadkiem – reaguj, zadzwoń. Numer infolinii Krajowego Centrum Kompetencji, do którego można się zgłosić, to: **801 109 801**.

REMIGIUSZ MRÓZ

SERIA Z KOMISARZEM FORSTEM

FILIA MROCZNA STRONA

mrocznastrona.pl

SPIS TREŚCI

Okładka
Karta tytułowa
Dedykacja
Cytat

ROZDZIAŁ 1

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11

ROZDZIAŁ 2

1
2
3
4
5
6
7
8
9

10
11
12
13
14
15
16
17
18

ROZDZIAŁ 3

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12

POSŁOWIE

* * *
Reklama
Karta redakcyjna

Copyright © by Remigiusz Mróz, 2017
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2018

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © Philip Lord/Arcangel

Redakcja i korekta:
Gabriela Niemiec
Mirosław Krzyszkowski

Skład i łamanie:
MELES-DESIGN

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART"
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-432-4

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Redaktor prowadzący serii: Adrian Tomczyk